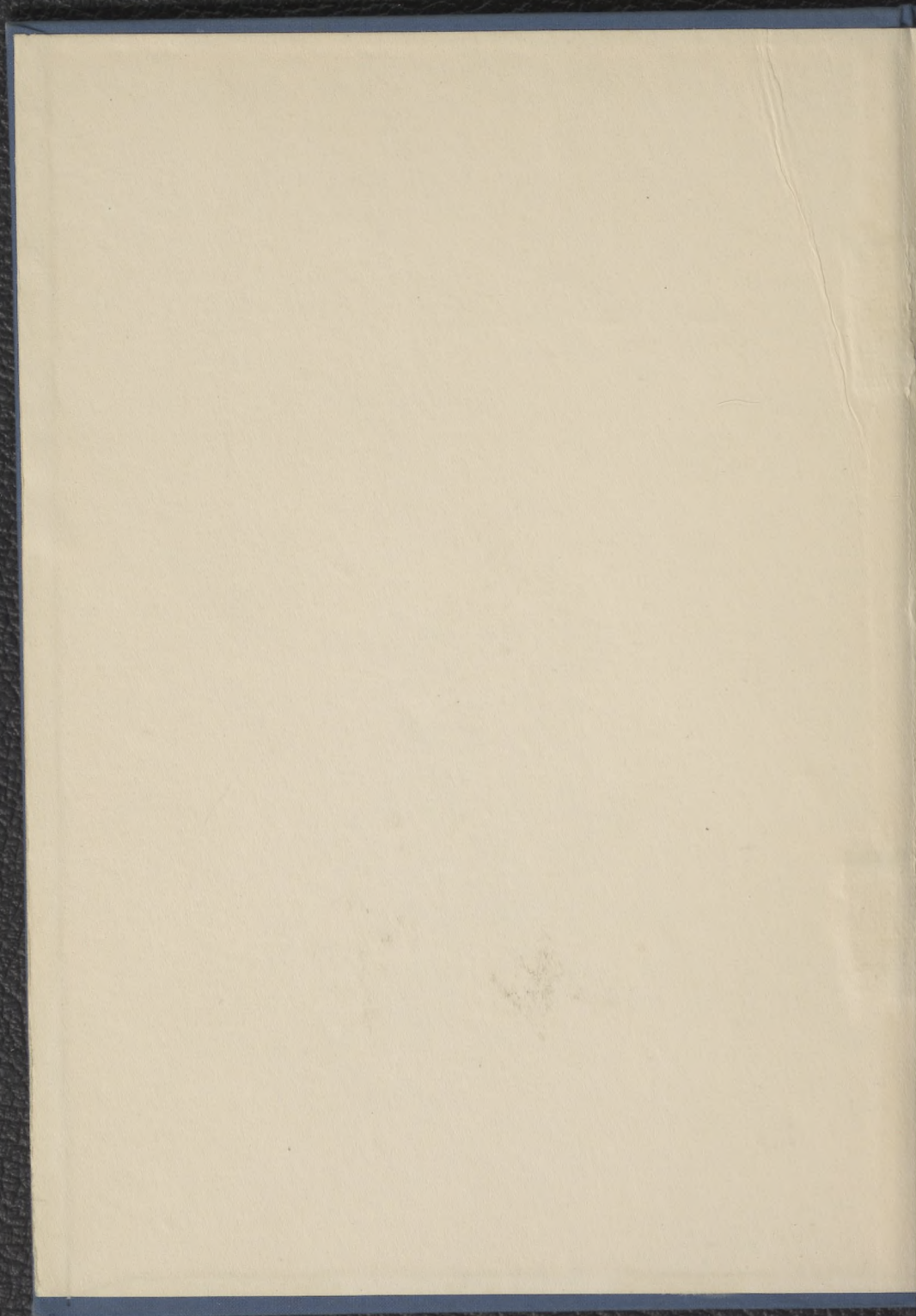
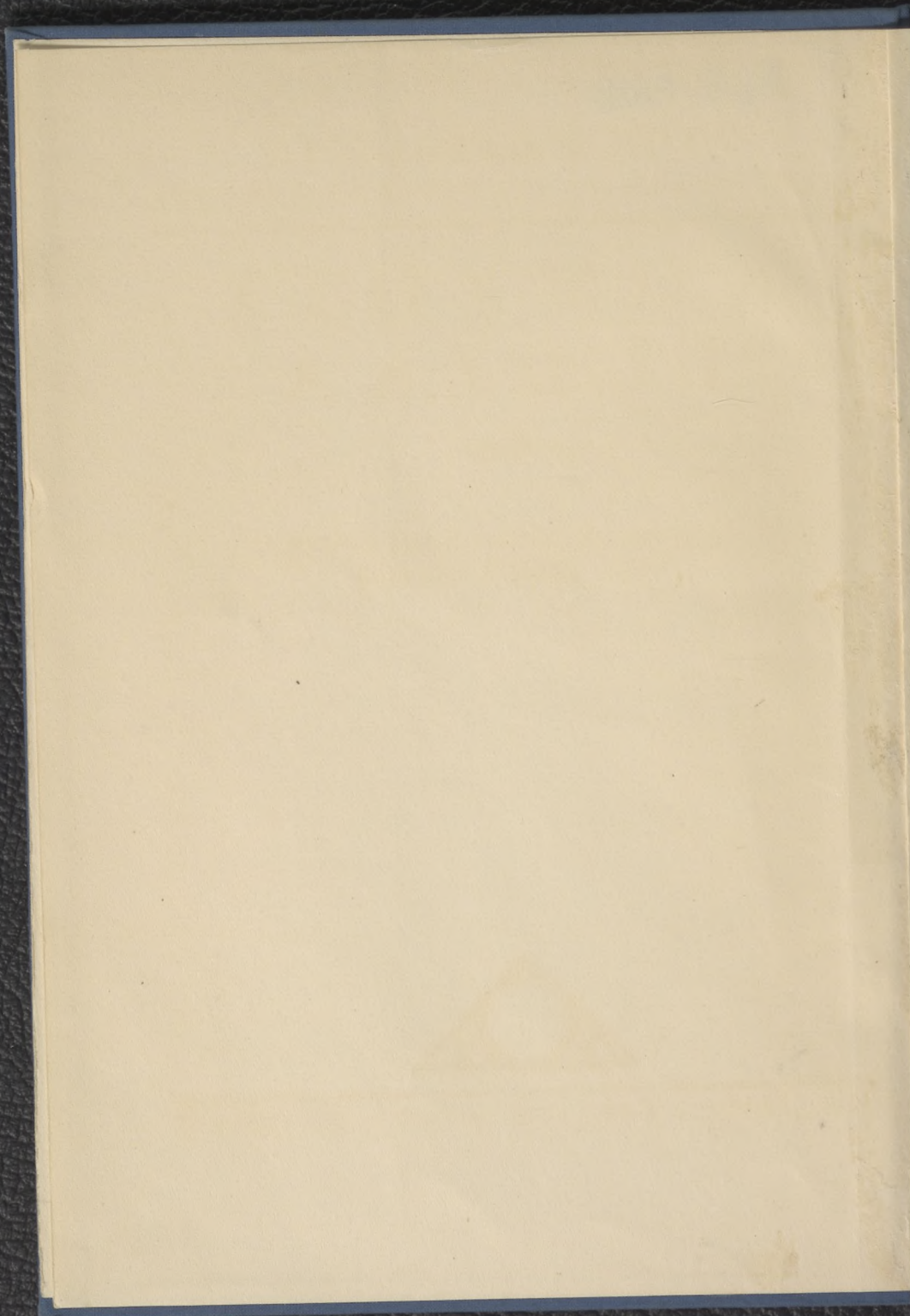


BALZAC

KAWALERSKIE
GOSPODARSTWO



II. 865.502



BIBLIOTEKA BOYA
ARCYDZIEIA LITERATURY FRANCUSKIE

K O M E D J A
L U D Z K A

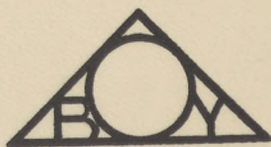
Przełożył i wstępem opatrzył
Józef Żelazki (Boy)



BIBLIOTEKA BOYA WARSZAWA

BIBLIOTEKA BOYA
ARCYDZIEŁA LITERATURY FRANCUSKIEJ

Przełożył i wstępem opatrzył
Tadeusz Żeleński (Boy)



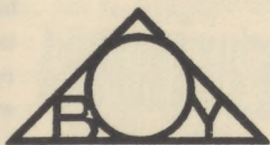
BIBLIOTEKA BOYA, WARSZAWA, SMOLNA 11

BALZAC

K O M E D J A
L U D Z K A



Kawalerskie gospodarstwo



BIBLIOTEKA BOYA, WARSZAWA, SMOLNA 11

BIBLIOTEKA BOYA
ENCYKLOPEDIA LITERATURY FRANCUSKIEJ

KOMEDIA
LUDZKA

Wydanie nowe

Drukarnia
Zakładów
Wydawniczych
M. Arct, S. A.
w Warszawie



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001011856830

BIBLIOTEKA BOYA, WARSZAWA, SZOJNY II

1975 K 152/6

OD TŁUMACZA

Utwór ten powstał w 1842, w najlepszej dobie twórczości Balzaka. Należy on do grupy stanowiącej samo centrum *Komedji ludzkiej*; odnogami swemi styka się ze światem politycznym, teatralnym, literackim, malarskim, prawniczym, finansowym, które znajdują rozwinięcie w innych opowieściach. W utworze tym osobliwie zajmuje Balzaka problem owych rozbitków napoleońskich, którzy, w pełni karjery, przeznaczeni na tytanów i pół-legendarnych bohaterów¹⁾, z upadkiem cesarstwa, wepchnięci w obce i przeciwne im warunki życia, degenerują stopniowo, dając, po największej części, zastęp wykolejeńców lub szubrawców. Wszystko, co było ich zaletą, co stanowiło ich siłę na polu bitwy, staje się niemożliwe w życiu cywilnem, zwłaszcza w postaci, jaką przybrało ono za Restauracji monarchicznej. W licznych powieściach Balzaka odbija się ten znamieny okres dziejów Francji; rządy starców, oderwanych przez szereg lat od kraju i narodu, silących się przekreślić jego tryumfalną epopeję; hipokryzja i świętoszkostwo lękające się wszelkiej młodości, nie ufające jej i nie zostawiające upustu jej siłom. W Paryżu, bujniejsze temperamenty, jak to widzimy w innych studjach Balzaka, spalają swoje świetne przymioty umysłu i charakteru w orgjach hulanki i excentrycznościach lwów stolicy; na prowincji przybiera ta bujność grubsze formy nocnych sprawek *Rycerzy bezrobocia*.

¹⁾ Problem ten przedstawiał się Balzakowi i z komicznej nieraz strony: zabawna figura bohatera szarży pod Eylau, p. de Fichtaminel, oświetlona zwieczniami jego żony (*Male niedole pożycia małżeńskiego*).

Skupiająca całą powieść postać Filipa Bridau wrzyna się w niezapomniany sposób w pamięć czytelnika: pisarz umiał ją nakreślić rysami istic szekspirowskimi, posuwając się tuż po krawędzi potworności, a nigdy, mimo całej ohydy tej postaci, nie zatracając w niej cech *ludzkich*. Jak wszędzie, tak i tutaj, Balzac wyższym jest jako poeta zła, niż dobra: Filip, siłą charakterystyki i wyrazu, przeraża nieskończenie zacnego Józefa. W rozwój charakterów obu braci i stosunek ich do rodziny, Balzac, zdaje się, włożył nieco i własnych doświadczeń: i on był tym Józefem, długo niedocenionym i zapoznanym przez bliskich, niezmordowanym pracownikiem-artystą; i on również miał brata, który za młodu, dzięki ujmującym zewnętrznym przysiotom, prym trzymał w sercu matki, później zaś wiele przyniósł rodzinie zgrzyot i kłopotów ¹⁾. Nawet w rysach, w których pisarz kreśli oryginalną i pełną siły brzydotę Józefa, można odnaleźć wiele podobieństw z nim samym, jak znowuż malarska karjera Józefa Bridau dość wiernie odtwarza walki słynnego malarza epoki, Delacroix. Większość występujących tu epizodycznych figur zaznaczonych jest ledwie pobieżnym dotknięciem; czemu, starałem się wytłumaczyć gdzieindziej; wszystkie one powtarzają się w innych utworach. Mimo swego samoistnego życia, każda powieść Balzaka jest organiczną częścią olbrzymiej całości.

Kraków, w marcu 1918.

¹⁾ Por. *Korespondencja Balzaka*.

KAROLWI NODIER
członkowi Akademii francuskiej,
bibliotekarzowi Arsenau.

Oto, drogi Nodier, książka, poświęcona owym wydarzeniom, które dzięki zamkniętym drzwiom zacisza domowego, usuwają się z pod działania praw. Ale w utworze tym, palec boży, tak często nazywany *przypadkiem*, uzupełnia sprawiedliwość ludzką, morał zaś, mimo że wyrażony ustami kpiarza, nie mniej jest pouczający i jasny. Z dzieła tego wynika, wedle mego rozumienia, wielka nauka dla rodziny i dla matek. Zbyt późno może zaczynamy spostrzegać skutki, spowodowane uszczupleniem władzy ojcowskiej. Władza ta, która niegdyś kończyła się aż ze śmiercią ojca, stanowiła jedyny trybunał ludzki, do którego należały zbrodnie domowe; w ważnych zaś okolicznościach, majestat króla użyczał temu trybunałowi swej mocy. Matka, chociażby najtkliwsza i najlepsza, nie może zastąpić tej patryjarchalnej władzy, tak samo, jak kobieta nie zastąpi króla na tronie; jeżeli zaś ziści się ten wyjątek, wynika zeń istota potworna. Nie zdarzyło mi się może nakreślić obrazu, któryby dobitniej wykazywał, jak bardzo nierozzerwalność małżeństwa potrzebna jest Europie; jakich nieszczęść powodem staje się słabość kobieca i jakie niebezpieczeństwa wnosi ze sobą interes osobisty, kiedy jest bez hamulca. Oby społeczeństwo wsparte jedynie na sile pieniądza zdołało zadrzeć, widząc bezsilność praw wobec systemu który ubóstwia sukces, rozgrzeszając wszystkie środki! Oby się mogło zwrócić corychlej do katolicyzmu, aby oczyścić masy zapomocą religji i wychowania. Dosyć pięknych charakterów, dosyć szlachetnych i wiel-

kich poświęceń zabłyśnie w *Scenach z życia wojskowego*, aby mi wolno było tu zaznaczyć, ile deprawacji powoduje zdziczenie wojenne w pewnych umysłach, które w życiu prywatnem ważą się postępować tak jak na polu bitwy. Ty, Karolu, objąłeś naszą epokę mądrym rzutem oka, którego filozofja ujawnia się w niejednej gorzkiej refleksji, przebijającej poprzez twe wytworne stronice; ty, lepiej niż ktokolwiek ocenileś spustoszenia, dokonane w duszy naszego kraju przez cztery różne polityczne systemy. To też, nie mógłbym dla tego opowiadania znaleźć kompetentniejszej osłony i powagi. Może nazwisko twoje obroni to dzieło przeciw oskarżeniom, które go nie miną; gdzie bowiem szukać chorego, któryby nie krzyczał, gdy chirurg zdiera mu opatrunek z piekących ran? Z przyjemnością ofiarowania Ci mego utworu, łączy się duma, iż mogę się poszczycić twoją życzliwością dla tego, który się kreśli tutaj, jako jeden z twych szczerych wielbicieli.

de Balzac.

W r. 1792 miasteczko Issoudun posiadało lekarza nazwiskiem Rouget, który uchodził za człowieka o niedobrym charakterze. Wedle śmielszych obserwatorów, żona doktora nie była szczęśliwa w pożyciu, mimo że była to najpiękniejsza kobieta w mieście. Może była cokolwiek ograniczona. Mimo śledztwa przyjaciół, plotek ludzi obojętnych i obmowy zazdrosnych, sekretne dzieje tego małżeństwa pozostały tajemnicą. Doktor Rouget był jednym z ludzi, o których się mówi, że *lepiej im nie wchodzić w drogę*. To też póki żył, zachowywano dyskretne milczenie i uprzejme względy. Pani Rouget, z domu Descoings, dość wątła już jako panna (ta przyczyna, powiadają, skłoniła doktora do wyboru), miała najpierw syna, potem córkę, która, przypadkowo, przyszyła na świat w dziesięć lat po bracie. Córkę tej (wciąż wedle głosu opinji), doktor, mimo że lekarz, nie spodziewał się. Owa późno przybyła dziewczynka otrzymała imię Agaty. Te drobne fakty są tak proste, tak pospolite, że nic na pozór nie usprawiedliwia historyka, który je umieszcza na czele opowiadania; ale, gdybyśmy ich nie znali, bralibyśmy takiego doktora Rouget za potwora, za wyrodnego ojca, gdy on był poprostu posłuszny złym skłonnościom, jakie wielu ludzi chowa pod tą straszliwą zasadą: *człowiek powinien mieć charakter!* Ta męzka sentencja stała się źródłem niedoli wielu kobiet. Starzy Descoings, teściowie doktora, hurtownicy w wełnie, skupowali od hodowców i odprzedawali to złote runo rodzące się w Berri, ciągnąc z obu stron należną prowilję. Na tem rzemiośle zbożacili się i stali się dusigroszami: treść wielu egzystencyj. Młody Descoings, młodszy brat pani Rouget, nie spodobał sobie w Issoudun. Udał się szukać fortuny do Paryża i osiadł jako korzennik przy ulicy św. Honorjusza. To była jego

zguba. Ale cóż chcecie! Kramarza prze ku jego zajęciu siła przyciągająca, dokładnie równa sile odpychającej, jaka oddała odeń artystów. Nie dosyć zastanawiano się nad siłami społecznymi, stanowiącymi o rozmaitych zawodach. Byłoby ciekawe wiedzieć, co skłania danego człowieka, aby został papiernikiem raczej niż piekarzem, z chwilą gdy prawo nie zmusza synów, aby objęli rzemiosło ojca, jak u Egipcjan. Miłość sprzyjała powołaniu młodego Descoings. Rzekł sobie: „I ja też zostanę kupcem korzennym!“ powiadając sobie zarazem co innego na widok swej pryncypałowej, bardzo przystojnej osoby, w której rozkochał się na zabój. Wspomagany jedynie cierpliwością i nieznacznym zasiłkiem, jaki mu nadawali rodzice, zaślubił tę damę, wdowę po imię Bixiou, swoim poprzedniku. W r. 1792 Descoings miał opinię człowieka, któremu się doskonale powodzi. Starzy Descoings żyli jeszcze w tej dobie. Wyszędłszy z „wełny“, obrócili kapitały na zakupno „dóbr narodowych“: nowe złote runo! Zięć ich, mając powody przypuszczać iż przyjdzie mu niezadługo opłakiwać żonę, posłał córkę do Paryża, do szwagra, zarówno aby jej dać poznać stolicę, jak i w pewnej chytrej myśli. Descoings nie miał dzieci. Pani Descoings, o dwanaście lat starsza od męża, cieszyła się doskonałym zdrowiem; ale była tłusta jak spichlerz po żniwach. Przebiegły Rouget dostatecznie posiadał medycynę, aby przewidzieć, że państwo Descoings, sprzecznie z morałem bajek o wrózkach, będą zawsze szczęśliwi i nigdy nie będą mieli dzieci. Małżeństwo to mogło zapłonąć czułością do Agaty. Otóż, doktor Rouget chciał wydziedziczyć córkę, i rozumiał, iż najlepszą drogą do celu będzie usunąć ją z domu. Młoda ta osoba, wówczas najpiękniejsza panna w Issoudun, nie była podobna ani do ojca ani do matki. Urodzenie jej było przyczyną wieczystej zwady pomiędzy doktorem Rouget, a jego serdecznym przyjacielem, panem Lousteau, ex-wicedelegatem, który świeżo opuścił Issoudun. Kiedy jakaś rodzina przynosi swoje penaty, tubylcy kraju równie uroczego jak Issoudun mają prawo dociekać przyczyn tak niezwykłego postępku. Wedle ostrych języczków, doktor Rouget,

człowiek mściwy, miał wykrzyknąć, że Lousteau zginie tylko z jego ręki. W ustach lekarza słówko to miało wagę kuli armatniej. Kiedy Zgromadzenie narodowe zniosło wicedelegatów, Lousteau wyjechał i nie wrócił już do Issoudun. Od wyjazdu tej rodziny, pani Rouget spędzała wszystkie chwile u rodzonej siostry ex-wicedelegata, pani Hochon, chrzestnej matki Agaty, jedynej osoby której zwierzała swoje troski. To też, te skąpe wiadomości, jakie Issoudun posiadało o pięknej pani Rouget, wyszły z ust owej zacnej damy dopiero po śmierci doktora.

Pierwszem słowem pani Rouget, kiedy mąż wspomniał o wysłaniu Agaty do Paryża, było:

— Nie ujrzę już córki!

— I miała, niestety, słusznosc! dodawała czcigodna pani Hochon.

Biedna matka pożółkła jak cytryna, i stan jej nie przeczył bynajmniej szeptom tych, którzy twierdzili, iż Rouget uśmierca ją pomalutku. Charakter syna, dość tępego dryblasa, musiał tem bardziej doprowadzać do rozpaczki biedną niesłusznie oskarżoną matkę. Niedosć powściągany, może ośmielany przez ojca, chłopak ten, zresztą zupełnie głupi, nie zdradzał ani przywiązania ani szacunku jakiego syn winien jest matce. Jan Jakób Rouget podobny był do ojca, ale w gorszym wydaniu, sam zaś doktor nie przedstawiał się bardzo powabnie, ani w moralnem ani w fizycznem znaczeniu.

Przybycie ślicznej Agaty Rouget nie przyniosło szczęścia wujowi Descoings. W ciągu tygodnia, lub raczej w ciągu dekady (właśnie ogłoszono Republikę), uwięziono go na słówko Robespiera do pana Fouquier-Tinville. Descoings był na tyle nieostrożny, iż uważał panujący głód za objaw wywołany sztucznie; co większa, udzielił lekkomyślnie tych zapatrywań (sądził, że istnieje wolność myśli) swoim klientom, w czasie gdy obsługiwał ich w sklepie. Obywatelka Duplay, żona stolarza, u którego mieszkał Robespierre, a zarazem prowadząca gospodarstwo wielkiego obywatela, zaszczycła, na nie-szczęście pana Descoings, magazyn jego swymi względami. Obywa-

telka ta uznała zapatrywania korzennika za obrazę majestatu Maksymiljana I-go. Poprzednio już, niechętnie widząc pańskie tony Descoingsów, znakomita megera klubu Jakobinów uważała, iż uroda obywatelki Descoings silnie trąci arystokracją. Powtórzyła gadania korzennika, zaprawiwszy je odpowiednio, swemu dobremu i łagodnemu panu. Kupca uwięziono pod pospolitym zarzutem zatajania środków żywności. Skoro Descoings znalazł się w więzieniu, małżonka jego poczęła się krzątać, aby uzyskać uwolnienie; ale zabiegi jej były tak niezręczne, że obserwator, któryby słyszał jak starała się wpłynąć na sędziów, mógłby myśleć, że dama ta chce w przyzwoity sposób pozbyć się męża. Pani Descoings znała pana Bridau, jednego z sekretarzy Rolanda, ministra spraw wewnętrznych, prawe ramię wszystkich, którzy następowali po sobie w tem ministerstwie. Poruszyła tedy jego, aby ocalić kupca. Nieskazitelny sekretarz ministerjum, jeden z owych poczcwiwców, którzy zawsze mierzą drugich miarą własnej bezinteresowności, nie ważył się przekupować tych, od których zależał los Descoingsa: próbował ich oświecić! Oświecić ludzi owego czasu, to wychodziło na jedno, co prosić, aby przywrócili Burbonów. Minister-żyrondyista, który walczył wówczas przeciw Robespierrowi, rzekł do sekretarza:

— Po kiego licha się w to mieszasz?

Wszyscy, których prezydjalista obszedł, powtórzyli mu to bezlitosne zdanie: „Po kiego licha się w to mieszasz?“ Bridau poradził roztropnie pani Descoings, aby się zachowywała spokojnie; ale ta, miast zjednać sobie sympatję gospodyni Robespierre'a, ziała ogniem i nienawiścią przeciw delatorce; pozatem udała się do jednego z członków Konwentu, który drżał o własną skórę, ale który ją zapewnił:

— Pogadam z Robespierrem.

Piękna kupczyni zaspokoila się obietnicą, protektor zaś zachował oczywiście najgłębsze milczenie. Parę głów cukru, kilka flaszek dobrego likieru przesłane obywatelce Duplay, byłyby ocaliły Descoingsa. To drobne wydarzenie świadczy, iż, w czasie rewolucji,

równie niebezpiecznie jest szukać ocalenia w pomocy uczciwych ludzi jak łajdaków; należy liczyć jedynie na siebie. Descoings zginął, ale dostąpił w zamian tej chwały, iż szedł na rusztowanie w towarzystwie Andrzeja Chénier. Tam to, bez wątpienia, Sklep i Poezja uścisnęły się po raz pierwszy osobiście, i wówczas bowiem i zawsze łączyły je i będą łączyć z sobą stosunki pokątne. Śmierć Descoingsa wywarła o wiele większe wrażenie niż śmierć Andrzeja Chénier. Trzeba było trzydziestu lat, zanim poznano, iż Francja więcej straciła na śmierci Chéniera niż na śmierci Descoingsa. Postępek Robespierre'a miał to dobrego, iż, aż do 1830, kupcy korzenni, przerażeni, nie mieszały się do polityki. Sklep Descoingsa był o sto kroków od domu Robespierre'a. Następcy korzennika szło bardzo nieszczerłownie. Cezar Birotteau ¹⁾, słynny olejkarz, zajął jego miejsce. Ale, jakgdyby rusztowanie zaszczepiło tam jakąś niewytłumaczoną zarazę nieszczęścia, wynalazca *Dubeltowej maści sultańskiej* oraz *Wody młodości* również zbankrutował. Rozwiązanie tego problemu wkra-
cza w dziedzinę nauk okultystycznych.

W czasie kilku wizyt, jakie szef ministerjalnego biura złożył żonie nieszczęśliwego Descoings, uderzyła go spokojna, chłodna, czysta uroda Agaty Rouget. Bridau zachodził pocieszać wdowę, która posunęła żałosc do tego stopnia, że nie miała serca prowadzić handlu drogiego nieboszczyka; wreszcie, w ciągu dekady, zaślubił śliczną pannę, ledwie doczekawszy się przyjazdu ojca. Lekarz, uszczęśliwiony iż rzeczy idą pomyślnie ponad wszelkie życzenia (ile że żona jego stała się jedyną spadkobierczynią Descoingsów), pośpieszył do Paryża, nietylę aby być obecnym na ślubie Agaty, co aby dopilnować kontraktu. Bezinteresowna miłość obywatela Bridau zostawiła pole machinacjom lekarza, który wyzyskał zaślepienie zięcia, jak to wykaże ciąg dalszy. Pani Rouget, lub, mówiąc ściślej, doktor, odziedziczył zatem cały ruchomy i nieruchomy majątek starych Descoings, którzy pomarli w odstępie dwóch lat po sobie. Rouget uporał

¹⁾ Wielkość i upadek Cezara Birotteau.

się wreszcie z żoną; zesła ze świata z początkiem 1799. Doktor posiadał winnice, skupował folwarki, nabywał huty, handlował wełną! Ukochany synek nie umiał robić nic, ale, ponieważ ojciec przeznaczał go do stanu *właściciela*, dał mu rosnąć w dostatku i głupocie, pewien iż dziecię to zawsze będzie umiało tyle co i najwięksi mędracy, to jest żyć i umrzeć. W r. 1799, kalkulatorzy Issoudun liczyli starego Rouget na trzydzieści tysięcy renty. Po śmierci żony doktor prowadził wciąż życie dość rozwiązłe; ale uregulował je niejako, i ograniczył do zacisza domowego. Lekarz ten, człowiek z jednej sztuki, umarł w 1805. Bóg sam wie, ile mieszczaństwo Issoudun nagadało się na rachunek tego człowieka, ile anegdota krążyło o jego rozpuście! Jan Jakób Rouget, którego ojciec, poznawszy jego tępotę, ujął w końcu w ściśle karby, został kawalerem; a to dla ważnych przyczyn, których wyłuszczenie stanowi doniosłą część tego opowiadania. Beźżeństwo jego wynikło po części z winy doktora, jak się okaże niebawem.

A teraz, trzeba nam rozpatrzeć skutki zemsty dokonanej przez ojca na córce, której nie uważał za swoją, a która, możecie mi wierzyć, była jego prawą własnością. Nikt w Issoudun nie zauważył jednego z owych dziwnych przypadków, czyniących ze sprawy płodzenia otchłań w której nauka się gubi. Agata podobna była do matki doktora Rouget. Tak samo, jak, wedle pospolitego spostrzeżenia, podagra przeskakuje pokolenie i idzie z dziadka na wnuka, tak samo spotyka się podobieństwa, przenoszące się w tym samym porządku.

I tak, starszy z synów Agaty, fizycznie podobny do matki, wziął całą moralną stronę po dziadku, doktorze Rouget. Zostawmy rozwiązanie tego problemu XX-mu wiekowi, wraz z piękną nomenklaturą mikroskopijnych żyjatek, a wnuki nasze napiszą może tyleż bredni, ile nasze uczone ciała napisały ich już w tej ciemnej kwestji. Agata Rouget ściągała na siebie powszechny podziw jedną z owych twarzy, przeznaczonych, jak twarz Marji, matki Zbawiciela, aby zawsze zostały dziewicze, nawet po zamęściu. Portret jej, który

istnieje jeszcze w pracowni Józefa Bridau, posiada doskonały owal, nieskażoną białość bez najmniejszego piegu, mimo złocistych włosów. Niejeden artysta, oglądając to czyste czoło, wstydlive usta, delikatny nos, ładne uszy, długie rzęsy i ciemno błękitne oczy o niezmierzonej czułości, słowem tę twarz oddychającą spokojem, pyta dziś naszego wielkiego malarza: „Czy to kopja głowy Rafaela?“ Nigdy chyba żaden człowiek nie działał pod szczęśliwszem natchnieniem, co szef biura ministerjalnego, gdy zaślubiał tę dziewczynę. Agata urzeczywistniała ideał gospodyni domu, osoby wychowanej na prowincji i która nigdy nie opuściła matki. Pobożna bez dewocji, nie posiadała wykształcenia prócz tego, którego kobietom udziela Kościół. To też była doskonałą małżonką w pospolitem rozumieniu, jej bowiem nieświadomość życia stała się przyczyną niejednego nieszczęścia. Nagrobek słynnej Rzymianki: *Przędła len i strzegła domu*, cudownie maluję tę czystą, prostą i spokojną egzystencję. Od Konsulatu, Bridau przywiązał się fanatycznie do Napoleona, który mianował go szefem sekcji w r. 1804, na rok przed śmiercią Rougeta. Posiadając dwanaście tysięcy franków pensji i piękne gratyfikacje, Bridau obojętnie patrzył na haniebny wynik likwidacji dokonanej w Issoudun, wskutek której Agacie nie dostało się nic. Na pół roku przed śmiercią, ojciec Rouget sprzedał synowi część dóbr, których resztę przyznano również Janowi Jakóbowi, tak tytułem dobrowolnej darowizny, co prawem dziedzictwa. Sto tysięcy przyznane Agacie w kontrakcie ślubnym, przedstawiało cały jej udział w dziedzictwie rodziców. Bałwochwalczo ubóstwiający cesarza Bridau wspierał ze ślepem oddaniem potężne koncepcje nowożytnego półboga, który, zastawszy we Francji wszystko zniszczone, wszystko chciał stworzyć na nowo. Nigdy szef sekcji nie powiedział: „Dosyć“. Projekty, memorjały, raporty, studja, przyjmował wszystko, choćby największe ciężary, tak był szczęśliwy iż może pomagać cesarzowi. Kochał go jako człowieka, ubóstwiał jako monarchę, nie znosił najmniejszej krytyki jego postępów lub zamiarów. Od 1804 do 1808, szef sekcji zajmował piękny apartament na Quai

Voltaire, o dwa kroki od ministerjum i Tuilleryj. Kucharka i jeden służący stanowili cały personel w czasach świetności pani Bridau. Agata, zawsze pierwsza na nogach, spieszyła do Hal w towarzystwie kucharki. Gdy służący sprzątał, ona pilnowała śniadania. Bridau nie wychodził nigdy do biura przed jedenastą. Przez cały czas małżeństwa, Agata znajdowała zawsze jednaką radość w tem, aby mu zgotować wyborne śniadanie, jedyny posiłek, jaki Bridau spożywał z przyjemnością. Bez względu na porę roku i pogodę, zawsze, gdy opuszczał dom, Agata wyglądała oknem za mężem idącym do biura i cofała głowę dopiero gdy skręcił w ulicę du Bac. Wówczas sprzątała sama, okiem gospodyni lustrowała mieszkanie, następnie ubierała się, bawiła z dziećmi, prowadziła je na spacer lub przyjmowała wizyty oczekując powrotu męża. Kiedy szef sekcji przynosił do domu pilne prace, sadowiła się koło stołu w jego gabinecie, niema jak statua, z robótką w ręku, patrząc nań jak pracuje, czuwając jak długo on czuwał, idąc do łóżka na kilka chwil przed nim. Niekiedy, małżeństwo udawało się do teatru do jednej z łóż ministerstwa. W te dni jadali w restauracji, i ta zabawa, poprzedzona obiadem na mieście, sprawiała zawsze pani Bridau przyjemność właściwą osobom żyjącym zdała od wiru Paryża. Zmuszona często przyjmować wystawne obiady, jakie dawano dla szefa sekcji prowadzącego część agend ministerstwa spraw wewnętrznych — które to obiady Bridau odwzajemniał w sposób nader przyzwoity — Agata musiała się dostrajać do panującego wówczas zbytku; ale opuszczała z radością te ceremonjalne przepychy, wracając w domu do prowincjonalnej prostoty. Raz na tydzień, we czwartek, Bridau przyjmował przyjaciół. Wreszcie, co rok, dawał wielki bal w tłusty wtorek. W tych niewielu słowach mieści się cała historia życia, które miało tylko trzy wielkie wydarzenia: przyjsie na świat dwóch synów, urodzonych w trzechletnim odstępnie, i śmierć pana Bridau, który umarł, zabity pracą i czuwaniem, w chwili gdy cesarz miał go mianować generalnym dyrektorem, hrabią i radcą Stanu. W tym czasie, Napoleon oddał się szczególnie sprawom wewnętrznym; przywalił wier-

nego Bridau pracą i do reszty zrujnował zdrowie niezmordowanego biuralisty. Napoleon, którego Bridau nigdy o nic nie prosił, wywieział się o jego tryb życia i stosunki majątkowe. Dowiedziawszy się, że ten oddany mu człowiek nie posiada nic prócz swej posady, poznał w nim jedną z owych dusz nieprzedajnych, które podnosiły, umoralniały jego rządy, i chciał go zaskoczyć wspaniałą nagrodą. Chęć ukończenia olbrzymiej pracy przed wyjazdem cesarza do Hiszpanji zabiła szefa sekcji, który umarł z jakiejś gorączki zapalnej. Za powrotem, cesarz, który przybył do Paryża aby w kilka dni przygotować kampanję r. 1809, rzekł, dowiadując się o tej stracie: „Są ludzie nie do zastąpienia“. Uderzony tem poświęceniem, nie podsycanem nadzieją świetnych odznaczeń chowanych dla żołnierzy, cesarz postanowił stworzyć order połączony z sową pensją dla zasług cywilnych, tak jak stworzył Legję honorową dla wojskowych. Wrażenie, jakie sprawiła na nim śmierć Bridau, zrodziło w nim projekt *orderu Zjednoczenia*; ale nie miał czasu dokończyć tej arystokratycznej kreacji, której wspomnienie zatarło się tak gruntownie, że, słysząc nazwę tego krótkotrwałego orderu, większość czytelników zapyta, jaka była jego oznaka: otóż, nosiło się go na niebieskiej wstążeczce. Cesarz nazwał ten order *orderem Zjednoczenia*, w myśli zlania Złotego Runa hiszpańskiego ze Złotem Runem austriackim. „Opatrzność, rzekł pewien pruski dyplomata, nie dopuściła tej profanacji“. Cesarz kazał sobie zdać sprawę z położenia pani Bridau. Obaj chłopcy otrzymali pełną pensję w liceum cesarskiem; cesarz pokrywał wszystkie koszta ze swej prywatnej szkatuły. Następnie, wyznaczył pani Bridau pensję czterech tysięcy franków, zapewne z myślą czuwania nad losem jej synów. Od zamęścia aż do śmierci męża, pani Bridau nie utrzymywała żadnych stosunków z Issoudun. Spodziewała się właśnie drugiego dziecka, kiedy straciła matkę. Gdy ojciec, o którym wiedziała że jej nie lubi, umarł, gotowała się koronacja cesarza; przygotowania wkładały na pana Bridau tyle pracy, iż Agata nie chciała opuścić męża. Jan Jakób Rouget, brat pani Bridau, nie napisał do niej ni słowa od czasu jej

wyjazdu z Issoudun. Gryząc się niekiedy tym milczącym ostracyzmem rodziny, Agata doszła wreszcie do tego, iż bardzo rzadko myślała o tych którzy się jej wyrzekli. Odbierała co roku list od chrześnej matki, pani Hochon, której odpowiadała zdawkowo, nie zwracając uwagi na rady, jakich zacna ta i bogobojna kobieta udzielała jej w oględnych słowach. Na jakiś czas przed śmiercią doktora Rouget, pani Hochon napisała do chrześniaczki, że nie dostanie się jej nic, jeżeli nie przyśle pełnomocnictwa panu Hochon. Agata nie mogła się oswoić z myślą o prawowaniu się z bratem. Czy to że Bridau sądził że grabież taka zgodna jest z prawem i obyczajami prowincji Berri, czy że ten czysty i sprawiedliwy człowiek podzielał wielkoduszność i obojętność żony w kwestjach materialnych, dość że nie chciał posłuchać p. Roguin, swego rejenta, który radził mu skorzystać ze swej pozycji dla obalenia aktów, któremi ojciec zdołał pozabawić córkę jej dziedzictwa. Małżonkowie uznali tedy fakty zasze w Issoudun. Mimo to, przy tej sposobności, Roguin obudził w szefie sekcji niejaką troskę o zachwiane interesa żony. Szlachetny ten człowiek uświadomił sobie, iż, gdyby umarł, Agata znalazłaby się bez majątku. Postanowił tedy zbadać stan swoich interesów; okazało się, iż, od 1793 do 1805, oboje z żoną zmuszeni byli wydać około trzydziestu tysięcy franków z rzeczywistych pięćdziesięciu tysięcy jakie stary Rouget dał był córce: umieścił tedy pozostałe dwadzieścia tysięcy na *Wielkiej Księdze*. Papier ten stał wówczas na czterdzieści. Agata miała tedy około dwóch tysięcy renty w pożyczce państwowej. Zostawszy wdową, przy sześciu tysiącach franków rocznie, pani Bridau mogła żyć bardzo przyzwoicie. Zawsze czując się w duszy mieszkanką prowincji, chciała odprawić lokaja, zatrzymać jedynie kucharkę i zmienić mieszkanie; ale jej serdeczna przyjaciółka, która wytrwale nazywała się jej ciotką, pani Descoings, sprzedała meble, opuściła swój apartament i zamieszkała z Agatą, zmieniając gabinet nieboszczyka na sypialnię. Dwie wdowy połączyły swoje dochody, stając się w ten sposób paniami dwunastu tysięcy renty. Postanowienie to zdawało się proste i naturalne. Ale

nie w życiu nie wymaga więcej rozwagi, niż rzeczy które zdają się naturalne: przed nadzwyczajnościami mają się ludzie dosyć na baczności. Toteż, przypatrzcie się ludziom doświadczonej: ujrzycie jak adwokaci, sędziowie, lekarze, księża, przywiązują olbrzymie znaczenie do rzeczy prostych: wydaje się to drobiazgowością. Wąż pod kwieciami, to jeden z najpiękniejszych mitów, jakie starożytność przekazała nam jako przestrożę w kierowaniu naszymi sprawami. Ileżto razy, aby usprawiedliwić się we własnych i cudzych oczach, głupcy wykrzykują:

— To było tak proste, że każdyby się złapał!

W r. 1809, pani Descoings, która nie przyznawała się do swego wieku, miała sześćdziesiąt pięć lat. Znana w swoim czasie pod mianem „pięknej kupcowej“, należała do tych rzadkich kobiet które czas szanuje. Doskonałej swej konstytucji zawdzięczała przywilej zachowanej do późna piękności, która wszakże nie wytrzymywała ściślejszego badania. Średniego wzrostu, pulchna, świeża, miała ładne ramiona, lekko rumianą cerę. Włosy blond z odcieniem kasztanowatym, nie okazywały, mimo tragicznej katastrofy męża, najłżejszej odmiany. Wielka łakotnisią, lubiła sobie przyrządzać przednie śniadanka, ale, mimo iż wiele uwagi poświęcała kuchni, ubóstwiała również teatr, oraz hodowała namiętność którą otaczała najgłębszą tajemnicą: stawiała na loterji! Nie byłaż to otchłań, którą mitologia przekazała nam w beczie Danaid? Stara Descoings — mamy prawo nazywać tak kobietę grającą na loterji! — wydawała może nadto na stroje i gotownię, jak wszystkie kobiety które długo zachowały młodość, ale, poza temi drobnymi wadami, była to najmilsza w pożyciu osoba. Zawsze w zgodzie z całym światem, nieprzeciwiająca się nikomu, ujmowała wszystkich pogodną i udzielającą się wesołością. Posiadała zwłaszcza isticie paryzki przymiot, który zachwyca emerytów i kupców wycofanych z interesu: rozumiała się na żartach!...

Jeżeli nie wydała się za mąż po raz trzeci, była to zapewne wina epoki. Podczas wojen Cesarstwa, kandydaci do małżeństwa

zbyt łatwo znajdowali młode, ładne i bogate dziewczęta, aby się zajmować sześćdziesięciolatkami. Pani Descoings chciała rozerwać panią Bridau, wyciągała ją często do teatru, ba, dorożką, przyrządzała jej doskonałe obiadki, chciała ją nawet wyswatać z synem swoim Bixiou. Niestety! wyznała jej straszliwy sekret, głęboko chowany przez nią, przez nieboszczyka Descoings i przez ich rejenta. Młoda, elegancka Descoings, która przyznawała się do trzydziestu sześciu lat, miała syna trzydziestopięcioletniego, nazwiskiem Bixiou, już wdowca, majora w 21-szym linjowym, który zginął jako pułkownik pod Drezdnem, zostawiając jedynaka. Stara Descoings, która wnuka widywała jedynie ukradkiem, podawała go za syna pierwszej żony męża. Zwierzenie to podyktowała jej roztropność: syn pułkownika wychowywał się, z dwoma młodymi Bridau, w liceum cesarskiem, umieszczony tam na pół pensji. Chłopiec ten, sprytny i złośliwy już w liceum, wyrobił sobie później reputację jako karykaturzysty¹⁾ i jako człowiek niezwykle dowcipny. Agata nic tak nie kochała na świecie jak swoje dzieci; chciała żyć już tylko dla nich: i z rozsądku tedy i przez wierność odrzuciła myśl powtórnego zamęścia. Ale łatwiej jest kobiecie być dobrą żoną niż dobrą matką. Wdowa ma dwa zadania, których obowiązki sprzeciwiają się sobie wzajem: jest matką, a ma wykonywać władzę ojcowską. Mało jest kobiet dość silnych, aby zrozumieć i wypełnić tę podwójną rolę. Toteż biedna Agata, mimo swoich cnót, stała się niewinną przyczyną wielu nieszczęść. Wskutek niezbyt rozwiniętego umysłu, oraz ufności do jakiej nawykły szlachetne dusze, Agata padła ofiarą pani Descoings, która pogrążyła ją w straszliwe nieszczęście. Stara Descoings pilnie hodowała *terno*, loterja zaś nie daje kredytu klientom. Objąwszy gospodarstwo mogła obracać na swoje stawki pieniądze przeznaczone na dom, który wpędziła stopniowo w długi, w nadziei zdobycia bogactw dla wnuczka Bixiou, dla drogiej Agaty i małych *Brydzątek*. Skoro długi doszły dziesięciu tysięcy, zaczęła stawiać coraz wyżej,

1) *Stracone złudzenia, Córka Ewy, Bank Nucingena, etc.*

w nadziei że jej ulubione terno, które nie wyszło od dziewięciu lat, zapełni przepaść deficytu. Od tego czasu, dług począł wzrastać szybko. Doszedłszy dwudziestu tysięcy, stara Descoings straciła głowę, a nie wygrała terna. Chciała zaciągnąć pożyczkę na swój majątek, aby spłacić siostrzenicę; ale rejent wytłómaczył jej niemożliwość tego uczciwego zamiaru. Nieboszczyk Rouget, po śmierci szwagra Descoings, przejął jego dziedzictwo, spłacając panią Descoings dożywociem, które ciążyło na majątku Jana Jakóba Rouget. Żaden lichwiarz nie pożyczyłby dwudziestu tysięcy franków kobiecie sześćdziesięcioletniej, na dożywocie, wynoszące około czterech tysięcy franków, w epoce w której lokata dziesięcioprocentowa była czemś niezmiernie łatwym. Pewnego rana, stara Descoings rzuciła się do nóg siostrzenicy i, wśród łkania, wyznała jej stan rzeczy. Pani Bridau nie uczyniła jej żadnej wymówki, odprawiła służącego i kucharkę, sprzedała zbyteczne ruchomości, sprzedała trzy czwarte swej renty na Wielkiej Księdze, spłaciła wszystko i przeprowadziła się.

Jednym z najstraszniejszych kątów Paryża jest z pewnością ulica Mazarin, począwszy od ulicy Guénégaud aż do punktu gdzie schodzi się z ulicą de Seine, za pałacem Instytutu. Wysokie szare mury collegium i biblioteki które kardynał Mazarin ofiarował miastu i gdzie miała się osiedlić Akademia francuska, rzucają lodowate cienie na ten zakątek; słońce pojawia się tam rzadko, wiatr północny wieje chłodem. Biedna zrujnowana wdowa zamieszkała na trzecim piętrze domu położonego w tym wilgotnym, ciemnym i zimnym kącie. Naprzeciw tego domu wznoszą się budowle Instytutu, gdzie mieściły się wówczas klatki dzikich zwierząt, znanych mieszczuchom pod nazwą artystów, w pracowniach zaś pod nazwą „knociarzy“. Wchodziło się jako „knociarz“, można było wyjść rządowym stypendystą w Rzymie. Operacja ta nie obydwała się bez nadzwyczajnych hałasów w epokach, kiedy współzawodników zamykano do klatek. Aby wyjść laureatem, trzeba było, w oznaczonym czasie, wykonać, jeśli kto był rzeźbiarzem, model posążku w glinie, jeśli malarzem, jeden z obrazów które możecie oglądać w Szkole sztuk pięknych; jeśli muzy-

kiem, kantatę; jeśli architektem, projekt pomnika. W chwili gdy piszę te słowa, menażerję tę przeniesiono z owych ciemnych i zimnych budowli do wytwornego pałacu sztuk pięknych, o kilka kroków stamtąd. Z okien pani Bridau, oko wnikało w te zakratowane łoże, przedstawiające widok niezmiernie smutny. Na północ, zamyka horyzont kopała Instytutu. Biegąc ulicą, oko ma za całe wychnienie sznur dorożek, wystających w górnej części ulicy Mazarin. Toteż wdowa umieściła niebawem na oknach trzy skrzynie pełne ziemi, gdzie założyła wiszący ogródek, jeden z tych które urągają przepisom policji i których wybujałości tamują przystęp światłu i powietrzu. Dom ten, stykający się z innym domem, wychodzącym na ulicę Sekwany, był, z konieczności, dość płytki, o kręconych schodach. To trzecie piętro było ostatniem. Trzy okna, trzy pokoje: jadalnia, salonik, sypialnia; naprzeciwko, po drugiej stronie sieni, kuchenka; powyżej, na poddaszu, dwa pokoje kawalerskie i ogromny strych bez przeznaczenia. Pani Bridau wybrała to mieszkanie dla trzech przyczyn; skromna cena: kosztowało czterysta franków; toteż podpisała najem na dziewięć lat; bliskość kolegjum: było niedaleko od cesarskiego liceum; wreszcie, zostawała w dzielnicy w której się czuła u siebie. Wnętrze mieszkania było w harmonji z domem. Jadalnia, obita tanim żółtym papierem w zielone kwiatki, z ciemno malowaną niezapuszczoną podłogą, miała jedynie najpotrzebniejsze sprzęty: stół, dwie szafy, sześć krzeseł, pozostałość dawnego urzędzenia. Salon zdobny był dywanem, ofiarowanym panu Bridau z okazji przemeblowania ministerjum. Wdowa zapełniła salon owemi pospolitymi mahoniami o egipskich głowach, wyrabianemi wówczas masowo: pokryte były zielonym jedwabiem w białe bukiety. Nad kanapą, portret pana Bridau, pastel wykonany przyjacielską ręką, uderzał natychmiast. Mimo że kunszt malarza z trudnością wytrzymałby zarzuty krytyki, fizjognomja dobrze wydatniała nieugięty charakter nieznanego wielkiego obywatela. Pogoda oczu, łagodnych i dumnych zarazem, wybornie była oddana. Rozum, o którym świadczyły mądre usta, oraz serdeczny uśmiech,

słowem wyraz tego człowieka, o którym cesarz mawiał: *Justum et tenacem*, pochwycony był, jeżeli nie z talentem, to w każdym razie wiernie. Patrząc na ten portret, widziało się, że był to człowiek, który zawsze spełnił swój obowiązek. Oblicze jego wyrażało tę nieprzedajność, którą tradycja przypisuje wielu pracownikom Republiki.

Nad stolikiem do kart, również na widocznym miejscu, błyszczała kopja portretu cesarza, pendzla Verneta, przedstawiająca Napoleona pędzącego na koniu, na czele świty. Agata pozwoliła sobie na zbytek, wieszając na ścianie dwie wielkie klatki: jedną pełną kanarków, drugą papużek. Pogrzyżyła się w tem dziecinnem upodobaniu od czasu straty jaką poniosła, niepowetowanej dla niej jak i dla wielu. Taki był salon; co się tyczy pokoju wdowy, stał się on, po trzech miesiącach, tem, czem miał być aż do złowrogiego dnia w którym musiała go opuścić: garusem, którego żaden opis nie zdoła doprowadzić do ładu. Koty miały tam swoje siedziby po kanapach; kanarki, wypuszczane niekiedy na wolność, zostawiały ślady na wszystkich meblach. Pocziwa wdowa sypała im wszędzie proso i mokrzycę. Koty znajdowały dla siebie łakocie na poszczerbionych spodkach. Części garderoby walały się wszędzie. Pokój ten czuć było prowincją i wiernością. Wszystko co niegdyś należało do nieboszyczka Bridau, było starannie przechowane. Sprzęty z jego biurka pielęgnowano z pieczołowitością, jaką niegdyś wdowa po rycerzu otaczała jego broń. Każdy rozumie wzruszający kult tej kobiety z jednego szczegółu. Zawinęła, opieczętowała pióro i położyła na kopercie ten napis: „Ostatnie pióro, którem posługiwał się mój ukochany mąż“. Filiżanka, z której wypił ostatni łyk, znajdowała się pod szkłem na kominku. Czepeczki i fałszywe warkocze królowały później na kloszach szklanych, okrywających te szanowne relikwje. Od śmierci pana Bridau, nie spostrzegłoby się u tej młodej trzydziesto-pięcioletniej wdowy śladu zalotności ani kobiecej dbałości o siebie. Rozłączona z jedynym człowiekiem którego znała, szanowała, kochała, który nie sprawił jej najmniejszego zmartwienia, nie czuła się

już kobietą, wszystko jej było obojętne; przestała się ubierać. Niepodobna sobie wyobrazić czegoś bardziej prostego i zupełnego, niż ta rezygnacja z małżeńskiego szczęścia i chęci podobania się. Pewnym istotom miłość daje siłę przenoszenia swego ja w drugą osobę; kiedy jej zbraknie, życie staje się niemożliwe. Agata, która mogła już istnieć jedynie dla dzieci, trapiła się, widząc na ile wyrzeczeń skazuje je ruina. Od czasu przeniesienia się na ulicę Mazarin, fizjognomja jej nabrała wyrazu melancholji, mającej coś wzruszającego. Liczyła wprawdzie nieco na cesarza, ale cesarz nie mógł zrobić nic nad to co czynił w tej chwili: ze szkatuły jego wypłacano corocznie, poza pensją, sześćset franków na każde dziecko.

Co się tyczy świetnej Descoings, zajęła ona na drugim piętrze mieszkancko podobne do mieszkania siostrzenicy. Wystawiła pani Bridau cesję na tysiąc talarów rocznie z dożywocia. Rejent Roguin uregulował prawa pani Bridau w tej mierze, ale trzeba było około siedmiu lat, aby ten powolny zwrot naprawił wyrządzoną szkodę. Roguin, któremu zlecono uzupełnić naruszone tysiąc pięćset franków renty, kapitalizował sumy uzyskane w ten sposób. Stara Descoings, uszczuplona do tysiąca dwustu franków, żyła oszczędnie wraz z siostrzenicą. Te dwie uczciwe ale słabe istoty przyjęły, jedynie na rano, kobietę do posługi. Stara Descoings, która lubiła pitracić, przyrządzała obiad. Wieczorem, paru przyjaciół, urzędników ministerstwa, mianowanych niegdyś na instancję pana Bridau, przychodziło na partyjkę z dwiema wdowami. Stara Descoings hodowała ciągle swoje terno, które zaciekło się, jak twierdziła, w tem aby nie wychodzić. Spodziewała się, jednym zamachem, odzyskać przymusową pożyczkę, zacerpiętą u siostrzenicy. Kochała dwóch małych Bridau więcej niż własnego wnuka, tak bardzo miała poczucie swej winy względem nich i tak bardzo podziwiała dobroć siostrzenicy, która, w najcięższych przejściach, nie uczyniła jej najmniejszego wyrzutu. To pewna, iż Józef i Filip byli pieszczołami starej Descoings. Podobna wszystkim osobom potrzebującym pobłażania u ludzi dla jakiegoś nałogu, stara klientka loterji przekarmiała chłop-

ców smakolykami. Później, Józef i Filip mogli z łatwością wyciągnąć jej z kieszeni drobne sumki: młodszy na kredki, ołówki, papier, sztychy; starszy na jabłka w cieście, na gumelastykę, postronki i noże. Namiętność starej doprowadziła ją do tego, iż zadowalała się na wszystkie potrzeby pięćdziesięcioma frankami na miesiąc, aby móc *stawiać* resztę.

Ze swej strony, pani Bridau, przez miłość macierzyńską, nie pozwalając rubryce wydatków wznieść się do znaczniejszej kwoty. Aby się ukarać za swą łatwowierność, obcinała sobie heroicznie drobne przyjemności. Jak u wielu ludzi lękliwych i ograniczonych, zawód życiowy i obudzona nieufność rozwinęły w niej tak bogato jedną przywarę, iż nabierała charakteru cnoty. Cesarz może zapomnieć, powiadała sobie, może zginąć w bitwie, pensja skończy się z jej życiem. Drżała na myśl o zostawieniu dzieci bez żadnego majątku. Niezdolna zrozumieć obliczeń Roguina, kiedy starał się wytłumaczyć, że, w ciągu siedmiu lat, kwota ściągana z dożywocia pani Descoings wróci jej sprzedaną rentę, nie wierzyła ani rejentowi, ani ciotce, ani rządowi; liczyła tylko na siebie i swoje oszczędności. Odkładając co roku tysiąc talarów, mogła mieć trzydzieści tysięcy franków po upływie dziesięciu lat, co stanowiłoby już pięćset franków renty dla jednego z synów. W trzydziestu sześciu latach miała, ostatecznie, prawo liczyć, że pożyje jeszcze lat dwadzieścia; zatem, wedle tego systemu, mogłaby każde z dzieci zaopatrzyć bodaj w najniezbędniejsze środki. Tak więc, obie wdowy przeszły z fałszywego dostatku do dobrowolnej nędzy: jedna pod naporem złego nałogu, druga pod sztandarem najdoskonalszej cnoty. Żaden z tych tak drobnych szczegółów nie jest obojętny dla głębokiej nauki, jaka wyłoni się z tej historii, zaczerpniętej w najpospolitszych sprawach życia, ale której doniosłość stanie się może przez to tem szersza.

Widok pracowni, uganianie młodych po ulicy, konieczność spoglądania w niebo aby się pocieszyć po smutnych perspektywach jakże okalają ten zawsze wilgotny ką, widok tego portretu jeszcze pełnego duszy i wielkości mimo amatorskiego pendzla, gra bogatych

ale poblakłych i harmonijnych kolorów łagodnego i spokojnego wnętrza, wegetacja „powietrznych ogrodów“, ubóstwo tego gospodarstwa, sympatje matki dające pierwszeństwo starszemu synowi, opozycja jej wobec upodobań młodszego, wreszcie całokształt faktów i okoliczności stanowiących wstęp do tej historii, zawierają może przyczyny, którym zawdzięczamy Józefa Bridau, jednego z wielkich malarzy dzisiejszej *szkoły francuskiej*.

Filip, starszy, uderzająco podobny był do matki. Mimo iż był to dzieciak o włosach blond i niebieskich oczach, miał na twarzy wyraz zuchwalstwa, które łatwo można było wziąć za żywość, za odwagę. Stary Claparon, który wstąpił do ministerstwa w tym czasie co Bridau, jeden z wiernych przyjaciół zachodzących co wieczór na partyjkę z wdowami, powiadał parę razy na miesiąc, dając Filipowi lekkiego klapsa po twarzy:

— Ten chłopak da sobie rady!

Dziecko, podsycane takimi uwagami, stało się, przez fanfaronadę, aż nadto rezolutne. Raz pchnięty w tym kierunku, Filip nabrał zręczności we wszystkich ćwiczeniach fizycznych. W ciągłych bójkach z kolegami nabył tej śmiałości i wzgardy dla bólu, które rodzą dzielność żołnierską; ale, równocześnie, nabrał wstrętu do nauki, wychowanie bowiem publiczne nie rozwiąże nigdy trudnego problemu równoczesnego kształcenia ciała i umysłu. Agata, ze swego czysto fizycznego podobieństwa z Filipem, wnioskuje o zgodności moralnej, i wierzyła niezłomnie, iż kiedyś odnajdzie w nim swoją delikatność uczuć, pomnożoną hartem mężczyzny. Filip miał piętnaście lat gdy matka osiedliła się w smutnem mieszkaniu przy ulicy Mazarin. Wdzięk jego, właściwy dzieciom w tym wieku, potwierdzał jeszcze te macierzyńskie wierzenia. Józef, o trzy lata młodszy, podobny był do ojca, ale w ujemnem znaczeniu. Przedewszystkiem, jego obfita czarna czupryna była zawsze, mimo wszelkich starań, rozczochrana, gdy, przy całej żywości, brat jego był zawsze schludny. Następnie, niewiadomo przez jaką fatalność, ale fatalność zbyt częsta staje się nałogiem, Józef nie mógł uchować żadnego ubrania czy-

sto: odziany w nowe suknie, natychmiast robił z nich stare łachy. Starszy, przez próżność, dbał o swoje rzeczy. Nieznaczenie, matka przyzwyczaiła się łąjać Józefa i dawać mu brata za przykład. Agata niezawsze tedy miała jedną twarz dla obu synów; kiedy szła po nich do liceum, powiadała w duchu o Józefie:

— Co on znów pourządza ze swemi rzeczami!

Te drobiazgi spychały jej serce w przepaść macierzyńskiej nierówności. Nikt wśród aż nadto pospolitych istot, które stanowiły towarzystwo obu wdów; ani stary du Bruel, ani Claparon, ani ojciec Desroches, ani nawet ksiądz Loraux, spowiednik Agaty, nie zauważył skłonności Józefa do obserwacji. Opanowany swą pasją, przyszły kolorysta nie zwracał uwagi na nic; w dzieciństwie, usposobienie to tak bardzo było podobne do tępoty, że ojciec niespokojny był o niego. Nadzwyczajna pojemność czaszki, szerokość czoła, budziły zrazu obawę czy dziecko nie cierpi na wodogłowie. Twarz jego jakby pomięta, wymęczona, której oryginalność może uchodzić za brzydotę w oczach ludzi nie znających wartości fizjognomij, miała za młodu wyraz dość odpychający. Rysy, które później rozwinęły się, zdawały się kurczowo ściągnięte; głęboka zaś uwaga z jaką dziecko obserwowało otaczające przedmioty, napinała je jeszcze. Filip głaskał tedy wszystkie próżności matki, gdy Józef nie zyskał jej nigdy najłżejszego powinszowania. Filipowi zdarzały się owe szczęśliwe słówka, owe odpowiedzi, które każą rodzicom wierzyć że ich dzieci będą wybitnymi ludźmi, gdy Józef był zwykle milczący i zamysłony. Matka spodziewała się cudów po Filipie, nie liczyła zupełnie na Józefa. Predyspozycja Józefa do sztuki rozwinęła się jeszcze przez fakt bardzo pospolity: w r. 1812, w czasie feryj Wielkanocnych, wracając z przechadzki po Tuillerjach z bratem i z panią Descoings, ujrzał ucznia kreślącego na murze karykaturę profesora. Wobec tego szkicu iskrzącego się złośliwością, podziw przygwoździł Józefa do ziemi. Nazajutrz, dzieciak usadowił się w oknie, rozpatrzył się w sytuacji w porze gdy uczniowie wchodzili do gmachu, zeszedł ukradkiem i wślizgnął się w długi dziedziniec Instytutu. Ujrzał posągi, biusty,

rozpoczęte marmury, kawały terakoty, gliny, którym przyglądał się gorączkowo, instynkt bowiem budził się w nim, powołanie rozpie-rało go. Wszedł do niskiej sali, od której drzwi były uchylone: zobaczył dziesiątek młodych ludzi rysujących statwę i natychmiast stał się dla tej gromadki przedmiotem tysiąca żarcików.

— Mały! mały! krzyknął pierwszy który go spostrzegł, biorąc ośrodek chleba i rzucając weń gałeczkami.

— Czyj ten bękart?

— Boże! jakież brzydki!

Słowem, w ciągu kwadransa, Józef zniósł wszystkie „kawały“ zwyczajne w pracowni wielkiego rzeźbiarza Chaudet; ale, nazartowawszy się do syta, uczniowie, uderzeni wytrwałością oraz oryginalną fizjognomią dziecka, spytali czego tu szuka. Józef odpowiedział, że miałby wielką ochotę nauczyć się rysować: na co wszyscy, na wy-pródki, jęli go zachęcać. Dziecko, ośmielone przyjaznym tonem, opowiedziało jako jest synem pani Bridau.

— Oh! z chwilą gdy jesteś synem pani Bridau, rozległo się ze wszystkich kątów, możesz zostać wielkim człowiekiem. — Wiwat syn mamy Bridau! — Ładna twoja mama? Jeżeli sądzić z twego cyferblatu, musi być szyk kobietka!

— He! he! chciałoby się być artystą, rzekł najstarszy, opu-szczając swoje miejsce i zbliżając się do Józefa, aby mu nie przepu-szczyć swojego „kawału“; ale czy wiesz, że do tego trzeba być chwatem i ścierpieć bardzo przykre rzeczy? Tak, tak, są próby takie, że czło-wieka mało djabli nie biorą. Z tych wszystkich pędraków, których tu widzisz, niema ani jednego, któryby nie przeszedł próby. Ot, ten, patrz, wytrwał siedm dni bez jedzenia! No, spróbujmy, czy możesz być artystą?

Wziął go za ramię i wyciągnął je pionowo; następnie, ustawił drugie tak, jakby Józef miał zadać uderzenie pięścią.

— Nazywamy to „próbą telegrafu“, ciągnął. Jeżeli wytrwasz tak, nie spuszczać ręki ani nie zmieniając pozycji przez kwadrans, hm, wówczas dasz dowód, że jesteś tęgi zuch.

— No, mały, trzymaj się, rzekli drudzy. Ano cóż, trzeba cierpieć, gdy się chce być artystą.

Józef, w dobrej wierze trzynastoletniego dzieciaka, stał nieruchomo przez jakie pięć minut, uczniowie zaś przyglądali mu się z powagą.

— Oho, już opuszczasz, rzekł jeden.

— Ech, trzymajże się, do kaduka! wołał drugi. Cesarz Napoleon, jak go tu widzisz, wytrzymał miesiąc w ten sposób, dodał uczeń, wskazując posąg Chaudeta.

Cesarz, wyprostowany, trzymał berło: w r. 1814, strącono tę statwę z kolumny, którą wieńczyła tak dobrze. Po dziesięciu minutach, pot perlił się na czole Józefa. W tej chwili, łysy, blady i chorowity człowiek wszedł do sali. Pełna najgłębszego uszanowania cisza zapanowała w pracowni.

— I cóż, chłopaki, co wy tu robicie? rzekł, spoglądając na męczennika sztuki.

— Pozuje nam trochę ten malec, rzekł najstarszy, który ustawił Józefa.

— Nie wstyd wam dręczyć w ten sposób biedne dziecko? rzekł Chaudet, opuszczając Józefowi ręce. Odkąd jesteś tutaj? spytał Józefa, klepiąc go przyjacielsko po twarzy.

— Od kwadransa.

— Cóż cię sprowadza?

— Chciałbym być artystą.

— Skądże się tu wzięłeś? skąd przychodzisz?

— Od mamy.

— Oho! mama! krzyknęli uczniowie.

— Cicho tam w kartonach! krzyknął Chaudet. — Co robi twoja mama?

— To pani Bridau. Mój tatuś, który umarł, był przyjacielem cesarza. Toteż, jeżeli pan zechce nauczyć mnie rysować, cesarz zapłaci ile pan zażąda.

— Ojciec był szefem sekcji w ministerjum spraw wewnętrz-

nych, wykrzyknął Chaudet, uderzony wspomnieniem. I ty chciałbyś być artystą, już, tak wcześnie?

— Tak, panie.

— Przychodź-że tu ile ci się spodoba, damy ci zabawki! Dajcie mu kartonu, papieru, ołówków i zostawcie go w spokoju. — Wiedziecie, smyki, rzekł rzeźbiarz, że ojciec jego oddał mi swego czasu wielką przysługę. Ty, Postronek, idź przynieś ciastek, łakoci i cukierków, rzekł dając monetę uczniowi, który zadrwił sobie z Józefa. Przekonamy się, czy jesteś artystą, z apetytu z jakim będziesz zmiatał ciastka, dodał Chaudet, głaszcząc Józefa pod brodę.

Następnie rozpoczął przegląd prac uczniów. Dziecko posuwało się tuż za nim, patrząc, słuchając i starając się zrozumieć. Zjawily się łakocie. Cała pracownia, sam rzeźbiarz i dziecko wzięli je w obroty. Józef stał się przedmiotem objawów sympatji, tak jak był wprzód ofiarą mistyfikacji. Scena ta, w której odślaniały się serce i humor artystów, a którą instynktownie zrozumiał, sprawiła na dziecku cudowne wrażenie. Widok Chaudeta, rzeźbiarza, wyrwanego później przez przedwczesną śmierć, a dzięki poparciu cesarza szybko idącego ku sławie, był dla Józefa niby wizja. Dzieciak nie powiedział nic matce o tej wyprawie; ale, co niedzielę i czwartek, spędzał trzy godziny w klasie Chaudeta. Stara Descoings, która popierała zachcenia swoich cherubinków, obdarowała Józefa ołówkami, sangwiną, sztychami i papierem rysunkowym. W liceum cesarskiem, przyszedł artysta szkicował nauczycieli, rysował kolegów, mazał węglem ściany sypialni i odznaczył się zdumiewającą pilnością na lekcjach rysunku. Lemire, profesor liceum, uderzony nie tylko zdolnością ale postępami Józefa, przyszedł uprzedzić panią Bridau o powołaniu syna. Agata, wieczna prowincjałka, która równie mało rozumiała się na sztukach jak dobrze znała się na gospodarstwie, przeraziła się. Po odejściu nauczyciela, wdowa zaczęła płakać.

— Och, użaliła się przed starą Descoings, nieszczęście! Józef, z którego chciałam zrobić urzędnika!... miał jasno wytkniętą drogę w ministerjum, gdzie, wspierany przez pamięć ojca, zostałby sekre-

tarzem w dwudziestym piątym roku, i ot, chłopak chce iść na malarza, zostać jakimś głodomorem włóczęgą!... Dobrzem przewidywała, że to dziecko przyniesie mi same zgryzoty!

Pani Descoings wyznała, iż, od kilku miesięcy, podsycza namiętność Józefa i pokrywa, w niedziele i czwartki, jego wyprawy do Instytutu. W Salonie, dokąd go zaprowadziła, cud był wprost patrzeć na głęboką uwagę, z jaką ten smarkacz przyglądał się obrazom.

— Jeżeli tak zna się na malarstwie w trzynastym roku moja droga, rzekła, w takim razie twój Józef będzie genialnym człowiekiem.

— Tak, bardzo daleko geniusz zaprowadził jego ojca! umarł zużyty pracą w czterdziestym roku!

W ostatnich dniach jesieni, w epoce gdy Józef rozpoczął czternasty rok, Agata, mimo przedkładań starej Descoings, zaszła do Chaudeta, aby się sprzeciwić wciąganiu syna na złe drogi. Zastała Chaudeta w niebieskiej bluzie, modelującego swą ostatnią statwę. Rzeźbiarz przyjął prawie szorstko wdowę po człowieku który niegdyś podał mu rękę w dość krytycznej sytuacji; ale, zagrożony już chorobą, pracował z ową furją, której artysta zawdzięcza dokonanie w kilka minut tego, co trudno jest wykonać w kilka miesięcy. W tej chwili, znalazłszy jakiś długo szukany szczegół, wymachiwał łopatką, modelując glinę nagłemi ruchami, które nieświadomej Agacie wydały się drgawkami szalonego. W innym momencie, w innym usposobieniu, Chaudet zacząłby się śmiać; ale, słysząc tę matkę zło-rzeczającą sztuce, żalącą się na drogę na którą wciągano syna, i żądającą aby go nie wpuszczano do pracowni, wpadł w szal świętego oburzenia.

— Mam zobowiązania wobec nieboszczyka męża pani, chciałam się z nich wypłacić, podając rękę synowi, czuwając nad pierwszemi krokami Józka na drodze najpiękniejszej ze wszystkich na ziemi! Tak, pani, dowiedz się, jeżeli nie wiesz, że wielki artysta, to król, więcej niż król: przedewszystkiem, jest szczęśliwy, niezależny, żyje jak mu się podoba; następnie, króluje w świecie wyobraźni. Tak, syn pani

ma najpiękniejszą przyszłość! dar tego rodzaju co u niego, to rzadkość, objawia się w tak wczesnym wieku jedynie u Giottów, Rafaelów, Tycjanów, Rubensów, Murillów; bo zdaje mi się, że raczej będzie malarzem niż rzeźbiarzem. Tam do kata! gdybym miał podobnego syna, byłbym szczęśliwy jak cesarz, gdy sobie zafundował króla rzymskiego! Ostatecznie, jesteś imość panią swojego dziecka. Dobrze, zrób z niego głupca, każ mu dreptać całe życie w klatce, zrób zeń nędznego gryzpiórka, popełnij pani morderstwo. Mam nadzieję, iż, mimo pani usiłowań, zostanie i tak artystą. Powołanie jest silniejsze, niż wszystkie zapory. Wokacja, to słowo oznacza *wołanie*: to wybór, wezwanie samego Boga! Tyle tylko sprawisz pani, że unieszczęśliwisz własne dziecko!

Rzucił gwałtownym ruchem do skrzynki resztkę zbędnej gliny, i rzekł do modela:

— Dosyć na dzisiaj.

Agata podniosła oczy i ujrzała nagą kobietę siedzącą na zydelku w kącie, dokąd spojrzenie jej zrazu nie dotarło; na ten widok, rzuciła się ku drzwiom i ze zgrozą opuściła salę.

— Nie będziecie już przyjmowali małego Bridau, smyki, rzekł Chaudet do uczniów. Jego pani matce to się nie podoba.

— Hu! hu! wykrzyknęli uczniowie, skoro Agata zamknęła drzwi.

— I mój Józef tam chodził! rzekła w duchu biedna matka, przerażona tem co widziała i słyszała.

Z chwilą gdy uczniowie dowiedzieli się, że pani Bridau nie życzy sobie aby jej syn został artystą, największą ich rozkoszą było ściągać Józefa do siebie. Mimo przyrzeczenia, jakie matka wydobyla z chłopca iż nie będzie już chodził do Instytutu, dzieciak wślizgiwał się nieraz do klasy Regnaulta, gdzie zachęcano go do mazaania płócien. Kiedy wdowa próbowała się żalić, uczniowie Chaudeta odpowiadali, że Regnault to nie Chaudet; zresztą, nie poruczyła im pilnowania synalka, i tysiąc innych konceptów. Nielitościwe

urwisy ułożyli i śpiewali pieśń o pani Bridau, w stu trzydziestu siedmiu zwrotkach.

Wieczorem tego smutnego dnia, Agata nie chciała zasiąść do partyjki; zanurzyła się w fotelu, pogrążona w tak głębokim smutku, że niekiedy piękne jej oczy zachodziły łzami.

— Co pani jest, pani Bridau? — spytał stary Claparon.

— Myśli, że syn jej zejdzie na żebrzy, dlatego że mu wzięło do głowy malarstwo, rzekła stara Descoings; co do mnie, nie mam najmniejszej troski o przyszłość mego pasierba, małego Bixiou, który również pali się do rysowania. Chłopaki są na to, żeby sobie dawały radę.

— Ma pani słuszność, rzekł suchy i twardy Desroches, który, mimo zdolności, nie zdołał się dochrapać rangi wice-szefa. Ja mam, na szczęście, tylko jednego syna ¹⁾, inaczej bowiem, z mojami tysiąc ośmset frankami pensji, do których żona dorabia ledwie tysiąc dwieście trafikzką, cóżby mi przyszło począć? Umieściłem chłopca za pisarza u adwokata, ma dwadzieścia pięć franków miesięcznie i śniadanie, ja mu daję tyleż, obiad i nocleg w domu: ot i wszystko, niech się przepycha, znajdzie swoją drogę! Walę chłopakowi więcej roboty niż gdyby był w kolegium, i kiedyś będzie z niego tęgim adwokatem. Kiedy mu zafunduję bilet do teatru, szczęśliwy jest jak król, rzuca mi się na szyję; ho, ho! trzymam go krótko, musi się wyrachować z każdego grosza. Pani jesteś za dobra dla dzieci. Jeżeli syn chce przymierać głodem, zostaw go pani, wyrobi się na ludzi.

— Mój ²⁾, rzekł du Bruel, stary szef sekcji, świeżo osiadły na emeryturze, ma dopiero szesnaście lat, matka go ubóstwia; ale ja bym nie polegał na powołaniu które objawia się w tak wczesnym wieku. Ot, czysta fantazja, zachcenie, które przeminie z wiekiem! Wedle mnie, chłopcom trzeba silnej ręki...

— Ba, drogi panie, pan jesteś bogaty, jesteś mężczyzną i masz tylko jednego syna, rzekła Agata.

¹⁾ Pierwsze kroki. ²⁾ Król cyganerji, Stracone złudzenia, etc.

— Dalibóg, rzekł Claparon, dzieci to nasi tyrani. (*Kier!*) Mój doprowadzał mnie do warjacji, przywiódł mnie do torby żebraczej, przestałem się nim też zajmować zupełnie. (*Bezatu!*) Ano cóż, jemu z tem lepiej, i mnie także. Ten nicpoń stał się po części przyczyną śmierci mojej biednej nieboszczki. Puścił się na komiwojażera ¹⁾ i doskonale to utrafił: ledwie wpadł do domu, już zaraz wypadł, niesposób go było utrzymać na miejscu, nic się nie chciał uczyć: o jedno proszę Boga, to jest abym umarł, nim doczekam że okryje hańbą moje nazwisko! Ci, co nie mają dzieci, nie mają wielu przyjemności, ale też oszczędzają sobie wielu zgrzyzot.

— Oto ojcowie! pomyślała Agata, wybuchając na nowo płaczem.

— To co pani powiadam, droga pani Bridau, to aby pani wykazać, że trzeba pozwolić chłopcu zostać malarzem; inaczej, straci pani czas napróżno...

— Gdybyś pani była zdolna wziąć się do niego ostro, podjął stary Desroches, radziłbym się sprzeciwić tym zachciankom; ale, ponieważ widzę jak z nim jesteś słaba, powiadam pani, pozwól mu bawgrać, gryzmolić...

— Przepadł!

— Jakto, przepadł? wykrzyknęła biedna matka.

— No tak! mój najlepszy kolor; ta żyła Desroches zawsze mnie wpakuje.

— Pociesz się, Agato, rzekła stara Descoings, Józef będzie wielkim człowiekiem.

Po tej dyskusji, podobnej do wszystkich dyskusyj ludzkich, przyjaciele spotkali się wszyscy w jednym zdaniu, które bynajmniej nie uspokoiło Agaty. Poradzono wdowie, aby pozwoliła Józefowi iść za powołaniem.

— Jeżeli nie okaże się genjuszem, rzekł du Bruel, który zale-

¹⁾ Wielkość i upadek Cezara Birotteau.

cał się potrosze do Agaty, zawsze ma pani czas wpakować go do urzędu.

W sieni, ciotka Descoings, odprowadzając trzech starych urzędników, nazwała ich *mędrkami Grecji*.

— Pani Agata zanadto się troska, rzekł du Bruel.

— Ma jeszcze szczęście, że jej syn wogóle chce coś robić, dodał Claparon.

— Jeżeli Bóg zachowa nam cesarza, rzekł Desroches, Józef będzie miał zresztą protekcję. O cóż się tedy kłopotać?

— Boi się wszystkiego, gdy chodzi o synów, odparła Descoings. — No, widzisz, mała, dodała wracając; widzisz, wszyscy są jednego zdania, czegoż płaczesz jeszcze?

— Ach, gdyby chodziło o Filipa, nie miałabym żadnej obawy. Ty nie masz pojęcia, co się tam dzieje w tych pracowniach! Ci artyści trzymają tam nagie kobiety.

— Ale pałą na kominku, mam nadzieję, rzekła Descoings.

W kilka dni potem, wybuchły nieszczęścia odwrotu z Moskwy. Napoleon wrócił, aby zorganizować nowe siły i zażądać nowych ofiar od Francji. Biedna matka stała się wówczas pastwą poważniejszych niepokojów. Filip, któremu nie smakowało liceum, rwał się do armji. Rewja w Tuillerjach, ostatnia jaką odprawił Napoleon a której Filip się przyglądał, widok uniformów, urok epoletów, wywierały nieprzeparty pociąg na pewną kategorię młodzieży. Filip uczuł do służby wojskowej to samo powołanie, jakie brat objawiał dla sztuki. Bez wiedzy matki, napisał do cesarza tak poczętą prośbę:

„Najjaśniejszy panie, jestem synem twego Bridau, mam ośmnaście lat, pięć stóp sześć cali, dobre nogi, dobre bary, i pragnę zostać żołnierzem. Dopraszam się twojej pomocy, aby wstąpić do armji“, etc.

W ciągu dwudziestu czterech godzin, cesarz wysłał Filipa z liceum do Saint-Cyr, a w pół roku później, w listopadzie 1813, wypromował go na podporucznika kawalerji. Filip pozostał częścią zimy w kadrach; ale, skoro tylko nauczył się jeździć konno, wyruszył pełen zapału. Podczas *kampanji francuskiej* awansował na porucz-

nika, dzięki utarczce przednich straży, w której, przytomnością swoją, ocalił pułkownika. Cesarz zamianował Filipa kapitanem pod *La Fère-Champenoise*, gdzie wziął go za ordynansowego oficera. Podniecony zaszczytnym awansem, Filip zdobył sobie krzyż pod Montereau. Będąc świadkiem pożegnania Napoleona w Fontainebleau i sfanatyzowany tym widokiem, kapitan Filip odmówił służby Burbonom. Kiedy wrócił do matki w r. 1814, zastał ją zrujnowaną. Skasowano od wakacji stypendjum Józefa, zaś pani Bridau, która pensję pobierała ze szkatuły cesarza, napróżno starała się aby ją wpisano na etat ministerstwa. Józef, coraz więcej oszalały malarstwem, zachwycony tym obrotem rzeczy, prosił matki aby mu pozwoliła chodzić do pana Regnauld, obiecując iż potrafi zarobić na życie. Filip, w dziewiętnastym roku kapitan i kawaler Legji, adjutant cesarza na dwóch polach bitwy, głaskał niezmiernie ambicję matki; to też, mimo iż grubijanin, zawadjak i w gruncie bez innej wartości prócz pospolitej tężyzny rębajły, stał się dla niej genialnym człowiekiem; gdy Józef, mały, szczupły, chorowity, chmurny, lubiący samotność, spokój, marzący o sławie artysty, gotował matce, jej zdaniem, same troski i niepokoje. Zima 1814 na 1815 była pomyslna dla Józefa; tajemnie wspierany przez ciotkę i Bixiou, ucznia Grossa, zaczął uczęszczać do tej słynnej pracowni, z której wyszło tyle różnorodnych talentów i gdzie się związał bardzo blisko z Schinnerem. Buchnął 20 marca: kapitana Bridau, który przyłączył się do cesarza w Lyonie i wszedł z nim do Tuilleryj, mianowano majorem w dragonach gwardji. Po bitwie pod Waterloo, w której odniósł ranę, lekką zresztą, i gdzie zdobył krzyż oficera Legji honorowej, znalazł się obok marszałka Davout w Saint-Denis i nie wszedł w skład armji Loary; to też, za protekcją marszałka Davout, zostawiono mu krzyż oficerski i stopień; ale spensjonowano go. Józef, niespokojny o przyszłość, pracował w tym okresie z zapalem, który, wśród huraganu wypadków, kilka razy wpędził go w chorobę.

— To zapach farby, mówiła Agata do starej Descoings; powinienby rzucić zajęcie tak zgubne dla jego zdrowia.

Wszystkie troski Agaty zwracały się wówczas w stronę podpułkownika. Ujrzała go z powrotem w r. 1816, gdy Filip, z dziewięciu tysięcy franków jakie otrzymywał major dragonów gwardji cesarskiej, spadł na pensyjkę wynoszącą trzysta franków miesięcznie. Matka wyporządziła mu pokoik na poddaszu, obracając na ten cel drobne oszczędności. Filip stał się jednym z najwytrwalszych bonapartystów kawiarni Lemblin, istnej Beocji *konstytucyjnej*; nabrał tam zwyczajów, obejścia, stylu i trybu spensjonowanych oficerów: i, jakby na jego miejscu uczynił każdy dwudziestolatek, przesadził je, poprzysiągł serjo śmiertelną nienawiść Burbonom, nie pogodził się z nową monarchją; odrzucił nawet sposobność wrócenia do linii w stopniu podpułkownika. W oczach matki, Filip uchodził za wielki charakter.

— Sam ojciec nie uczyniłby lepiej, mawiała.

Pensyjka wystarczała Filipowi, nie potrzebował nic z domu, gdy Józef był całkowicie na utrzymaniu wdów. Od tego czasu, predylekcja Agaty do Filipa stała się wyraźna. Dotąd była ona jej tajemnicą, ale prześladowanie jakie ścigało wiernego cesarskiego gwardzistę, pamięć rany otrzymanej przez ukochanego syna, jego niezłomność w nieszczęściu, wydoły na wierzch całą czułość Agaty. To słowo: „Jest nieszczęśliwy“ usprawiedliwiało wszystko. Józef, którego charakter posiadał ową prostotę która tak wybitnie przejawia się w zaraniu życia artystów, wychowany zresztą w podziwie dla wielkiego brata, nietylko nie miał żalu do matki o tę różnicę, ale usprawiedliwiał ją, dzielając kult junaka, który roznosił rozkazy Napoleona w dwóch bitwach, rycerza rannego pod Waterloo. W jaki sposób podawać w wątpliwość wyższość tego wielkiego brata, którego widział w zielono-złotym uniformie dragonów gwardji, dowodzącego szwadronem na rewji! Mimo tej nierówności uczuć, Agata była zresztą najlepszą matką: kochała Józefa, ale bez zaślepienia; nie rozumiała go po prostu. Józef ubóstwiał matkę, gdy Filip pozwalał się jej ubóstwiać. Bądź co bądź, dragon łagodził dla niej swą żołnierską brutalność; nie ukrywał natomiast lekceważenia dla Jó-

zefa, mimo że wyrażał je w przyjacielski sposób. Patrząc na brata, zniekształconego potężną głową i wychudzonego uporczywą pracą, wątłego i chorowitego siedmnastolatka, mówił doń: „Smarkaczu!” Obejście jego, zawsze protekcyjne, byłoby wręcz obrażające, gdyby nie obojętność artysty, który wierzył zresztą w dobroć kryjącą się u żołnierzy pod brutalnymi pozorami. Józef, poczciwy chłopiec, nie wiedział jeszcze, że wojskowi prawdziwego talentu są grzeczni i łagodni jak wszyscy ludzie wyżsi. Geniusz w każdej rzeczy zachowuje swoje piętno.

— Biedny chłopiec! mówił Filip do matki, nie trzeba go nękać, pozwólcie mu się bawić.

Lekceważenie to, w oczach wdowy, było dowodem braterskiej czułości.

— Filip będzie zawsze kochał brata i opiekował się nim.

W r. 1816, Józef otrzymał od matki pozwolenie przekształcenia na pracownię strychu przylegającego do jego pokoiku na poddaszu, ciotka zaś dała mu trochę pieniędzy aby sobie sprawił rzeczy niezbędne do *rzemiosła*; w pojęciu bowiem wdów, malarstwo było tylko rzemiosłem. Ze zmysłem i zapałem jakie towarzyszą prawdziwemu powołaniu, Józef sam urządził swoją biedną pracownię. Właściciel, uproszony przez panią Descoings, kazał przebić dach i wprawić okno. Strych zmienił się w dużą salę, pomalowaną przez Józefa na czekoladowo; artysta zawiesił na murach jakieś szkice; Agata oddała mu, nie bez żalu, żelazny piecyk, i Józef mógł pracować u siebie, nie zaniedbując wszakże pracowni Grossa i Schinnera.

Partja konstytucyjna, popierana zwłaszcza przez spensjonowanych oficerów i przez bonapartystów, wszczęła wówczas rozruchy koło Izby pod hasłem Konstytucji¹⁾, nie będącej nikomu do smaku, i zawiązała rozmaite przysiężenia. Filipa, który wdał się w te spiski, uwięziono, następnie wypuszczono dla braku dowodów; ale minister wojny cofnął mu jego pensję, mieszcząc go na liście oficerów *pod nadzorem*. Pobyt we Francji stał się niemożliwy; wcześniej

¹⁾ *La Charte*, pakt konstytucyjny, zawarty z Francją przez Ludwika XVIII.

czy później, Filip popadłby w pułapkę prowokatorów. Mówiło się wówczas wiele o „prowokatorach“. Gdy Filip grywał w bilard w podejrzanych kawiarenkach, tracił czas i przyzwyczajał się wypróżniać kieliszki, Agata przechodziła śmiertelne lęki o swego wielkiego człowieka. Trzej *mędrzy Grecji* zanadto przyzwyczaili się odbywać co wieczór tę samą drogę, deptać schody wiodące do mieszkania wdów, gdzie zawsze czekało ich radosne przyjęcie, aby się mogli kiedykolwiek wyrzec swego nałogu; przychodzili codziennie na partyjkę w zielonym saloniku. Ministerjum spraw wewnętrznych, zajęte „oczyszczaniem“, któremu poświęcono cały rok 1816, zatrzymało Claparonę, jednego z owych strachajłów, którzy udzielają półgłosem nowin z urzędowego *Monitora*, dodając: „Proszę mnie nie zdradzić!“ Desroches, zwolniony ze służby w jakiś czas po starym du Bruelu, walczył jeszcze o swą emeryturę. Trzej przyjaciele, widząc rozpacz Agaty, poradzili jej, aby wyprawiła pułkownika w podróż.

— Wciąż mówią o sprzysiężeniach: pani syn, przy swoim charakterze, wpakuje się w jakąś historję, bo wszędzie znajdują się zdrajcy.

— Cóż u licha! toć on jest z tego kruszczu, z którego cesarz robił marszałków Francji, rzekł du Bruel zcisnionym głosem, rozglądając się dokoła. Nie powinien rzucać swego rzemiosła. Niech idzie służyć, na Wschód, do Indji...

— A jego zdrowie? rzekła Agata.

— Czemu nie stara się o jakie miejsce? rzekł stary Desroches. Tworzy się tyle prywatnych przedsiębiorstw! Ja sam wstąpię na naczelnika wydziału do jakiego towarzystwa ubezpieczeń, skoro tylko kwestja mojej emerytury będzie uregulowana.

— Filip jest żołnierzem, kocha tylko wojnę, rzekła rycersko Agata.

— W takim razie, powinienby być rozsądny i wrócić do służby...

— U *nich*? wykrzyknęła wdowa. Och! tego z pewnością nie będę mu doradzała.

— Źle pani robisz, podjął du Bruel. Mój syn uzyskał miejsce

przez księcia de Navarreins. Burboni wszystko zrobią dla tych, którzy szczerze pogodzą się z nimi. Syn zostałby jak nie podpułkownikiem w linji.

— W kawalerji chcą mieć tylko szlachtę, nie zrobiliby go nigdy pułkownikiem, wykrzyknęła Descoings.

Agata, przerażona, zaczęła błagać Filipa, aby wyjechał za granicę i wstąpił w służby jakiegoś mocarstwa, które przyjmie z pewnością z otwartymi rękami ordynansowego oficera cesarza.

— Służyć obcym?... wykrzyknął Filip ze zgrozą.

Agata uściskała syna z uśmiechem, mówiąc:

— Wykapany ojciec.

Aby uczynić zadość matce, Filip powziął wspaniałą myśl, aby się udać do generała Lallemand w Stanach Zjednoczonych i współdziałać w zakładaniu *Przytuliska*, najstraszliwszej mistyfikacji ze wszystkich jakie puszczono w kurs pod nazwą „subskrypcyj narodowych“. Agata oddała dziesięć tysięcy franków ze swych oszczędności i wydała tysiąc aby odprowadzić i wsadzić na statek syna w Harwrze. Z końcem 1816, Agata nauczyła się żyć z sześciuset franków swojej renty; następnie, idąc za szczęśliwem natchnieniem, ulokowała tak samo drugie dziesięć tysięcy jakie jej zostały, zyskując w ten sposób jeszcze siedmset franków renty. Józef chciał mieć udział w tem dziele poświęcenia: chodził ubrany jak wyrobnik; nosił grube trzewiki, niebieskie pończochy, bez rękawiczek, palił torfem; żył chlebem, mlekiem, kawałkiem sera. Biedny chłopiec znajdował słowa zachęty jedynie u starej Descoings i u Bixiou, kolegi ze szkół i z pracowni, który rysował wówczas swoje wspaniałe karykatury, zajmując równocześnie skromną posadkę w ministerstwie.

— Z jaką rozkoszą patrzałem na zbliżające się lato 1818! miał często Bridau, opowiadając swe ówczesne nędze. Słońce oszczędziło mi kupowania węgla.

Już, jako kolorysta, nie ustępujący Grossowi, odwiedzał mistrza jedynie poto, aby się go poradzić od czasu do czasu; zamyślał wówczas wystąpić do walki z klasykami, skruszyć konwencje greckie

i powijaki pętające sztukę, której stoi otworem natura cała jak jest, we wszechpotędze swych tworów i fantazyj. Józef gotował się do walki, która, od chwili gdy zjawił się w Salonie, w r. 1823, nie ustalała dotąd. Rok był straszny: Roguin, rejent pani Descoings i pani Bridau, znikł¹⁾, unosząc odkładane z dożywocia przez siedm lat oszczędności, które miały dawać w tej chwili dwa tysiące franków renty. W trzy dni po tej klęsce, przybył z New Yorku weksel na tysiąc franków, wystawiony przez pułkownika Filipa na imię matki. Biedny chłopiec, oszukany jak tylu innych, stracił wszystko co do grosza na *Przytulisku*. W liście, który wycisnął łyż z oczu Agaty, ciotki Descoings i Józefa, mówił o długach zaciągniętych w Nowym Yorku, gdzie towarzysze niedoli zaręczyli za pułkownika.

— To ja, ja, zmusiłam go, aby się puścił za morze, wykrzyknęła biedna matka, niewyczerpana w inwencji, gdy chodziło o uniewinnienie Filipa.

— Nie radzę ci, rzekła Descoings do siostrzenicy, często obmyślać mu tego rodzaju podróże.

Pani Descoings rozwinęła prawdziwy heroizm. Wciąż oddawała tysiąc talarów rocznie pani Bridau, ale, równocześnie, ciągle hodowała toż samo terno, które od 1799 nie wyszło. W tej epoce, zaczynała chwilami wątpić o rzetelności zarządu loterji. Szemrała na urząd, podejrzewając wręcz, iż usunął poprostu z urny trzy numery, aby wywołać szalone stawki grających. Po pospiesznem rozpatrzeniu się w środkach, okazało się, iż niepodobna zebrać tysiąc franków bez częściowej sprzedaży renty. Obie kobiety zaczęły radzić nad zastawieniem sreber, bielizny lub zbytanych mebli. Józef, przerażony temi zamiarami, udał się do Gerarda i przedstawił swoje położenie: wielki malarz uzyskał mu w ministerjum domu królewskiego dwie kopje portretu Ludwika XVIII, po pięćset franków sztuka. Mimo iż z natury niezbyt ofiarny, Gross zaprowadził swego ucznia do handlarza farb i polecił aby wpisywano na jego ra-

¹⁾ Wielkość i upadek Cezara Birotteau.

chunek zakupy Józefa. Ale tysiąc franków były płatne dopiero po dostarczeniu kopij. Józef namalował tedy, w dziesięć dni, cztery nieduże obrazki, sprzedał je u handlarzy i przyniósł tysiąc franków matce, która mogła wykupić weksel Filipa. W tydzień później, przyszedł drugi list: pułkownik zawiadamiał matkę, że wraca do kraju na okręcie, którego kapitan zgodził się go wziąć na słowo. Filip oznajmiał, że znowu będzie potrzebował conajmniej tysiąc franków po wylądowaniu w Hawrze.

— Doskonale! rzekł Józef matce, skończę do tego czasu kopje, zawieszysz mu tysiąc franków.

— Drogi Józef! wykrzyknęła Agata ściskając go cała we łzach, Bóg ci pobłogosławi. Kochasz go zatem, tego biednego, prześladowanego? On, to nasza chluba i cała nasza przyszłość. Taki młody, taki dzielny i taki nieszczęśliwy! wszystko jest przeciw niemu, bądźmyż przynajmniej my troje za nim.

— Widzisz, mamó, że malarstwo może się na coś przydać, wykrzyknął Józef, szczęśliwy iż uzyskał wreszcie od matki pozwolenie zostania wielkim artystą.

Pani Bridau popędziła naprzeciw ukochanego syna, pułkownika Filipa. Znalazłszy się w Hawrze, chodziła codziennie za okrągłą wieżę zbudowaną przez Franciszka I-go, oczekując amerykańskiego żaglowca i popadając codzien w coraz okrutniejszy niepokój. Matki tylko wiedzą, jak tego rodzaju cierpienia potęgują macierzyństwo. Statek przybył pewnego pięknego poranku, w październiku 1819, bez uszkodzeń, bez najmniejszego wypadku w drodze. Na najbardziej zbydłconym człowieku, powiew ojczystego powietrza i widok matki sprawiają zawsze pewne wrażenie, zwłaszcza po podróży pełnej utrapień. Filip poddał się tedy wylewowi uczuć, które obudziły w Agacie słodką myśl: „Ach, jak ten chłopiec mnie kocha!“. Niestety! oficer kochał już tylko jedną osobę na świecie, a osobą tą był pułkownik Filip. Nieszczęścia przebyte w Texas, pobyt w Nowym Yorku, miejscu gdzie spekulacja i egoizm posunięte są do najwyższego stopnia, gdzie brutalność interesów dochodzi do cynizmu,

gdzie człowiek, czując się zupełnie sam, zmuszony jest codziennie iść na przebój o własnej sile i stawać się co chwila sędzią własnej sprawy; gdzie grzeczność nie istnieje: słowem, najdrobniejsze okoliczności tej podróży rozwinęły w Filipie narowy żołądka: stał się brutalnym, pijakiem, palaczem, bezwzględny, niegrzecznym: nędma i cierpienia spaczyły mu charakter. Zresztą, pułkownik uważał się za ofiarę prześladowań. Następstwem tego przekonania jest, u ludzi mało inteligentnych, to, iż sami stają się dokuczliwi i niewyrozumiali. Dla Filipa, wszechświat zaczynał się u jego głowy, a kończył u jego nóg; słońce świeciło tylko dla niego. Wreszcie obraz Nowego Yorku, w interpretacji tego człowieka czynu, odjął mu wszelkie skrupuły. U tego rodzaju istot, są tylko dwie drogi: wierzą albo nie wierzą; albo mają wszystkie cnoty uczciwego człowieka, albo poddają się wszystkim wymaganiom konieczności; z czasem zaś, przyzwyczajają się uważać za konieczność najmniejsze swoje interesy i zachcenia. Przy tych zasadach, można zajść daleko. Pułkownik zachował, na pozór jedynie, szeroki gest, dobroduszość i szczerłość żołnierza. Toteż, był on nadzwyczaj niebezpieczny: zdawał się naiwny jak dziecko; ale, mając do myślenia jedynie o sobie, nigdy nie uczynił kroku, nie zastanowiwszy się wprzód co będzie korzystnem uczynić. Słowa nie kosztowały go nic; dawał ich tyle, ile tylko chciano wziąć za dobrą monetę. Jeżeli, nieszczęściem, ktoś ośmielił się nie przyjąć wytłumaczeń, jakimi usprawiedliwiał sprzeczności między postępowaniem a słowami, pułkownik, który był graczem na pistolety i mógł wyzwać na rękę fechtmistrza, a zarazem posiadał zimną krew ludzi którym życie jest obojętne, gotów był zażądać rachunku za najłżejszy przytyk; robił zaś wrażenie człowieka zdolnego posunąć się do zniewag, po których wszelkie porozumienie staje się niemożliwe.

W czasie pobytu w Texas, jego imponująca postawa zaokrągliła się, twarz opaliła na bronz; zachował zwięzły sposób mówienia i stanowczy ton człowieka, zmuszonego nakazywać dla siebie szacunek wśród szumowin Nowego Yorku. W takiej postaci, biednie

ubrany, z ciałem zahartowanem wśród świeżych niedoli, Filip wydał się biednej matce bohaterem, ale stał się on poprostu tem, co pospolicie nazywa się dość gminnie *wyciruchem*. Przerażona nędzą ukochanego syna, pani Bridau sprawiła mu w Hawrze kompletną garderobę. Słuchając opowiadań o jego nieszczęściach, nie miała siły bronić mu pić, jeść i bawić się tak, jak mógł pić i bawić się człowiek wracający z *Przytuliska*. Zapewne, piękny to był pomysł, podobój Texasu przez szczątki cesarskiej armji; ale pomysł ten chybił nietylę przez warunki, ile przez ludzi: dziś Texas jest pełną przyszłości rzeszpospolitą. Ten eksperyment liberałów za Restauracji dowodzi niezbiecie, że interesy ich były czysto egoistyczne i zgoda nie narodowe, kręcące się dokoła władzy a nie czego innego. Ludzi, okoliczności, idei, poświęcenia nie brakło; ale brakło grosiwa oraz poparcia tego obłudnego stronnictwa, które rozporządzało olbrzymiemmi sumami, a nie dało nic gdy chodziło o odbudowanie cesarstwa. Gospodynie w rodzaju Agaty mają zdrowy rozsądek, który pozwala im przeniknąć tego rodzaju polityczne szalbierstwa. Biedna wdowa odgadła prawdę z opowiadań syna; wciąż pełna myśli o swoim wygnańcu, nadśluchiwała, w czasie jego nieobecności, szumnych reklam konstytucyjnych dzienników i śledziła bieg owej słynnej subskrypcji, która dała ledwie sto pięćdziesiąt tysięcy, tam gdzie trzeba było pięć do sześciu milionów. Wodzowie liberalizmu spostrzegli się rychło, że idą na rękę Ludwikowi XVIII wywożąc z Francji chlubne szczątki naszej armji, i opuścili najbardziej pełnych poświęcenia, najzapalczywszych entuzjastów, którzy wysunęli się pierwsi. Nigdy Agata nie zdobyła się na to, aby wytłumaczyć synowi, że był on raczej wystrychniętym na dudka niż ofiarą prześladowań. Wierząc w swoje bożyszcze, wołała obwinić się o nieświadomość i biadać nad nieszczęściem epoki, które ugodziło Filipa. W istocie, dotąd, we wszystkich tych niedolach, był on nietylę winnym, ile ofiarą swego pięknego charakteru, swej energii, upadku cesarza, dwulicowości liberałów i zaciekłości Burbonów przeciw bonapartytom. Nie śmiała, w czasie tygodnia spędzonego w Hawrze, tygodnia

straszliwie kosztownego, namawiać syna aby się pojednał z rządem i zgłosił do ministra wojny; dosyć miała kłopotu z tem, aby go wydobyć z Hawru i sprowadzić do Paryża, kiedy jej zostało już tylko tyle, ile trzeba było na drogę. Ciotkę Descoings i Józefa, którzy oczekiwali wygnańca w dziedzińcu pocztowym, uderzyła zmiana na twarzy Agaty.

— Matka posunęła się o dziesięć lat w dwa miesiące, rzekła Descoings do Józefa wśród uścisków i wyładowywania walizek.

— Serwus, stara Descoings, — oto czułe powitanie rzucone przez pułkownika ex-kupcowej, którą Józef nazywał czułe ciotuchną.

— Nie mamy na dorózkę, rzekła Agata bolesciwym tonem.

— Ja mam, odparł młody malarz. — Ależ Filip nabrał wspaiałych kolorów! wykrzyknął przyglądając się bratu.

— Tak, opaliłem się jak fajka. Ale tyś się nic nie zmienił, mały.

Licząc wówczas dwadzieścia jeden lat, oceniany wedle wartości przez kilku przyjaciół, którzy go podtrzymywali w dniach próby, Józef czuł własną siłę i miał świadomość swego talentu; reprezentował on malarstwo w *Biesiadzie*¹⁾ utworzonej przez młodych ludzi, którzy życie poświęcili nauce, literaturze, polityce i filozofji; niemile tedy drasnął go wyraz lekceważenia, podkreślony jeszcze gestem: Filip pokręcił go za ucho jak dziecko. Agata zauważyła u ciotki Descoings i u Józefa pewien chłód po pierwszym wylewie czułości; ale naprawiła wszystko, rozpowiadając o cierpieniach, jakie przeszedł Filip na wygnaniu. Stara Descoings, pragnąc uroczyście obejść powrót syna, którego nazywała, pocichu wprawdzie, synem marnotrawnym, przygotowała smakowity obiadek, na który zaprosiła Claparona i starego Desroches. Wszyscy przyjaciele domu obiecali się i w istocie stawili się wieczór. Józef zaprosił Leona Giraud, d'Artheza, Michała Chrestien, Fulgencjusza Rigal i Bianchona, przyjaciół z *Biesiady*. Descoings uprzedziła Bixiou, swego rzekomego pasierba, że młodzież będzie mogła zrobić partyjkę

¹⁾ *Stracone złudzenia.*

écarté. Młody Desroches, który, pod twardą ręką ojcowską, uzyskał stopień licencjata praw, również był w liczbie gości. Du Bruel, Claparon, Desroches i ksiądz Loraux przyglądali się nieznacznie wygnańcowi: jego gburowate obejście, głos zmieniony nawykiem gorących napoi, tania frazeologja i niemiłe spojrzenie przeraziły ich. Toteż, gdy Józef narządał stoliki do gry, najbliżsi otoczyli Agatę, zagadując:

— Co pani myśli począć z Filipem?

— Nie wiem, odparła; tyle wiem, że nie chce służyć Burbonom.

— Trudno dlań będzie znaleźć miejsce we Francji. Jeśli nie wróci do armji, nie ulokuje się tak łatwo w urzędzie, rzekł stary du Bruel. A już wystarczy posłuchać go chwilę, aby być pewnym, iż nie potrafi, jak mój syn ¹⁾ dorobić się majątku na teatrze.

Ze spojrzenia którem odpowiedziała Agata, każdy zrozumiał jak ją niepokoi przyszłość Filipa; że zaś żaden z przyjaciół nie umiał wskazać drogi, wszyscy umilkli. Wygnaniec, młody Desroches i Bixiou grali w *écarté*, grę wówczas niezmiernie modną.

— Ciotucho, Filip nie ma czem grać, szepnął Józef do ucha zacnej kobiety.

Klientka loterji poszła wyciągnąć ze skrytki dwadzieścia franków i oddała je artyście, który znów wsunął je ukradkiem bratu. Nadeszła reszta gości; złożono dwa stoliki bostona, wieczór się ożywił. Filip okazał się nietęgim graczem. Wygrawszy zrazu dużo, później zaczął przegrywać; około jedenastej, winien już był pięćdziesiąt franków młodemu Desroches i Bixiou. Hałasy i sprzeczki stolika *écarté* dochodziły raz po raz spokojnych graczy w bostona, którzy obserwowali Filipa z pod oka. „Ofiara prześladowań“, Filip objawiał przytem tak niemiły charakter, że, wśród ostatniej sprzeczki z młodym Desroches, który też nie był aniołem, stary Desroches, mimo iż słuszność była po stronie syna, połażał go i za-

¹⁾ *Stracone złudzenia, Król Cyganerji.*

broniał mu grać dalej. Pani Descoings toż samo uczyniła z wnukiem. Bixiou zaczynał puszczać ostre słówka, na szczęście za dowcipne aby je Filip zrozumiał, ale, w razie gdyby która z tych strzałek wdarła się w mało lotną inteligencję pułkownika, okrutny kpiarz mógłby się łatwo znaleźć w niebezpieczeństwie.

— Musisz być zmęczony, rzekła Agata do ucha Filipa, idź się położyć.

— Podróże kształcą młodzież, rzekł drwiąco Bixiou, skoro pułkownik i pani Bridau wyszli.

Józef, który wstawał o świcie i kładł się wcześniej, nie był świadkiem końca wieczoru. Nazajutrz rano, Agata i ciotka Descoings, przygotowując śniadanie w pierwszym pokoju, nie mogły się wstrzymać od myśli, że, jeżeli Filip zasmakuje w tym sposobie zabawy, wieczory wypadną niesłychanie kosztownie. Dobra staruszka, wówczas licząca siedemdziesiąt sześć lat, poddała myśl sprzedaży swoich mebli, oddania apartamentu na drugim piętrze właścicielowi, który chętnie się na to godził, urządzenia jej pokoju z salonu Agaty, przemienienia zaś na salon pierwszego pokoju, służącego dotąd za jadalnię. Oszczędziłoby się w ten sposób siedemset franków rocznie: to pozwoliłoby dawać pięćdziesiąt franków miesięcznie Filipowi, póki nie znajdzie miejsca. Agata przyjęła to poświęcenie. Skoro pułkownik zeszedł, matka spytała go czy dobrze się czuje w swoim pokoiku, poczem obie wdowy przedstawiły mu położenie. Pani Descoings i Agata posiadały, jednocząc swoje dochody, pięć tysięcy trzysta franków renty, z których cztery tysiące ciotki Descoings były dożywociem. Stara Descoings dawała sześćset franków rocznie młodemu Bixiou (do którego przyznała się od pół roku jako do wnuka), oraz sześćset franków Józefowi; reszta dochodu szła, podobnie jak dochód Agaty, na gospodarstwo i życie. Wszystkie oszczędności zjedzono.

— Bądźcie spokojne, rzekł pułkownik, postaram się o miejsce, nie będę wam ciężarem. Na razie proszę tylko o kromkę chleba i kąt do spania.

Agata uścisnęła syna, ciotka zaś wsunęła w rękę Filipa sto franków na zapłacenie wczorajszego karcianego długu. W dziesięć dni, dokonano sprzedaży ruchomości, oddano apartament i przekształcono mieszkanie Agaty; wszystko z szybkością, jaką widuje się tylko w Paryżu. Przez tych dziesięć dni, Filip wynosił się regularnie z domu po śniadaniu, wstępował na obiad, wychodził wieczór i wracał dopiero po północy. Oto zwyczaj, jakie ex-wojskowy przybrał niemal machinalnie i które przeszły mu w nałóg. Dawał sobie oczyścić obuwie na Nowym moście za dwa su, które byłyby musiał dać śpiesząc przez most *des Arts* do *Palais Royal*, gdzie wypijał dwa kieliszki wódki czytając dzienniki. To zatrudnienie wypełniało mu czas do południa. Około tej pory, puszczał się ulicą Vivienne do kawiarni *pod Minerwą*, gdzie smażyła się wówczas polityka liberalna i gdzie grał w bilard z dawnymi oficerami. Bez względu na rezultat partji, Filip wypalał około dziesięciu cygar, wałęsając się po ulicach. Wypaliwszy wieczorem kilka fajek w szyncku „holenderskim“, szedł, koło dziesiątej, do domu gry, gdzie garson podawał mu kartę i szpilkę. Wywiadywał się u bywalców o koleje jakie przechodziło *czzerwone* i *czarne*, i ryzykował dziesięć franków w chwili największej szansy nie stawiając nigdy więcej niż trzy razy, bez względu na wygraną lub przegraną. Kiedy wygrał, co zdarzało się prawie zawsze, wypijał szklankę ponczu i wracał na swoje poddasze; wówczas mówił o wygrzmoceniu kości *ultrassom* i gwardji, oraz śpiewał na schodach: *Czuwajmy my, Cesarstwa straż!* Biedna matka, słysząc go, myślała:

— Wesół dziś wieczór Filipek.

I szła go uściskać, nie skarżąc się na wyziewy ponczu, likierów i tytoniu.

— Musi mama być ze mnie rada, zagadnął ją pewnego razu, pod koniec stycznia. Prowadzę życie najregularniejsze w świecie.

Filip spotkał się kilka razy w knajpie z dawnymi kolegami. Starzy kamraci udzielili sobie wiadomości o stanie swoich interesów, rozprawiając równocześnie o widokach oswobodzenia cesarza

zapomocą podwodnego statku. Wśród odnalezionych dawnych kolegów, Filip uczuł największą sympatję do starego kapitana dragonów gwardji, nazwiskiem Giroudeau, w którego kompanji zaczął karierę. Ex-dragon stał się przyczyną, że Filip uzupełnił to, co Rabelais nazywa pojazdem djabła, dodając do kieliszka, cygara i gry, czwarte koło. Pewnego wieczora, w początku lutego, Giroudeau zaprowadził Filipa, po obiedzie, do *Gaieté*, do łoży małego dzienniczka, będącego własnością siostrzeńca jego Finota, w którym to dzienniczku Giroudeau ¹⁾ prowadził kasę, książki i ekspedycję. Ubrani, modą oficerów-bonapartystów z konstytucyjnej opozycji, w obszerny surdut z graniastym kołnierzem, zapięty po brodę, spadający na pięty i ozdobiony czerwoną rozetką Legji, uzbrojeni w trzcinę napełnioną ołowiem, która zwisała u dłoni na skórzanej pleciance, dwaj ex-wojacy kroczyli cokolwiek *zawiani*, i, wchodząc do łoży, otwierali sobie wzajem serca. Poprzez opary okazałej ilości butelek i kieliszków, Giroudeau pokazał na scenie Filipowi małą, pulchną i zwinną figurantkę imieniem Florentyna, której łaski i miłość zawdzięczał, podobnie jak łożę, wszechpotędze dziennika.

— Hm, rzekł Filip, do jakiegoż stopnia posuwa się jej ofiarność względem starego wiarusa?

— Bogu dzięki, odparł Giroudeau, nie porzuciłem dawnych zasad naszego chlubnego uniformu. Nigdy nie wydałem ani dwóch szelągów na kobietę.

— Hę? wykrzyknął Filip, przykładając palec do lewego oka.

— Tak, odparł Giroudeau. Ale, mówiąc między nami, dziennik wiele mi pomaga. Jutro, w dwóch wierszach, poradzimy dyrekcji, aby uczyniła szerszy użytek z umiejętności i wdzięku panny Florentyny. Na honor, chłopcze, jestem bardzo szczęśliwy.

— Ej, pomyślał Filip, jeżeli ten czcigodny Giroudeau, mimo czaszki gładkiej jak moje kolano, czterdziestu ośmiu lat, wielkiego

¹⁾ *Stracone złudzenia.*

brzucha, facjaty kipra i nosa jak kartofel jest amantem figurantki, ja powinienem mieć pierwszą aktorkę w Paryżu. — Gdzież można dostać ten towar? rzekł głośno do kapitana.

— Wprowadzę cię dziś wieczór do Florentyny. Mimo że moja Dulcynea ma w teatrze tylko pięćdziesiąt franków miesięcznie, mamy się wcale niezgorzej, dzięki ex-kupcowi bławatnemu, nazwiskiem Cardot, który jej daje pięćset franków na miesiąc.

— Hm, ale... rzekł zazdrosny Filip.

— Ba! rzekł Giroudeau, prawdziwa miłość jest ślepa.

Po przedstawieniu, Giroudeau zaprowadził Filipa do panny Florentyny¹⁾, która mieszkała o dwa kroki od teatru, przy ulicy Crussol.

— Zachowujmy się poprawnie, rzekł Giroudeau. Florentyna ma matkę: domyślasz się, że nie posiadam środków aby jej zafundować matkę teatralną i że ta zacna kobieta jest jej prawdziwą rodzicielką. Ta dama była odźwierną, ale zresztą jestto osoba nader inteligentna, nazywa się pani Cabirolle; tytułuj ją „panią“; wrażliwa jest na to.

Florentyna miała tego wieczora u siebie przyjaciółkę, niejaką Marję Godeschal, piękną jak anioł, zimną jak tancerka, pozatem uczennicę Vestrisa, który jej przepowiadał wielką przyszłość choreograficzną. Panna Godeschal miała wówczas debiutować w Panoramic Dramatycznej pod mianem Marjety i liczyła na poparcie ochmistrza dworu, któremu Vestris oddawna miał ją przedstawić. Vestris, jeszcze rzeźki w tej epoce, uważał iż pupilka nie jest dostatecznie przygotowana. Ambitna Marja Godeschal zdobyła sławę pod pseudonimem Marjety; pozatem, ambicja jej miała bardzo chwalebne pobudki. Miała brata, dependenta u adwokata Derville. Sieroty i biedni, ale kochający się między sobą, widzieli oboje życie takim jakie ono jest w Paryżu; on chciał zostać adwokatem, aby zapewnić byt siostrze, i wydawał ledwie dziesięć su dziennie;

¹⁾ *Pierwsze kroki.*

ona postanowiła na zimno zostać tancerką i korzystać tyleż ze swej piękności co z nóg, aby kupić kancelarję bratu. Poza ich wzajemnem uczuciem, ich interesami i wspólnem życiem, wszystko, jak niegdyś dla Rzymian i Hebrajczyków, było dla nich barbarzyńskiem, obcem, wrogiem. Ta piękna przyjaźń, której nic nie miało skazić, tłumaczyła charakter Marjety tym, co ją znali bliżej. Rodzeństwo mieszkało wówczas na ósmym piętrze przy ulicy *Vieille du Temple*. Marjeta rozpoczęła naukę w dziesiątym roku; liczyła wówczas szesnaście wiosen. Niestety! dla braku tualet, piękność jej, drepcącą pieszo, ukrytą pod tanim kołnierzem z króliczej sierści, grubo obutą i źle utrzymaną, mogli odgadnąć jedynie wytrawni gracze w polowaniu na gryzетки i w pościgu za pięknnością w nędzy. Filip zakochał się w Marjecie. Marjeta widziała w Filipie podpułkownika Gwardji, ordynansowego oficera Cesarza, młodego człowieka lat dwudziestu siedmiu, oraz przyjemność zaimponowania Florentynie oczywistą wyższością Filipa nad kapitanem. Florentyna i Giroudeau, on aby się przysłużyć koledze, ona aby dostarczyć protektora przyjaciółce, popchnęli Marjetę i Filipa do sklejenia małżeństwa *na dziko*. Ten termin paryskiej gwary odpowiada małżeństwu *morganatycznemu*, praktykowanemu przez koronowane głowy. Filip, wychodząc, zwierzył swoje biedy kapitanowi Giroudeau; ale stary wyga pokrzepił go na duchu.

— Pomówię o tobie z moim siostrzeńcem, Finotem, rzekł. Widzisz, Filipku, nadeszło panowanie *cywilów* i mielenia językiem; trzeba się poddać. Dzisiaj, kałamarz robi wszystko, atrament zastąpił proch, słowo zajęło miejsce kuli. Ostatecznie, te małe ropuchy (niiby, myślę, dziennikarze), to ludzie pomysłowi i dosyć głądcy w pożyciu. Przyjdź mnie odwiedzić jutro w biurze, pogadam o tobie z siostrzeńcem. Za jakiś czas, może zdołamy cię ulokować w którymś dzienniku. Marjeta, która, w tej chwili (nie łudź się co do tego), bierze cię bo nie ma nic, ani *engagement*, ani możliwości debiutu, i której powiedziałem że ty będziesz, tak jak ja, w dzienniku, Marjeta dowiedzie ci, że robi to z szczerą miłością i ty jej uwie-

rzysz! Rób jak ja, trzymaj ją na stanowisku figurantki jak długo zdołasz! Byłem tak zakochany, że, gdy Florentyna napała się mieć numer *solo*, prosiłem Finota aby zażądał dla niej debiutu; ale hultaj powiedział mi: „Ma talent, nieprawdaż? Otóż, w dniu, w którym zatańczy swoje *solo*, wyprawi ciebie również *solo za drzwi*“. Hehe, w tem jest cały Finot. Zobaczysz: djabelnie rozgarnięty chłopak!

Nazajutrz około czwartej, Filip znalazł się przy ulicy *du Sentier*, w antresoli. Ujrzał kapitana, zamkniętego jak dzikie zwierzę w rodzaju kojca, w którym znajdował się piecyk, stolik, dwa krzesła i parę wiązek drzewa. Urządzenie to uświetnione było magicznem słowem: *Abonament*, wydrukowanem nad drzwiami, oraz słowem *Kasa*, wypisanem ręcznie i przymocowanem do kratki. Wzdłuż ściany, naprzeciwko *locum* kapitana, ciągnęła się ławeczka, na której spożywał śniadanie inwalida z uciętą ręką, nazwany przez kapitana Giroudeau *Pomidorem*¹⁾, zapewne z powodu egipskiego zabarwienia skóry.

— Paradne! rzekł Filip rozglądając się. I cóż tu robisz ty, ty któryś uczestniczył w szarży biednego pułkownika Chabert pod Eylau? Do kroćset bomb kartaczy! do stu tysięcy par kapitanów djabelskich!

— Ano tak! — hum, hum! — kapitan gwardji podpisuje kwitki na dziennik, rzekł Giroudeau, poprawiając czarną jedwabną krymkę. I, co więcej, jestem odpowiedzialnym redaktorem tych figłów, rzekł ukazując numer dziennika.

— A ja, który chadzałem do Egiptu, teraz chodzę do trafiki po stemple, rzekł inwalida.

— Cisza, Pomidor: rzekł Giroudeau, stoisz tu przed chwatem, który nosił rozkazy cesarza w bitwie pod Montmirail.

— Wedle rozkazu! rzekł Pomidor, straciłem tam rękę, ot, tę której niema.

— Pomidor, pilnuj kramu, idę do siostrzeńca.

¹⁾ *Stracone złudzenia.*

Dwaj ex-wojskowi wdrapali się na czwarte piętro, na poddasze, gdzie zastali młodego człowieka o bladym i zimnym oku, wyciągniętego na lichej kanapce. *Cywil* nie zmienił pozycji, poczęstował wszakże cygarem wuja i przyjaciela wuja.

— Moje dziecko, rzekł słodko i pokornie Giroudeau, oto ów dzielny pułkownik Gwardji, o którym ci mówiłem.

— No i...? rzekł Finot mierzając oczami Filipa, który, tak jak Giroudeau, stracił całą pewność siebie w obliczu tego potentata prasy.

— Mój drogi chłopcze, rzekł Giroudeau, który starał się nadać sobie tony starszego krewnego, pułkownik wraca z Texas.

— Ach, dałeś się pan wziąć na Texas, na Przytulisko? Jesteś pan przecie dość młody, jak na to aby aspirować na żołnierza-rolnika.

Dotkliwość tego żartu rozumieją jedynie ci, którzy przypominają sobie potop rycin, parawanów, zegarów, bronzów i gipsów, jakim dała początek idea żołnierza-rolnika, wielki obraz losu Napoleona i jego chwatów, zanim stał się ulubionym konceptem wodewilów. Pomysł ten przyniósł conajmniej miljon. Jeszcze dzisiaj na zapadłej prowincji znajdziecie żołnierzy-rolników na starych tapetach.

Gdyby młody człowiek nie był siostrzeńcem kolegi, Filip byłby mu zaaplikował parę policzków.

— Tak, dałem się wziąć, straciłem dwanaście tysięcy franków i kawał czasu, rzekł Filip, siląc się zaznaczyć coś w rodzaju uśmiechu.

— I kochasz pan zawsze cesarza? rzekł Finot.

— Jest moim bogiem, odparł Filip Bridau.

— Jesteś pan liberałem?

— Będę zawsze po stronie opozycji konstytucyjnej! Och! Foy! och! Manuel! och! Laffitte! to mi ludzie! Wykurzą stąd tych nędzników, sprowadzonych pod bagnetami zagranicy!

— A zatem, rzekł zimno Finot, trzeba wyciągnąć korzyść ze

swego nieszczęścia, jesteś bowiem ofiarą liberałów, drogi panie! Zostań liberałem, jeżeli ci zależy na przekonaniach; ale pogróż liberałom odkryciem kawału z Texas! Nie dostałeś ani dwóch liardów z subskrypcji narodowej, nieprawdaż? Brawo, jesteś pan w doskonałym położeniu: zażądaj rachunku z subskrypcji. Oto co wyniknie: tworzy się nowy dziennik opozycji, pod patronatem lewicy; zostaniesz pan kasjerem, z tysiącem talarów rocznie, i możesz tam tkwić do śmierci. Trzeba tylko wystarać się o dwadzieścia tysięcy kaucji; znajdź je, a będziesz miał posadę w ciągu tygodnia. Poradzę im aby się pana pozbyli, ofiarowując to miejsce; ale krzycz pan, i to krzycz tego!

Giroudeau puścił na schodach przodem Filipa, który dziękował gorąco, i rzekł do siostrzeńca:

— No, wiesz, ale z ciebie numer!... trzymasz mnie tu na tysiąc-dwustu frankach...

— Dziennik nie pociągnie ani roku, odparł Finot. Dla ciebie mam coś lepszego.

— Tam do kata! rzekł Filip do Giroudeau, nie od parady ma głowę ten siostrzeniec! Nie pomyślałem o tem, aby wyzyskać, jak powiada, moje położenie.

Wieczorem, w kawiarni Lemblin, w kawiarni Minerwy, pułkownik Filip grzmiał przeciw liberałom, którzy urządzali subskrypcje, wysyłali naiwnych do Texas, zawracali głowę żołnierzom-rolnikom, zostawiali dzielną wiarę bez pomocy w nędzy, przejadłszy wyłudzone im dwadzieścia tysięcy franków i nawłóczywszy ich po świecie przez dwa lata.

— Zażądam rachunku z subskrypcji na Przytulisko, rzekł do jednego z bywalców *Minerwy*, który powtórzył to dziennikarzom z lewicy.

Filip nie wrócił na ulicę Mazarin, zaszedł do Marjety oznajmić jej przyszyły udział w dzienniku o dziesięciu tysiącach abonentów, gdzie jej pretensje choreograficzne znajdą gorliwe poparcie. Agata i ciotka Descoings oczekiwały Filipa umierając ze strachu; właśnie

zamordowano księcia de Berri. Nazajutrz, pułkownik spóźnił się na śniadanie; kiedy matka zdradziła mu swe niepokoje, wpadł w gniew, spytał czy jest pełnoletni.

— Do kroćset bomb! ja wam tu przynoszę dobrą nowinę, a wy macie miny jak z katafalku. Uśmiercili księcia de Berri? Tem-ci lepiej, jeden mniej. Tymczasem ja zostaję kasjerem dziennika z tysiącem talarów pensji, i oto zbyliście się kłopotu co do mej osoby.

— Czy podobna? rzekła Agata.

— Tak, jeżeli możecie złożyć dwadzieścia tysięcy kaucji; chodzi tylko o to, aby oddać w depozyt mamina rentę, a procent będzie co kwartał tak jak był.

Obie wdowy, które, od dwóch miesięcy, zabijały się dociekaniem co robi Filip, gdzie i jak go umieścić, uczyły się tak szczęśliwie tą perspektywą, że przestały myśleć o katastrofach chwili. Wieczorem, stary du Bruel, Claparon, który był już w bardzo złej skórce, i nieugięty Desroches, owi mędrcy Grecji, oświadczyli się jednogłośnie: wszyscy poradzili wdowie złożyć kaucję za syna. Dziennik, utworzony bardzo szczęśliwie przed zamordowaniem księcia de Berri, uniknął represyj pana Decazes przeciw prasie. Kapitałik pani Bridau okazał się wystarczający jako kaucja Filipa, którego w istocie zrobiono kasjerem. Dobry syn przyrzekł równocześnie płacić wdowom sto farnków za mieszkanie i utrzymanie, za co obwołały go najlepszym z synów. Ci sami, którzy dotąd źle wróżyli o nim, winiszowali Agacie:

— Źleśmy go osądzili, powiadali.

Biedny Józef, aby nie zostać w tyle, silił się wystarczyć sobie i osiągnął to. W trzy miesiące, pułkownik, który jadł i pił za czterech, wybredzał przy stole, i, pod pretekstem swojej pensji, wciągał wdowy w nadmierne wydatki, nie dał jeszcze na dom ani szeląga. Ani matka ani ciotka Descoings nie chciały przez delikatność przypominać mu obietnicy. Rok minął, a ani jedna z owych sztuk srebra, tak energicznie nazwanych przez Leona Gozlan tygrysami o pięciu pazurach, nie przeszła z kieszeni Filipa do kasy domowej. To

prawda, że, pod pewnym względem, pułkownik uspokoił swoje sumienie: rzadko jadał w domu.

— Przynajmniej jest szczęśliwy, mówiła sobie matka, jest spokojny, ma miejsce!

Dzięki wpływowi feljetonu, który prowadził Vernou¹⁾, jeden z przyjaciół pp. Bixiou, Finota i Giroudeau, Marjeta uzyskała debiut, nie w *Panoramie Dramatycznej*, ale w *Porte-Saint-Martin*, gdzie zdobyła sukces.

Pomiędzy akcjonarzami teatru znajdował się bogaty i hojny generał, zakochany w jednej z aktorek, który, z miłości dla niej, zrobił się impresarjem. W Paryżu spotyka się zawsze ludzi zakochanych w aktorkach, tancerkach lub śpiewaczkach, którzy, z miłości, wykupują akcje teatrów. Generał ten znał Filipa i kapitana Giroudeau. Przy pomocy dzienniczka Finota, oraz pisma w którym pracował Filip, debiut Marjety stał się rzeczą postanowioną między trzema oficerami, tem łatwiej, iż, jak się zdaje, namiętności solidarne są między sobą. Złośliwy Bixiou uwiadomił niebawem babkę oraz pobożną Agatę, że kasjer Filip, bohater nad bohaterami, żyje z Marjetą, słynną tancerką z *Porte-Saint-Martin*. Ta stara nowina spadła na wdowy jak grom. Przedewszystkiem, religijność Agaty była przyczyną, iż patrzyła na komedjantki jak na żagwie piekielne; następnie, obie wychowały się w przekonaniu, że tego rodzaju kobiety jadają złoto, piją perły i rujnują największe fortuny.

— Cóż stąd, rzekł Józef do matki, czy myślicie, że Filip jest na tyle głupi, aby wydawać pieniądze na Marjetę? Te kobiety rujnują tylko bogatych.

— Mówią już o angażowaniu Marjety do Opery, rzekł Bixiou. Ale niech się pani nie obawia, pani Bridau: nasi dyplomaci zaglądadają chętnie do *Porte-Saint-Martin*, a za tem idzie, że ta ładna dziewczyna nie wytrwa długo z panem synkiem. Słyszałem o jakimś ambasadorze do szaleństwa zakochanym w Marjecie. Druga nowina! Stary

¹⁾ *Stracone złudzenia.*

Claparon umarł, chowają go jutro, a jego syn, który został bankierem i tarza się w złocie¹⁾, zamówił kondukt ostatniej klasy. Ten chłopak nie ma wychowania. Inne obyczaje są w Chinach!

Filip, wiedziony chciwością, ofiarował tancerce małżeństwo: ale, mając bliskie widoki wstąpienia do Opery, panna Godeschal odmówiła, czy to że odgadła intencje pułkownika, czy też zrozumiała, jak bardzo niezależność potrzebna jest dla jej kariery. Przez resztę roku, Filip zachodził do matki najwyżej dwa razy na miesiąc. Gdzie przebywał? W swojej kasie, w teatrze, czy u Marjety? Żaden błysk światła w tej mierze nie przeniknął w zacisze ulicy Mazarin. Giroudeau, Finot, Bixiou, Vernou, Lousteau²⁾ widywali go w wirze kolacyjek Tulji, primaballeriny Opery; Florentyny, która zajęła miejsce Marjety w Porte-Saint-Martin; Floryny i Matifata, Koralki i Camusota. Od czwartej popołudniu, pory o której opuszczał kasę, zabawiał się do północy; zawsze było jakieś zebranie umówione w wilgę, obiadek wydawany przez kogoś, karty, kolacyjka. Filip był w swoim żywiole. Karnawał ten, który trwał półtora roku, nie obył się bez trosk. Piękna Marjeta, od debiutu w Operze, w r. 1821, ugięła pod swoje jarzmo jednego z najświetniejszych książąt dworu Ludwika XVIII-go. Filip próbował walczyć przeciw księciu; ale, mimo szczęścia w grze, w porze kwietniowego abonamentu zmuszony był, party swą namiętnością, zaczerpnąć w kasie dziennika. W maju winien był już jedenaście tysięcy. W tym nieszczęsnym miesiącu, Marjeta wyjechała do Londynu, aby, przez czas przebudowy Opery, eksploatować tam lordów. Nieszczęśliwy Filip doszedł, jak często się dzieje, do tego, iż kochał Marjetę mimo jej jawnych niewierności; ale ona widziała w nim jedynie brutalnego i tępego żołdaka, pierwszy szczebel na którym nie miała zamiaru długo się zatrzymać. Toteż, przewidując chwilę w której Filip nie będzie już miał pieniędzy, tancerka umiała sobie zjednać w dziennikarstwie oparcie, zwalnia-

¹⁾ Wielkość i upadek Cezara Birotteau.

²⁾ Stracone złudzenia, Muza z zaścianka.

jące ją od potrzeby zachowania Filipa; mimo to, czuła dlań wdzięczność, znamienne u tego rodzaju kobiet, jako dla człowieka, który pierwszy ułatwił jej początki ciężkiej kariery teatralnej.

Zmuszony zostawić swą drapieżną kochankę w Londynie i nie mogąc za nią pośpieszyć, Filip ściągnął, wedle swego wyrażenia, na leże zimowe i wrócił na ulicę Mazarin, na swoje poddasze. Codziennie, wstając i kładąc się do snu, oddawał się ponurym refleksjom. Czuł, że nie umiałby żyć inaczej niż żył od roku. Zbytek, jaki panował u Marjety, obiady, kolacje, wieczory za kulisami, werwa artystów i dziennikarzy, rozgłos jaki go otaczał, wszystkie połączone z tem zadowolenia miłości własnej i zmysłów; to życie które nie istnieje poza Paryżem i które daje każdego dnia coś nowego, stało się dla Filipa więcej niż przyzwyczajeniem; stanowiło ono jego konieczność, jak tytoń i kieliszek. Toteż uczuł, iż nie byłby zdolny żyć bez tych nieustannych uciech. Myśl o samobójstwie zaświtała mu w głowie, nie dla deficytu w kasie, który musiał się wydać, ale z powodu niemożności życia z Marjetą, w atmosferze rozkoszy w jakich nurzał się od roku. Pełen tych posępnych myśli, zaszedł pierwszy raz do brata, którego zastał przy pracy, w niebieskiej bluzie, kopjącą obraz na zamówienie handlarza.

— Więc tak robi się obrazy? rzekł Filip, aby nawiązać rozmowę.

— Nie, odparł Józef, ale tak się je kopuje.

— I ileż za to płacą?

— Et! nigdy dosyć, dwieście pięćdziesiąt franków; ale studjuje sposoby mistrzów, ucze się, podpatruję sekrety rzemiosła. Oto mój własny obraz, rzekł wskazując pendzlem szkic, jeszcze wilgotny od świeżej farby.

— I ileż zgarniesz na rok do pończochy w ten sposób?

— Na nieszczęście, znany jestem dopiero wśród malarzy. Mam poparcie Schinnera, który przyrzekł mi wyrobić roboty w zamku Presler, ruszę tam około października sporządzać arabeski, obramienia, ornamenty, bardzo dobrze płatne przez hrabiego do Séri-

zy¹⁾. Otóż, z temi landszaftami, z zamówieniami handlarzy, będę mógł teraz wybić rocznie jakie tysiąc ośmset do dwóch tysięcy franków, po opłaceniu kosztów. Ba! na najbliższej wystawie, dam ten obraz; jeżeli się spodoba, postawi mnie na nogi; przyjaciele są zeń radzi.

— Nie znam się na tem, rzekł Filip łagodnie, tak że aż Józef popatrzał na niego.

— Co tobie? spytał artysta, widząc iż pobladł.

— Chciałbym wiedzieć, ile czasu potrzebowałbyś aby zrobić mój portret.

— Hm, pracując ostro, jeżeli będzie dosyć światła, za jakie trzy do czterech dni mógłby być gotów.

— To zadługo, mógłbym ci poświęcić tylko dzień. Biedna matka tak mnie kocha, że chciałbym jej zostawić swoją podobiznę. Nie mówmy już o tem.

— Cóż takiego, czy znowu gdzie wyjeżdżasz?

— Tak, i aby już nie wrócić, rzekł Filip z fałszywą wesołością.

— No? Filipie, mój drogi, co się z tobą dzieje? Jeżeli to coś poważnego, toć jestem mężczyzną, nie jestem dudkiem, gotuję się do twardej walki; a jeśli ci chodzi o dyskrecję, możesz na nią liczyć.

— Czy pewnie?

— Na mój honor.

— Nie powiesz nic nikomu na świecie?

— Nikomu.

— A zatem, mam zamiar wpakować sobie kulę w łeb.

— Ty! masz pojedynek?

— Nie; chcę się zabić.

— Dlaczego?

— Wziąłem jedenaście tysięcy franków z kasy, mam zdać rachunki jutro; zmniejszą mi do połowy kaucję, biedna matka będzie miała tylko sześćset franków renty. To, to jeszcze nic, będę jej póź-

¹⁾ Ostatnie wcielenie Vautrina, Pierwsze kroki, etc.

niej mógł oddać dziesięćkrotnie: ale jestem shańbiony! Nie potrafię żyć z hańbą.

— Nie będziesz shańbiony, jeżeli zwrócisz co wzięłeś, ale stracisz miejsce, zostanie ci jedynie pięćset franków pensji twojej Legji, a za pięćset franków można żyć.

— Bądź zdrow! rzekł Filip, który zeszedł szybko nie chcąc słu-chać.

Józef opuścił pracownię i zbiegł do matki na śniadanie; ale zwierzenie Filipa odjęło mu apetyt. Wziął na stronę ciotkę i powie-dział jej fatalną nowinę. Staruszka wydała przeraźliwy krzyk, upu-ściła filiżankę z mlekiem i padła na krzesło. Nadbiegła Agata. Od słowa do słowa, wreszcie wyjawiono matce nieszczęsną prawdę.

— On! mógł minąć się z honorem! syn mego Bridau naruszył kasę!

Drżała na całym ciele, oczy jej rozszerzyły się, zmartwiały; usiadła i wybuchnęła płaczem.

— Gdzie on jest? wykrzyknęła szlochając. Może poszedł rzucić się do Sekwany.

— Nie trzeba znowuż rozpaczać, rzekła Descoings, dlatego że biedny chłopak spotkał złą kobietę i dał się wciągnąć do szaleństw. Mój Boże! to bywa. Filip, aż do swego powrotu, przeszedł tyle nie-szczęść, tak mało miał sposobności być szczęśliwym i kochanym, że nie trzeba się dziwić namiętności jego dla tej... Każda namiętność wiedzie do ostateczności! Ja mam w życiu też wyrzut tego ro-dzaju, a uważam się, mimo to, za uczciwą kobietę! Jeden występek nie czyni jeszcze zbrodniarza! Ostatecznie, tylko tym co nic nie robią, nie zdarza się pobiłdzić!

Rozpacz Agaty była tak straszliwa, że stara Descoings i Józef silili się umniejszyć błąd Filipa, tłumacząc, że we wszystkich rodzi-nach zdarzają się tego rodzaju sprawy.

— Ależ on ma dwadzieścia ośm lat, wykrzyknęła Agata, to już nie dziecko.

Straszne słowo, które ujawnia, jak wytrwale biedna kobieta myślała o postępowaniu syna.

— Mamo, upewniam cię, iż on myślał jedynie o twojem strapieniu i krzywdzie jaką ci wyrządził, rzekł Józef.

— Och, mój Boże! niech wraca! niech żyje, a przebaczam mu wszystko! wykrzyknęła biedna matka, w której umyśle zarysował się straszliwy obraz topielca.

Zapanowało ponure milczenie. Dzień upłynął w najokrutniejszych wzruszeniach. Wszyscy troje rzucali się za najmniejszym hałasem ku oknu i gubili się w domysłach. Przez czas kiedy rodzina oddawała się rozpacz, Filip spokojnie porządkował kasę. Miał na tyle zuchwalstwa, iż zdał rachunki, powiadając, iż, w obawie jakiegoś nieszczęścia, przechował jedenaście tysięcy franków u siebie w domu. Ladaco wyszedł o czwartej, biorąc z sobą jeszcze pięćset franków, i udał się spokojnie do domu gry, gdzie nie pojawiał się od objęcia posady, rozumiał bowiem, że kasjer nie może odwiedzać szulerni. Chłopak ten posiadał w wysokim stopniu zmysł rachuby. Późniejsze jego postępowanie wykaże zresztą, że więcej cech charakteru wziął po dziadku Rouget, niż po swym cnotliwym ojcu. Byłby może dobrym generałem; ale, w życiu prywatnem, był jednym z owych głębokich zbrodniarzy, którzy chronią swoje zamiary i złe uczynki parawanem legalności i dyskretnym dachem rodziny. W tem ostatecznem przedsięwzięciu Filip zachował całą zimną krew. Zrazu wygrywał i doszedł do sześciu tysięcy; ale dał się oslepić żądzy zakończenia jednym zamachem. Porzucił *trente et quarante*, słysząc iż na ruletce *czarne* przeszło szesnaście razy z rzędu; postawił pięć tysięcy na czerwone; *czarne* wyszło jeszcze siedemnasty raz. Pułkownik postawił tedy bilet tysiącfrankowy na *czarne* i wygrał. Mimo tego zdumiewającego zrozumienia hazardu, głowę miał zmęczoną; czuł to, a jednak uparł się grać dalej; ale instynkt, za którym idą gracze i który objawia się błyskawicami, nie dopisywał. Szansa zaczęła iść zygzakiem, który jest zgubą graczy. Jasność widzenia, tak jak promienie słoneczne, może działać jedynie w linji prostej, od-

gaduje jedynie pod tym warunkiem iż spojrzenie nie będzie się ła-
mało; mąci się w migotliwych skokach szczęścia. Filip przegrał
wszystko. Po tak silnych próbach, najbardziej obojętna i zatwar-
działa dusza mięknie. Toteż, wracając do domu, Filip nie myślał
już o swej groźbie samobójstwa, tem mniej iż nigdy nie miał zamia-
ru się zabić. Nie myślał już ani o straconej posiadzie, ani o naruszo-
nej kaucji, ani o matce, ani o Marjecie, przyczynie swoich utrapień;
szedł machinalnie przed siebie. Kiedy wszedł, matka we łzach, stara
Descoings i brat rzucili mu się na szyję, i pociągnęli go z radością
do kominka.

— Hehe! pomyślał, anons poskutkował.

Potwór tem łatwiej przybrał wyraz twarzy stosowny do okolicz-
ności, ile że perypetje gry wzruszyły go głęboko. Widząc swego
okrutnego Benjaminka bladym i zmienionym, biedna matka ukle-
kła u jego kolan, ucałowała mu ręce, położyła je sobie na sercu,
i patrzała nań długo z oczyma pełnemi łez.

— Filipie, rzekła zdławionym głosem, przyrzeknij że się nie
zabijesz, zapomnimy wszystko.

Filip popatrzał na wzruszonego brata, na ciotkę Descoings któ-
ra miała łzy w oczach, i pomyślał:

— Niema co; dobrzy ludziska!

Przygarnął tedy matkę, podniósł ją, wziął na kolana, przycisnął
do serca, i szepnął jej do ucha:

— Drugi raz dajesz mi życie!

Stara Descoings znalazła okazję aby podać doskonały obiadek,
wyciągnąć dwie butelki starego wina i nieco wyspiańskiego likieru:
skarby pozostałe z dawnego handelku.

— Agato, trzeba mu pozwolić wypalić cygaro! rzekła przy de-
szerze. I podała cygara Filipowi.

Biedne istoty wyobraziły sobie, iż, zostawiając chłopcu swobo-
dę, sprawią że polubi dom i będzie się go trzymał; toteż obie starały
się przyzwyczać do zapachu tytoniu, którego nie mogły znosić.
Filip nie zauważył nawet tego poświęcenia. Nazajutrz, Agata zda-

wała się starsza o dziesięć lat. Skoro raz uśmierzył się niepokój, przyszły refleksje; biedna kobieta nie mogła zmrużyć oka tej strasznej nocy. Dochód jej miał spaść do sześciuset franków renty. Jak wszystkie kobiety tłuste i łakome, Descoings, nękana upartem zaflegmieniem płuc, stawała się ciężka; kroki jej rozlegały się na schodach jak uderzenia stępora; mogła umrzeć w każdej chwili; z nią, przepadały cztery tysiące franków. Czyż nie było szaleństwem liczyć na tę pomoc? Co począć? co postanowić? Zdecydowana raczej zarabiać czuwaniem przy chorych niż być ciężarem dzieciom, Agata nie myślał o sobie. Ale co pocznie Filip, mając jedynie pięćset franków oficera Legji? Od jedenastu lat, stara Descoings, oddając co roku tysiąc talarów, spłaciła niemal dwa razy swój dług i poświęcała ciągle interesa wnuka na rzecz rodziny Bridau. Mimo że żywe poczucie uczciwości oraz surowe zasady Agaty przeszły okrutną próbę w tem nieszczęściu, mówiła sobie:

— Biedny chłopiec, czy to jego wina? Jest wierny swemu uczuciu. Mój błąd, że nie pomyślałam o tem aby go ożenić. Gdybym mu znalazła żonę, nie wdałby się z tą tancerką. Taki silnie zbudowany chłopiec...

Stara kupczyni także spędziła noc na rozmyślaniach jak ocalić honor rodziny. Skoro świt, zwlekła się z łóżka i podreptała do przyjaciółki.

— To nie twoja ani Filipa rzecz rozplątywać tę drażliwą sprawę. To prawda, niema już naszych starych przyjaciół: Claparon i du Bruel pomarli; ale pozostaje nam Desroches; to tęga głowa. Pójdę do niego dziś rano. Desroches powie, że Filip padł ofiarą zaufania do przyjaciela, i że słabość jego w podobnej próbie czyni go wyraźnie niezdatnym do prowadzenia kasy. To, co zdarzyło się dziś, mogłoby się powtórzyć. Filip wniesie pierwszy dymisję, nie odprawia go zatem.

Agata, widząc w tem oficjalnem kłamstwie ocalenie honoru, przynajmniej dla świata, uściskała ciotkę, która wyszła łątać tę okropną sprawę. Filip spał snem sprawiedliwego.

— Szczwana stara! rzekł z uśmiechem, skoro Agata przyszła mu powiedzieć czemu śniadanie się spóźnia.

Stary Desroches, ostatni przyjaciel biednych kobiet, który, mimo iż nieużyty z zasady, pamiętał zawsze iż poparciu nieboszczyka Bridau zawdzięczał swoje miejsce, wywiązał się jak skończony dyplomata z delikatnej misji. Przyszedł na obiad, zawiadomił Agatę aby się nazajutrz udała do urzędu skarbowego podpisać przelanie praw do części swej renty oraz podjąć kupon na sześćset franków jakie jej zostały. Stary urzędnik nie pierwej opuścił dom nawiedzony rozpaczą, aż uzyskał od Filipa przyrzeczenie iż podpisze podanie do ministerjum wojny, z prośbą o wcielenie do kadrów. Desroches przyrzekł kobietom, iż dopilnuje losów podania, i skorzysta z tryumfu jaki książę odniósł nad Filipem w sercu tancerki, aby uzyskać poparcie tego magnata.

— Nim upłyną trzy miesiące, będzie podpułkownikiem w pułku księcia Maufrigneuse i zbędziecie się go z głowy.

Desroches odszedł, przeprowadzony błogosławieństwami obu kobiet i Józefa. Co do dziennika, ten, w dwa miesiące później, wedle przewidywań Finota, przestał wychodzić; tem samem błąd Filipa nie miał żadnego odgłosu. Ale serce Agaty doznało najgłębszej rany. Od chwili gdy wiara w syna zachwiała się w niej, żyła w nieustających obawach, pomieszanych z zadowoleniem kiedy widziała iż złe przecucia zawodzą.

Skoro ludzie obdarzeni odwagą fizyczną, ale słabi i nikczemni, jak Filip, raz spostrzegą iż porządek rzeczy wraca do zwykłego biegu po katastrofie w których moralność ich zatraciła się niemal do szczętu, wówczas ta pobłażliwość rodziny lub przyjaciół staje się dla nich zachętą. Liczą na bezkarność: spaczony ich umysł, zadowolone namiętności skłaniają ich do studjów nad sposobami w jakie udało się im odwrócić prawa społeczne, i nabywają piekielnej w tem zręczności. W dwa tygodnie potem, Filip, znowu bezczynny, znudzony, wrócił z konieczności do kawiarni, do stacyj znaczonych kieliszkami, do wiecznych partyj bilardu zakrapianych ponczem, do nocnych po-

siedzeń w domu gry, gdzie rzucał w dobrej chwili niedużą stawkę i zgarniał skromny zysk pozwalający mu podtrzymać swój nie-rząd. Na pozór oszczędny, aby lepiej oszukać matkę i starą Descoings, nosił stary kapelusz z obstrzępionem rondem, łatané buty, wytarty tużurek na którym ledwie było znać czerwoną rozetkę, zrudziałą od długiego noszenia, poplamioną likierem lub kawą. Zielonkawe jelenie rękawiczki zdradzały długą służbę. Ałasowy kołnierz zmieniał Filip dopiero wówczas, gdy się stał podobny do szmaty. Marjeta była jedyną miłością tego człowieka; toteż zdrada tancerki do reszty zatwardziła mu serce. Kiedy, przypadkowo, osiągnął jakieś nieoczekiwane zyski, lub kiedy zdarzyło mu się wiecznerzać ze starym kamratem Giroudeau, Filip zwracał się wówczas do Wenery ulicznej, jakby z brutalną wzdargą dla całej płci. Pozatem, wiódł regularny tryb życia, śniadał i obiadował w domu, i wracał codziennie koło pierwszej. Trzy miesiące tego okropnego życia wróciły nieco otuchy Agacie. Co do Józefa, oddanego pracy nad wspaniałym obrazem, któremu miał zawdzięczać reputację, żył on jedynie w pracowni. Ciotka Descoings, która, na słowo wnuka, wierzyła w przyszłość Józefa, otaczała malarza macierzyńskimi staraniami; nosiła mu rano śniadanie, załatwiała sprawunki, czyściła mu trzewiki. Malarz pokazywał się jedynie na obiad, wieczory zaś należały do przyjaciół z *Biesiady*. Czytał zresztą dużo, zdobywał to głębokie i poważne wykształcenie, które człowiek zawdzięcza tylko samemu sobie i które wszyscy utalentowani ludzie starają się zdobyć między dwudziestym a trzydziestym rokiem. Agata, mało widując Józefa i wolna w tej mierze od niepokojów, istniała jedynie przez Filipa. On tylko jeden dostarczał jej owych kolejnych obaw, niepokojów, radości, które są potrosze życiem uczucia i które tak samo potrzebne są macierzyństwu jak miłości. Desroches, który, mniejwięcej raz na tydzień, odwiedzał wdowę dawnego zwierzchnika i przyjaciela, dawał jej nadzieje: książe de Maufrigneuse zażądał Filipa dla swego pułku, minister kazał sobie przedłożyć raport; że zaś nazwisko Bridau nie znajdowało się na żadnej liście policyjnej, w żadnych aktach sądo-

wych, Filip, w pierwszych miesiącach przyszłego roku, może się spodziewać mianowania i reintegracji. Aby to osiągnąć, Desroches puścił w ruch wszystkie znajomości; zarazem, informacje zasięgnięte w prefekturze policji pouczyły go, iż Filip uczęszcza do domu gry. Uważał za stosowne powierzyć ten sekret jedynie starej Descoings, radząc czuwać nad przyszłym podpułkownikiem, jakkolwiek bowiem skandal mógł zniweczyć wszystkie widoki; na razie, minister wojny nie będzie się dowiadywał o to czy Filip jest graczem. Raz znalazłszy się w pułku, jest nadzieja, iż podpułkownik poniecha namiętności, wynikłej z braku zatrudnienia. Agata, do której wieczorem nikt już nie zachodził, czytała pacierze przy kominku, podczas gdy ciotka stawiała kabałę, wykladała sobie sny, lub wyciągała z kartianych konfiguracji wskazówki dla przyszłych stawek. Zaciekle gracza nie pominęła żadnego ciągnięcia; ciągle męczyła swoje terno, które jeszcze nie wyszło.

To terno kończyło właśnie dwadzieścia jeden lat, dochodziło pełnoletności. Stara wiązała wiele nadziei z tą błahą okolicznością. Jeden numer zawieruszył się na dnie koła od czasu powstania loterji; toteż Descoings szalenie obstawiała ten numer i wszystkie kombinacje trzech cyfr. Najgłębszy materac służył za skarbonkę biednej starej; pruća go, wkładała sztukę złota oszczędzoną na swoich potrzebach, starannie zawiniętą w papier, i zaszywała materac z powrotem. Pragnęła, przy ostatniem ciągnięciu loterji paryskiej, zaryzykować wszystkie oszczędności na kombinacje swego ukochanego terna. Namiętność ta, tak powszechnie potępiana, nigdy nie spotkała się z głębszem studjum. Nikt nie odgadł w niej narkotyku nędzy. Loterja, ta najpotężniejsza wróżka świata, czyż nie roztacza kręgu magicznych nadziei? Obrót ruletki, który ukazuje graczom stosy złota i rozkoszy, trwa jedynie mgnienie błyskawicy; gdy loterja daje tej wspaniałej błyskawicy pięć dni trwania. Gdzież jest dziś potęga, zdolna, za czterdzieści su, uczynić was na przeciąg pięciu dni szczęśliwymi i dać wam w marzeniu wszystkie rozkosze cywilizacji? Tytoń, podatek tysiąc razy niemoralniejszy niż gra, ruj-

nuje zdrowie, nadweręża inteligencję, otumania cały naród; gdy loterja nie sprowadza żadnych tego rodzaju nieszczęść. Namiętność ta jest zresztą zmuszona miarkować się, wskutek odstępów, jakie dzieła ciągnięcia, oraz wedle poszczególnych kół, do jakich każdy gracz ma zaufanie. Descoings stawiała tylko na *paryzkie*. W nadziei iż doczeka się tryumfu terna hodowanego od dwudziestu lat, ścisnęła się do ostatnich granic, aby móc z pełną swobodą obstawić ostatnie ciągnięcie w roku. Kiedy miała sny kabalistyczne (nie wszystkie sny znajdują wykład w numerach loterji), opowiadała je Józefowi; był to jedyny człowiek, który słuchał jej, nietylko nie łajac, ale znajdując dla staruszki łagodne słowa, jakimi artyści umieją pocieszać szaleństwa ducha. Wszystkie wielkie talenty szanują i rozumieją prawdziwe namiętności, tłumaczą je sobie i odnajdują ich korzenie w sercu lub w głowie. Wedle Józefa, brat kochał tytoń i kieliszek, stara Descoings terno, matka kochała Boga, młody Desroches procesy, stary Desroches rybołówstwo; każdy, powiadał Józef, coś kocha na świecie. Co do niego, kochał piękny ideał we wszystkim: poezję Byrona, malarstwo Géricaulta, muzykę Rossiniego, romanse Walter-Scotta.

— Każdy ma swego kręcka, mamusi. Tylko że twoje terno coś bardzo daje się prosić.

— Wyjdzie, wyjdzie, będziesz bogaty; ty, i mój mały Bixiou także!

— Niech ciocia wszystko zostawi wnukowi. A zresztą, jak ciocia ma ochotę!

— Ech, jeżeli wyjdzie, będzie dosyć dla was wszystkich. Ty, przedewszystkiem, będziesz miał piękną pracownię, nie będziesz sobie skąpił na włoską operę aby mieć z czego opłacić modela i farby. Czy wiesz, dziecko, dodała, że ty mi nieszczęśliwą rolę każesz odgrywać w tym obrazie?

Przez oszczędność, Józef uprosił starą Descoings, aby pozowała w jego wspaniałym obrazie, przedstawiającym młodą kurtyzanę, którą staruszka przyprowadza rzymskiemu senatorowi. Obraz ten,

jedno z arcydzieł nowożytnego malarstwa, które sam Gros wziął za Tycjana, przygotował znakomicie młodych artystów do uznania i obwołania tryumfu Józefa w Salonie r. 1823.

— Ci, co ciocię znają, wiedzą kim jesteś, odparł wesoło, a pocóż miałabyś się troszczyć o innych?

Od dziesiątka lat, Descoings przybrała dojrzałe tony złocistej renety. Mnóstwo zmarszczek utworzyło się w pulchnem ciele, które stało się zimne i miękkie. Oczy, pełne blasku, zdawały się rozświetlone myślą młodą jeszcze i żywą, która mogła doskonale uchodzić za przebłysk chciwości, ile że w graczu jest zawsze coś z chciwca. Pulchniutka twarz nosiła ślady głębokiej obłudy, ukrytej myśli zarzebanej na dnie serca. Namietność jej wymagała tajemnicy. W ruchu warg miała coś z łakomstwa. Toteż, mimo iż była ową zącą i wyborną kobietą jaką znacie, oko mogło się omylić. Przedstawiała wręcz idealny model postaci, którą Bridau zamierzył oddać. Korallja, cudnej piękności aktorka, zmarła w wiośnie życia ¹⁾, kochanka młodego poety i przyjaciela Józefa, Lucjana de Rubempré, obudziła w nim myśl tego obrazu. Zarzucano temu płótnu, iż jest pastiszem, gdy ono było wspaniałem ujęciem w ramy trzech portretów. Michał Chrestien, jeden z *Biesiady*, użył, dla postaci senatora, swej głowy republikanina, którą Józef uczynił nieco dojrzałą, tak samo jak pogłębił wyraz ciotki Descoings. Ten wielki obraz, który miał sprawić tyle hałasu i obudzić tyle nienawiści, zazdrości i zachwytów, był już naszkicowany; ale chwilowo Józef, zmuszony przerwać go dla zamówień dających mu środki do życia, kopiował starych mistrzów, przesiąkając ich sposobami; toteż pendzel jego pobijał wiedzą całe młode pokolenie malarzy. Zdrowy rozum artysty podsunął Józefowi myśl ukrywania przed ciotką i matką zysków jakie zaczynały mu napływać, ponieważ tak dla jednej jak dla drugiej widział źródło niezawodnej ruiny w Filipie i w loterji. Zimna krew, jaką żołądek okazał w swej katastrofie, jasne już dla Józefa wyrachowanie

¹⁾ *Stracone złudzenia.*

kryjące się pod rzekomem samobójstwem, pamięć błędów popełnionych w karierze której nie powinien był opuszczać, najdrobniejsze wreszcie szczegóły postępowania Filipa, otworzyły wreszcie oczy bratu. Oku malarza rzadko zbywa owej przenikliwości: zajęci całe dni, w ciszy pracowni, pracą, która zostawia, do pewnego stopnia, swobodę myśli, podobni są potrosze do kobiet; myśl ich może krążyć koło drobnych wydarzeń i przenikać ich ukryte znaczenie. W tym czasie, Józef kupił wspaniały kantorek (moda nie rzuciła się jeszcze na te antykwarskie splendory), aby ozdobić kąt pracowni. Światło igrało w płaskorzeźbach, użyczając całego blasku temu arcydziełu rękodzielników XVI-go wieku. Odnalazł w nim skrytkę, i gromadził w niej zapasowy grosik. Z ufnością wrodzoną prawdziwym artystom, pieniądze które przeznaczył sobie na miesięczne wydatki, kładł zazwyczaj do trupiej główki stojącej na kantorku. Otóż, od czasu powrotu brata do domu znajdował stałą różnicę między cyfrą wydatków a odłożoną sumą. Miesięczne sto franków znikają z nieprawdopodobną szybkością. Za pierwszym razem, znalazłszy, po wydaniu czterdziestu lub pięćdziesięciu franków, skarbonkę pustą, pomyślał:

— Coś mi pieniądze wędrują extrapocztą!

Za drugim razem, zaczął obliczać wydatki, ale daremnie rachował, jak Robert Macaire, szesnaście a pięć jest dwadzieścia trzy, nie mógł się doliczyć. Spostrzegłszy za trzecim razem grubszy uszczerbek, zwierzył się ze swem strapieniem starej Descoings, w której czuł dla siebie ową miłość macierzyńską, tkliwą, ufną, wierzącą, entuzjastyczną, jakiej, mimo całej dobroci, brakowało matce. Miłość taka tak samo jest potrzebna artyście w początkach kariery, jak pieczołowitość kury piskletom nim się opierzą. Jej jednej mógł zwierzyć swoje straszliwe podejrzenia. Pewien był swoich przyjaciół jak samego siebie, ciotka z pewnością nie podbierałaby go na rzecz loterii; na samą myśl o tem, zacna kobieta załamała ręce: jeden Filip mógł zatem dopuszczać się tej kradzieży.

— Czemu nie poprosi mnie, kiedy mu potrzeba? wykrzyknął

Józef, nabierając farb i mącąc w mimowiednym wzburzeniu wszystkie kolory. Czy odmówiłbym mu pieniędzy?

— Ależ to znaczy ograbiać dziecko! wykrzyknęła Descoings, której twarz wyrażała najgłębszą zgrozę.

— Nie, odparł Józef, jemu wolno; jest moim bratem i wszystko co moje jest jego; ale powinien był mnie uprzedzić.

— Zostaw dziś, pod rachunkiem, jakąś sumkę, i nie ruszaj jej, rzekła Descoings. Będę uważała kto wchodzi do pracowni; jeżeli on jeden, będziesz miał pewność.

Nazajutrz rano, Józef posiadał tedy dowód musowych pożyczek, jakimi brat go obciążał. Filip wchodził do pracowni podczas nieobecności Józefa i brał drobne sumy kiedy mu było potrzeba. Artysta zadrżał o swój skarbczyk.

— Czekaj! czekaj! już ja cię przyłapię, ptaszku, rzekł, śmiejąc się, do ciotki.

— Dobrze zrobisz: musimy go wyleczyć, bo i ja, tak samo, nie zawsze mogę doliczyć się sakiewki. Ale cóż, biedny chłopiec, trzeba mu tytoniu, przyzwyczał się.

— Biedny chłopiec, biedny chłopiec! odparł artysta. Jestem potrosze zdania Fulgencjusza i Bixiou: Filip bierze nas ustawicznie na kawał: to pakuje się w warcholstwa i trzeba go wysyłać do Ameryki, co kosztowało biedną matkę dwanaście tysięcy; nie umie sobie dać rady w lasach nowego świata, i powrót jego kosztuje tyle co wyjazd. Pod pozorem iż powtórzył dwa słowa Napoleona jakiemuś generałowi, Filip uważa się za wielkiego wodza i czuje się w obowiązku boczyć na Burbonów; tymczasem bawi się, podróżuje, buja po świecie. Co do mnie, ja się tam nie biorę na jego nieszczęścia, nie wygląda na człowieka któremuby się gdziekolwiek działa krzywda! Spadają chwatowni z nieba doskonale posady, pędzi życie Sardana-pala z panienką z Opery, ściąga sobie w naturze dziennikarskie harcze i znowuż kosztuje matkę dwanaście tysięcy! Pewnie, o ile o mnie chodzi, gwizdź na to; ale Filip doprowadzi tę biedną kobietę do ruiny. Uważa mnie za zupełne zero, bo nie służyłem w drago-

nach! A tymczasem może to ja dam kawałek chleba tej drogiej kobiecie na starość, gdy nasz rębajło, jeżeli pójdzie tym trybem, skończy djabli wiedzą jak. Bixiou mówił kiedyś: „Ten twój braciszek, to kawalarz pierwszej klasy!“ Otóż, ciocin wnuk ma słuszość: Filip wysmaży jakiś pasztet, skompromituje honor rodziny, i znówuż trzeba będzie wyrwać dziesięć lub dwanaście tysięcy! Grywa co wieczór, wraca pijany jak bela, i gubi na schodach nakłute karty, gdzie sobie znaczył porządek ruletki. Stary Desroches staje na głowie aby wyrobić Filipowi powrót do armji, a ja, na honor, pewien jestem, że on byłby w rozpacy, gdyby mu przyszło zacząć służbę. Ktoby pomyślał, że chłopiec, który ma takie ładne przejryste niebieskie oczy i minę rycerza Bajarda, wyrośnie na skończonego draba?

Mimo przezorności i zimnej krwi z jaką Filip kierował wieczornemi stawkami, zdarzyło się wszakże i jemu paść ofiarą katastrofy która w języku graczy zowie się splukaniem. Pchany nieprzepartą żądzą zdobycia koniecznych na stawkę dziesięciu franków, zagarniał wówczas bez skrupułu bądź pieniądze brata, bądź sumkę którą Descoings zostawiła gdzieś nieopatrznie, albo wreszcie grosik Agaty. Pewnej nocy, ledwie zmrużywszy oczy, biedna wdowa miała straszliwą wizję. Filip wszedł do pokoju, i wytrząsnął z jej sukien wszystkie pieniądze. Agata udawała że śpi, ale przepłakała resztę nocy. Widziała jasno. „Jeden błąd nie czyni jeszcze zbrodniarza“, mawiała Descoings, ale po tych nawrotach, trudno było zachować złudzenia. Agata nie mogła wątpić: jej najukochańszy syn był człowiekiem bez uczciwości i honoru. Nazajutrz po tej straszliwej wizji, po śniadaniu, nim Filip wyszedł, ściągnęła go do swego pokoju, aby go prosić, błagalnym tonem, by zwrócił się otwarcie, ilekroć będzie mu trzeba pieniędzy. Żądania ponawiały się wówczas tak często, że, od dwóch tygodni, Agata wyczerpała wszystkie oszczędności. Znalazszy się bez grosza, myślała o zarobku; kilka wieczorów roztrząsała z ciotką Descoings sposoby zdobywania pieniędzy swą pracą. Biedna matka wywiadywała się w magazynach o zamówienia na hafty; zajęcie, które daje około dwudziestu su dziennie. Mimo dyskrecji siostrzenicy, Des-

coings dobrze odgadła jej pobudki. Fizjognomja Agaty była zresztą dość wymowna: jej świeża twarz wyschła, skóra obciągnęła się na skroniach i policzkach, czoło pokryło się zmarszczkami; oczy traciły przejrzystość: widać było, iż pożera ją jakiś wewnętrzny ogień. Płakała po nocach; ale co wyniszczało ją najbardziej, to konieczność tajenia swych cierpień, bólów, obaw. Nie była zdolna usnąć przed powrotem Filipa, nadśluchiwała go na ulicy. Wystudjowała odmiany jego głosu, chodu, wymowę laski wlokącej się po bruku. Nic nie uszło jej uwagi, poznawała w jakim stopniu pijaństwa Filip wraca, drżała słysząc jak się potyka na schodach. Jednego dnia, znalazła parę sztuk złota, w miejscu gdzie w nocy się przewrócił. Kiedy pił i wygrał, głos miał zachrypły, laska włożyła się po ziemi; natomiast kiedy przegrał, krok jego miał coś suchego, wyrazistego, wściekłego; śpiewał pełnym głosem i trzymał laskę ku górze, jak pałasz przy ramieniu. Kiedy wygrał, zachowanie jego przy śniadaniu było wesołe, niemal serdeczne; żartował, grubo wprawdzie, ale żartował, z ciotką, Józefem i matką; przeciwnie kiedy przegrał, ponurość jego, zwięzłe i urywane słowa, twarde spojrzenie, smutek, miały coś przerażającego. Rozpustne życie i nałóg kieliszka zmieniały z dnia na dzień tę twarz, niegdyś tak piękną. Żyły na policzkach nabiegły krwią, rysy grubiały, rzęsy wypadały. Wreszcie, mało dbały o swą osobę, Filip wyziewał miazmaty szynku, woń zabłoconego obuwia, który, nawet dla najbardziej obcego, stałby się znamieniem tego plugawego życia.

— Powinienbyś, rzekła Descoings do Filipa w pierwszych dniach grudnia, sprawić sobie nową odzież od stóp aż do głowy.

— A kto ją zapłaci? odparł cierpko. Biedna matka nie ma już grosza, ja mam pięćset franków na rok. Nowe ubranie pochłonęłoby roczną pensję, a ja już ją zastawiłem na trzy lata.

— Czemu? spytał Józef.

— Dług honorowy. Giroudeau pożyczył mi tysiąc franków, które wziął od Florentyny... Nie jestem strojny, to prawda; ale kiedy się pomyśli, że Napoleon jest na św. Helenie i sprzedaje srebra aby

żyć, żołnierze którzy zostali mu wierni muszą chodzić na własnych piętach, rzekł, ukazując buty prawie bez obcasów.

I wyszedł.

— To nie jest zły chłopiec, rzekła Agata, ma dobre uczucia.

— Można kochać cesarza a myć się co rano, rzekł Józef. Gdyby dbał o siebie i o swoją odzież, nie wyglądałby na włóczęgę i obdarta tusa!

— Józefie, trzeba być pobłażliwym dla brata, rzekła Agata. Ty robisz to czegoś pragnął, prawda? gdy on z pewnością nie jest na swoim miejscu.

— Czemu je opuścił? spytał Józef. Cóż zależy na tem, czy na sztandarach są pluskwy Ludwika XVIII-go czy kukułka Napoleona, byle szmata była francuska? Francja to Francja! Ja malowałbym dla samego djabła! Żołnierz, jeżeli jest żołnierzem, powinien bić się dla miłości sztuki. Gdyby był spokojnie został w armji, byłby dziś generałem...

— Niesprawiedliwi jesteście dla niego, rzekła Agata. Twój ojciec, który ubóstwiał cesarza, zrozumiałby Filipa. Zresztą on zgodzi się wrócić do armji! Bóg widzi, ile zgryzoty sprawia twemu bratu krok, który on uważa za zdradę.

Józef wstał aby się udać do pracowni, ale Agata ujęła go jeszcze za rękę i rzekła:

— Bądź dobry dla brata, on taki nieszczęśliwy!

Kiedy artysta wrócił do pracowni, w towarzystwie ciotki Descoings, która szeptała mu aby oszczędzał wrażliwość matki, zwracając uwagę jak zmieniała się z każdym dniem i ile tajonych cierpień jawi ta odmiana, zastali tam, ku wielkiemu swemu zdumieniu, Filipa.

— Józefie, mój chłopcze, rzekł niedbałym tonem, trzeba mi pieniędzy. Do stu kaduków! winien jestem trzydzieści franków w trafice i nie śmiem przechodzić koło tej przeklętej nory, póki nie zapłacę. Dziesięć razy już obiecywałem.

— Hm, wolę już ten sposób niż inny, rzekł Józef; weź tam, w trupiej główce.

— Kiedy już wszystko wziąłem wczoraj po obiedzie.

— Było przecież czterdzieści pięć franków...

— A tak, zgadza się, odparł Filip, właśnie tyle znalazłem. Czym źle zrobił? dodał.

— Nie, mój drogi, nie, odparł artysta. Gdybyś był bogaty, uczyniłbym tak jak ty; jedynie, nimbym wziął cokolwiek, spytałbym czy nie masz nic przeciwko temu.

— To bardzo upokarzające, prosić, odparł Filip. Wolałbym już, żebyś wziął jak ja, nic nie mówiąc: to jakoś prościej, serdeczniej. Ot, jak na wojnie: kolega pada, ma dobrą parę butów, sam człowiek ma liche, mienia się z nim.

— Tak, ale nie ściąga mu ich za życia!

— Ech! małostki, odparł Filip wzruszając ramionami. Zatem, nie masz?

— Nie, rzekł Józef, który nie chciał zdradzić swojej skrytki.

— Za kilka dni będziemy bogaci, rzekła Descoings.

— Właśnie! Ciocia zawsze wierzy, że jej terno wyjdzie 25-go. Musi ciocia gotować bajeczną stawkę aby z bogacić nas wszystkich.

— *Seco terno* daje za dwieście franków trzy miliony, nie licząc amba i pojedynczych numerów.

— Piętnaście tysięcy razy stawka: tak, trzeba cioci dokładnie dwustu franków! wykrzyknął Filip.

Descoings zagryzła wargi, jakby chcąc cofnąć nieostrożne słowo. Jakoż, Filip pytał sam siebie na schodach:

— Gdzie ta stara czarownica może chować stawkę? Toć to stracony pieniądz, a ja użyłbym go tak dobrze! Czterema wyjściami po pięćdziesiąt franków możnaby zgarnąć dwieście tysięcy! to trochę pewniejsze niż jej terno!

Szukał w myślach prawdopodobnej kryjówki starej Descoings. W wilję każdego święta, Agata szła do kościoła i siedziała tam długo; zapewne spowiadała się i gotowała do komunji. Było to w wilję

Bożego Narodzenia: Descoings wyjdzie z pewnością kupić jakichś smakołyków, ale może równocześnie zanieś swoją stawkę. Ciągnięcie loterii paryzkiej przypadało 25-go każdego miesiąca, listę zaś zamykało się 24-go o północy. Żołnierz wystudjował wszystkie okoliczności i zasadził się na czatach. Około południa, Filip wrócił do mieszkania, które ciotka właśnie opuściła, zabierając wszakże klucz. To nie stanowiło przeszkody: Filip udał iż zapomniał czegoś i poprosił odźwiernej, aby przeszła po ślusarza, mieszkającego o dwie bramy, iżby otworzył drzwi. Pierwsza myśl żołdaka skierowała się ku łóżku: rozebrał je, obmacał materace nim się wziął do badania drzewa, i, w ostatnim materacu, wyczuł zawinięte w papier sztuki złota. W mgnieniu oka rozpruł płótno, zgarnął dwadzieścia napoleonów, następnie zaś, nie zadając sobie trudu zaszcycia materaca, uporządkował łóżko dość zręcznie aby ciotka nie spostrzegła się na niczem.

Gracz pomknął chyżą stopą, postanawiając sobie grać na trzy zawody, z trzema godzinami przerwy, za każdym razem jedynie dziesięć minut. Prawdziwi gracze, od 1786, epoki w której wynaleziono publiczne sale gry, wielcy gracze przed którymi drżą krupierzy i którzy, wedle gwary tych jaskiń, *uszczyknęli* pieniędzy banku, grają zawsze w ten sposób. Ale, nim zyskano to doświadczenie, poszły na żer całe fortuny. Cała filizofja banku i jego zysk opiera się na niewzruszoności kasy, na rzutach neutralnych zwanych *refait*, których połowa przypada bankowi, i na oczywistem szalbierstwie uprawianem przez rząd, a zasadzającym się na tem, aby przyjmować i wypłacać stawki jedynie do pewnych granic. Jednem słowem, dom gry, uchylając się od partji z graczem bogatym i panującym nad sytuacją, pochłania mienie gracza odurzonego szybkim obrotem machiny. Krupierzy przy *trente-et-quarante* wprowadzili tempo niemal równie szybkie jak ruletka. Filip nabył z czasem owej zimnej krwi dowodzącego generała, która pozwala zachować jasność oka i przejrzyistość inteligencji w wirze wypadków. Doszedł do tej wysokiej polityki gry, która, powiedzmy nawiasem, daje

w Paryżu utrzymanie tysiącowi osób dość silnych na to aby zaglądać co wieczora w przepaść bez zawrotu głowy. Czując czterysta franków w kieszeni, Filip postanowił tego dnia zrobić majątek. Wpuścił, jako rezerwę, dwieście franków za cholewę, dwieście zaś zachował w kieszeni. Około trzeciej, wszedł do sali, dziś zajętej przez teatrzyk *Palais-Royal*: w tej sali bank przyjmował najwyższe stawki. Wyszedł, w pół godziny później, unosząc siedem tysięcy franków. Zaszedł do Florentyny, której winien był pięćset franków, oddał je, i zaproponował kolację po teatrze w *Rocher de Cancale*. Wracając, wstąpił na ulicę *du Sentier* do dziennika, aby uprzedzić druha Giroudeau o festynie. O szóstej, Filip wygrał dwadzieścia pięć tysięcy i wyszedł po dziesięciu minutach, dotrzymując słowa. Wieczorem, o dziesiątej, wygrał siedemdziesiąt pięć tysięcy. Po wspaniałej wieczerzy Filip, pijany i pełen ufności, wrócił około północy do gry. Wbrew regule którą sobie nałożył, grał pół godziny i podwoił swój dobytek. Krupierzy, którym, swoim systemem gry, wycisnął już sto pięćdziesiąt tysięcy, spoglądali nań z ciekawością.

— Zabierze się czy zostanie? mówili sobie spojrzeniem. Jeżeli zostanie, przepadł.

Filip myślał, że trafił na żyłę szczęścia i został. Około trzeciej rano, sto pięćdziesiąt tysięcy franków wróciły do kasy banku. Oficer, który wśród gry obficie zakrapiał się grogiem, wyszedł w stanie pijaństwa spotęgowanego jeszcze chłodem jaki go ogarnął na ulicy, ale służący z sali gry poszedł za nim, podniósł go i zaprowadził do jednego z tych ohydnych domów, gdzie nad drzwiami czyta się na latarni te słowa: *Tu przyjmuje się na noc*. Garson zapłacił za spłókanego gracza, poczem ułożono Filipa w ubraniu na łóżku, gdzie pozostał aż do wieczora Bożego Narodzenia. Dyrekcja domów gry miała względy dla stałych klientów i dla wielkich graczy. Filip obudził się aż o siódmej, z zalepionymi ustami, z obrzękłą twarzą, w napadzie nerwowej gorączki. Dzięki sile swego organizmu zdołał dotrzeć pieszo do macierzyńskiego domu, gdzie mimo woli zażegł żalobę, rozpacz, nędzę i śmierć.

Poprzedniego dnia, skoro obiad był gotów, Descoings i Agata oczekiwały Filipa blisko dwie godziny. Siadły do stołu ledwo o siódmej. Agata kładła się prawie zawsze o dziesiątej, ale, ponieważ chciała wysłuchać „pasterki“ o północy, poszła się położyć zaraz po obiedzie. Ciotka i Józef zostali sami przy kominku, w saloniku który pełnił wszystkie funkcje. Staruszka prosiła siostrzeńca, aby jeszcze raz obliczył szanse stawki, owej olbrzymiej stawki na jej wiekiste terno. Chciała obstawić wszystkie *amba* i poszczególne kombinacje, aby zjednoczyć pełną szansę. Nasyciwszy się dobrze poezją nadziei, wylawszy nie jeden, ale dwa rogi obfitości pod stopy swego przybranego dziecka, i podzieliwszy się z nim swemi marzeniami wykazując pewność wygranej, kłopotowała się już tylko trudem udźwignięcia takiego szczęścia, doczekania go od północy do dziesiątej rano! Kiedy Józef, nie widząc pieniędzy na stawkę, wspomniął o nich, staruszka uśmiechnęła się i pociągnęła go do dawnego salonu zmienionego na jej pokój.

— Zobaczysz! rzekła.

Descoings rozebrała dość żwawo łóżko i zakręciła się za nożyczkami, aby rozpruć materac; wzięła okulary, zbadała płótno, spostrzegła ziejący szew i wypuściła materac. Słyszając westchnienie staruszki, wydarte z piersi i jakby zduszone krwią napływającą do serca, Józef wyciągnął instynktownie ramiona ku sędziwej klientce loterji i posadził ją na fotelu wołając matkę. Agata wstała, narzuciła szlafrok, przybiegła i, przy blasku świeczki, jęła ratować ciotkę domowymi sposobami: woda kolońska na skronie, zimna woda na czoło; spaliła jej pióro pod nosem i wreszcie zdołała ją przywołać do życia.

— Były jeszcze dziś rano, ale on je wziął, ten potwór!

— Co? spytał Józef.

— Miałam dwadzieścia ludwików w materacu, oszczędności z dwóch lat. Jeden Filip mógł je zabrać.

— Ale kiedy? wykrzyknęła biedna matka, złamana. Nie był w domu od śniadania.

— Chciałabym bardzo się mylić, wykrzyknęła stara. Ale dziś rano, w pracowni, kiedy wspomniałam o mojej stawce, tknęło mnie przecucie. Żle zrobiłam, że nie zesłam po swój skarbczyk i nie postawiłam odrazu. Chciałam, i nie wiem już co stało mi w drodze. Och, Boże, prawda, poszłam mu kupić cygar!...

— Ale, rzekł Józef, mieszkanie było zamknięte. Zresztą, to byłoby tak podłe, że nie mogę w to uwierzyć. Filip miałby szpiegować, rozpruć materac, z rozmysłem dopuścić się...? Nie!

— Czułam je dziś rano, przewracając materac, powtarzała Descoings.

Agata, przerażona, zeszła spytać czy syn wracał w ciągu dnia; odzwierna opowiedziała jej sztuczkę Filipa. Matka, ugodzona w serce, wróciła zupełnie zmieniona. Biała jak płótno, szła tak jak sobie wyobrażamy widma, bez szelestu, wolno, mocą nadludzkiej a zarazem niemal mechanicznej potęgi. Trzymała w ręku świecznik, który oświecał ją jasno i ukazywał oczy zmartwiałe od grozy. Bezwiednym ruchem rozrzuciła nieco włosy na skroniach; cała postać była tak piękna w swym bólu, że Józef stanął jak wryty pod wrażeniem tego zjawiska wyrzutu, tej wizji posągu Grozy i Rozpaczy.

— Ciociu, rzekła, weź moje srebro, to pokryje twoją sumę. To ja wzięłam ją dla Filipa; sądziłam, że zdołam zwrócić, nim się spostrzeżesz. Och! bardzo byłam nieszczęśliwa!

Usiadła. Oczy jej, suche i nieruchome, zadrgały nieco.

— To on, nikt inny, rzekła Descoings pocichu do Józefa.

— Nie, nie, odparła Agata. Weź moje srebro, sprzedaj, niepotrzebne mi jest, będziemy mieli twoje nakrycie.

Przeszła do swego pokoju, wzięła skrzynkę ze srebrem, zdziwiła się jej lekkością, otwarła i ujrzała kwit lombardu. Biedna matka wydała straszliwy krzyk. Józef wraz z ciotką nadbiegli, spojrzeli na skrzynkę, i szczytne kłamstwo matki stało się zbyt oczywiste. Wszyscy troje milczeli, nie śmiejąc spojrzeć na siebie. Gestem niemal obłąkanym, Agata położyła palec na ustach, aby zalecić

sekret którego nikt nie miał zamiaru rozgłaszać. Wszyscy troje wrócili do salonu.

— O, moje dzieci, wykrzyknęła ciotka Descoings, ten cios ugodził mnie w serce. Moje terno wyjdzie, jestem pewna. Nie myślę już o sobie, ale o was dwojgu! — Filip, rzekła do siostrzenicy, to potwór, nie kocha cię, mimo wszystko co robisz dla niego. Jeżeli się w jakiś sposób nie zabezpieczysz, doprowadzi cię do torby żebraczej. Przyrzeknij mi, że sprzedasz rentę, podejmiesz kapitał i umieścisz go na dożywocie. Józef ma w ręku zawód, który da mu kawałek chleba. Zrób tak, dziecko, a nie staniesz się nigdy ciężarem dla Józefa. Desroches ogląda się za czemś dla syna. Mały Desroches (miał wówczas dwadzieścia sześć lat) upatrzył już kancelarję, weźmie twoich dwanaście tysięcy za dożywotnią rentę.

Józef chwycił z rąk matki świecznik, pobiegł śpiesznie do pracowni i wrócił niosąc trzysta franków.

— Masz, cioteczko, rzekł kładąc przed nią swój skarbczyk, nie do nas należy pytać co robisz z pieniędzmi, winni ci jesteśmy to co ci zginęło, to jest prawie wszystko.

— Wziąć twoją biedną skarbonkę, owoc twoich wyrzeczeń, które sprawiają mi tyle zgryzoty? Czyś ty oszalał, Józefie? wykrzyknęła stara klientka loterji, szarpana między przemożną wiarą w swoje terno, a postępkiem, który zdawał się jej świętokradztwem.

— Och, zrób z tem co ci się spodoba, rzekła Agata, którą postępek prawdziwego jej syna wzruszył do łez.

Descoings wzięła Józefa za głowę i ucałowała go w czoło:

— Moje dziecko, nie kuś mnie. Przegrałabym tylko znowu. Loterja, to wierutne głupstwo.

Nigdy równie heroiczne słowo nie padło z niczyich ust w nieznanym dramatach codziennego życia. I, w istocie, czyż to nie jest najczystszy tryumf przywiązania nad nałogiem? W tej chwili, rozległy się dzwony na pasterkę.

— A zresztą, już zapóźno, rzekła Descoings.

— Och! rzekł Józef, oto ciocine kabalistyczne cyfry.

Szlachetny artysta porwał karteczkę, wypadł na schody i pobiegł unosząc stawkę. Skoro znikł, Agata i stara Descoings załazy się łzami.

— Idzie, idzie, drogi, ukochany chłopiec, wykrzyknęła graczka. Ale to będzie dla niego wszystko, to jego pieniądze!

Na nieszczęście, Józef zupełnie był nieświadom położenia kantorów loterji, które, w owym czasie, nałogowcy paryzcy znali tak, jak dziś palacze swoje trafiki. Malarz biegł jak szalony, oglądając latarnie. Kiedy pytał przechodniów o biuro loterji, usłyszał, że już są zamknięte, ale że kantor Perrona, w *Palais-Royal*, bywa niekiedy otwarty nieco dłużej. Artysta pomknął ku *Palais-Royal*, zastał biuro zamknięte.

— Dwie minuty wcześniej, a byłbyś pan zdążył, rzekł jeden z wywoływaczy, którzy wystawali pod Perronem, wykrzykując magiczne słowa: „Tysiąc dwieście franków za czterdzieści su“ i ofiarując gotowe już bilety.

Przy świetle latarni i szyb kawiarnianych, Józef rozpatrzył się, czy, przypadkiem, nie było na tych biletach numerów starej Descoings; ale nie znalazł ani jednego. Wrócił z tą przykrością, iż na próżno zrobił wszystko co od niego zależało, aby uczynić zadość staruszce, której też opowiedział swoje niepowodzenia. Agata z ciotką udały się na pasterkę do kościoła Saint-Germain-des-Près. Józef się położył. Tradycyjne śniadanie po północy nie odbyło się. Descoings straciła głowę. Agata kryła w sercu wieczystą żalobę. Obie wstały późno. Dziesiąta biła, kiedy Descoings spróbowała się ruszyć, aby przyrządzić śniadanie z którym wyguzdrała się dopiero na wpół do dwunastej. O tej godzinie, podłużne plakaty wywieszane nad drzwiami kantorów zwiastowały wyciągnięte numery. Gdyby zdołała nabyć bilet, byłaby, o wpół do dziesiątej, poszła na ulicę Neuve-des-Petits-Champs dowiedzieć się o swoim losie, który rozstrzygał się w domostwie obok ministerjum finansów. W dzień ciągnięcia, ciekawi mogli oglądać u bram tego domu zgromadzenie starych kobiet, kucharek i starców, którzy, w owym czasie,

tworzyli obraz równie charakterystyczny co „ogonek“ drobnych rentjerów w dzień wyplaty.

— Więc cóż, jesteście miljonerami! wykrzyknął stary Desroches w chwili gdy stara Descoings delektowała się ostatnim łykiem kawy.

— Jakto! wykrzyknęła biedna Agata.

— Ciotczyne terno wyszło, rzekł pokazując wykaz numerów na świstku, jakie właściciele biur loteryjnych rozsypują setkami w miseczkach na kantorze.

Józef przeczytał listę. Agata również. Descoings nie potrzebowała czytać; osunęła się jak rażona piorunem. Widząc jej zmienioną twarz, słysząc krzyk, Desroches i Józef zanieśli ją na łóżko. Agata pobiegła szukać lekarza. Apopleksja spiorunowała biedną kobietę, która odzyskała przytomność dopiero koło czwartej popołudniu. Stary Haudry, lekarz domowy, oznajmił, że, mimo tej poprawy, powinna myśleć o swoich sprawach i o duszy. Wymówiła tylko jedno słowo:

— Trzy miliony!...

Stary Desroches, którego Józef, oczywiście z należąną oględnością, zapoznał z okolicznościami katastrofy, przytoczył liczne wypadki graczy, którym fortuna wymknęła się z rąk, w dniu, w którym, przez jakąś fatalność, zaniedbali stawki; ale zrozumiał jak śmiertelny musiał być podobny cios, kiedy przyszedł po dwudziestu latach wyczekiwania. O piątej, w chwili gdy najgłębsza cisza panowała w domu, i gdy chora, przy której czuwali Józef z Agatą, oczekiwała wnuka po którego poszedł Desroches, hałas kroków Filipa i jego laski rozległ się na schodach.

— To on! to on! krzyknęła stara Descoings, która podniosła się na łóżku i zdołała poruszyć sparaliżowanym językiem.

Agata i Józef wstrząsnęli się pod wrażeniem wstępu, jaki objawił się w ruchach chorej. Przykre oczekiwanie znalazło zupełne usprawiedliwienie w widoku sinej i zmienionej twarzy Filipa, jego chwiejnego chodu, okropnego wyrazu oczu głęboko podkrążonych,

szklistych a mimo to błędnych. Filip trząśł się od gwałtownego napadu febry, zęby mu dzwoniły.

— Nędza w Prusach! wykrzyknął. Ani zupy ani chleba, a ja mam w piersiach ogień. — No cóż, co się dzieje? Djabeł zawsze wścibi łapę w nasze sprawy. Ot, stara Descouings w łóżku, wytrzeszcza na mnie gały jak talerze.

— Milcz, rzekła Agata podnosząc się; uszanuj przynajmniej nieszczęście jakie spowodowałeś.

— Ho, ho! *milcz?*... rzekł patrząc na matkę. Moja złota droga mamusiu, to nie ładnie, więc już nie kochasz swego chłopca?

— Czy godny jesteś aby cię kochać? czy już nie pamiętasz, coś zrobił wczoraj? Toteż postaraj się o mieszkanie, nie możesz zostać z nami. Od jutra, dodała; w tym stanie trudno...

— Wypędzić mnie, nieprawdaż? podjął. Hehe! czy wy tu gracie *Wygnanego syna?* Ho, ho! z tego tonu próbujecie ze mną? Ejże, z was wszystkich miłe ananasy! Cóż ja zrobiłem złego? Przewie-trzyłem trochę materace starej. Nie chowa się pieniędzy w pościeli, u djabła! I gdzież tu zbrodnia? A ona nie świsnęła nam dwudziestu tysięcy? Nie jesteśmy jej wierzycielami? Więc cóż, ściągnąłem sobie jedną ratę. I tyle kramu!...

— Boże! Boże! jęczała umierająca, składając ręce i modląc się.

— Milcz! krzyknął Józef rzucając się ku bratu i kładąc mu rękę na ustach.

— W lewo zwrot, marsz! malarzyno smarkata! wrzasnął Filip, opuszczając ciężką rękę na ramię Józefa, którego obrócił i pchnął na kanapę. Nie tyka się wąsów szefa szwadronu dragonów gwardji cesarskiej.

— Ciotka oddała wszystko co mi była winna, krzyknęła Agata, wstając i zwracając ku synowi wzburzoną twarz. Zresztą, to tylko moja sprawa; ty ją zabijasz. Wyjdźże synu, rzekła czyniąc ruch który zużył wszystkie jej siły, i nie pokazuj mi się na oczy. Jesteś potwór.

— Ja ją zabijam?

— Jej terno wyszło, słyszysz, krzyknął Józef, a ty ukradłeś pie-
niądze na stawkę.

— Jeżeli zdycha od wstrzymanego terna, w takim razie nie ja
ją zabijam, odparł opój.

— Wyjdź, wyjdźże stąd, powtórzyła Agata, wstręt budzisz we
mnie. Połączyłeś wszystkie występki!... Boże, czy to mój syn?

Głuche rżenie dobywające się z krtani chorej, zwiększyło
podrażnienie Agaty.

— A ja ciebie kocham jeszcze, ciebie, moją matkę, która je-
steś przyczyną wszystkich moich nieszczęść! rzekł Filip. Wypędzasz
mnie, w pierwsze święto, w dzień narodzenia tego... jak on się na-
zywa?... aha, Jezusa! Cóż ty zrobiła papie Rouget, twemu ojcu,
że cię wypędził i wydziedziczył? Gdybyś mu się nie naraziła, by-
libyśmy wszyscy bogaci i nie grzązłbym teraz po uszy w nędzy.
Coś zrobiła ojcu, ty, taka dobra kobieta? Widzisz tedy, że mogę
być dobrym chłopcem, a mimo to być wyrzuconym za drzwi, ja,
chluba rodziny.

— Hańba! krzyknęła Descoings.

— Wyjdiesz stąd albo mnie zabijesz! krzyknął Józef, rzuca-
jąc się na brata z wściekłością lwa.

— Boże! Boże! jęknęła Agata wstając i siląc się rozdzielić
braci.

W tej chwili, weszli Bixiou i lekarz. Józef powalił brata i roz-
ciągnął go na ziemi.

— To prawdziwe dzikie zwierzę, rzekł. Nie odzywaj się! albo
cię...

— Zapamiętam to sobie, bełkotał Filip.

— Wyjaśnienia rodzinne? rzekł Bixiou.

— Podnieście go, rzekł lekarz, on jest równie chory jak ta
zacna kobieta; rozbierzcie go, połóżcie i zdejmcie mu buty.

— To łatwo powiedzieć, wykrzyknął Bixiou; trzeba rozciąć,
zanadto ma nogi obrzmiałe.

Agata wzięła nożyczki. Skoro przecięła buty, które w owym czasie nosiło się na obcisłych spodniach, dziesięć sztuk złota potoczyło się na podłogę.

— Psiakr... ot, pieniądze starej! zamruczał Filip. Przekłete bydle ze mnie, zapomniałem o rezerwie. I ja też wypuściłem fortunę!

Delirjum straszliwej gorączki chwyciło Filipa; zaczął majaczyć. Józef, wspomagany przez starego Desroches, który właśnie nadszedł, oraz przez Bixiou, zdołał przenieść nieszczęśnika do jego pokoju. Doktor Haudry musiał napisać słówko do szpitala, aby zażądać kaftana bezpieczeństwa; delirjum bowiem wzmogło się do tego stopnia, iż była obawa że Filip się zabije: wpadł w szal. O dziewiętej, spokój zapanował w domu. Ksiądz Loraux i Desroches starali się pocieszyć Agatę, płaczącą wciąż przy łóżku ciotki. Słuchała potrząsając głową i zachowywała uparte milczenie; jeden Józef i ciotka Descoings znali głębię i rozciągłość jej skrytej rany.

— Och! wykrzyknęła wdowa, Filip ma słuszość: ojciec mnie przeklął. Nie mam prawa do... Oto pieniądze, rzekła do ciotki zsypując trzysta franków Józefa i dwieście znalezionych przy Filipie. Idź zobacz, czy bratu nie trzeba dać pić, rzekła do Józefa.

— Czy dotrzymasz przyrzeczenia danego przy łożu śmierci? rzekła Descoings, która czuła iż przytomność zaczyna ją opuszczać.

— Tak, ciotko.

— Zatem przysięgnij mi, że oddasz swój kapitalik na dożywocie małemu Desroches. Moja renta ubędzie wam, a jak cię znam, dałabyś się ograbić do ostatniego grosza temu nędznikowi.

— Przysięgam, ciociu.

Kupczyni umarła 31-go grudnia, w pięć dni po straszliwym ciosie, który zadał jej niewinnie stary Desroches. Pięćset franków, jedyny pieniądz jaki znalazł się w domu, ledwie starczyło na pogrzeb wdowy. Zostawiła tylko trochę sreber i meble, których wartość wypłaciła pani Bridau jej wnukowi. Uszczuplona do ośmiuset franków dożywniej renty u Desroches'a który wziął jej kapi-

talik, Agata oddała właścicielowi mieszkancko na trzeciem piętrze i sprzedała zbyteczne meble. Kiedy, po miesiącu, chory zaczął odzyskiwać zdrowie, Agata wytłumaczyła mu zimno, że koszty choroby pochłonęły całą gotówkę; że odtąd jest zmuszona sama pracować na życie, zaklina go tedy najtkliwiej aby wrócił do służby i starał się wystarczać samemu sobie.

— Mogła sobie mama oszczędzić tego kazania, rzekł Filip, patrząc na matkę okiem, które zupełna obojętność czyniła zimnem jak lód. Wiedziałem dobrze, że ani ty ani brat już mnie nie kochacie. Jestem teraz sam na świecie: ba, wolę to.

— Stań się godny przywiązania, odparła biedna matka poruszona do głębi serca, a wrócimy ci je.

— Bzdury! przerwał jej.

Wziął laskę, stary obstrzępiony kapelusz, nałożył go na ucho i zeszedł ze schodów gwizdząc.

— Filipie! gdzie idziesz bez pieniędzy? krzyknęła matka, która nie mogła wstrzymać łez. Weź to...

Podawała mu sto franków w złocie zawinięte w papier. Filip wrócił kilka kroków po schodach i wziął pieniądze.

— I cóż, nie uściskasz mnie? rzekła zalewając się łzami.

Przycisnął matkę do serca, ale bez tego uczucia, które jedynie daje wartość pocałunkowi.

— I gdzież ty idziesz? rzekła Agata.

— Do Florentyny, kochanki poczciwego Giroudeau. To są prawdziwi przyjaciele, odparł brutalnie.

Zeszedł. Agata wróciła, z drżącymi kolanami, zamglonemi oczyma, ze ściśniętym sercem. Padła na kolana, westchnęła do Boga aby wziął wyrodne dziecko w swoją opiekę i złożyła z siebie brzemię tego ciężkiego macierzyństwa.

W lutym r. 1822, pani Bridau sprowadziła się do pokoju zajmowanego wprzód przez Filipa, nad kuchnią dawnego mieszkania. Pracownia i pokój malarza znajdowały się naprzeciwko, po drugiej stronie schodów. Patrząc na nędzę na jaką skazała się matka,

Józef chciał przynajmniej, aby, w tych skromnych ramach, czuła się możliwie najlepiej. Po wyprowadzeniu się brata, zabrał się do urządzenia poddasza, któremu nadał piętno artystycznego smaku. Na podłodze rozpostarł dywan. Łóżko, zasłane skromnie ale z doskonałym gustem, miało charakter jakby klasztornej prostoty. Mury, obite tanim lecz dobrze wybranym perkalikiem, w harmoniji z nowo obitemi meblami, sprawiały wrażenie czyste i świeże. Józef kazał wstawić podwójne drzwi i zawiesił na nich portjerę. Okno przesłonięte firanką dawało łagodne światło. Jeżeli życie biednej matki ograniczało się do najprostszych form jakie może w Paryżu przybrać życie kobiety, Agata, dzięki synowi, czuła się przynajmniej lepiej niż ktokolwiek w tem położeniu. Aby oszczędzić matce kłopotów gospodarskich, Józef prowadził ją codziennie na obiad do pensjonatu przy ulicy de Beaune, gdzie jadały kobiety z dobrego towarzystwa, posłowie, wykwintni ludzie, i gdzie płaciło się dziewięćdziesiąt franków od osoby. Mając na głowie jedynie śniadanie, Agata wróciła dla syna do zwyczajów jakie niegdyś miała dla ojca. Mimo pobożnych kłamstw Józefa, doszła wreszcie, że obiad jej kosztuje blisko sto franków miesięcznie. Przerażona ogromem tego wydatku, nie wyobrażając sobie aby syn mógł wiele zarobić malowaniem nagich kobiet, uzyskała, dzięki swemu spowiednikowi, księdzu Loraux, miejsce przynoszące siedemset franków, w biurze loterii należącym do hrabiny de Bauvan, wdowie po dowódcy szuanów. Biura loteryjne, przywilej wdów cieszących się protekcją, stanowiły nieraz jedyne utrzymanie rodziny która trudniła się jego prowadzeniem. Ale, za Restauracji, trudność wynagradzania, w granicach rządu konstytucyjnego, oddanych usług, sprawiała, iż kobietom utytułowanym a nieszczęśliwym dawano nie jedno ale dwa biura, z których dochód wahał się między sześcioma a dziesięcioma tysiącami franków. W takim wypadku, osoba obdarowana nie prowadziła sama biura, ale przyjmowała płatnego zarządcę. Zaczynając zajęcie już o dziesiątej rano, Agata ledwie miała czas zjeść obiad; wracała do biura o siódmej i opuszczała je dopiero przed północą.

Józef, w ciągu dwóch lat, nie chybił ani jednego dnia, udając się po matkę wieczorem aby ją odprowadzić na ulicę Mazarin, a często wstępując po nią kiedy szła na obiad. Przyjaciele widzieli go nieraz, jak opuszczał Operę, *Włochów* i najświetniejsze salony, aby znaleźć się przed północą na ulicy Vivienne.

Agata oswoiła się niebawem z tą monotonią egzystencji, ucieczką osób które dużo przeszły. Rano, skoro sprzątnęła pokój, w którym nie było już ani kotów ani ptaszków, i skoro przyrządziła śniadanie, nosiła je do pracowni, gdzie śniadała z synem. Sprzątała pokój Józefa, gasiła u siebie ogień, siadała z robotką w pracowni blisko piecyka, gotowa opuścić ją z chwilą gdy przyszedł który z kolegów lub modeli. Mimo iż nie pojmowała nic ze sztuki ani jej techniki cisza pracowni odpowiadała jej. Pod tym względem nie uczyniła postępów, nic nie udawała na tym punkcie, dziwiła się zawsze niepomiernie, widząc że ktoś może przykładać taką wagę do koloru, kompozycji, rysunku. Kiedy który z przyjaciół z *Biesiady*, lub jakiś malarz żyjący blisko z Józefem, jak Schinner, Piotr Grassou, Leon de Lora młody uczeń przezywany wówczas *Mistigris*, rozpalili się w dyspacie, wdowa przysuwała się z uwagą do obrazu, napróżno siląc się dojrzeć owych rzeczy, które dawały powód do tylu wielkich słów i gorących sporów. Wyporządzała bieleznię syna, cerowała mu pończochy, skarpetki, doszła do tego iż czyściła mu paletę, zbierała szmaty do wycierania pendzli, sprzątała w pracowni. Wzruszony dobrą wolą matki, Józef odwdzięczał się jej najczulszemi staraniami. Jeżeli matka i syn nie pojmowali się w rzeczach sztuki, zespolili się doskonale we wzajemnej tliwości. Matka miała swoją myśl.

Jednego rana, gdy Józef szkicował olbrzymi obraz, wykonany później ale niezrozumiany przez publiczność, Agata, ujawszy go wprzódy serdecznością, odważyła się rzec głośno:

— Mój Boże, co on robi?

— Kto?

— Filip!

- Ba! naje się chłopiec trochę biedy. Wyrobi się.
- Ale on już wprzódy znał nędzę, i może to nędza go zmieniła. Gdyby był szczęśliwy, byłby dobry...
- Ty myślisz, droga mamó, że jemu źle się działo w podróży? ależ mylisz się, hulał sobie w Nowym Yorku, tak jak hula i tutaj...
- Gdyby miał cierpieć nędzę tak blisko nas, to byłoby straszne.
- Zapewne, odparł Józef. Co się mnie tyczy, dałbym mu chętnie pieniędzy, ale nie byłbym zdolny widzieć go na oczy. Toć on zamordował biedną Descoings.
- Zatem, rzekła Agata, nie zrobiłbyś jego portretu?
- Dla ciebie, mamó, zniósłbym i męczeństwo. Mogę, jeżeli chcesz, pamiętać tylko o jednym: że jest moim bratem.
- Portret jego, jako kapitana dragonów, na koniu?
- Hm, mam tu właśnie pięknego konia, skopiowanego z Grossa, i nie wiem do czego go zużyć.
- Zajdźże więc do tego Giroudeau, dowiedzieć się co się z Filipem dzieje.
- Pójdę.
- Agata wstała: nożyczki upadły na ziemię; podeszła aby ucałować Józefa w głowę i ukryła dwie łzy w jego włosach.
- To twoja namiętność, mamó, ten chłopiec, rzekł; każdy z nas ma swoją nieszczęśliwą namiętność.
- Wieczorem, Józef udał się na ulicę *du Sentier*, i zastał tam, około czwartej, brata, który zajął miejsce Giroudeau. Stary kapitan dragonów objął posadę kasjera w tygodniku nabytym świeżo przez siostrzeńca. Mimo że Finot został właścicielem dzienniczka, który puścił pozornie na akcje zachowując je zarazem wszystkie w swoich rękach, widomym właścicielem i redaktorem był jeden z jego przyjaciół, nazwiskiem Lousteau. Był to właśnie syn owego wicedelegata z Issoudun, na którym dziadek Filipa Bridau chciał się zemścić, a tem samem siostrzeniec pani Hochon. Aby zrobić przyjemność wujowi, Finot uczynił Filipa jego zastępcą, zmniejsz-

szając wszakże do połowy płacę. Przytem, każdego dnia, o piątej, Giroudeau sprawdzał kasę i zabierał dzienny wpływ. Pomidor, inwalida który służył za woźnego i załatwiał posyłki, miał nadzorować potrosze pułkownika Bridau. Filip miewał się zresztą dobrze. Sześćset franków płacy i pięćset franków z krzyża Legji pozwalały mu żyć tem łatwiej, ile że, mając opał przez dzień, wieczory zaś spędzając w teatrach gdzie miał wstęp *gratis*, potrzebował myśleć tylko o mieszkaniu i życiu. Pomidor wychodził właśnie z paką papieru na głowie, Filip zaś czyścił ochraniacze na rękawy, kiedy wszedł Józef.

— Ha, ha, to ty, smarkaty, rzekł Filip. Doskonale, zjemy obiad razem, potem wezmę cię do Opery, Floryna i Florentyna mają łożę. Idę z Giroudeau, pójdziesz z nami, poznasz się z Natanem.

Wziął trzcinę wypełnioną ołowiem i zwilżył cygaro.

— Nie mogę skorzystać z zaproszenia, muszę towarzyszyć matce: jadamy w pensjonacie.

— I cóż, jakże się miewa pocziwa stara?

— Chwała Bogu, wcale dobrze, odparł malarz. Skopjowałem portret ojca i ciotki Descoings, skończyłem mój własny i chciałbym jeszcze ofiarować matce twój w uniformie dragonów gwardji.

— Doskonale!

— Ale trzeba będzie przyjść pozować...

— Uwieszony jestem codziennie w tym kojcu od dziewiątej rano do piątej popołudniu...

— Dwie niedziele wystarczą.

— Zgoda, malcze, odparł dawny oficer ordynansowy Napoleona, zapalając cygaro od lampki odźwiernego.

Kiedy Józef, prowadząc matkę na obiad, przedstawił jej położenie Filipa, uczył jak ramię jej zadrgało pod jego ramieniem. Radość rozświetliła zwiędłą twarz; biedna kobieta odetchnęła jak-gdyby zwolniona od olbrzymiego ciężaru. Nazajutrz okazywała Józefowi względy, dające wyraz radości jej i wdzięczności. Ubrała mu pracownię kwiatami i kupiła dwie żardinie. W niedzielę, kiedy

Filip miał przyjść pozować, Agata zakrzętnęła się aby przygotować w pracowni wyborne śniadanie. Ustawiła wszystko na stole, nie zapominając o flakonie z wódką, do połowy napełnionym. Została w ukryciu za parawanem w którym zrobiła dziurkę. Ex-dragon przysłał w wilję swój uniform: Agata nie mogła się powstrzymać aby go nie ucałować. Kiedy Filip pozował w pełnym rynsztunku na wypchanym koniu, którego Józef najął u siodlarza, Agata, aby się nie zdradzić, musiała pokrywać ciche szlochanie, siląc się aby wypadło na chwilę rozmowy braci. Filip pozował po dwie godziny przed i po śniadaniu. O trzeciej popołudniu, dragon przebrał się z powrotem, i, paląc cygaro, zaproponował ponownie bratu obiad w *Palais-Royal*. Zadzwoił sakiewką.

— Nie, odparł Józef; przerażasz mnie, kiedy widzę u ciebie złoto.

— Ech, do krośset! więc ciągle będziecie tu na mnie psy wiesztać? wykrzyknął grzmiącym głosem podpułkownik. Nie można zatem robić oszczędności?

— Nie, nie, odparła Agata wychodząc z ukrycia i śpiesząc uściskać syna. Chodźmy z nim na obiad, Józefie.

Józef nie śmiał czynić uwag matce, ubrał się i wyszli razem. Filip zaprowadził ich do *Rocher-de-Cancalle*, na wspaniały obiad, którego rachunek sięgał stu franków.

— Ej, u licha! rzekł Józef zaniepokojony, przy tysiąc stu frankach dochodu, robisz djable oszczędności.

— Ba! jestem przy szczęściu, odparł dragon, który masę wypił przy obiedzie.

Słyszając to słowo, wymówione w progu, na wsiadanem do dożki, która miała ich zawieźć do teatru (Filip bowiem zaprosił matkę do Cyrku Olimpijskiego, jedyne teatru który spowiednik pozwalał jej odwiedzać), Józef ścisnął za ramię matkę, która udała natychmiast iż czuje się niedobrze i wymówiła się. Filip odprowadził oboje na ulicę Mazarin, gdzie, znalazłszy się sama z Józefem na poddaszu, Agata zapadła w głębokie milczenie. W następną nie-

dziele, Filip znów przyszedł pozować. Tym razem, matka była jawnie obecna. Usiadła do śniadania i brała udział w rozmowie. Dowiedziała się, że siostrzeniec pani Hochon, przyjaciółki jej matki, odgrywa pewną rolę w literaturze. Filip i jego przyjaciel Giroudeau obracali się w świecie dziennikarzy, aktorek, księgarzy i, w charakterze kasjerów, zażywali pewnego szacunku. Filipowi, który, pozując po śniadaniu, popijał bez przerwy kirsza, język się rozwiązał. Chełpił się, iż znowuż, za niedługi czas, stanie się znaczną osobistością. Ale, na pytanie Józefa co do środków, zachował milczenie. Przypadkowo, nazajutrz dziennik nie wychodził z powodu święta; aby skończyć, Filip ofiarował się pozować. Józef nadmienił, iż zbliża się okres Salonu, że nie stało mu pieniędzy na ramy do dwóch obrazów, i że, aby uzyskać potrzebną sumę, musi skończyć kopję Rubensa, zamówioną przez handlarza obrazów nazwiskiem Magus. Oryginał był własnością szwajcarskiego bankiera, który pożyczył go tylko na dziesięć dni; jutrzejszy dzień był ostatnim, trzeba było bezwarunkowo odłożyć posiedzenie do następnej niedzieli.

— To to? spytał Filip spoglądając na obraz ustawiony na sztalugach.

— Tak, odparł Józef. To warte dwadzieścia tysięcy franków. Oto, co może genjusz. Są kawałki płótna warte setki tysięcy.

— Wolę twoją kopję, rzekł dragon.

— Młodsza jest, rzekł Józef śmiejąc się; ale moja kopja warta jest tylko tysiąc. Potrzebuję jeszcze jutrzejszego dnia, aby jej dać wszystkie tony oryginału i postarzyć ją tak aby ich nikt nie odróżnił.

— Dobranoc, matko, rzekł Filip ściskając Agatę. Do niedzieli.

Nazajutrz, Eljasz Magus przyszedł po swój obraz. Przyjaciel Józefa, który pracował dla tego handlarza, Piotr Grassou, chciał widzieć kopję po ukończeniu. Aby mu spłatać figła, słysząc pukanie do drzwi, Józef przeniósł kopję, pociągniętą specjalnym werniksem, na miejsce oryginału, oryginał zaś postawił na sztaludze.

— Czy oszukałbyć starego Eljasza Magusa? spytał Piotr Grassu.

— Zobaczymy, odparł Józef.

Kupiec nie przyszedł, było już późno. Agata była na obiedzie u pani Desroches, która świeżo postradała męża; Józef tedy zaproponował koledze, aby poszedł z nim na obiad. Schodząc, zostawił, wedle zwyczaju, klucz od pracowni u odźwiernej.

— Mam pozować dziś wieczór, rzekł Filip do odźwiernej w godzinę po wyjściu brata. Józef zaraz wróci, zaczekam.

Odźwierna dała klucz, Filip wszedł na górę, wziął kopję, myśląc że bierze oryginał, następnie zeszedł, oddał klucz powiadając iż zapomniał czegoś, i poszedł sprzedać Rubensa za trzy tysiące. Był na tyle przezorny, iż, w imieniu brata, uprzedził Magusa, aby nie przychodził aż jutro. Wieczorem, kiedy Józef, który odprowadzał matkę od pani Desroches, powrócił, odźwierny powiedział mu o bytności brata, który, ledwie wszedłszy, natychmiast wyszedł.

— Jestem zgubiony, jeżeli nie miał natyle względu, aby wziąć kopję, wykrzyknął malarz, domyślając się kradzieży.

Przebiegł pośpiesznie trzy piętra, wpadł do pracowni i rzekł:

— Bogu niech będzie chwała! Okazał się tem, czem będzie zawsze, podłym hultajem!

Agata, która podążyła za Józefem, nie zrozumiała; kiedy jej syn wytłumaczył, stanęła wpół-martwa ze łzami w oczach.

— Mam więc tylko jednego syna! rzekła słabym głosem.

— Nie chcieliśmy go okrywać hańbą w oczach obcych, odparł Józef, ale od tej chwili trzeba uprzedzić odźwiernego. Odtąd, będziemy strzegli klucza. Dokończę przekłętęgo portretu z pamięci, już niewiele brakuje.

— Zostaw jak jest, zbyt przykro byłoby mi patrzeć nań, odparła matka, ugodzona w samo serce i zdumiona tyłą podłości.

Filip wiedział, na co miały służyć pieniądze z tej kopji, wiedział w jaką przepaść wpycha brata, i nic nie uszanował. Od tej ostatniej zbrodni, Agata nie mówiła już o Filipie; twarz jej przy-

brała wyraz gorzkiej, zimnej i skupionej rozpaczki: jedna myśl ją zabijała.

— Któregoś dnia, powiadała sobie, Bridau znajdzie się przed kratkami trybunału!

W dwa miesiące później, pewnego ranka, w chwili, gdy Agata śniadała z Józefem, zgłosił się starszy wojskowy, mianujący się przyjacielem Filipa, przywiedziony, jak mówił, pilną sprawą.

Skoro Giroudeau wymienił swe nazwisko, matka i syn zadrżeli, tem więcej, iż ex-dragon miał fizjognomję starego wilka morskiego mało budzącą ufności. Szare zgaszone oczy, szpakowaty wąs, resztki włosów obramiające błyszczącą czaszkę, miały coś wytartego, lubieżnego. Miał na sobie stary tużurek stalowego koloru, ozdobiony rozetką oficera Legji; odzież ta dopinała się z trudnością na isticie kucharskim brzuchu, który harmonizował z ustami od ucha do ucha i z barczystymi ramionami. Tors wspierał się na szczupłych i wątyłych nogach. Wreszcie, cera, czerwona i lśniąca, świadczyła o wesolem życiu. Podbródek, silnie pomarszczony, przelewał się poza kołnierz z czarnego mocno zużytego aksamitu. Między innymi ozdoba mi, ex-dragon nosił w uszach olbrzymie kolczyki.

— Cóż za kawał *drania!* pomyślał Józef, używając rozpowszechnionego wyrażenia które przeszło do pracowni.

— Pani, rzekł wuj i kasjer Finota, syn jej znajduje się w położeniu tak nieszczęśliwym, że niepodobna jego przyjaciołom nie zwrócić się do pani z prośbą o podzielenie dość uciążliwego brzemienia, jakie im przypadło. Filip nie jest już w możności pełnić swych obowiązków w dzienniku: panna Florentyna, z teatru *Porte-Saint-Martin*, mieści go u siebie, przy ulicy de Vendôme, na biednem poddaszu. Jest umierający; jeżeli państwo nie możecie opłacić lekarza i apteki, będziemy zmuszeni, wręcz w interesie jego zdrowia, kazać go przewieźć do szpitala Kapucynów. Gdybyśmy mieli do rozporządzenia trzysta franków, zatrzymalibyśmy go: trzeba mu koniecznie dozorczyńni, Filip wymyka się wieczorami, gdy panna Florentyna jest w teatrze, i wówczas używa gorących napoi, sprzecz-

nych z jego chorobą i leczeniem. Kochamy go i martwimy się nim. Biedny chłopiec zastawił na trzy lata swoją pensję, chwilowo kto inny zastępuje go w dzienniku, tak że nie ma nic; czeka go pewna śmierć, jeżeli go nie umieścimy w lecznicy doktora Dubois. Ten schludny przytułek będzie kosztował dziesięć franków dziennie. Panna Florentyna i ja bierzemy na siebie połowę miesiąca, państwo pokryjecie drugą... Ech, nie bój się pan, nie pociągnie więcej niż dwa miesiące!

— Panie, trudno jest matce nie czuć wiekuistej wdzięczności za to co pan robi dla jej syna, odparła Agata, ale ten syn wyrzekł się mego serca, co się zaś tyczy pieniędzy, nie mam. Aby nie być ciężarem drugiemu synowi, który pracuje dzień i noc, który się zabija dla mnie i zasługuje na całą miłość matki, wstępuję pojutrze do kantoru loterii jako płatna najemnica. W moim wieku!

— A pan, młody człowieku, rzekł stary dragon do Józefa, hę? Czy nie uczynisz dla brata bodaj tyle, co tancerka z *Porte-Saint-Martin* i stary wojskowy?

— Ot, chcesz pan, rzekł Józef zniecierpliwiony, abym panu określił w gwarze artystów cel pańskiej wizyty? Otóż, przyszedłes pan *naciągnąć* nas.

— Jutro zatem brat pański pójdzie do szpitala dla...

— Bardzo tam będzie na swoim miejscu, odparł Józef. Gdybym kiedykolwiek był w podobnym położeniu, poszedłbym tak samo.

Giroudeau wycofał się, bardzo zawiedziony, ale zarazem bardzo poważnie upokorzony iż musi oddać do Kapucynów człowieka, który nosił rozkazy cesarza w bitwie pod Montereau. W trzy miesiące później, pod koniec lipca, udając się jednego rana do biura, Agata, która szła zazwyczaj przez Pont-Neuf, aby oszczędzić miedziaka opłacanego przy moście *des Arts*, spostrzegła pod sklepami na Wybrzeżu człowieka noszącego liberję nędzy drugiego stopnia. Na ten widok, zaćmiło się jej w oczach: wydało się jej, że poznaje Filipa. Istnieją w Paryżu trzy kategorie nędzy. Najpierw, nędza

człowieka który zachowuje pozory i ma przed sobą przyszłość: nędza młodych ludzi, artystów, światowców chwilowo przechodzących kryzys. Oznaki tej nędzy widoczne są jedynie pod mikroskopem wprawnego obserwatora. Ci ludzie stanowią konny zakon nędzy, jeżdżą jeszcze kabrioletem. W drugim stopniu, znajdują się starcy, którym wszystko jest obojętne, którzy przypinają w czerwcu krzyż Legji do alpagowej surduciny. To nędza starych rentjerów, urzędników, żyjących gdzieś pokątnie i obojętnych już na zewnętrzny wygląd. Wreszcie, nędza łachmanów, nędza ludu, najpoetyczniejsza zresztą, którą oddali Callot, Hogarth, Murillo, Charlet, Raffet, Gavarni, Meissonier, którą Sztuka uwielbia i uprawia, w karnawale zwłaszcza! — Człowiek, w którym biedna Agata z trudnością poznała syna, znajdował się na pośrednim szczeblu między dwoma ostatnimi stopniami. Spozrzęła kołnierz straszliwie wytarty, załuszczone kapelusze, buty połatane z wykrzywionymi obcasami, wyszarżany surdut o guzikach odartych z materji. Człowiek ten wydobyl ręce, czarne jak u robotnika, z obstrzępionych i rozprutych spodni. Wreszcie, na piersiach, włóczkowa, zrudziała kamizelka, wystająca z rękawów i opadająca na spodnie, przeświecała wszędzie i wyraźnie zastępowała miejsce bielizny. Filip nosił na czole daszek z zielonej tafty chroniący oczy. Głowa jego prawie łysa, cera, wyschła twarz, świadczyły dostatecznie, że wychodził ze straszliwego szpitala t. zw. *du Midi*. Niebieski wytarty surdut wciąż zdobny był rozetką. To też, przechodnie patrzyli na tego wiarusa, z pewnością ofiarę rządu, z ciekawością pomieszaną ze współczuciem; rozetka bowiem ściągała oczy widza i przyprawiała najzacieklejszego rojalistę o wątpliwości zaszczytne dla Legji honorowej. W tym czasie, mimo że starano się zdeprecjonować to odznaczenie rozdając je bez miary, liczba dekorowanych osób nie sięgała we Francji ani pięćdziesięciu trzech tysięcy. Agata uczuła dreszcz przesywający jej wnętrze. Jeśli niepodobna jej było kochać tego syna, mogła jeszcze wiele przez niego wycierpieć. Pod wpływem ostatniego drgnienia macierzyństwa, rozplakała się, kiedy ujrzała tego świetnego niegdys

oficera czyniącego ruch jakgdyby miał wejść do handlu z tytoniem i zatrzymującego się na progu; przetrząsnął kieszenie, nie znalazł nic. Agata przeszła szybko ulicę, wyjęła sakiewkę, wsunęła ją w rękę Filipa i uciekła jakby popełniła zbrodnię. Dwa dni nie była w stanie nic wziąć do ust: ciągle miała przed oczami straszliwą twarz syna umierającego z głodu na ulicach Paryża.

-- Kiedy wyczerpie tę sakiewkę, kto go wspomůže? myślała. Giroudeau nie zwodził nas; Filip wychodzi ze szpitala.

Widziała już nie mordercę biednej ciotki, plagę rodziny, złodzieja domowego, gracza, pijaka, rozpustnika niskiego rzędu; widziała chorego umierającego z głodu, palacza bez tytoniu. W czterdziestym siódmym roku zrobiła się z Agaty kobieta siedmdziesięcioletnia. Ale nie był to ostatni cios, jaki ten syn miał jej zadać; najokropniejsze jej przewidywanie spełniło się. Odkryto wówczas sprzyśnięcie oficerów w łonie armji, i wykrzykiwano po ulicach dodatek *Monitora*, który zawierał szczegóły aresztowań.

Agata, z głębi swej klatki, w biurze loteryjnym przy ulicy Vivienne, usłyszała imię Filipa Bridau. Zemdlała; kierownik biura, który zrozumiał jej zgryzotę i konieczność czynienia starań, dał jej dwutygodniowy urlop.

— Ach, dziecko, to my naszą surowością pchnęliśmy go do tego, rzekła do Józefa kładąc się do łóżka.

— Pójdę rozmówić się z Desrochem, rzekł Józef.

Gdy artysta powierzał interesy brata Desrochowi, który uchodził za najbardziej kutego, najprzebieglejszego z paryzkich adwokatów i który zresztą umiał sobie zobowiązać niejedną grubą rybę, między innymi pana des Lupeaux, wówczas generalnego sekretarza ministerstwa, Giroudeau zjawił się u wdowy, która, tym razem, okazała mu zaufanie.

— Pani, rzekł, znajdźcie dwanaście tysięcy franków, a syna wypuszczą na wolność dla braku dowodów. Chodzi o to, aby kupić milczenie dwóch świadków.

— Znajdę, rzekła biedna matka, nie wiedząc ani gdzie ani jak.

Natchniona nieszczęściem, napisała do chrzestnej matki, starej pani Hochon, aby poprosiła o nie Jana Jakóba Rouget; przedstawiła że chodzi o ocalenie Filipa. Gdyby Rouget odmówił, prosiła panią Hochon, aby jej pożyczyła tej sumy, zobowiązując się do zwrotu w ciągu dwóch lat. Odwrotną pocztą otrzymała następujący list:

„Moje dziecko, mimo iż twój brat posiada, na czysto, czterdzieści tysięcy franków renty, nie licząc kapitałów zaoszczędzonych od siedemnastu lat, które pan Hochon ocenia na więcej niż sześćkroć, nie da ani szeląga dla siostrzeńców których nigdy nie widział na oczy. Co do mnie, nie wiesz zapewne, że, póki mój mąż żyje, nie będę miała do rozporządzenia ani sześciu franków. Hochon jest największym skąpcem w całym Issoudun; nie wiem co robi z pieniędzmi, nie daje wnukom ani dwudziestu franków na rok; aby pożyczyć, potrzebowałabym jego upoważnienia, którego odmówi. Nie próbowałam nawet odwołać się do twego brata, który ma w domu konkubinę i jest jej pokornym sługą. Litość patrzeć, jakie traktowanie cierpi ten człowiek we własnym domu, mając rodzoną siostrę i siostrzeńców. Dałam ci kilkakrotnie do zrozumienia, że twoja obecność w Issoudun mogłaby ocalić brata i wydrzeć, dla twoich dzieci, z rąk tej ścierki, majątek wynoszący czterdzieści a może sześćdziesiąt tysięcy renty; ale nie odpowiadałaś lub zdawałaś się nie rozumieć. To też, zmuszona jestem, bez zwykłych omówień, napisać ci dziś jak rzeczy stoją. Biorę szczerzy udział w nieszczęściu jakie cię dotyka, ale mogę tylko współczuć z tobą, moja dziecińco. Oto czemu nie mogę ci się na nic przydać: w osmdziesiątym piątym roku życia, Hochon jada cztery razy dziennie, opycha się na wieczór sałatą i twardemi jajami, i biega jak młodzik. Całe moje życie minie (on mnie pochowa!) a nie będę miała dwudziestu franków, któremibyśmy mogła rozporządzać. Jeżeli chcesz przybyć do Issoudun, aby zwalczać wpływ jaki ta nałożnica ma na twego brata, pan Rouget nie będzie się zapewne kwapił zapraszać cię do siebie; otóż już z tem będę miała

wiele trudu, aby mąż pozwolił mi gościć cię w swoim domu! Ale możesz przybyć, na tym punkcie ustąpi. Znam sposób na niego: wystarczy mi zacząć mówić o swoim testamencie. To mi się wydaje tak ohydne, że nigdy nie uciekałam się do tego środka; ale dla ciebie gotowa jestem. Mam nadzieję, że twój Filip wywinie się, zwłaszcza jeśli weźmiecie dobrego adwokata; ale przybywaj jak najspieszniej do Issoudun. Pomyśl, że, w pięćdziesiątym siódmym roku, twój niedołęga brat jest bardziej zgrzybiały niż mój Hochon. Toteż, rzecz nagli. Mówią o testamencie, który ma was wyzuć z sukcesji; ale, zdaniem Hochona, zawsze byłby czas go cofnąć. Bądź zdrowa, Agatko, niech ci Bóg pomaga; i licz we wszystkim na chrestną matkę, która cię szczerze kocha.

Maxymiljana Hochon, z domu Lousteau.

„P. S. Czy mój siostrzeniec Stefan, który pisuje w dziennikach i podobno żyje blisko z twoim Filipem, złożył ci uszanowanie? Ale przyjeżdżaj, porozmawiamy o nim“.

List ten dał wiele do myślenia Agacie; pokazała go oczywiście Józefowi, przyczem musiała wspomnieć o bytności kapitana Giroudeau. Artysta, ostrożny z chwilą gdy chodziło o brata, zwrócił uwagę matki iż powinna o wszystkim zawiadomić Desroches'a.

Uderzona słusnością tej uwagi, Agata, w towarzystwie syna, udała się nazajutrz rano, już o szóstej, do kancelarii Desroches'a przy ulicy de Buci. Adwokat ten, suchy jak nieboszczyk jego ojciec, z ostrym głosem, pergaminową cerą, nieubłaganemi oczyma, z twarzą lisa oblizującego sobie wargi z krwi kurczęcia, skoczył jak tygrys słysząc o odwiedzinach i propozycji kapitana.

— Ech, moja pani Bridau, wykrzyknął swoim rozbitym głosem, dokądże pani dasz się tumanić temu handycie Filipowi? Nie dawajcie ani szeląga! Ręczę pani za Filipa: właśnie dla ocalenia jego przyszłości, zależy mi na tem, aby go stawiono przed Izbę Parów. Pani obawia się, że go skażą, a ja mówię: dałby Bóg, aby jego adwokat doprowadził do skazania! Jedź pani do Issoudun, ratuj ma-

jątek dzieci. Jeżeli tego nie uzyskasz, jeżeli brat zrobił testament na rzecz tej kobiety, a pani nie potrafisz go odrobić... w takim razie zgromadź przynajmniej punkta do procesu o unieważnienie, ja poprowadzę proces. Ale pani jesteś nadto uczciwa kobieta aby zebrać dane do akcji tego rodzaju! Podczas wakacji, ja sam pojedę do Issoudun... o ile będę mógł.

To „ja sam pojedę“ przebiegło artystę jak dreszczem po ciele. Desroches mrugnął, dając znak Józefowi, by puścił matkę naprzód.

— Twój brat jest ostatni nędznik, rzekł; jest on, z wolą lub mimowoli, przyczyną odkrycia spisku; łajdak bowiem jest tak sprytny, że nie można przeniknąć prawdy. Możesz mu wybrać rolę pomiędzy głupcem a zdrajcą. Zostawią go z pewnością pod dozorem tajnej policji, oto wszystko. Bądźcie spokojni, ja tylko jeden znam tę tajemnicę. Jedź czempredzej do Issoudun z matką, masz głowę, staraj się ocalić sukcesję.

— Niema co, droga matko, Desroches ma rację, rzekł Józef doganiając Agatę; sprzedałem dwa obrazy, jedźmy do Issoudun, skoro masz dwa tygodnie wakacji.

Napisawszy do pani Hochon aby jej oznajmić swoje przybycie, Agata i Józef puścili się nazajutrz wieczór w drogę, zostawiając Filipa jego losowi. Dylizans minął ulicę d'Enfer, kierując się ku gościńcowi Orleańskiemu. Skoro Agata ujrzała Luxembourg, dokąd przeniesiono Filipa, nie mogła się wstrzymać od westchnienia:

— Gdyby nie koalicja, nie byłby jednak tutaj!

Wielu synów uczyniłoby gest zniecierpliwienia, uśmiechnęłoby się z politowaniem; ale artysta, który był sam z matką w przedziale, chwycił ją i przycisnął do serca, mówiąc:

— O matko! jesteś matką, jak Rafael był malarzem! I zawsze będziesz tą głupią, cudowną, wiekuiłą matką!

Wyrwana ze swej zgryzoty nowemi wrażeniami, pani Bridau zaczęła potrosze dumać nad celem podróży. Oczywiście, odczytała powtórnie list pani Hochon, który tak silnie poruszył prawnika Desroches. Uderzyły ją wówczas słowa konkubina, ścierka, jakich

pióro siedemdziesięcioletniej staruszki, równie pobożnej jak czci-godnej, użyło na określenie kobiety silącej się pochłonąć fortunę Ja-na Jakóba Rouget, ochrzczonego przydomkiem niedołągi. Agata pytała samej siebie, w jaki sposób potrafi ona obecnością swoją w Issoudun ocalić sukcesję. Józef, ten zacny i tak bezinteresowny artysta, mało rozumiał się na kodeksie; wykrzyk matki zastano-wił go.

— Nim nas wyprawił na ratowanie sukcesji, poczciwy Desro-ches powinien nam być wskazać sposób, wykrzyknął.

— O ile głowa moja, oszołomiona jeszcze myślą o Filipie w wię-zieniu, bez tytoniu może, mającego stawać przed trybunałem parów, zostawia mi nieco pamięci, odparła Agata, zdaje mi się, że młody Desroches wspomniął, abyśmy zgromadzili punkty do procesu o zwalenie aktu, w razie gdyby brat zrobił testament na rzecz tej... tej... kobiety.

— Paradny jest Desroches!... wykrzyknął malarz. Ba! jeżeli nie damy sobie rady, poproszę go, aby sam pojechał.

— Nie łammy sobie głowy nadaremnie, rzekła Agata. Skoro będziemy w Issoudun, chrestna matka pokieruje nami.

Uwagi te, wymienione w chwili, gdy, zmieniawszy dyliżans w Orleanie, pani Bridau i Józef zbliżali się do Sologne, dość jasno zdradzają niezdolność malarza i jego matki do roli, jaką im prze-znaczał straszliwy mistrz Desroches. Ale, wracając do Issoudun po trzydziestu latach nieobecności, Agata miała zastać takie zmiany, że konieczne jest nakreślić w niewielu słowach obraz tego miasta. Bez tego obrazu, trudno byłoby zrozumieć heroizm, jaki rozwijała pani Hochon wspomagając chrześniaczkę, jak również szczególne położenie, w jakim znajdował się Jan-Jakób Rouget. Mimo iż do-któr sprawił że syn jego uważał Agatę za obcą, zawsze było to ze strony brata dość niezwykle przetrwać trzydzieści lat nie dając sio-strze znaku życia. Milczenie to opierało się z pewnością na jakichś okolicznościach, które krewni inni niż Józef i Agata byliby oddaw-na zapragnęli poznać. Słowem, między stanem miasta a interesami

rodziny Bridau istniały pewne związki, które ujawnią się w toku opowiadania.

Z przeproszeniem Paryża, Issoudun jest jednym z najstarszych miast Francji. Wbrew zabobonom historycznym, które z cesarza Probusa czynią Noego Gallów, Cezar mówi już o doskonałym winie z Champ-Fort (de Campo Forti), jednej z najlepszych winnic Issoudun. Rigord wyraża się o tym mieście w sposób nie zostawiający żadnej wątpliwości co do liczego zaludnienia i rozległego handlu. Ale, te dwa świadectwa przyznawałyby miastu wiek dosyć średni w porównaniu z jego starożytnością. W istocie, poszukiwania świeżo prowadzone przez uczonego archeologa, pana Armanda Pérémet, odkryły pod sławną wieżą w Issoudun bazylikę z V-go wieku, jedyną prawdopodobnie jaka istnieje we Francji. Kościół ten zawiera, w samym swoim materjale, oznaki cywilizacji znacznie dawniejszej, kamienie bowiem pochodzą ze świątyni rzymskiej, której zajął miejsce. I tak, wedle dochodzeń tego archeologa, Issoudun, jak wszystkie miasta Francji DUN (dunum), posiadałoby w swoim imieniu świadectwo tubylczego istnienia. To słowo Dun, uprzywilejowane miano wszelkiej wyniosłości uświęconej kultem druidycznym, wskazywałoby na wojskową i religijną organizację Celtów. Pod Dunem Gallów, Rzymianie wybudowali świątynię Izydzie. Stąd, wedle Chaumona, nazwa miasta Is-sous-Dun. Is byłoby skróceniem Izis. Ryszard Lwie Serce wznosił z wszelką pewnością słynną wieżę, w której bił monetę, nad bazyliką z V-go wieku, trzecim monumentem trzeciej religii tego starożytnego miasta. Posłużył się tym kościołem jako punktem wyjścia potrzebnym do podwyższenia szanów, i zachował go, okrywając feudalnymi fortyfikacjami niby płaszczem. Issoudun było wówczas siedzibą przemijającej potęgi rycerzy gościńca, kondotjerów, których Henryk II przeciwstawiał synowi swemu Ryszardowi, w czasie jego buntu jako hrabiego Poitou. Historia Akwitanji, którą zaniedbali napisać Benedyktyni, przepadła zapewne na zawsze, niema już bowiem Benedyktynów. To też, za każdym razem gdy się nadarzy sposobność, nie można dość pilnie rozświecać tych

ciemności archeologicznych w historii naszych obyczajów. Inne świadectwo starożytnej potęgi Issoudun, istnieje w kanalizacji Tour-nemine, małej rzeczki, podniesionej, na wiele metrów i na wielkiej przestrzeni, nad poziom Théols, rzeki okalającej miasto. Dzieło to z pewnością zawdzięcza istnienie geniuszowi rzymskiemu. Wreszcie, przedmieściem które rozciąga się od zamku ku północy, biegnie ulica, zwana, przeszło od dwóch tysięcy lat, ulicą rzymską. Mieszkańcy tej dzielnicy, których rasa, krew, fizjognomja mają zresztą swoiste cechy, podają się za potomków Rzymian. Są to prawie wszystko winiarze i odznaczają się osobliwą surowością, wynikłą zapewne z pochodzenia, a bardziej jeszcze z ich zwyczajstwa nad bandytami i rycerzami gościńca, których wytępilli w XII-ym wieku, na równinie Charost.

Po rewolucji r. 1830, Francja była zbyt wzburzona, aby zwrócić uwagę na rozruchy winiarzy w Issoudun, rozruchy których przebieg był niezwykle gwałtowny. Szczegółów nie ogłoszono zresztą, i to umyślnie. Zrazu, mieszczenie Issoudun nie pozwoliło wojskom wkroczyć do miasta. Chcieli sami odpowiadać za swój gród, wedle praw i obyczaju mieszczaństwa w wiekach średnich. Władza była zmuszona ustąpić mieszczaanom, popartym przez kilka tysięcy winiarzy, którzy spalili wszystkie archiwa i biura *podatków pośrednich*, oraz wlekli po ulicach urzędnika komory, wołając przy każdej latarni: „Tu będzie wisiał“! Nieboraka ledwie wydarła z rąk tych opętańców Gwardja Narodowa, która ocaliła mu życie, odprowadzając go do więzienia pod pozorem śledztwa. Generał wszedł do miasta jedynie na podstawie układów z winiarzami, a trzeba było odwagi aby wejść w ten tłum; w chwili bowiem gdy zjawił się na ratuszu, jakiś człowiek z dzielnicy rzymskiej założył mu swój wolant na szyję (wolant jestto wielki sierp umocowany na żerdzi, służący do obcinania drzew), wołając: precz z komisarzami, inaczej szkoda gadań! Ten winiarz byłby skosił głowę uszanowaną przez szesnaście lat wojny, gdyby nie szybka interwencja jednego z przywódców,

któremu przyrzeczono zażądać w Izbie zniesienia piwnicznych szczyrów...

W XIV wieku, Issoudun miało jeszcze do siedemnastu tysięcy mieszkańców, resztkę dawnej ludności sięgającej podwójnej cyfry. Karol VI posiadał w mieście pałac, jeszcze istniejący, znany do XVIII-go wieku pod nazwą *Domu Króla Imci*. Miasto to, wówczas główny rynek handlu wełną, zaopatrywało w ten produkt część Europy i wytwarzało na wielką skalę sukna, kapelusze i wyborne kożłowe rękawiczki. Pod Ludwikiem XIV, Issoudun, z którego wyszli Baron i Bourdaloue, cytowano zawsze jako miasto elegancji, wykwintnego wysłowienia i dobrego towarzystwa. Dziś, blask ten i polor znikły zupełnie. Issoudun, którego rozległość świadczy o dawnym znaczeniu, szacuje się samo na dwanaście tysięcy dusz, licząc w to winiarzy czterech ogromnych przedmieść, stanowiących niby małe miasteczka. Mieszczanie, podobnie jak w Wersalu, zabudowali się w szerokich ulicach. Issoudun zachowało jeszcze rynek wełny całego Berri, mimo iż handlowi temu grożą ulepszenia rasy owiec, coraz powszechniejsze, których Berri nie chce uznać. Winnice Issoudun wydają wino, które pokrywa zapotrzebowanie dwóch departamentów, i które, gdyby je sporządzano tak jak Burgundja i Gaskonja swoje, stałoby się jednym z najlepszych win we Francji. Niestety; robić jak robili ojcowie, nic nie ulepszać, oto hasło tej miejscowości!

Upadek Issoudun tłumaczy się tedy duchem bezwładu posuniętego do tępoty. Można go poznać z jednego faktu. Kiedy zaczęto budować gościniec z Paryża do Tuluzy, naturalnem było poprowadzić go od Vierzon, na Châteauroux, przez Issoudun. Droga byłaby krótsza, niż, jak ją poprowadzono, przez Vatan. Ale miejscowi dygnitarze i rada gminna, której uchwałę utrwalono ponoś w protokóle, zażądali obrócenia drogi na Vatan, podnosząc, iż, jeżeli gościniec przetnie miasto, środki żywności podskoczą i trzeba będzie płacić za kurę półtora franka. Analogję podobnego aktu można znaleźć

jedynie w najdzikszych okolicach Sardynji, kraju tak ludnego, tak bogatego niegdyś, dziś tak opustoszałego. Kiedy król Karol-Albert, w chwalebnej myśli cywilizacyjnej, chciał połączyć Sassari, drugą stolicę wyspy, z Cagliari zapomocą pięknej i wspaniałej drogi, jedynej jaka istnieje w owem wielkiem pastwisku nazwanem Sardynją, prosta wytyczna linja wymagała aby droga przechodziła przez Bonorva, okolicę zamieszkałą przez ludność nieujarzmioną, przypominającą nasze plemiona arabskie, tembardziej iż pochodzi ona od Maurów. Widząc że grozi im zalew cywilizacji, dzikusy z Bonorva, nie wchodząc w żadne roztrząsania, wystąpili z opozycją. Rząd nie wziął tej opozycji w rachubę; otóż, inżynier który wbił pierwszy palik, dostał kulę w głowę i skonał pod swoim palikiem. Nie próbowano nawet dochodzić tej sprawy, i droga opisuje krzywiznę wydłużającą ją o ośm mil.

W Issoudun, ciągle rosnąca zniżka win (które konsumuje się na miejscu, zadowalając w ten sposób pragnienie mieszczaństwa aby *żyć tanio*), gotuje ruinę winiarzy, coraz więcej gniesionych kosztami uprawy i podatkiem; tak jak niemożność ulepszenia rasy owiec grozi upadkiem przemysłu wełnianego i dostatku okolicy. Mieszkańcy wsi mają głęboką odrazę do wszelkiej zmiany, nawet tej, która widomie sprzyja ich interesom. Paryżanin widzi na wsi robotnika, który zjada na obiad olbrzymią ilość chleba, sera i jarzyn; udowadnia mu, że, gdyby zastąpił to pożywienie kawałkiem mięsa, odżywiłby się lepiej, taniej, pracowałby więcej, i nie tak szybko zużyłby kapitał swej żywotności. Mieszkaniec Berri uznaje słuszność obliczenia. „Ale języki, panoczku, odpowiada. — Co za języki?...— Ano tak, coby ludzie gadali na to? — Obniesionoby go po całej okolicy, zauważył właściciel w którego majątku ta scena miała miejsce; okrzyczanoby go za bogacza, za pyszałka, słowem, boi się opinji publicznej, boi się że go będą wytykali palcem, że będzie uchodził za słabego lub chorowitego... Oto, jacy jesteśmy tu wszyscy!“ Wielu mieszczan wymawia te słowa z ukrytą dumą. O ile ignorancja i rutyna niezwyciężone są na wsi, gdzie chłopi rządzą się własnym try-

hem, miasto Issoudun znowuż doszło do zupełnego zastoju. Zmuszone walczyć z podupadaniem fortun zapomocą brudnego skapstwa, rodziny żyją ściśle zamknięte. Zresztą, społeczeństwo tamtejsze na zawsze pozbawione jest antagonizmu, który daje ton obyczajom. Miasto nie zna owego starcia dwóch sił, któremu zawdzięczały życie państewka włoskie w średnich wiekach. Issoudun nie ma już szlachty. Opryszki, ruchy chłopskie, wojny religijne i Rewolucja doszczętnie wygubiły szlachtę. Miasto jest bardzo dumne z tego tryumfu. Issoudun (wciąż aby utrzymać taniość środków żywności) stale odmawiało przyjęcia załogi. Straciło w ten sposób styczność ze światem, tracąc zarazem zyski przychodzące z wojskiem. Przed r. 1756, Issoudun było jednym z najprzyjemniejszych garnizonów. Dramat sądowy, który zaprzatnął całą Francję, zajście generalnego poborcy z margrabią de Chapt, którego syna, oficera dragonów, uśmiercono, może sprawiedliwie ale zdradziecko, z przyczyny jakiejś miłosnej awanturki, pozbawił, od tej epoki, miasto załogi. Pobył 44-tej półbrygady, nałożony w czasie wojny domowej, nie był tej natury, aby pogodzić mieszkańców z mundurem. Bourges, którego ludność spada z każdym dziesiątkiem lat, dotknięta jest tą samą chorobą. Żywotność ucieka z tych wielkich ciał. Niewątpliwie rząd ponosi winę w tych nieszczęściach. Obowiązkiem rządu jest spostrzegać owe plamy na ciele społecznem, i zapobiegać im, posyłając do chorych miejscowości ludzi energicznych, aby zmienili bieg rzeczy. Niestety! dalekie od tego poglądu, sfery rządzące przyklaskują złowrogiej i grobowej senniści. A przytem, skąd brać energicznych administratorów, zdolnych urzędników? Kto, w naszych czasach, ma ochotę zagrzebać się w jakimś okręgu, gdzie jest sposobność czynienia dobrze ale bez rozgłosu? Jeżeli, przypadkiem, wysła tam człowieka ambitnego a nieobeznanego z krajem, niebawem udziela się mu siła inercji: wnet sam dostraja się do strasznego życia prowincji. Issoudun uśpiłoby samego Napoleona. Dzięki tej szczególnej właściwości, w r. 1822, administrację Issoudun mieli w rękach wyjącznie Berryjczycy. Władza była tedy śpiąca lub bezsilna, z wyjąt-

kiem wypadków, z natury rzeczy bardzo rzadkich, gdzie, dla oczywistej wagi wydarzenia, sprawiedliwość zmuszona jest działać. Prokurator, pan Mouilleron, skuzynowany był z całą okolicą, zastępca zaś jego sam należał do jednej z miejscowych rodzin. Prezydent trybunału, nim doszedł do tej godności, wsławił się jednym z owych powiedzeń, które, na prowincji, ubierają człowieka na całe życie w czapkę z oślemi uszami. Zakończywszy rozprawę która pociągnęła za sobą wyrok śmierci, rzekł do oskarżonego: „Mój dobry Piotrze, sprawa jest jasna, utną ci głowę. Niech ci to posłuży za naukę!“ Komisarz policji, mianowany przez Restaurację, miał krewnych w całym okręgu. Wreszcie, nie tylko religja była bez wpływu, ale i proboszcz nie miał żadnej powagi. Liberalne mieszczaństwo Issoudun, przekorne a ciemne, powtarzało mniej lub więcej komiczne anegdoty o stosunkach nieboraka ze służącą. Mimo to, dzieci chodziły na lekcje katechizmu i przystępowały do pierwszej Komunii; istniało również kolegjum, odprawiano mszę św., obchodzono regularnie święta; płacono podatki, jedyna rzecz jakiej Paryż żąda od prowincji; mer wydawał jakieś zarządzenia; ale te funkcje społeczne toczyły się przez rutynę. Tak więc, miękkość rządów zgadzała się cudownie z intelektualnym i moralnym charakterem tego partykularza. Wypadki ukażą zresztą następstwa owego stanu rzeczy, który nie jest tak wyjątkowy jakby można mniemać. Wiele jest miast we Francji, zwłaszcza na południu, podobnych do Issoudun. Los, do jakiego trymuf burżuazji doprowadził tę prowincjonalną stolicę, jest losem, jaki czeka całą Francję, a nawet Paryż, jeżeli mieszczaństwo zostanie nadal panem zewnętrznej i wewnętrznej polityki kraju.

A teraz, nieco topografji. Issoudun rozciąga się od północy ku południowi na zboczu, wypuklającym się ku drodze do Château-roux. U stóp tej wypukłości, utworzono niegdyś, dla potrzeb fabrycznych lub też dla wypełniania okopów w czasach rozkwitu miasta, kanał nazwany dziś Sztuczną Rzeką, który czerpie wody w rzece Théols. Sztuczna Rzeka tworzy odnogę, którą łączy się z rzeką natu-

ralną za dzielnicą rzymską, w punkcie gdzie wpada w nią również rzeczka Tournemine i parę innych strumieni. Te małe dopływy żywej wody oraz dwie rzeki nawadniają dość rozległe łąki, okalające ze wszech stron żółtawe lub białe pagórki, usiane czarnymi punktami. Taki jest widok issoudeńskich winnic przez siedem miesięcy w roku. Poniżej przedmieścia rzymskiego rozciąga się duży moczar, w całości uprawny pod warzywa. Szeroka i długa aleja, wysadzona topolami, prowadzi z miasta, przez łąki, do dawnego klasztoru zwanego Frapesle, którego angielskie ogrody, jedyne w całym okręgu, otrzymały szumną nazwę Tivoli. W niedzielę, zakochane pary wymieniają tam zwierzenia. Ślady dawnej wielkości Issoudun uderzają oko obserwatora; najwybitniejsze z nich stanowią wytyczne punkty dzielące miasto. Zamek, który, ze swemi murami i fosami, niegdyś sam dla siebie tworzył miasto, stanowi odrębną dzielnicę, dokąd można się dziś dostać jedynie przez dawne bramy, a skąd wychodzi się przez trzy mosty, rzucone przez obie rzeki. Jedynie ta dzielnica zachowała dawną fizjognomję. Tu i ówdzie widać jeszcze potężne obmurowania dawnych szańców, na których wznoszą się domy. Nad zamkiem góruje wieża, która była jego obroną. Opanowawszy miasto, rozłożone dokoła tych dwóch warownych punktów, trzeba było zdobyć zamek i wieżę. Posiadanie zamku nie dawało jeszcze w ręce posiadania wieży. Mimo iż zamek Issoudun, ze swemi ciasnymi uliczkami i wiekowymi domostwami, ma charakter starego miasta, właściwe miasto, wielokrotnie zdobywane i palone w rozmaitych epokach, zwłaszcza w czasie Frondy, ma fizjognomję nowoczesną. Obszerne ulice i porządnie zbudowane domy tworzą z wyglądem zamku kontrast dość uderzający, który, w niektórych podręcznikach geografji, zjednał miastu Issoudun przydomek „ładne“.

W mieście takiej przyrody, bez żadnego ożywienia, nawet handlowego, bez sztuki, bez ośrodków naukowych, zasklepieniem w ciasnocie domowego życia, nieuniknionem było, iż, za Restauracji, w 1816 r., kiedy wojna ustała, wielu młodych ludzi nie znalazło przed sobą żadnej drogi i nie wiedziało co z sobą począć w oczeki-

waniu małżeństwa lub spadku po rodzicach. Nudząc się w domu, młodzi nie znajdowali żadnej rozrywki w mieście; że zaś, jak to mówią, młodość musi się „wyszumieć“, urządzali sobie zabawy kosztem samegoż miasteczka. Trudno im było praktykować swoje sztuki w biały dzień; poznanoby ich; raz przepelniwszy czarę zbrodni, dostaliby się w końcu, po jakimś ostrzejszym wybryku, w ręce policji poprawczej; wybrali tedy, dość roztropnie, noc na swoje złośliwe praktyki. Tak zatem, wśród resztek tyłu rozmaitych zanikłych cywilizacji, błysnął, jak ostatni płomyk, ślad owej junackiej trefności, która cechowała dawne obyczaje. Ci młodzi ludzie bawili się tak, jak niegdyś Karol IX-ty i jego dworzanie, Henryk IV-ty i jego kompani, jak bawiono się dawniej w wielu miastach na prowincji. Skoro raz stowarzyszyli się wskutek konieczności pomagania sobie wzajem, bronięcia się i wymyślania figlów, rozwinęła się u nich, dzięki wymianie pomysłów, cała suma złośliwości jaką mieści w sobie młodość i jaką spostrzega się nawet u zwierząt. Stowarzyszenie dostarczyło im, co więcej, drobnych przyjemności jakie daje tajemnica nieustającego spisku. Nazwali się *rycerzami Bezrobocia*. W dzień, prowadzenie życia tych młodych małpiąt było bez zarzutu; udawali wszyscy istoty nader spokojne; zresztą, po nocach w ciągu których dokonali jakiegoś szelmstwa, sypiali w dzień do późna. Rycerze Bezrobocia zaczęli od pospolitych psikusów, jak zdejmowanie i przewieszanie szyldów, dzwonienie do drzwi, wrzucanie z hałasem beczki, którą ktoś zapomniał u bramy, do piwnicy sąsiada, zbudzonego łomotem godnym conajmniej wybuchu miny. Pod koniec 1816, hultaje nie wyszli z typu konceptów, jakich wszędzie na prowincji dopuszczają się młode urwisy. Ale, w 1817, zakon Bezrobocia otrzymał wielkiego mistrza, i wślawił się sztukami, które, aż do 1823, napełniły Issoudun rodzajem grozy, lub przynajmniej utrzymywały rękodzielników i mieszczan w nieustannym postrachu.

Wodzem tym był niejaki Maksencjusz Gilet, nazywany krócej Max, którego poprzednie dzieje, niemniej jak siła i młodość, czyniły godnym tej roli. Maksencjusz Gilet uchodził w Issoudun za natural-

nego syna wicedelegata Lousteau, brata pani Hochon, którego czułe serce zostawiło wiele wspomnień, i który, jak mówiliśmy już, ściągnął na siebie nienawiść doktora Rouget z powodu przyjscia na świat Agaty. Ale przyjaźń, która łączyła tych dwóch ludzi przed ich nieporozumieniem, była tak ścisła, że, wedle utartego wyrażenia okolicy, chadzali chętnie jednemi drogami. To też utrzymywano, iż Max mógłby być równie dobrze synem doktora co wicedelegata. Naprawdę jednak nie zawdzięczał istnienia żadnemu z nich: ojcem jego był gracki oficer dragonów stacjonowany w Bourges. Mimo to, ziejąc do siebie nienawiścią, bardzo szczęśliwie dla dziecka, doktor i wicedelegat wydzielali sobie ustawicznie wzajem to ojcostwo. Matka Maxa, żona biednego szewca z Dzielnicy rzymskiej, była, na zgubę swej duszy, kobietą zdumiewającej piękności: jedyne dziedzictwo jakie przekazała synowi! Pani Gilet, która zaszła w ciążę w 1788, długi czas daremnie pragnęła tego błogosławieństwa niebios, które złośliwość ludzka przypisywała zapałom miłosnym dwóch przyjaciół, zapewne aby ich judzić wzajem przeciw sobie. Gilet, stary pijaczyna dziesiątej próby, popierał wybryki żony z bezwstydem i usłużnością, które nie są bez przykładów w niższej klasie. Aby zapewnić synowi protektorów, obywatelka Gilet strzegła się otwierać oczy obu mniemanym ojcom. W Paryżu, byłaby milionerką, w Issoudun żyła na przemian to dostatnio, to w nędzy i, ostatecznie, w pogardzie u ludzi. Pani Hochon, siostra pana Lousteau, przeznaczyła jakieś dziesięć talarów rocznie na to, aby Max mógł uczęszczać do szkół. Hojność tę, na którą pani Hochon nie byłaby mogła sobie pozwolić wobec mężowskiego skąpstwa, przypisywano oczywiście jej bratu, wówczas mieszkającemu w Sancerre. Kiedy doktor Rouget, który nie miał szczęścia do syna, spostrzegł urodę Maxa, opłacił, aż do 1805, pensję w kolegjum za chłopca, którego nazywał *małym urwisem*. Ponieważ wicedelegat umarł w 1800, doktor zaś, opłacając pięć lat pensję Maxa, zdawał się powodować jedynie uczuciem miłości własnej, kwestja ojcostwa pozostała zawsze nierozstrzygnięta. Maksencjusz Gilet był jakiś czas przedmiotem tysiąca żarcików, z czasem zaś zapo-

nniano o nim. Oto jak. W 1806, w rok po śmierci Rougeta, chłopiec, jak stworzony do awanturniczego życia, obdarzony zresztą niepopolitą siłą i zręcznością, pozwalał sobie na mnóstwo mniej lub więcej ryzykownych wybryków. Pokumał się był już z wnukami pana Hochon aby doprowadzić do rozpacy wszystkich sklepikarzy w miasteczku, obierał owoce z drzew ubiegając właścicieli, nie robił sobie ceremonji z przełożeniem przez mury. Demon ten nie miał równego sobie w forsownych igraszkach, grał znakomicie w palanta, biegał tak, iż dogoniłby zająca w pędzie. Obdarzony okiem urodzonego myśliwca, kochał już wówczas namiętnie polowanie. Zamiast uczyć się, spędzał czas na strzelaniu do tarczy. Pieniądze wyłudzone staremu doktorowi obracał na kupno prochu i kul do lichego pistoletu, który podarował mu ojciec Gilet, ów biedny szewczyna. Otóż, w jesieni 1806, Max, liczący wówczas siedmnaście lat, popełnił mimowolne zabójstwo, przestraszywszy, o zmierzchu, młodą kobietę w ciąży, którą zaskoczył w ogrodzie, dokąd wszedł aby kraść owoce. Zagrożony gilotyną przez ojca szewczynę, który zapewne chciał się go pozbyć, Max umknął jednym tchem do Bourges, dopadł tam pułku ruszającego do Hiszpanji i zaciągnął się. Śmierć młodej kobiety nie pociągnęła żadnych następstw.

Chłopiec z naturą Maxa musiał się odznaczyć, i odznaczył się tak, że, po trzech kampaniach, był kapitanem, trochę bowiem wykształcenia jakie otrzymał dopomogło mu znacznie. W 1809, w Portugalji, porzucono go jako nieżywego w baterji angielskiej, do której kompania jego się wdarła, lecz nie mogła się utrzymać. Max, wzięty przez Anglików, dostał się na pontony hiszpańskie w Kabre-ra, najokropniejsze ze wszystkich. Podano go wprawdzie do krzyża Legji i do stopnia majora, ale cesarz był wówczas w Austrii i oszczędzał swoje fawory dla czynów dokonywanych pod jego oczyma; nie lubił przytem tych, którzy się dali wziąć do niewoli i dość był nie-rad z obrotu spraw w Portugalji. Max przebył na pontonach od 1810 do 1814. Przez te cztery lata, zdemoralizował się zupełnie, pontony bowiem była to katorga, tyle tylko że bez hańby. Zrazu, aby zacho-

wać wolność swej osoby i bronić się od zepsucia które srożyło się w tych ohydnych więzieniach niegodnych cywilizowanego narodu, młody i piękny kapitan ubił w pojedynku (wyzywano się na pojedynki na tej przestrzeni sześciu stóp kwadratowych!) siedmiu zabiaków i tyranów, z których oczyścił ponton ku radości ciemieżonych. Max królował na pontonie, dzięki cudownej biegłości jakiej nabrał w robieniu bronią, dzięki sile fizycznej i zwinności. Ale i on dopuścił się z kolei aktów samowoli, miał zauszników którzy tworzyli jego gwardję i stali się jego dworakami. W tej szkole cierpienia, gdzie natury przepojone goryczą marzyły tylko o zemście, gdzie sofizmaty wylęgłe w tych stłoczonych mózgownicach usprawiedliwiały zbrodnicze myśli, Max popsuł się zupełnie. Słuchał głosu tych, którzy marzyli o majątku za wszelką cenę, nie cofając się bodaj przed zbrodnią, byle spełnioną bez dowodów. Wreszcie, za nastaniem pokoju, wyszedł, skażony mimo iż niewinny, zdolny stać się wielkim politykiem w wysokiej sferze interesów i nędznikiem w życiu prywatnem, wedle tego gdzie go los rzuci. Wróciwszy do Issoudun, dowiedział się o żalonym końcu obojga rodziców. Jak wszyscy ludzie, którzy oddają się całkowicie swoim namiętnościom i którzy, wedle przysłowia, obierają życie *krótkie a dobre*, oboje Gilet pomarli w najokropniejszej nędzy, w szpitalu. Prawie równocześnie, wieść o wylądowaniu Napoleona w Cannes rozszła się po całej Francji. Max nie miał nic lepszego do roboty, jak udać się do stolicy, zażądać swego stopnia i krzyża. Marszałek, który miał wówczas tekę ministra wojny, przypomniał sobie o dzielnem sprawowaniu kapitana Gilet w Portugalji; umieścił go w gwardji jako kapitana, co mu dawało w linji rangę majora; ale krzyża nie mógł dlań uzyskać.

— Cesarz powiedział, kapitanie, że potrafisz go zdobyć w pierwszej potrzebie, rzekł marszałek.

W istocie, cesarz zanotował dzielnego kapitana do dekoracji wieczorem po bitwie pod Fleurus, w której Gilet się odznaczył. Po Waterloo, Max cofnął się za Loarę. Przy rozpuszczaniu armji, mar-

szałek książę de Feltre nie uznał Giletowi ani jego stopnia ani krzyża. Żołnierz Napoleona wrócił do Issoudun w stanie podrażnienia dość łatwym do pojęcia; nie chciał służyć inaczej, jak tylko z krzyżem i stopniem majora. Ministrowi wydały się zbyt wygórowane te żądania młodego człowieka lat dwudziestu pięciu, bez urodzenia, który, w ten sposób, mógł zostać pułkownikiem w trzydziestym roku. Max zgłosił tedy dymisję. Major — między sobą bowiem bonapartyści uznawali wzajem stopnie nabyte w 1815, stracił tedy lichą płacę, zwaną pół-żołdem, jaką przyznano oficerom armji Loary. Widząc tego pięknego młodego chłopca, którego całe mienie składało się z dwudziestu napoleonów, Issoudun drgnęło współczuciem; burmistrz dał mu miejsce w magistracie z płacą sześciuset franków rocznie. Max, który pełnił te obowiązki blisko pół roku, złożył je sam z siebie; miejsce jego zajął kapitan nazwiskiem Carpentier, który również, jak on, został wierny Napoleonowi. Już piastując godność wielkiego mistrza Zakonu Bezrobocia, Gilet przybrał tryb życia, który go pozbawił szacunku najgodniejszych rodzin, czego wszakże nie dawano mu uczuć; był to człowiek gwałtowny i budził lęk we wszystkich, nawet w oficerach dawnej armji, którzy, jak on, nie zgodzili się służyć i wrócili „sadzić kapustę“ do Berri.

Mała popularność Burbonów wśród rodowitych mieszkańców Issoudun nie może zdziwić po tem cośmy powiedzieli poprzednio. To też, w stosunku do jego rozmiarów, w miasteczku tem było więcej bonapartystów niż gdziekolwiek. Bonapartyści przedzierzgnęli się, jak wiadomo, prawie wszyscy w liberałów. W Issoudun lub w okolicy, liczono z tuzin oficerów w tem położeniu co Max. Sympatyczne przymioty młodego człowieka sprawiły iż wzięli go za wodza; z wyjątkiem wszelako pana Carpentier, jego następcy, i niejakiego pana Mignonnet, ex-kapitana artylerji w gwardji. Carpentier, oficer kawalerji, ożenił się dostatnio i wszedł do jednej z najbardziej poważanych rodzin w mieście, Borniche-Hereau. Mignonnet, wychowany w Szkole politechnicznej, służył w broni

która przypisuje sobie wyższość nad innymi. Istniały, w armji cesarza, między wojskowymi, dwa odcienie. Jedni mieli dla mieszczucha, dla *cywila*, wzgardę równą wzgardzie szlachcica dla chama, zdobywcy dla podbitego. Ci nie zawsze przestrzegali prawideł honoru w stosunkach z ludnością cywilną, lub niezbyt potępiali tych którzy gnębili mieszczuchów. Inni (zwłaszcza artylerja, może wskutek swego republikanizmu) nie przyjęli tej doktryny, która dążyła, ni mniej ni więcej, do tego, aby stworzyć dwie Francje: wojskową i cywilną. I tak, komendant Potel i kapitan Renard, dwaj oficerowie z dzielnicy rzymskiej, których opinie co do *cywilów* nie uległy zmianie, zostali, *mimo wszystko*, przyjaciółmi Maxa; major Mignonnet i kapitan Carpentier natomiast opowiedzieli się po stronie mieszczaństwa, znajdując postępowanie Gileta niegodnym człowieka honoru. Major Mignonnet, mały chudy człowieczek, noszący się bardzo godnie, zajmował się problemami maszyny parowej i żył skromnie, bawiąc przeważnie w towarzystwie państwa Carpentier. Spokojny charakter i zamiłowania naukowe zjednały mu poważanie całego miasta. To też, powiadano, że pp. Mignonnet i Carpentier to *zupełnie inni* ludzie, niż major Potel i kapitanowie Renard, Gilet oraz bywalcy kawiarni Wojskowej, którzy zachowali obyczaje żołnierskie i narowy Cesarstwa.

W chwili tedy gdy pani Bridau wracała do Issoudun, Max znajdował się poza nawiasem poważnego mieszczaństwa. Młody człowiek sam sobie zresztą wymierzył sprawiedliwość nie pokazując się w towarzystwie noszącym miano Kasyna, i nie skarżąc się nigdy na ostracyzm jakiego był przedmiotem. A trzeba dodać, iż Maks był to młodzieniec najwytworniejszy, najlepiej ubrany w całym Issoudun, który szeroko rozrzucał pieniądze i posiadał, wyjątkowo, konia: rzecz równie niezwykła w Issoudun, co wierzchowiec lorda Byrona w Wenecji. Zobaczymy, w jaki sposób, przybywszy biedakiem bez grosza, Max zdobył sobie rangę arbitra elegancji; hańbiące bowiem środki, które zjednały mu wzgardę ludzi tchórzliwych lub bogobojnych, splatają się z interesami,

które sprowadzały do Issoudun Agatę i Józefa. Sądząc ze śmiałości jego wystąpień, z fizjognomji, Max zdawał się nader mało troszczyć o opinię; liczył zapewne na to, iż kiedyś doczeka się odwetu i będzie panował nad tymi, którzy nim dziś gardzą. Zresztą, o ile mieszczaństwo nisko szacowało Maxa, uwielbienie jakie charakter jego budził wśród ludu tworzyło przeciwwagę tej opinji. Odwaga jego, postawa, przytomność musiały podobać się tłumowi, który zresztą nieświadomy był jego zepsucia, samo bowiem mieszczaństwo nie przypuszczało istotnych jego rozmiarów. Max odgrywał w Issoudun rolę wodza bonapartyzmu i opozycji; liczone nań jak na człowieka na którego zwracają się oczy w wielkich wydarzeniach. Jedna zwłaszcza sprawa wysunęła na widownię bohatera i ofiarę *Stu Dni*.

W 1819, bataljon znajdujący się pod dowództwem oficerów-rojalistów, młodych ludzi wychowanych w *Maison Rouge*, przeciągał przez Issoudun, udając się do Bourges, gdzie miał stanąć załoga. Nie wiedząc co począć z sobą w mieście równie „konstytucyjnym“ jak Issoudun, oficerowie udali się, dla zabicia czasu, do Kawiarni Wojskowej, która, pod tem godłem, istnieje w każdym prowincjonalnem miasteczku. Kawiarnia w Issoudun, stanowiąca narożnik placu Armji, utrzymywana przez wdowę po oficerze, służyła z natury rzeczy za klub tamecznym bonapartystom, spensjonowanym oficerem, słowem wszystkim, którzy dzielili przekonania Maxa i którym duch miasta pozwalał na wyrażanie kultu dla cesarza. Od r. 1806, odbywał się stale w Issoudun bankiet w rocznicę koronacji Napoleona. Wszedłszy do lokalu, rojaliści zażądali dzienników; między innymi *Gazety codziennej* i *Białego sztandaru*. Opinię Issoudun, zwłaszcza Kawiarni Wojskowej, nie dopuszczały dzienników rojalistycznych. Kawiarnia miała jedynie *Gazetę handlową*, które to miano zmuszony był przybrać na kilka lat *Constitutionnel*, zawieszony wyrokiem sądowym. Z wysokości swego kantoru, gruba dama odpowiedziała rojalistom, że nie trzyma żądanych dzienników.

— Jakież więc pisma macie? spytał jeden z oficerów, kapitan. Garson, młody chłopak w niebieskim kubraczku, przepasany grubym płóciennym fartuchem, przyniósł *Handlową*.

— A, to jest wasz dziennik! Nie macie innego?

— Nie, odparł chłopiec, tylko ten.

Kapitan przedarł dziennik opozycji, rzucił kawałki na ziemię i napluł na nie, mówiąc:

— Domino!

W dziesięć minut, wieść o zniewadze wyrządzonej konstytucyjnej opozycji i liberalizmowi w osobie uświęconego dziennika, który atakował księży z wiadomą wszystkim odwagą i dowcipem, obiegła miasto, rozlała się niby światło po domach; rozpowiadano ją sobie z ulicy na ulicę. Jedno słowo znalazło się naraz na wszystkich ustach: „Uwiadomić Maxa!“ Max dowiedział się w lot o zajściu. Oficerowie nie skończyli partji domina, kiedy wszedł do kawiarni Max, w towarzystwie majora Potel i kapitana Renard, ciągnąc za sobą z trzydziestu młodych ludzi, ciekawych widzieć koniec zajścia i czekających na wynik pod oknami kawiarni, na placu Armji. Kawiarnia w mig się napełniła.

— Chłopiec, mój dziennik, rzekł Max łagodnie.

Zagrano małą komedyjkę. Gruba kobieta, lęklwym i pojedynczym tonem, rzekła:

— Kapitanie, pożyczyłam.

— Każ go pani przynieść! krzyknął któryś z przyjaciół Maxa.

— Czy nie mógłby się pan obejść bez dziennika? rzekł chłopiec. Niema dzisiaj.

Młodzi oficerowie śmieli się, rzucając z pod oka spojrzenia na *cywilów*.

— Podarty! wykrzyknął któryś z młodych, spoglądając pod nogi kapitana-rojalisty.

— Kto się ośmielił podrzeć dziennik? zapytał Max grzmiącym głosem, z płonącymi oczyma, zrywając się z rękami założonemi na piersiach.

— I napluliśmy nań w dodatku, odparli trzech oficerowie, wstając i spoglądając na Maxa.

— Znieważyliście całe miasto, rzekł Max pobladły z gniewu.

— I cóż stąd? spytał najmłodszy z oficerów.

Ze zręcznością, odwagą i szybkością której młodzi ludzie nie mogli przewidzieć, Max wymierzył dwa policzki pierwszemu z brzegu oficerowi i rzekł:

— Rozumiesz pan po francusku?

Spotkanie odbyło się w alei Frapesle, trzech przeciw trzem. Potel i Renard nie chcieli się bezwarunkowo zgodzić, aby Max Gilet sam rozprawił się z oficerami. Max zabił swego przeciwnika. Major Potel zranił swojego tak ciężko, iż nieszczęśliwy chłopiec z arystokratycznej rodziny zmarł nazajutrz w szpitalu dokąd go przeniesiono. Co do trzeciego, wywinął się ze sprawy z lekką raną, zraniwszy wzajem kapitana Renard, swego partnera. Batalion pociągnął do Bourges w nocy. Sprawa ta, która nabrała rozgłosu w całym Berri, zyskała ostatecznie Maxowi Gilet opinię bohatera.

Rycerze Bezrobocia, młodzi chłopcy — najstarszy nie miał dwudziestu pięciu lat — podziwiali Maksencjusza. Niektórzy z nich, dalecy od uprzedzeń i surowości swych rodzin wobec Maxa, zazdrościli mu pozycji i uważali go za szczęściarza. Pod takim wodzem, zakon dokonywał cudów. Od stycznia 1817, nie minął tydzień, aby jakaś nowa sztuczka nie poruszyła całego miasta. Max, przez punkt honoru, wymagał od rycerzy pewnych warunków. Ogłoszono statuty. Te djabyły stały się zwinne jak wiewiórki, śmiali, wyćwiczeni, silni i chybcy jak opryszki. Udoskonalili się w sztuce drapania po dachach, wspinania na szczyt domów, skakania, chodzenia bez hałasu, oraz we wszelakim kunszcie rzezimieszków. Mieli arsenał sznurów, drabin, narzędzi, przebrań. Toteż, rycerze Bezrobocia wyrobili się na hultajów dziesiątej próby, nietylko w wykonywaniu ale także i w obmyślaniu sztuczek. Osiągnęli ów genjusz zła, który tak cieszył Panurga; talent budzenia śmiechu i czynienia ofiary tak śmiesznej, że nie ma odwagi się skarżyć. Ci synkowie szanownych

rodzin mieli zresztą po domach tajemne agencje, które pozwalały im zbierać informacje potrzebne do wykonania zamachu.

W czas wielkiego mrozu, te djabły wcielone przenosiły gładziutko piec z izby na dziedziniec, i napychali go drzewem tak, iż ogień trwał do rana. Rozpowiadano wówczas po mieście, że pan taki a taki (znany skąpiec!) próbował opalić podwórze.

Niekiedy zaczajali się rozsypani na ulicy Wielkiej lub Dolnej, które stanowią jakby dwie arterje miasta, zasilane dopływem poprzecznych uliczek. Skoro ciche domostwa zanurzyły się w pierwszym śnie, naraz, od bramy do bramy, z jednego końca ulicy w drugi, rozlegały się przeraźliwe krzyki. „Co to? co to? co to?“ Pytania te, powtarzane echowo, budziły mieszkańców, którzy ukazywali się w koszulach i szlafmycach ze światłem w ręku i z komicznie ogłupiałą twarzą.

Był w mieście stary introligator, bardzo biedny, który wierzył w duchy. Jak wszyscy prawie rękodzielnicy na prowincji, miał warsztat w niskim sklepiku. Nasi rycerze, przebrani za djabłów, wpadali do sklepu w nocy, pakowali go do skrzyni z odpadkami i zostawiali krzyczącego jak opętańca. Biedny człowiek budził sąsiadów, którym opowiadał o zjawieniu się Lucypera i nie sposób było wyprowadzić go z błędu. Nieborak doszedł niemal do szaleństwa.

W ostrą zimę, kawalerowie rozebrali kominek w gabinecie dyrektora podatków, i, w ciągu jednej nocy, bez hałasu, odbudowali zupełnie podobny, nie zostawiając najmniejszego śladu pracy. Kominek urządzony był wewnątrz tak, iż dymił do mieszkania. Urzędnik cierpiał przez dwa miesiące, nim doszedł, czemu kominek, który wrzód ciągnął tak dobrze, płata mu podobne sztuki.

Jednego dnia, wpakowali trzy wiązki siana napojone siarką oraz plik naoliwionych papierów do kominka starej dewotki, przyjaciółki pani Hochon. Rano, zapalając ogień, kobiecina, osoba spokojna i łagodna, myślała iż zapaliła wulkan. Przybyli strażacy, zbiegło się całe miasto, że zaś pomiędzy strażą znajdowało się paru rycerzy Bezrobocia, zalali strumieniami wody dom biednej kobiety.

Kiedy chcieli kogoś doprowadzić do tego aby spędził całą noc pod bronią, w śmiertelnym niepokoju, pisali anonimowy list, uprzedzając że grozi mu okradzenie; następnie, snuli się pojedynczo pod murem lub pod oknami, nawołując się gwizdawkami.

Jedną z najładniejszych sztuczek, którą długo bawiło się miasto i której pamięć żyje w niem dziś jeszcze, był pomysł napisania do wszystkich spadkobierców bogatej a skąpej staruszki, listów oznajmiających o jej śmierci, z wezwaniem do punktualnego stawienia się na ceremonję pieczętowania ruchomości. Blisko osiemdziesięciu spadkobierców przybyło z Vatan, z Saint-Florent, z Vierzon i okolicy; wszyscy w grubej żałobie, ale dość sobie weseli, mężowie z żonami, wdowy z dziećmi, dzieci z rodzicami, w kabrioletach, koczach, prostych bryczkach wreszcie. Wyobraźcie sobie sceny między służącą starej damy a pierwszymi przybyłymi; konsultacje u rejenta!... Była to istna rewolucja w całym Issoudun.

Wreszcie, jednego dnia, podprefekt uznał ten stan rzeczy za niepodobny do tolerowania, tem bardziej iż niesposób było wykryć kto sobie pozwala na te figle. Podejrzenia obciążały wprawdzie pewnych ludzi; ale, ponieważ gwardja narodowa była wówczas w Issoudun czysto nominalna, komendant zaś żandarmerji miał pod sobą ledwie ośmiu żandarmów nieprzywykłych do patroli, niepodobna było o dowody. Natychmiast wzięto podprefekta na *porządek nocny* i obrano za cel prześladowań. Dygnitarz ten miał zwyczaj spożywać rano dwa świeże jajka. Sam hodował kury na podwórzu i miał tę manję, iż jajka przeznaczone na śniadanie musiał sam ugotować. Ani żona, ani służąca, nikt, jego zdaniem, nie umiał jak się należy ugotować jajka; patrzył pilnie na zegarek i chlubił się, że, na tym punkcie, nikt mu nie dorówna. Otóż, przez miesiąc, co noc, podbierano kurom jajka, i podkładano ugotowane na twardo. Podprefekt stracił zupełnie głowę, wreszcie zaczął jadać co innego na śniadanie. Ale nie przyszło mu na myśl podejrzewać rycerzy Bezrobocia: płatali swoją sztukę zbyt zręcznie. Max wpadł na pomysł wysmarowania mu co noc rur od pieca oliwą nasyoną tak

cuchnącemi fetorami, że niepodobna było wytrzymać w domu. Nie dość na tem; jednego dnia, gdy pani podprefekcina zamierzała właśnie udać się na mszę, okazało się, iż szal jej jest wewnątrz skleiony najmocniejszym klejem. Podprefekt wniósł prośbę o przeniesienie. Tchórzostwo i ustępliwość biurokraty ustaliły ostatecznie szelmoską i tajemną władzę rycerzy Bezrobocia.

Istniała w Issoudun dzielnica, tworząca rodzaj nieregularnego czworoboku, wypełnionego nędznemi domami. Domy słożone razem, przedzielone były uliczkami tak wąskimi, że niepodobna było minąć się dwom osobom. Tę okolicę zamieszkiwali ludzie biedni, uprawiający mało popłatne rzemiosła i gniotący się w owych norach. Od niepamiętnych czasów, dzielnica ta musiała uchodzić za wyklętą i stanowić schronienie ludzi wątpliwego życia, jedna bowiem z ulic nazywa się *ulicą Kata*. Pewne jest, iż, przez więcej niż pięć wieków, kat miejski miał tam swój dom z *czerwoną bramą*. Pomocnik kata z Châteauroux mieszka tam jeszcze, jeżeli mamy dać wiarę głosowi publicznemu, nikt bowiem z mieszczan nie oglądał go nigdy. Jedynie okoliczni wieśniacy utrzymywali stosunki z tym tajemniczym człowiekiem, który odziedziczył po swych poprzednikach dar leczenia złamań i ran. Niegdyś, kiedy miasto dawało sobie pozory stolicy, dziewczęta publiczne miały tam swoje leże. Gnieździli się tam passerzy, handlujący najdziwniejszemi przedmiotami, łachmaniarze zapowietrzający atmosferę swym towarem, słowem owa zagadkowa ludność spotykana w podobnych dzielnicach prawie we wszystkich miastach i podległa władzy jednego lub paru żydów. Na rogu którejś z tych ciemnych ulic, w najbardziej ożywionej stronie dzielnicy, istniał, od 1815 do 1823, może dłużej, szynceł utrzymywany przez kobietę zwaną matką Cognette. Szynceł ten mieścił się w domu dość porządnie zbudowanym z białego kamienia przekładanego wapnem i rumowiskiem; dom miał piętro i stryszek. Nad drzwiami wisiała olbrzymia gałąź choiny, podobna do florenckiego bronzu. Jakgdyby ten symbol nie był jeszcze dość wymowny, wabił oko olbrzymi szyld, na którym, pod

słowami *DOBRE PIWO MARCOWE*, widniał żołnierz, ofiarujący silnie wygorsowanej kobiecie strumień piany biegnący od dzbana do szklanki: wszystko w kolorze zdolnym przyprawić o mdłości samego Delacroix. Parter składał się z ogromnej sali, służącej zarazem za kuchnię i za jadalnię, gdzie u stropu zwisały zapasy gospodarskie. Poza tą salą, kręte schodki prowadziły na piętro; ale tuż obok nich otwierały się drzwi do małego, długiego pokoju, z oknami na jeden z owych dziedzińców właściwych prowincji, a przypominających rurę od pieca, tak są wąskie, czarne i wysokie. Ocieniona daszkiem i zasłonięta oczom wysokimi murami, izdebka ta służyła urwisom z Issoudun na uroczyste posiedzenia. Jawnie, ojciec Cognet gościł okolicznych wieśniaków w dniu targowe; ale, potajemnie, był on oberżystą rycerzy Bezrobocia. Ów ojciec Cognet, niegdyś pono masztalercz, skończył na tem, iż zaślubił matkę Cognette, dawną kucharkę w zamożnym domu. (*Dzielnica rzymska zachowała, jak we Włoszech i w Polsce, zwyczaj żeńszczenia na sposób łaciński nazwiska męża*). Połączywszy swoje oszczędności, ojciec Cognet i jego żona nabyli ten domek, osiedlając się w nim jako karczmarze. Mama Cognette, kobieta jakich lat czterdziestu, rosła, pulchna, o smagłej cerze, włosach czarnych jak smoła, o ciemnych, okrągłych i żywych oczach, z bystrą i roześmianą twarzą, stała się, z wyboru Maxa, wielkim kuchmistrem Zakonu, a to dla swego charakteru i kulinarnych talentów. Ojciec Cognet, ślepy na jedno oko, mógł mieć lat pięćdziesiąt sześć, był krępy, silny i uległy żonie. Przez siedem lat, od 1816 do 1823, ani mąż ani żona nie popełnili najłżejszej niedyskrecji co do tego co się dzieje lub knuje u nich w nocy, i żywili zawsze największą czułość dla Rycerzy. Oddanie ich, tak zupełne, wyda się może mniej szczytne, skoro się zważy iż własny interes był rękojmnią tej dyskrecji. O którejkolwiek godzinie rycerze wpadli do gospody, pukając w umówiony sposób, ojciec Cognet wstawał, zapalał ogień i światło, otwierał, szedł do piwnicy po wino specjalnie trzymane dla Zakonu, matka zaś Cognette przyrządzała wy-

śmienitą kolację, czy to przed, czy po wyprawach postanowionych w wilję lub w ciągu dnia.

Podczas gdy pani Bridau odbywała drogę z Orleanu do Issoudun, rycerze Bezrobocia gotowali właśnie jedną z najlepszych swych sztuczek. Stary Hiszpan, dawny jeniec wojenny, który, z nastaniem pokoju, został w okolicy, gdzie prowadził drobny handel zbożem, przybył, wczesnym rankiem, na targ i zostawił próżny wóz u stóp wieży. Kiedy Max stawiał się pierwszy na schadzkę, umówioną tej nocy pod wieżą, kilka głosów zagadnęło go zcicha:

— Co będziemy robić tej nocy?

— Ot, stoi tu wóz starego Fario, odparł, o mało sobie nosa na nim nie rozbiłem; wywindujemy go najpierw na szczyt, a potem zobaczymy.

Wieża w Issoudun wznosi się, jak wspomniano, na ruinach bazyliki, wymurowanej na miejscu świątyni rzymskiej i *Dunu* celtyckiego. Ruiny te, z których każda przedstawia długi ciąg wieków, tworzą górę brzezienną zabytkami trzech epok. Wieża Ryszarda Lwie-Serce znajduje się tedy na szczycie jednako stromej ze wszystkich stron piramidy, na którą można się dostać jedynie po drabinie. Aby w niewielu słowach odmalować charakter wieży, można ją porównać do Luxorskiego obelisku wraz z piedestałem. Piedestał wieży Issoudunskiej, kryjący wówczas tyle nieznaných skarbów archeologicznych, ma, od strony miasta, osiemdziesiąt stóp. W ciągu godziny rozebrano, wywindowano wóz, sztuka po sztuce, na szczyt podstawy do stóp wieży: rzekłbyś żołnierze przenoszący armatę w przeprawie przez górę św. Bernarda. Na szczycie, złożono wóz z powrotem i zatarto ślady pracy tak starannie, iż zdawało się, że przeniósł go tam jakiś djabeł albo też różdżka czarnoksięska. Po tym znamienitym czynie, Rycerze, głodni i spragnieni, pospieszili gromadą do mamy Cognette i niebawem znaleźli się u stołu, śmiejąc się zawczasu z miny, jaką będzie miał Fario, kiedy, około dziesiątej, zjawi się po wóz.

Oczywiście, Rycerze nie płątali swoich figlów co noc. Geniusz wszystkich Sganarelów, Maskaryłów i Skapenów razem nie starczyłby, aby wymyślić trzysta sześćdziesiąt pięć lajdackich psot na rok. Zresztą, i okoliczności nie zawsze były potemu: to księżyc świecił zbyt jasno; to ostatnia sztuczka nadto wzburzyła spokojnych obywateli; ten i ów wreszcie odmawiał udziału gdy chodziło o krewnego. Ale, jeżeli urwisy nie schodzili się co noc u mamy Cognette, spotykali się w dzień, oddając się dozwolonym rozkoszom myślistwa lub winobrania w jesieni, ślizgawki w zimie. W garstce obywatelskich synków z miasteczka, protestujących w ten sposób przeciw ospalstwu społeczeństwa, znajdowało się kilku ściślej związanych z Maxem, którzy uczynili zeń swego bożka. Tego rodzaju charakter fanatyzuje często młodych. Otóż, dwaj wnukowie pani Hochon, Franciszek Hochon i Baruch Borniche, byli wiernymi seidami Maxa. Chłopcy ci uważali Maxa niemal za krewniaka, przyjmując zapatrywania okolicy na jego pokrewieństwo z lewej ręki z rodziną Lousteau. Max pożyczając zresztą wspaniałomyślnie obu urwisom pieniędzy, których dziadek odmawiał im na drobne przyjemności, brał ich z sobą na polowanie, wyrabiał ich; słowem, wywierał na nich wpływ o wiele silniejszy od wpływu rodziny. Będąc obaj sierotami, młodzi ludzie, mimo iż pełnoletni, pozostawali pod opieką pana Hochon, swego dziadka, a to z przyczyn, które wyjaśnia się, skoro słynny Hochon ukaże się na widowni.

W tej chwili, Franciszek i Baruch (będziemy ich nazywali po imieniu dla większej przejrzystości) siedzieli, jeden po prawej, drugi po lewej stronie Maxa, przy stole dość lichy oświetlonym kopcami łożówkami. Wyszuszone z tuzin butelek rozmaitych win, zebranie bowiem liczyło nie więcej niż jedenastu rycerzy. Baruch, którego imię dostatecznie świadczy o tradycjach kalwinizmu w Is-soudun, rzekł do Maxa, w chwili gdy wino rozwiązało języki:

- Niebawem grozi ci najście w twoich pieleszach...
- Co przez to rozumiesz? spytał Max.
- Babka moja otrzymała od pani Bridau, swej chrześniaczki,

list, w którym donosi jej iż przybywa z synem. Babka kazała wczoraj wyporządkować dwa pokoje na ich przyjęcie.

— Cóż mnie to obchodzi? rzekł Max, ujmując szklankę, wypróżniając ją duszkiem i stawiając na stole komicznym ruchem.

Max miał wówczas trzydzieści cztery lat. Stojąca naprzeciwko świeca rzucała blask na jego marsowe oblicze, oświecała czoło i uwydatniała pyszną białą cerę, płomiennie oczy, włosy czarne, nieco kędzierzawe i lśniące. Mimo tych energicznych kontrastów czarnego i białego koloru, Max miał fizjognomję bardzo słodką, o zarysie podobnym twarzom dziewic Rafaela. Po ładnie wykrojonych ustach błądził miły uśmiech, który stał się u Maxa niemal przyzwyczajeniem. Kiedy śmiał się naprawdę, ukazywał trzydzieści dwa zęby, godne zdobić usta zalotnisi. Wysoki na pięć stóp cztery cale, Max zbudowany był bardzo proporcjonalnie, ani zbyt pełny ani za szczupły. O ile ręce, starannie pielęgnowane, były białe i dość ładne, o tyle nogi trąciły *dzielnicą rzymską* i piechurem Cesarstwa. Byłby zeń z pewnością wspaniały generał dywizji; miał barki potemu aby udźwignąć buławę marszałka Francji, a pierś dość szeroką na wszystkie orderzy Europy. Inteligencja grała w każdym jego ruchu. Wreszcie, jak wszystkie niemal dzieci miłości, posiadał wrodzony wdzięk, w którym przebijała się szlachetna rasa jego prawdziwego ojca.

— Czy ty nie wiesz, Max, krzyknął z drugiego końca stołu syn dawnego chirurga-wojskowego nazwiskiem Godet, najlepszego lekarza w mieście, że chrześniaczka pani Hochon jest siostrą Rougeta? Jeżeli przybywa tu z synem malarzyną, to z pewnością w chęci zgarnięcia sukcesji po nieboraku, a wówczas pożegnaj się z tym kąskiem...

Max zmarszczył brwi. Następnie, spojrzeniem, które biegło dokoła stołu, ocenił wrażenie jakie apostrofa ta wywarła na obecnych i odparł raz jeszcze:

— Cóż mnie to obchodzi?

— Ależ, rzekł Franciszek, zdaje mi się, że, gdyby Rouget odwo-

łał testament... przypuściwszy iż zrobił go poprzednio na rzecz Mąciwody...

Tutaj Max przerwał swemu seidowi temi słowy:

— Kiedy, przybywszy tutaj, słyszałem jak zabawiano się robieniem z twego nazwiska kalamburów, które prześladują waszą rodzinę od trzydziestu lat ¹⁾, zamknąłem buzię pierwszemu z żartownisiów, drogi Franciszku, i to tak gruntownie, iż, od tego czasu, nikt w całym Issoudun, przy mnie przynajmniej, nie wyjechał z tym konceptem. I oto, jak mi się odplącasz: posługujesz się obelżywym przydomkiem dla określenia kobiety, do której wiesz że jestem przywiązany!

Nigdy Max nie wypowiedział się tak otwarcie o swoich stosunkach z osobą, którą Franciszek nazwał przed chwilą przydomkiem, danym jej przez całe Issoudun. Dawny więzień pontonów dosyć miał doświadczenia, kapitan grenadjerów gwardji dostatecznie wiedział co to jest honor, aby odgadnąć skąd pochodzi zła jego reputacja w mieście. Dlatego też, nigdy nie pozwolił nikomu odezwać się ani słowa o pannie Florze Brazier, wszechwładnej gospodyni-kochance Jana-Jakóba Rouget, tak energicznie nazwanej ścierką przez czcigodną panią Hochon. Zresztą, wszyscy znali zbyt dobrze drażliwość Maxa, aby wspomnieć mu o tym przedmiocie nim on zacznie pierwszy, on zaś nie zaczynał nigdy. Zbyt niebezpieczne było ściągnąć na siebie gniew Maxa lub podrażnić go, aby nawet najlepsi jego przyjaciele odważyli się żartować z *Mąciwody*. Kiedy raz, w przytomności majora Potel i kapitana Renard (oficerów z którymi łączyła go zażyła przyjaźń), wszczęto rozmowę o stosunkach Maxa z tą dziewczyną, Potel odpowiedział:

— Jeżeli jest naturalnym bratem Jana-Jakóba Rouget, cóż złego, że u niego mieszka?

— Zresztą, dodał kapitan Renard, ostatecznie, ta dziewczyna to królewski kąsek: gdyby nawet z nią pofiglował, gdzież tu zbrod-

¹⁾ *Hochon* w połączeniu z pewnemi słowami brzmi *cochon* (świnia).

nia?... Czy młody Goddet nie romansuje z panią Fichet aby otrzymać jej córkę w nagrodę tej mordęgi?

Po tej zasłużonej odprawie, Franciszek zapomniał na chwilę języka w gębie; ale jeszcze trudniej przyszło mu go odnaleźć, kiedy Max rzekł łagodnie:

— Mów dalej.

— Dalibóg, nie! wykrzyknął Franciszek.

— Niesłusznie się gniewasz, Max, zakrzyknął młody Goddet. Czy nie jest przyjęte, że tu, u mamy Cognette, można sobie wszystko powiedzieć? Czyż nie stalibyśmy się wszyscy śmiertelnymi wrogami tego z nas, który, poza tym pokojem, pamiętałby o tem co się tu mówi, myśli albo robi? Całe miasto zwie Florę Brazier przydomkiem *Mąciwody*; jeśli przydomek ten, przez nieuwagę, wymknął się Franciszkowi, czyż to jest zbrodnia przeciw Bezrobociu?

— Nie, rzekł Max, ale przeciw naszej osobistej przyjaźni. Samemu mi to przyszło na myśl, zastanowiłem się że jesteśmy tu w *bezrobociu*, i powiedziałem: „Mów dalej“...

Zapanowało głębokie milczenie. Cisza stała się tak kłopotliwa, że Max wykrzyknął:

— Zatem ja będę mówił za niego (*Poruszenie*) za was wszystkich (*Zdumienie*)... i powiem wam co myślicie! (*Głębokie poruszenie*). Myślicie, że Flora *Mąciwoda*, gospodyni ojca Rouget — nazywają go bowiem *ojcem Rouget*, tego starego niedołęę, który nigdy nie będzie miał dzieci! — myślicie, powiadam, że, od czasu mego powrotu do Issoudun, kobieta ta zaopatruje wszystkie moje potrzeby. Jeżeli mogę wyrzucić przez okno trzysta franków miesięcznie, racyć was jak to robię dziś wieczór, i pożyczać wam pieniędzy, czerpię je w sakiewce panny Brazier? Otóż, tak, w istocie! (*Głębokie poruszenie*). Do kroćset, tak, po tysiąc kroćset, tak!... Tak, panna Brazier wzięła na cel spadek po tym starcu...

— Zapracowała go dobrze, z ojca na syna, mruknął młody Goddet półgębkiem.

— Myślicie, ciągnął Max uśmiechnąwszy się z konceptu młode-

go Goddet, że ja umyśliłem ożenić się z Florą po śmierci ojca Rouget, i że, tem samem, ta siostra i jej syn, o których istnieniu słyszę pierwszy raz w życiu, grożą mej przyszłości?

— Otóż to! wykrzyknął Franciszek.

— Oto co myślą wszyscy zebrani u tego stołu, rzekł Baruch.

— Zatem, bądźcie spokojni, przyjaciele, rzekł Max. „Strzeżonego pan Bóg strzeże“. A teraz, zwracam się do Rycerzy Bezrobocia. Jeżeli, dla wyprawienia tych paryżan skąd przybyli, będę potrzebował pomocy Zakonu, czy użyczycie mi swej dłoni?... Och, w granicach jakie zakresliliśmy sobie dla naszych *kawałów*, dodał żywo, widząc powszechne poruszenie. Czy myślicie, że chcę ich zabić, otruć?... Bogu dzięki, nie jestem głupcem. A, ostatecznie, gdyby nawet familji Bridau się powiodło, gdyby Flora miała tylko to co ma, zadowolilibym się tem, słyszycie? Dostyc ją kocham, aby ją przełożyć nad pannę Fichet, gdyby panna Fichet zechciała mnie za męża!

Panna Fichet była to najbogatsza dziedziczka w Issoudun, i nadzieja ręki córki odgrywała dużą rolę w uczuciach młodego Goddet dla jej matki. Szczerłość ma taką siłę, że dwunastu Rycerzy podniosło się jak jeden mąż.

— Dzielny z ciebie chłopak Max!

— To się nazywa mówić, Max; będziemy rycerzami Oswobodzenia!

— Do czarta z tymi Bridau.

— Bryndzę zobaczą te Bryndziątka.

— Phi! alboż to jeden ożenił się z pasterką!

— Cóż u djabła! stary Lousteau mógł kochać panią Rouget; czyż nie mniejsza zbrodnia kochać młodą gosposię, wolną i bez kajdanów?

— A jeżeli nieboszczyk Rouget jest potrosze ojcem Maxa, rzecz odbywa się w rodzinie.

— Wolność przekonań!

— Niech żyje Max!

— *Pereat* hipokryzja!

— Zdrowie pięknej Flory!

Oto jedenaście odpowiedzi, wykrzykników i toastów, jakie podnieśli rycerze Bezrobocia, a były one wyrazem, powiedzmy wręcz ich pojęć moralnych nadzwyczaj rozluźnionych. Widzimy stąd, jaką siłą była dla Maxa godność wielkiego mistrza Zakonu Bezrobocia. Wymyślając koncepty, zobowiązując sobie młodych ludzi z najznaczniejszych rodzin, Max przygotowywał sobie oparcie na dzień rehabilitacji. Powstał z wdziękiem, potrząsnął pełną szklanką i wygłosił co następuje:

— Jak nikomu z was źle nie życzę, tak życzę wam wszystkim kobiety, któraby warta była pięknej Flory! Co się zaś tyczy najazdu miłych krewnych, nie mam, na tę chwilę, najmniejszej obawy; na przyszłość, zobaczymy!

— Nie zapominajmy o wozie ojca Fario!...

— Bagatela! jest w bezpiecznym miejscu, rzekł młody Goddet.

— Och, podejmuję się zakończyć ten kawał, wykrzyknął Max. Przyjdźcie zawczasu na targ, i dajcie mi znać, skoro poczciwina zacznie się rozglądać za swoim wózkiem...

Zegar miejski wybił wpół do czwartej. Rycerze wyszli w milczeniu, udając się każdy do siebie. Posuwali się wzdłuż muru, bez szelestu, obuci w pantofle cichostępy. Max kroczył zwolna w stronę placu św. Jana, położonego w górnej części miasta, siedzibie bogatego mieszczaństwa. Komendant Gilet pokrył swoje obawy, ale ta nowina ugodziła go w serce. Od czasu pobytu na pontonach, posiadał sztukę udawania, sztukę, której głębia równała się jego zepsuciu. Po pierwsze i przedewszystkiem, czterdzieści tysięcy renty w ziemi jakie posiadał ojciec Rouget stanowiły fundament uczucia Maxa dla Flory Brazier, bądźcie o tem przekonani! Ze sposobu jego życia łatwo było poznać, jaką pewnością umiała weń tchnąć Mąciwoda co do przyszłości finansowej opartej na przywiązaniu starego kawalera. Mimo to, wieść o przybyciu prawnych spadkobierców była tego rodzaju, iż mogła zachwiać wiarę Maxa w potęgę wszechwładnej Flory.

Oszczędności siedmnastu lat były jeszcze ulokowane na imię Rougeta. Otóż, gdyby testament, o którym Flora twierdziła że istnieje oddawna, uległ odwołaniu, można było ocalić bodaj te oszczędności, przenosząc je na imię panny Brazier.

— Ta głupia dziewczyna nie powiedziała mi, w ciągu siedmiu lat, ani słowa o siostrzeńcach i o siostrze! wykrzyknął Max, skręcając w ulicę. Siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy franków, umieszczonych u tuzina rejentów, niepodobna zrealizować ani przetopić na rentę państwową w ciągu tygodnia, i tak, aby to nie doszło do ludzkiej wiadomości, w tym kraju *języków*. Przedewszystkiem, pozbyć się krewnych; skoro zaś raz uwolnimy się od nich, trzeba jak najśpieszniej zrealizować ten majątek. Zresztą, pomyślę nad tem...

Max czuł się znużony. Przy pomocy własnego klucza, wszedł do domu ojca Rouget, i położył się bez hałasu, mówiąc sobie:

— Jutro będę miał jaśniejszy pogląd.

Nie od rzeczy będzie wyjaśnić, skąd przyłgnął do sułtanki z placu św. Jana przydomek *Mąciwody*, i w jaki sposób zadomowiła się ona w siedzibie Rougetów.

Posuwając się w lata, stary lekarz, ojciec Jana-Jakóba i pani Bridau, przejrzał umysłową nicość syna; wziął go wówczas w karby dość krótko, zamierzając włożyć go w rutynę któraby mu zastąpiła rozum; ale w ten sposób, sam nie wiedząc o tem, sposobił go do przyjęcia pierwszej tyranji która zarzuci mu powrót na szyję. Jednego dnia, wracając z obiadu, chytry i zepsuty starzec ujrzał na łące koło Tivoli śliczną dziewczynkę. Słyszac tentent konia, dziecko wynurzyło się ze strumienia, który, oglądany z góry, wije się niby srebrna wstążka na zielonej sukni. Podobna do najady, dziewczynka olśniła nagle doktora najpiękniejszą główką dziewicy, jaką malarzowi zdarzyło się kiedy wyroić. Stary Rouget, który znał całą okolicę, nie spotkał nigdy tego cudu piękności. Dziewczyna, prawie naga, miała na sobie kusą i obszarpaną spódniczyne, z lichej wełnianej materji w prążki. Ładną smagłą pierś i szyję ledwie osłaniała chusteczka cała w strzępach. Spódniczka, wciśnięta między nogi,

podkasana i spięta grubą szpilką, przypominała kąpielowe majteczki. Stopy i nogi, które przejrzysta woda pozwalała oglądać, uderzały delikatnością godną średniowiecznej statuy. To śliczne ciało wystawione na promienie słońca miało ton jakby miedziany, nie bez wdzięku. Piers i szyja warte były, aby je owinać w kaszmiry i jedwabie. Wreszcie, pod lasem ślicznych blond włosów i pod długimi rzęsami, niebieskie oczy, których spojrzenie kazałoby upaść na kolana malarzowi i poecie. Lekarz, dość biegły w anatomji aby odgadnąć czarującą kibić, zrozumiał ile straciłyby sztuki piękne, gdyby ten uroczy model miał zniszczyć od pracy na roli.

— Skąd jesteś, mała? Nigdy cię nie widziałem, rzekł lekarz, który liczył wówczas siedmdziesiąt lat.

Scena ta rozgrywała się we wrześniu roku 1799.

— Z Vatan, odparła dziewczynka.

Słyszac obcy głos, jakiś człowiek o podejrzaney minie, siedzący nad strumieniem o dwieście kroków wyżej, podniósł głowę.

— Hej tam, co z tobą Florka? krzyknął. Gawędzisz zamiast pracować, i towar djabli wezmą!

— I cóż ty tutaj robisz? spytał lekarz, nie zwracając uwagi na ten wykrzyknik.

— Mączę wodę dla stryja Brazier, ot, tego tam.

Mącić wodę, jest to wyrażenie okolic Berri, malujące czynność istotnie polegającą na mączeniu wody w strumieniu, zapomocą dużej gałęzi, której ramiona rozłożone są w kształt rakiety. Raki, przerażone tą niezrozumiałą dla nich operacją, pomykają śpiesznie w górę wody, i w popłochu wpadają w paści, które łowca zastawił w pewnej odległości. Flora Brazier z wdziękiem wrodzonym niewinności trzymała w ręku swoje *mącidło*.

— A czy stryjasek ma pozwolenie na łowienie raków?

— Ho ho, czy nie żyjemy już pod *jedną i niepodzielną* Republiką? krzyknął nie ruszając się z miejsca stryj Brazier.

— Żyjemy pod Dyrektorjatem, odparł lekarz, i nie znam pra-

wa, któreby pozwalało mieszkańcom Vatan łowić na terytorjum Issoudun. — Czy masz matkę, moje dziecko?

— Nie, nie mam; ojciec jest w przytułku w Bourges; rozum mu się pomieszał. Słońce mu uderzyło na mózg, kiedy robił w polu.

— Ile zarabiasz?

— Pięć su dziennie, przez całą porę raków; chodzę *mącić* aż do Braisne. Podczas żniw, idę na kłoski. W zimie przędę.

— Masz na dwanaście lat?

— Tak, panie.

— Chcesz iść ze mną? dostaniesz dobrze jeść, porządne ubranie, będziesz chodziła w ładnych trzewiczkach...

— Nie, nie, bratanica musi zostać ze mną, jestem jej *opieką* przed Bogiem i ludźmi, rzekł zbliżając się stryj Brazier. Opieka to święta rzecz, niema co!

Lekarz wstrzymał uśmiech i zachował poważną minę, która z pewnością niejednemuby prysła na widok stryja Brazier. *Opieka* miała na głowie chłopski kapelusz, zjedzony deszczem i słońcem, pogryziony jak liść kapusty przez gąsienice i pozszywany białą nitką. Pod kapeluszem rysowała się czarna i zapadła twarz, na której usta, nos i oczy tworzyły cztery czarne punkty. Licha kamizelka podobna była do kawałka dywanu, pludry były z grubego płótna na ścierki.

— Jestem doktor Rouget, rzekł lekarz; skoro jesteś opiekunem dziewczyny, przyprowadź ją do mnie na plac św. Jana; nie zrobisz złego interesu, ani ona...

I, nie czekając odpowiedzi, pewien iż niebawem ujrzy u siebie wuja Brazier z piękną *mąciwodą*, doktor Rouget pokłusował ku Issoudun. W istocie, w chwili gdy doktor miał siadać do stołu, kucharka oznajmiła obywatela i obywatelkę Brazier.

— Siadajcie, rzekł lekarz do stryja i do bratanicy.

Flora i jej opiekun, wciąż jeszcze boso, rozglądali się po sali z ogłupiałemi oczami. Oto czemu.

Dom, który Rouget odziedziczył po teściu Descoings, zajmuje środek placu św. Jana. Plac ten tworzy długi i wąski czworobok, ob-

sadzony chorowitemi topólkami. Domy w tej części miasta okazałszy się od innych, ten zaś należy do najpiękniejszych. Dom ten, położony nawprost państwa Hochon, ma trzy okna stanowiące fasadę pierwszego piętra, na parterze zaś bramę, wychodzącą na dziedzińiec i ogród. Pod sklepieniem bramy znajdują się drzwi do dużej sali, mającej dwa okna od ulicy. Kuchnia mieści się za salą, oddzielona od niej schodami wiodącymi na pierwsze piętro i na poddasze. Naprzeciw kuchni, drewnitnia, pralnia, stajnia na dwa konie i wozownia, nad którą mieści się stryżek na owies, siano, słomę; na tym stryżku sypiała służba. Sala, która budziła taki podziw w małej wieśniaczce i jej stryju, posiadała buazerję rzeźbioną tak jak rzeźbiono za Ludwika XV i pomalowaną szaro, piękny marmurowy komin, nad którym Flora ujrzała swoje odbicie w wielkim lustrze o rzeźbionej i złożonej ramie. Na obramieniu z drzewa, w pewnych odstępach, widniały obrazy, szczątki z opactwa w Déols, Issoudun, Saint-Gildas, la Prée, Chézal-Benoit, Saint-Sulpice, z klasztorów w Bourges i w Issoudun, które to zakony hojnością naszych królów i wiernych wzbogaciła cennymi darami i najpiękniejszymi dziełami jakie stworzyło Odrodzenie. Toteż, wśród obrazów przechowanych przez Descoingsów i przekazanych Rougetom, znajdowała się *Święta Rodzina Albana*, *Św. Hieronim Dominikina*, *głowa Chrystusa Jana Belin*, *Dziewica Leonarda da Vinci*, *Zdjęcie z krzyża Tycjana*, dar margrabiego de Belabre, tego który wytrzymał całe oblężenie i dał wreszcie głowę za Ludwika XIII-go, *Łazarz Pawła Veroneze*, *Zaślubiny dziewczycy*, dwa obrazy Rubensa i kopja obrazu Perugina wykonana przez Perugina lub przez Rafaela; wreszcie dwa płótna Corregia i jedno Andrzeja del Sarto. Descoingsowie przebrali te bogactwa wśród trzystu kościelnych obrazów, nie znając ich ceny i wybierając jedynie wedle stanu zachowania. Wiele płócien nietylko miało wspaniałe ramy, ale niektóre były nawet za szkłem. Toteż, Descoingsowie zachowali te obrazy dla bogactwa ram, oraz wartości jakiej szyby zdawały się świadectwem. Urządzenie sali było bogate w ów zbytek tak ceniony za naszych dni, ale wówczas w Issoudun bez żad-

nej wartości. Zegar na kominku, między dwoma srebrnymi świecznikami o sześciu ramionach, godny był bogatego opactwa i zdradzał rękę Boullé'a. Dębowe rzeźbione fotele, całe obite dywanową robotą — pobożne dzieło jakichś znamienitych dam — miałyby dzisiaj wysoką wartość, wszystkie bowiem znaczone były koronami i herbami. Między oknami stała bogata konsola pochodząca z jakiegoś zamku; na marmurowej płycie wznosił się olbrzymi chiński wazon, w którym doktor przechowywał tytoń. Ani lekarz, ani syn jego, ani kucharka, ani służba nie dbali o te bogactwa.

— Hej tam, Fransia, rzekł doktor do kucharki, dwie szklan-ki!... I daj nam lepszego wina.

Fransia, gruba berriszonka która uchodziła, nawet przy ma-mie Cognette, za najlepszą kucharkę w Issoudun, przybiegła z po-śpiechem świadczącym o despotyzmie doktora a także poniekąd o jej ciekawości.

— Ile wart jest mórg wina w twoich stronach? rzekł lekarz nalewając staremu Brazier.

— Sto talarów srebrem...

— Dobrze zatem, zostaw mi bratanicę na służbę, będzie miała sto talarów zasług, płatnych na twoje ręce, jako opiekuna.

— Co roku?... rzekł Brazier otwierając oczy, które aż wylaziły mu na wierzch.

— Zostawiam rzecz twemu sumieniu, odparł doktor. Jest sie-rotą i, aż do osiemnastu lat, ty zawiadujesz całym jej mieniem.

— Idzie jej na dwanaście roków, toby robiło sześć morgów wina. Aleć to śliczne stworzenie, łagodne jak jagniątko, a zmyślne, a ruchawe, a usłuchliwe... Biedna *sierotka*, toć-to była jedyna radość moich oczu i mojego biednego brata.

— I płacę za rok z góry, rzekł lekarz.

— Dalibóg, rzekł stryj, zapłać pan dwa roki, a zostawiam dzie-wuchę, lepiej jej pono będzie tutaj, niż u mnie w domu. Moja ko-bita ciągiem ją pierze, nie może patrzeć na nią... Ja jeden biorę ją

w obronę, to dobre stworzonko, niewinne jak nowonarodzone dziecko.

Słyszając to ostatnie zdanie, doktor, uderzony słowem *niewinna*, skinął na stryja Brazier i wyszedł z nim na dziedziniec, a potem do ogrodu, zostawiając *mąciwodę* przy nakrytym stole, między Franusią a Janem-Jakóblem, którzy zaczęli ją brać na spytki i którym opowiedziała naiwnie spotkanie z doktorem.

— No, dziewczusko, ostańże tu z Bogiem, rzekł stryj Brazier, całując Florę w czoło. Możesz powiedzieć, że szczęście ci się trafiło; niby żeś się dostała do domu tego zacnego ojca i opiekuna ubogich; trzeba go słuchać jak swego rodzonego... Bądź bardzo greczna, potulna i rób co ci każe...

— Przygotujesz jej pokój nad moim pokojem, rzekł lekarz do Franusi. Od dziś wieczora będzie tam sypiała. Jutro sprowadzimy jej szewca i szwaczkę. Daj jej zaraz nakrycie, będzie jadła z nami.

Wieczorem, w całym Issoudun wszystko rozprawiało jedynie o instalacji małej *mąciwody* u doktora Rouget. Ów przydomek został, w tej krainie kpiarzy, pannie Brazier przed, podczas i po dobie jej świetności.

Lekarz chciał z niej zapewne zrobić na małą skalę to, co Ludwik XV zrobił na wielką z panny de Romans; ale wziął się do dzieła zbyt późno: Ludwik XV był jeszcze młody, gdy doktor znajdował się w kwiecie starości. Od dwunastu do czternastu lat, mała *mąciwoda* zażywała szczęścia bez chmurki. Dostatnio odziana, wystrojona o wiele świetniej niż najbogatsza dziedziczka w Issoudun, miała złoty zegarek oraz inne klejnociki, jakie doktor jej dał aby ją zachęcić do nauk; przyjął bowiem preceptora aby ją nauczył czytać, pisać i rachować. Ale roślinne niemal życie właściwe wieśniakom zaszczerpiło Florze taką odrazę do gorzkiej czary wiedzy, że doktor musiał dać za wygraną w swoich wychowawczych planach. Postępowanie jego z tą dziewczyną, którą chował, uczył i kształcił ze staraniem tem bardziej wzruszającym ile że mniemano go niedolnym do czułości, spotkało się z rozmałą interpretacją w plot-

karskiem mieszczaństwie, którego języki roznosiły w tej mierze, podobnie jak co do urodzenia Maxa i Agaty, najgrubsze fałsze. Nie jest łatwą rzeczą dla publiczności małego miasteczka odgadnąć prawdę pośród tysiąca przypuszczeń, najsprzeczniejszych komentarzy i poprzez wszystkie domysły jakim każdy fakt daje miejsce. Prowincja, tak samo jak kawiarniani politycy, chce wszystko wytłumaczyć i w końcu wie wszystko. Ale każdy upiera się przy wykładzie, który, w danem wydarzeniu, przypada mu do smaku; w nim widzi prawdę, dowodzi jej i uważa swą wersję za jedynie słuszną. Mimo przejrzystości życia, oraz szpiegostwa kwitnącego w małych miasteczkach, prawda ulega często zaciemnieniu i, aby wyjść na jaw, wymaga albo czasu po którym staje się obojętną, albo też bezstronności do jakiej zdolny jest wzbic się historyk lub człowiek wyższy, biorąc rzecz z ogólniejszego punktu widzenia.

— Cóż wy chcecie, żeby ta stara mała robiła, w jego wieku, z piętnastolatką? powiadano w dwa lata po przybyciu Mąciwody.

— Słusznie, odpowiadano, dawno już jego wesole dni przeminęły...

— Mój kochany panie, doktor nie może patrzeć na głupotę syna, a trwa ciągle w nienawiści do córki Agaty; otóż w tym kłopotcie, żyje może tak cnotliwie od dwóch lat jedynie poto, aby się ożenić z tą małą i mieć z niej ładnego chłopca, rosłego, zgrabnego, jak Max — rozprawiał jeden z *luminarzy* miasteczka.

— A, dajże pan pokój! Czy po takim życiu, jakie Lousteau i Rouget wiedli od 1770 do 1787, można mieć dzieci w siedmiesiątym drugim roku? Ot, stary opryszek musiał czytywać Stary Testament, bodaj tylko z ciekawości lekarskiej, i dowiedział się tam, w jaki sposób król Dawid rozgrzewał swoją starość... Oto i wszystko, mądralo!

— Powiadają, że Brazier, kiedy zaleje pałkę, chwali się w Vatan że oćmił doktora! wykrzyknął jeden z tych, którzy skwapliwie wierzą w najgorsze wersje.

— Ech, Boże, sąsiedzi, czegóż nie gadają w Issoudun?

Od 1800 do 1805, przez pięć lat, doktor miał przyjemność wychowywania Flory, bez kłopotów jakie sprawiały podobno Ludwikowi *Umiłowanemu* ambicja i pretensje panny de Romans. Mała Mąciwoda, porównywując swoje położenie u doktora z życiem jakie wiodłaby w domu stryja, czuła się tak zadowolona, że nagięła się z pewnością do wymagań swego pana tak, jakby to czyniła niewolnica na Wschodzie. Z przeproszeniem panów sielankopisarzy i filantropów, chłopci mało są świadomi pewnych cnót; skrupuły pochodzą u nich z interesownej myśli, nie z poczucia dobra lub piękna. Zrodzeni do ubóstwa, do nieustannej pracy, do nędzy, wszystko co ich może wydobyć z piekła głodu i wiekuistego mozołu uważają za dozwolone, zwłaszcza o ile nie wchodzi w zatarg z prawem. Jeżeli bywają wyjątki, to rzadko. Tak zatem, Mąciwoda stała się przedmiotem zazdrości wszystkich dziewcząt na dziesięć mil wokoło, mimo iż prowadzenie jej było, w oczach religji, wysoce naganne. Flora, urodzona w r. 1787, wzrosła pośród saturnalij lat 1793 i 1798, których odblaski padły na te wsie pozbawione księży, obrządków, ołtarzy, ceremonij religijnych, gdzie małżeństwo stało się legalnem sparzeniem a zasady rewolucyjne zostawiły głęboki odcisk, zwłaszcza w Issoudun, gdzie bunt jest tradycją. W r. 1806, wiele parafji we Francji było jeszcze bez pasterza, tak powoli szło dzieło skupienia księży, rozprószonych i zdziesiątkowanych gilotyną. W r. 1802, nikt nie mógł potępić Flory, chyba własne sumienie. Otóż, u wychowanki stryja Brazier, czyż sumienie nie musiało być słabsze od interesu? Jeżeli, jak wszystko każe przypuszczać, cyniczny doktor zmuszony był przez swój wiek uszanować piętnastoletnie dziecko, mimo to Mąciwoda uchodziła, wedle miejscowego wyrażenia, za dziewczynę djabelnie *bywałą*. Bądź co bądź, niektórzy silili się dopatrywać świadectwa jej niewinności w tem, iż względy i starania doktora z czasem osłabły: przez ostatnie dwa lata życia, stał się dla niej więcej niż oziębły.

Stary Rouget wyprawiał na tamten świat dosyć ludzi oby móc przewidzieć swój koniec. Zastawszy go udrapowanego na łożu śmier-

ci w płaszcz encyklopedycznej filozofji, rejent nalegał nań aby uczynił coś dla tej młodej dziewczyny, wówczas siedemnastoletniej.

— Dobrze więc, upełnoletnijmy ją, rzekł.

To powiedzenie maluje starca, który temat do sarkazmów chętnie czerpał właśnie z rzemiosła osoby, z którą w danej chwili rozmawiał. Pokrywając dowcipem swoje złe uczynki, umiał zyskać poślizgiwość, w kraju gdzie dowcip ma za sobą opinię, zwłaszcza o ile się opiera na dobrze zrozumianym interesie osobistym. Rejent ujrzał w tym koncepcie głos nienawiści człowieka, u którego natura oszukała plany rozpusty; zemstę na niewinnym przedmiocie bezsilnej miłości. Opinia ta znalazła, do pewnego stopnia, potwierdzenie w uporze doktora; nie zostawił Mąciwodzie nic, kiedy zaś rejent wrócił jeszcze do tego przedmiotu, rzekł z gorzkim uśmiechem: „Dosyć bogata jest swoją urodą!“.

Jan Jakób Rouget, w przeciwieństwie do Flory, nie płakał po ojcu. Stary lekarz bardzo był twardy dla syna, zwłaszcza od czasu jego pełnoletności datującej od 1791; podczas gdy małą wieśniaczkę zanurzył w owym materialnym dosycie, który dla ludzi ze wsi stanowi ideał. Kiedy, po pogrzebie, Franusia zagadnęła Florę: „No i co, cóż panna pocnie z sobą, teraz kiedy pana niema?“, Janowi-Jakóbowi zabłysły oczy. Pierwszy raz w życiu nieruchoma jego twarz ożywiła się, jakby rozświetlona błyskiem myśli i wyrazem uczucia.

— Zostaw nas, rzekł do Franusi, która właśnie sprzątała ze stołu.

W siedemnastym roku, Flora zachowała jeszcze tę delikatność kibici i rysów, ten urok pięknosci, który uwiódł doktora. Kobiety wyższych klas umieją przechowywać ten urok, ale u wieśniaczek przekwita on równie szybko jak kwiecie na łące. Mimo to, już można było zauważyć w niej skłonność do tuszy, której ulegają wszystkie urodzive wieśniaczki, o ile nie pędzą w polu i na słońcu życia pracy i mokołu. Biust rozwinął się. Pulchne i białe ramiona rysowały się bogatymi linjami, harmonijnie spływając się z szyją, która

już poczynała się fałdować; ale owal twarzy był jeszcze czysty i delikatny.

— Floro, rzekł wzruszonym głosem Jan-Jakób, przyzwyczała się Flora do tego domu?...

— Tak, panie Janie...

W chwili gdy nowy dziedzic miał się zdobyć na oświadczyzny, uczuł że język mu się ścina na wspomnienie dopieroco pogrzebanego zmarłego. Zapytał sam siebie, do jakich granic mogła się posunąć ojcowska dobroczynność. Flora, która patrzyła na swego pana, nie mogąc odgadnąć jego duchowego ubóstwa, czekała jakiś czas, aż Jan-Jakób podejmie rozmowę; wreszcie odeszła, nie wiedząc jak sobie tłumaczyć jego uparte milczenie. Mimo wychowania, jakie Mąciwoda otrzymała od doktora, musiał upłynąć niejeden dzień, nim poznała charakter Jana-Jakóba. Oto, w niewielu słowach, jego dzieje:

W epoce śmierci ojca, Jan-Jakób, liczący lat trzydzieści siedem, był równie nieśmiały i uległy dyscyplinie ojcowskiej jak dwunastoletnie dziecko. Nieśmiałość ta powinna starczyć za komentarz do jego dzieciństwa, młodości i całego życia tym, którzy nie chcieliby dopuścić istnienia tego rodzaju charakterów. Są dwa rodzaje lęklności: lęklność umysłu i lęklność nerwów; fizyczna i moralna. Jedna jest niezależna od drugiej. Ciało może odczuwać lęk i drżeć, gdy duch zostaje spokojny i nieugięty, i naodwrot. To daje klucz do wielu dziwacznych zjawisk. Kiedy zejdą się w człowieku obie lęklności, będzie zerem całe życie. Ta zupełna lęklność jest właściwością tych, o których mówimy: „To idjota“. Często kryją się w tym idjocie zdławione wielkie przymioty. Może tej właśnie podwójnej ułomności zawdzięczamy wielu mnichów, którzy życie strawili w ekstazie. To nieszczęśliwe usposobienie fizyczne i moralne może mieć za przyczynę równie dobrze doskonałość organów i duszy, jak wady jeszcze wymykające się obserwacji. Lęklność Jana-Jakóba pochodziła z pewnego odrętwienia jego władz duchowych, które wielki wychowawca lub chirurg o talencie Despleina umieliby rozbudzić. U niego, jak u kretyńców, zmysł miłości skupił w sobie siłę i żywo-

tność, których zbywało jego inteligencji, mimo że zostało mu jeszcze dość rozsądku na potrzeby codziennego życia. Siła jego namiętności, ogołocona z idealizmu z jakim przejawia się u młodych ludzi, powiększyła jeszcze jego trwożliwość. Nigdy nie zdobył się na to, aby — wedle ozdobnego wyrażenia — zabiegać w Issoudun o względy jakiej kobiety. Otóż, ani młode dziewczęta ani mieszczi nie mogły robić pierwszych kroków wobec młodego człowieka średniego wzrostu, wiecznie spłoszonego, bez wdzięku, o pospolitej twarzy, którą para wypukłych zielonkawych oczu czyniłaby dość szpetną, gdyby już same rysy, jakgdyby pomięte, oraz ziemista cera, nie postarzyły jej przed czasem. Bliskość kobiety unicestwiała formalnie tego chłopca; przypierała go namiętność z tą samą gwałtownością z jaką skąpe pojęcia, płynące z wychowania, paraliżowały go. Bezładny w tem zawieszeniu między dwiema równymi siłami, nie wiedział co mówić; drżał aby go nie spytano o co... Żądza, która tak rychło rozwiązuje język, u niego, przeciwnie, mroziła go. Jan-Jakób został tedy samotnikiem i szukał samotności, czując się w niej swobodny.

Doktor spostrzegł, zbyt późno aby coś zaradzić, spustoszenia spowodowane zespołem tego temperamentu i charakteru. Byłby rad go ożenić; ale, ponieważ chodziło o oddanie syna pod wpływ, który stałby się wszechwładnym, zrozumiałe jest że się wahał. Czyż to nie znaczyło wydać ster swego majątku obcej nieznannej dziewczynie? Doktor wiedział dobrze, jak trudno jest zdobyć ściśle dane co do przyszłości moralnej kobiety, obserwując ją jako młodą pannę. Toteż, szukając osoby której wychowanie lub natura dałyby mu rękojmnię, równocześnie próbował pchnąć syna na drogę skąpstwa. W braku inteligencji, miał nadzieję wszczepić młodemu niedoładze rodzaj instynktu. Przyzwyczał go do mechanicznego życia, przekazał mu niezwruszone poglądy dotyczące lokaty dochodów; wreszcie oszczędził mu głównych trudności administrowania majątkiem, zostawiając ziemię w dobrym stanie i wydzierżawioną na długi termin. Z tem wszystkim, fakt, który miał zapanować nad życiem tej

biednej istoty, uszedł spostrzegawczości przenikliwego starca. Nieśmiałość podobna jest do obłudy, posiada całą jej głębię. Jan-Jakób zakochał się namiętnie w *Mąciwodzie*. Nic naturalniejszego zresztą. Flora była jedyną kobietą w pobliżu tego chłopca, jedyną której mógł się napatrzeć do woli, przyglądając się jej potajemnie, śledząc ją o każdej porze; Flora napełniła mu światłem dom rodzinny, dała mu, nie wiedząc o tem, jedyne rozkosze jakie ozłociły jego młodość. Daleki od zazdrości o ojca, zachwycony był wychowaniem, jakie, pod jego ręką, przechodziła Flora: czyż nie trzeba mu było kobiety łatwej, wobec której nie potrzebowałby podejmować zbyt ciężkich dlań starań? Namiętność, która, zważcie to, zawsze przynosi z sobą błysk rozumu, może dać głupcom, niezdarom, idjotom rodzaj inteligencji, zwłaszcza póki są młodzi. U najbardziej stepiałego człowieka zawsze znajdzie się zwierzęcy instynkt, którego celowość podobna jest do myśli.

Nazajutrz, Flora, w której milczenie nowego pana obudziło refleksje, spodziewała się jakiegoś doniosłego wyjaśnienia; ale, mimo że Jan-Jakób krążył dokoła i patrzył na nią z pod oka z wyrazem pożądliwości, nie zdołał nic z siebie wycisnąć. Wreszcie, przy deszczu, pan domu rozpoczął ponownie wczorajszą scenę.

— Czy dobrze się tu Flora czuje? rzekł do Flory.

— Tak, panie Janie.

— Więc niech Flora zostanie tutaj.

— Dziękuję, panie Janie.

Ta osobliwa sytuacja trwała trzy tygodnie. Pewnej nocy, której ciszy nie mącił żaden odgłos, Flora, obudziwszy się przypadkiem, usłyszała pod drzwiami równy szmer oddechu. Przeraziła się ujrawszy w sieni Jana-Jakóba, zwiniętego jak pies, i podglądającego ją w sypialni przez dziurę w drzwiach, którą z pewnością sam sprowadził.

— Kocha mnie, pomyślała, ale nabawi się reumatyzmów przy tem życiu.

Nazajutrz, Flora patrzyła na pana w znaczący sposób. Ta niema

i prawie instynktowna miłość wzruszyła ją; nie znajdowała już tak brzydkim biednego głuptasa, którego skronie i czoło, okolone wyrzutami podobnymi do wrzodów, nosiły ten ohydny wieniec, oznakę zepsutej krwi.

— Nie chce Flora wrócić na wieś, nieprawdaż? rzekł Jan Jakób z chwilą gdy zostali sami.

— Dlaczego pan pyta? odparła patrząc nań.

— Aby wiedzieć, rzekł Rouget, czerwieniąc się jak burak.

— Chce mnie pan odprawić? spytała.

— Nie, panno Floro.

— Więc cóż, o co panu chodzi? Musiał pan w tem coś mieć...

— Tak, chciałbym wiedzieć...

— Co? rzekła Flora.

— Nie powiedziałyby mi Flora! rzekł Rouget.

— Owszem, słowo uczciwej dziewczyny.

— Otóż to, podjął Rouget przerażony. Flora jest uczciwa dziewczyna...

— Jeszczeby!...

— Nie, naprawdę?...

— Skoro panu mówię...

— Naprawdę, jest Flora taka sama, jak kiedy siedziała tu z bosemi nogami, wówczas gdy stryj Brazier przyprowadził tu Florę?

— Ładne pytanie, dalibóg! odparła Flora czerwieniąc się.

Dziedziec, zgnębiony tą rozmową, spuścił głowę i nie podniósł jej więcej. Flora zdumiona iż tak obiecująca dla mężczyzny odpowiedź wywołała konsternację, wyszła. W trzy dni później, o tej samej porze — oboje bowiem jakgdyby przeznaczyli sobie chwilę deseru na pole bitwy — Flora rzekła pierwsza:

— Czy pan ma coś przeciw mnie?

— Nie, panno Floro, odparł, nie... (*Pauza*). Przeciwnie.

— Zdawał się pan nierad kiedyś, dowiadując się że jestem uczciwa dziewczyna...

— Nie, chciałem tylko wiedzieć... (*Nowa pauza*). Ale Floraby mi nie powiedziała...

— Jak Pana Boga kocham, odparła, powiem całą prawdę...

— Całą prawdę o... ojcu?... spytał zduszonym głosem.

— Ojciec pański, odparła, zatapiając spojrzenie w oczy swego pana, to był godny człowiek... Lubił figlować, ot tak!... potroszeczkę... Ale, biedne, złote człowieczysko!... pewnie, na dobrych chęciach mu nie zbywało... Wreszcie, nie wiem co miał przeciw panu, ale miał zamiary... Och, brzydkie zamiary... Często, ot, próbował czy mam łaskotki, i tyle... No, i?...

— Więc, Floro, rzekł spadkobierca, ujmując za rękę Mąciwodę, skoro ojciec nie był dla ciebie niczem...

— A czemu pan chce żeby był?... wykrzyknęła jakby obrażona uwłaczającym przypuszczeniem.

— Zatem, niech Flora słucha...

— Był moim dobroczyńcą, to i wszystko. Ach, byłby chciał, z pewnością, żebym była jego żoną, ale...

— Ale, rzekł Rouget ujmując z powrotem rękę, którą Flora cofnęła, skoro niczem nie był dla Flory, mogłaby Flora zostać tutaj ze mną?...

— Jeżeli pan sobie życzy, odparła spuszczać oczy.

— Nie, nie, jeżeli Flora sobie życzy, odparł Rouget. Tak, Flora może tutaj być... panią. Wszystko co tu jest, będzie dla ciebie, będziesz dbać o moje mienie... będzie tak jakby twoje... Kocham cię i zawsze cię kochałem, od czasu jak weszłaś tu, do tego domu, boso...

Flora nie odpowiedziała. Skoro milczenie stało się kłopotliwe, Jan-Jakób wymyślił ten straszliwy argument.

— No, czy to nie lepiej niż wrócić na wieś? spytał z widocznym żarem.

— Pewnie, panie Janie, jak pan zechce! odparła.

Z tem wszystkim, mimo owego *jak pan zechce*, biedny Rouget niewiele posunął się naprzód. Ludzie tego charakteru potrzebują

pewności. Wysiłek, na jaki zdobywają się wyznając swą miłość, jest tak wielki i tyle ich kosztuje, że nie są zdolni podjąć go na nowo. Stąd przywiązanie ich do pierwszej kobiety, która ich przygarnie. Można sądzić wypadki jedynie po skutkach. W dziesięć miesięcy po śmierci ojca, Jan-Jakób zmienił się zupełnie: blada i ziemista twarz, oszpecona, jak wspomnieliśmy, guzkami na skroniach i czole, rozjaśniła się, oczyściła, zabarwiła różowo. Fizjognomja oddychała szczęściem. Flora wymagała, aby jej pan dbał o swoją osobę; kładła swą ambicję w tem aby był dobrze ubrany; patrzyła za nim stojąc w progu gdy szedł na przechadzkę, póki jej nie znikł z oczu. Całe miasto zauważyło te zmiany, które uczyniły z Jana-Jakóba zupełnie innego człowieka.

— Wiecie nowinę? mówiono sobie w Issoudun.

— No, co takiego?

— Jan-Jakób wszystko odziedziczył po ojcu, nawet Mąciwodę...

— Nie myślicie, że nieboszyk był tak przewidujący, iż z rozmysłu zostawił synowi gospodynię?

— To skarb dla Rougeta, ani gadania, brzmiał powszechny chór.

— To główka! ładna jest, doprowadzi go do małżeństwa.

— Ta dziewczyna miała doprawdy szczęście!

— Tego rodzaju szczęście zdarza się tylko ładnym dziewczętom.

— Ba! tak myślicie? Miałem wuja, nazwiskiem Borniche Héreau; otóż, musieliście słyszeć o pannie Ganivet, była brzydka jak siedem grzechów śmiertelnych, mimo to dostała po nim tysiąc talarów renty.

— Ba! to było w 1778!

— Wszystko jedno, Rouget głupstwo robi, ojciec zostawił mu pewnych czterdzieści tysięcy franków renty, mógłby się ożenić z panną Héreau...

— Doktor próbował, ale ona go nie chciała. Za głupi jest...

— Za głupi! kobiety są najszcześliwsze z takimi.

— Czy pańska żona jest szczęśliwa?

Oto treść rozmówek, jakie obiegały Issoudun. O ile zaczęto, wedle zwyczajów i obyczajów prowincji, śmiać się z tego niby-mażeństwa, z czasem wyrażano się z uznaniem o Florze, iż poświęciła się dla biednego chłopca. Oto, w jaki sposób Flora Brazier przyszła do rządów domu Rouget, z ojca na syna, wedle wyrażenia młodego Goddet. A teraz, nie bez pożytku będzie naszkicować historję tych rządów, ku nauce starych kawalerów.

Stara Franusia była w Issoudun jedyną osobą, której się nie podobało, iż Flora Brazier została królową w domu Jana-Jakóba. Zaprotestowała przeciw tej niemoralnej kombinacji i wzięła stronę obrażonej cnoty; coprawda, czuła się upokorzona tem, iż, w swoim wieku, dostała za panią „*mąciwodę*“, dziewczynę, która przybyła do domu boso. Franusia miała trzysta franków renty w ziemi, doktor bowiem tak jej poradził ulokować oszczędności; prócz tego, nieboszczyk zapisał jej sto talarów dożywocia, mogła tedy żyć spokojnie i opuściła dom w niespełna rok po pogrzebie dawnego pana, piętnastego kwietnia 1806. Czy ta data nie jest dla bystrego człowieka wskazówką epoki, w której Flora przestała być uczciwą dziewczyną?

Mąciwoda, dość sprytna aby przewidzieć dymisję Franusi (niema bowiem nic lepszego niż posiadanie władzy aby człowieka nauczyć polityki), postanowiła obejść się bez służącej. Od pół roku, nie zdradzając tego na pozór, studjowała procedery, czyniące z Franusi mistrzynię sztuki kuchennej godną obsługiwać lekarza. Na punkcie smakoszostwa, można postawić lekarzy w jednym rzędzie z biskupami. Doktor wydoskonalił Franusię. Na prowincji, brak zajęcia i nuda ściągają wszystkie zainteresowania w stronę kuchni. Prowincja nie jada tak zbytkownie jak Paryż, ale jada lepiej; dania są przemyślane, wystudjowane. Istnieją na zapadłej prowincji prawdziwe artystki kuchni, nieznanne genjusze w spodnicy, umiejące prosty półmisek fasoli uczynić arcydziełem. Flora, urodzona snadź z instynktem sosów i pieczeni, przewyższyła w krótkim czasie Franusię. Pnąc się na coraz wyższe szczeble sztuki, dbała o rozkosze

Jana-Jakóba, ale, wyznajmy to, i sama też miała podniebienie dość czułe. Niezdolna, jak osoby bez wykształcenia, zająć się umysłowo, rozwinęła czynność w zakresie gospodarstwa. Wycierała meble, wróciła je do blasku, utrzymywała mieszkanie w iście holenderskiej czystości. Kierowała owym huraganem brudnej bielizny i potopami wody, które nazywa się „wielkiem praniem“, i które, wedle dogmatów prowincji, wprawia się w ruch tylko trzy razy na rok. Przeglądała bieliznę okiem wytrawnej gospodyni i naprawiała ją. Następnie, żądna wtajemniczyć się stopniowo w sekrety majątkowe, przyswoiła sobie potrosze znajomość interesów, a pogłębiła ją rozmowami z rejentem nieboszczyka, panem Heron. Toteż, była dla swego Jasieczka wyborną doradczynią. Pewna iż zawsze pozostanie panią w tym domu, dbała o interesy nieboraka z taką czułością i zachłannością co gdyby szło o nią samą. Nie potrzebowała się obawiać wy magań stryja: na dwa lata przed śmiercią doktora, Brazier umarł, potłukłszy się o próg karczmę, w której, od czasu swej fortuny, pędził wszystkie chwile. Flora straciła również ojca. Służyła zatem swemu panu z całym przywiązaniem, dość zrozumiałem u sieroty, szczęśliwej iż stworzyła sobie rodzinę i znalazła cel życia. Ta epoka była istnym rajem dla Jana-Jakóba, który nabrał słodkich przyzwyczajęń życia animalnego o klasztornej niemal regularności. Sypiał do późna. Flora, która, od rana, szła na zakupy lub krzątała się koło gospodarstwa, budziła pana w ten sposób, iż zastawał śniadanie gotowe, w chwili gdy kończył się ubierać. Po śniadaniu, koło jedenastej, Jan-Jakób przechadzał się, gawędził z tym i owym, i wracał koło trzeciej aby przeczytać dzienniki, gazetę miejscową i dziennik paryski, które dostawał w trzy dni po ukazaniu się, tłuste od trzydziestu rąk przez które przeszły, powalane od zatabaczonych nosów które się w nich zagłębiały, poplamione o dwuszybkich stołów po których się włóczyły. Stary kawaler czekał w ten sposób godziny obiadu, który rozciągnął na czas możliwie najdłuższy. Flora opowiadała mu historje z miasta, ploteczki zebrane umyślnie dla niego. Około ósmej, światła w domu gasły. Kłaść się wcześniej, to sposób

oszczędzania świec i ognia, bardzo rozpowszechniony na prowincji, ale przyczyniający się do ogłupienia ludzi przez nadużycie łożka. Nadmiar snu obciąża i stepia inteligencję.

Takie było życie tych dwojga istot przez dziewięć lat, życie razem pełne i puste, w którym wielkimi wydarzeniami było kilka podróży do Bourges, do Vierzon, do Châteauroux lub dalej, kiedy ani okoliczni rejenci ani pan Héron nie mieli lokat hipotecznych. Rouget dawał pieniądze na pięć od sta na pierwszą hipotekę, z regresem do praw żony, o ile dłużnik był żonaty. Nigdy nie dawał więcej niż trzecią część realnej wartości, kazał sobie wystawiać akcepty na własne zlecenie, przedstawiające uzupełnienie procentu o dwa i pół od sta, a odnawiane przez czas trwania pożyczki. Oto reguły, których ojciec zalecił mu niezłomnie przestrzegać. Lichwa, ten podatek nałożony ambicji chłopów, jest rakiem który pożera wsie. Siedem i pół od sta wydawało się tedy stopą tak umiarkowaną, iż Jan-Jakób mógł przebierać w interesach, rejenci bowiem dostający ładne komisowe od ludzi którym dostarczali pieniędzy tak tanio, dawali znać staremu kawalerowi o każdym potrzebującym. W ciągu tych dziewięciu lat, Flora, stopniowo, nieznacznie i niechęć, uzyskała absolutną władzę nad panem. Zrazu, zaczęła traktować Jana-Jakóba bardzo poufale; następnie, przy pozorach szacunku, rozwinęła taką wyższość inteligencji i siły, że on stał się sługą swej służącej. Wielki dzieciak sam szedł pod jarzmo tego panowania, pozwalając się otaczać tyloma staraniami, że Flora była dlań niby matka dla syna. Toteż Jan-Jakób nabrał w końcu dla Flory uczucia, które czyni dziecku macierzyńską opiekę wręcz nieodzowną. Ale były między nimi i inne, niemniej silne węzły. Przedewszystkiem, Flora miała w ręku interesy i prowadziła dom. Jan-Jakób tak polegał na niej w każdej decyzji, że bez niej życie zdawałoby mu się już nie trudne, ale niemożliwe. Następnie, kobieta ta stała się potrzebą jego istnienia, schlebiała wszystkim jego marzeniom, znała je tak dobrze! Lubił widzieć tą twarz rozjaśnioną, zawsze pogodną, uśmiechniętą, jedyną która się doń uśmiechnęła w życiu, jedyną w której

miał się znaleźć uśmiech dla niego! To szczęście, czysto materialne, wyrażone w słowniku możliwie najprostszym i malujące się na tej cudnej twarzy, było, do pewnego stopnia, odbiciem jego własnego szczęścia. Stan, w jaki popadał Jan-Jakób kiedy widział Florę zachmurzoną jakimiś przeciwnościami, odsłonił dziewczynie całą rozciągłość jej władzy. Aby się o niej upewnić, sprobowała jej używać; *używać* zaś, u kobiet tego pokroju, zawsze znaczy nadużywać. *Mąciwoda* musiała nieraz odegrać przed swym panem niejedną z owych scenek pogrzebanych w tajemnicach prywatnego życia, których wzór dał Otway w swej tragedji *Wenecja ocalona*, scenę pomiędzy senatorem a Aquiliną, wspaniałą wręcz w swej okropności! Uczuła się wówczas tak pewną swej władzy, że, nieszczęściem dla siebie i dla starego kawalera, nie pomyślała o tem, aby go doprowadzić do małżeństwa.

Z końcem r. 1815, w dwudziestu siedmiu latach, Flora doszła do pełnego rozkwitu piękności. Pulchna, świeża i biała, przedstawiała ideał tego, co nasi ojcowie nazywali *ładną kumosią*. Miała okrągłe olśniewające ramiona, pełne kształty, ciało aksamitne i jędrne. Wyraz oczu był tkliwy i słodki, oddychał rozkoszą i budził jej pragnienie. W 1816, *Mąciwoda* ujrzała Maksencjusza Gilet i zakochała się w nim od pierwszego spojrzenia. Serce jej przeszła owa mitologiczna strzała, cudowny obraz naturalnego pociągu, który Grecy musieli pojmować w ten sposób, oni, którzy nie znali rycerskiej, idealnej i melancholicznej miłości poczętej przez chrystjanizm. Flora była wówczas zbyt piękna, aby Max wzgardził tą zdobyczą. *Mąciwoda* poznała tedy w dwudziestym ósmym roku prawdziwą miłość, miłość bałwochwalczą, nieskończoną, tę miłość która ogarnia wszelkie sposoby kochania. Z chwilą gdy wykołejony oficer poznał wzajemny stosunek Flory i Jana-Jakóba, ujrzał w stosunku z *Mąciwodą* więcej niż zwykłą miłośćkę. Toteż, aby dobrze ugruntować przyszłość, zapragnął ni mniej ni więcej tylko zamieszkać w domu Rougeta, zdając sobie sprawę ze słabej natury tego człowieka. Namiętność Flory z konieczności odbiła się na życiu i ustroju do-

mowym Jana-Jakóba. Przez miesiąc, stary kawaler, który stał się nad miarę lękliwy, ujrzał jak uśmiechnięta i życzliwa zazwyczaj twarz Flory staje się groźna, martwa i chmurna. Musiał cierpieć wybuchy jej rozmyślnego złego humoru, zupełnie jak człowiek żonaty, którego małżonka nosi się z myślą niewierności. Kiedy, wśród najokrutniejszych dąsów, biedny człowiek ośmielił się zapytać Florę o przyczynę zmiany, zwróciła nań wzrok brzemienno nienawiścią; głos był zaczepny i wzgardliwy, taki jakiego biedny Jan-Jakób nigdy u niej nie słyszał.

— Dalibóg, rzekła, ty nie masz ani serca ani duszy. Oto już sześćnaście lat, jak trawię tutaj młodość i nie spostrzegłam jeszcze, że ty masz kamień, ot, tutaj!... dodała uderzając się w piersi. Od dwóch miesięcy patrzysz na biednego majora, ofiarę Burbonów, stworzonego aby być generałem, jak gnije w nędzy, pogrzebany w tej podłej dziurze bez nadziei i przyszłości. Musi tkwić cały dzień przy biurku, aby zarobić... co? sześćset nędznych franków, ładna posada! I ty, który masz sześćset pięćdziesiąt dziewięć tysięcy na hipotekach, sześćdziesiąt tysięcy franków renty, i który, dzięki mnie, nie wydajesz więcej niż tysiąc talarów na rok, licząc już wszystko, nawet moje łachy, słowem wszystko, nie pomyślisz o tem, aby mu ofiarować mieszkanie tutaj, mając całe piętro próżne! Wolisz, żeby szczury i myszy tam tańczyły, niż pomieścić ludzką istotę; wreszcie, co tu gadać: chłopca, którego twój ojciec zawsze uważał za swego syna! chcesz wiedzieć, czem jesteś? Więc ci powiem: bratobójcą! A zresztą, ja dobrze wiem czemu. Widziałeś że mam dla niego sympatję, i to cię drażni! Chociaż niby wydajesz się głupowaty, już ty tam masz swój rozum, kiedy chodzi o to aby komuś dopiec... Więc tak, dobrze, zależy mi na nim, nawet bardzo...

— Ależ, Floro...

— Oho! niema żadnej Flory. Ba, ba, możesz sobie szukać innej Flory, jeżeli znajdziesz jaką! Niech się tu na miejscu struję tem winem, jeżeli nie cisnę, jak mnie tu widzisz, tej budy przekłetej! Nie kosztowałam cię, chwała Bogu, nic, przez tych dwanaście lat, które

tu gniję, miałeś używanie za tanie pieniądze. Wszędzie indziej byłabym zarobiła na utrzymanie, harując tak jak tu, sprzątając, prasując, doglądając prania, chodząc na targ, gotując, pilnując twoich spraw we wszystkim i uganiając od rana do wieczora... I ot, taką mam nagrodę.

— Ależ, Floro...

— Tak, Floro... będziesz miał Flory, w pięćdziesiątym pierwszym roku, z twojem zdrowiem od siedmiu boleści, i z tem że podu padasz z dnia na dzień ze strach patrzeć, już ja wiem. No, i, przy tem wszystkim, zabawny też nie jesteś...

— Ale, Floro...

— Daj mi święty spokój!

Wyszła, zamykając drzwi z furją, która cały dom nappełniła hałasem i wstrząsnęła go w posadach. Jan-Jakób Rouget otworzył nieśmiało drzwi i jeszcze nieśmielej udał się do kuchni, gdzie Flora wciąż mruczała.

— Ależ, Floro, rzekł biedny baranek, pierwsze wogóle slysze o twojem zyczeniu, skądze tedy wiesz czy ja się godzę lub nie godzę?

— Przedewszystkiem, odparła, trzeba mężczyzny w domu. Ludzie wiedzą, że mieszasz tu po dziesięć, piętnaście i dwadzieścia tysięcy; gdyby umyślili cię okraść, zamordowaliby nas. Ja tam nie mam żednej ochoty obudzić się pewnego dnia pokrajana na kawałki, jak się to zdarzyło owej biednej służącej, która była tak głupia żeby bronić swego pana! Otóż, kiedy będą widzieli w domu człowieka odważnego jak Cezar, z którym wiadomo że nie przelewki... ho-ho! Max połknąłby, ot tak, w mig, trzech złodziei... otóż, wówczas, będę spała spokojniej. Będą ci może gadać głupstwa... a to że go kocham, że za nim szaleję, to, owo!... Czy wiesz, co odpowiesz?... ot, odpowiesz że wiesz o tem, ale że ojciec polecił ci biednego Maxa na łożu śmierci. Wszyscy stulą gęby; toć wróble na dachu śpiewają że opłacał zań pensję w kolegum, może nie? Od tych dziewięciu lat, które jem twój chleb...

— Floro... Floro...

— Trafił się niejeden, który smalił do mnie cholewki, ano! Wtykano mi w rękę, a to łańcuszki, a to zegarki... „Florciu, Floruniu, gdybyś puściła kantem tego starego idjotę“... ot, co mi mówiono o tobie. „Ja puścić go? Także mi coś, niebożątko takie, cóżby się z nim stało bezemnie? odpowiadałam. Nie, nie, gdzie kozę uwiązano, tam się jej trzeba paść“.

— Tak, Floro, mam tylko ciebie na świecie, jesteś całym moim szczęściem... Jeżeli ci to sprawia przyjemność, moje dziecko, dobrze, weźmiemy Maxa Gilet, będzie jadał z nami...

— No!... myślę!

— No, no, nie gniewaj się tylko...

— Gdzie jest dla jednego, znajdzie się i dla dwóch, odparła śmiejąc się. Ale, jeżeli chcesz być milusi, czy wiesz co zrobisz, mój kocieczku?... Pójdziesz sobie pospacerować wpodłe ratusza, koło czwartej, postarasz się spotkać majora Gilet, i zaprosisz go na obiad. Jeżeli się będzie certolił, powiesz mu że ja go proszę, jest zanadto grzeczny kawaler aby odmówić. Wówczas, przy deserze, skoro się rozgada o swoich nieszczęściach, o pontonach, a postarasz się go na to wyciągnąć, ofiarujesz mu aby tu zamieszkał... Gdyby robił trudności, bądź spokojny, ja potrafię mu wyperswadować...

Przechadzając się powoli po bulwarze, stary kawaler zastanawiał się, o ile był do tego zdolny, nad całym zajściem. Gdyby się rozstał z Florą... (na tę myśl, w oczach mu się mąciło), gdzie znalazłby inną kobietę?... Żenić się?... W jego wieku, każda wyszłaby zań tylko dla majątku, i wówczas, legalna małżonka wyzyskiwałaby go jeszcze okrutniej niż Flora. Zresztą, myśl że może być pozbawiony tego ciepła, tej tkliwości, choćby nawet zwodniczej, sprawiała mu straszne cierpienia. Rozwinął zatem dla majora Gilet całą uprzejmość na jaką mógł się zdobyć. Zgodnie z życzeniem Flory, zaproszenie odbyło się przy świadkach, aby oszczędzić honor Maksencjusza.

Między Florą a jej panem nastąpiło pojednanie, ale, od tego dnia, Jan-Jakób zauważył objawy, które świadczyły o zupełnej zmia-

nie uczuć *Mąciwody*. Przez jakie dwa tygodnie, Flora Brazier żaliła się po sklepach, na targu, w gawędach z kumoszkami, na tyranję pana Rouget, który uparł się wziąć do domu rzekomego naturalnego brata. Ale nikt nie dał się złapać na tę komedję; zaczęto uważać Florę za osobę niezmiernie przebiegłą i szczwaną. Rouget czuł się bardzo szczęśliwy z zadomowienia się Maxa w mieszkaniu, miał bowiem kogoś, kto go otaczał względami, ale bez służalstwa. Gilet rozmawiał, politykował i przechadzał się niekiedy z ojcem Rouget. Z chwilą gdy oficer zainstalował się w domu, Flora nie chciała dłużej być kucharką. Kuchnia, powiadała, niszczy jej ręce. Na życzenie wielkiego mistrza Zakonu, mama Cognette wskazała swoją krewniaczkę, starą pannę, której dawny pan, proboszcz, zmarł właśnie nic jej nie zostawiwszy. Zaleciła ją jako doskonałą kucharkę, oddaną przytem Maxowi i Florze na śmierć i życie. Zresztą, mama Cognette przyrzekła dziewczynie, w imieniu tych dwóch potęg, trzysta franków renty po dziesięciu latach wiernej, dyskretnej i uczciwej służby. La Vedie liczyła sześćdziesiąt lat, była ospowata i niezwykle brzydka. Skoro la Vedie objęła obowiązki, *Mąciwoda* stała się „panią Brazier“. Zaczęła nosić sznurówki, sprawiła sobie piękne suknie jedwabne, wełniane i fularowe, stosownie do pory roku! Nosiła kołnierzyki, bardzo drogie chusteczki, czepeczki haftowane, koronkowe szyjki, pantofelki; słowem, otoczyła się elegancją i zbytkiem, który ją odmłodził. Był to niby surowy djament, który jubiler oszlifował i oprawił aby zeń wydobyć całą cenę. Chciała, aby Max był z niej dumny. Z końcem pierwszego roku, w 1817, sprowadziła z Bourges konia, rzekomo angielskiego, dla biednego majora, którego nudziło przechadzać się pieszo. Max wygrzebał gdzieś w okolicy dawnego lansjera gwardji, Polaka, nazwiskiem Kuski; wiarus ten, popadłszy w nędzę, chętnie zgodził się wejść do domu pana Rouget, jako służący majora. Max stał się bożyszczem Kuskiego, zwłaszcza po pojedynku z trzema rojalistami. Począwszy od 1817, dom starego Rouget składał się tedy z pięciu osób, licząc w to troje państwa, a wydatki wzrosły w przybliżeniu do jakich ośmiu tysięcy.

W chwili gdy pani Bridau wracała do Issoudun, aby, wedle wyrażenia adwokata Desroches, ratować tak poważnie zagrożony spadek, życie pana Rouget stało się stopniowo niemal wegetacją. Przedewszystkiem, od czasu zadomowienia się Maxa, panna Brazier postawiła stół na stopie istic biskupiej. Rouget, pchnięty w objęcia gastronomji, zaczął jeść coraz więcej, skuszony smakołykami jakie przyrządzała La Vedie. Mimo wymienitej i obfitej kuchni, nie przybierał ciała. Z dnia na dzień podupadał i gaś jak człowiek zużony, może mozołem trawienia. Oczy podkrzażyły się sinemi obwódkami. Ale ilekroć na przechadzce ktoś z miasta spytał go o zdrowie: „Nigdy, powiadał, nie miałem się lepiej“. Ponieważ zawsze uchodził za człowieka niezmiernie ograniczonego, nie zauważono stałego upadku jego władz umysłowych. Miłość do Flory była jedynem uczuciem, które utrzymywało go przy życiu. Istniał jedynie nią; słabość jego nie miała granic. Posłuszny jej spojrzeniu, śledził poruszenia tej istoty, jak pies śledzi najmniejsze ruchy pana. Słowem, zgodnie z określeniem pani Hochon, w pięćdziesiątym siódmym roku, Rouget wydawał się starszy od pana Hochon, wówczas dobiegającego osiemdziesiątki.

Każdy może się łatwo domyślić, że apartament Maxa godny był tego ślicznego chłopca. W istocie, w ciągu tych sześciu lat, major, z roku na rok, udoskonalił komfort osobisty, upiększył najmniejsze szczegóły swego mieszkania, zarówno dla siebie jak dla Flory. Ale był to komfort, na jaki stać było Issoudun: szyby zaklejone kolorowym witrażem, dość wykwintne obicie, mahonie, lustra w złoconych ramach, muślinowe firanki z czerwonymi wstążkami, łóżko z baldachimem i kotarami w smaku prowincjonalnego tapicera. Były tam — rzecz monstrualna, która poruszyła całe Issoudun! — maty na schodach, zapewne aby przygłuszyć szelest kroków; toteż, wracając o świcie, Max nie budził nikogo; ojciec Rouget nie podejrzewał nigdy współnictwa swego lokatora w nocnych sprawkach Bezrobocia.

Koło ósmej, Flora, odziana w ładny szlafroczek wełniany w ró-

zowe prążki, w koronkowym czepeczku, w ciepłych pantofelkach, otwarła ostrożnie drzwi Maxa, ale, widząc że śpi, stanęła nieruchomo przy łóżku.

— Wrócił tak późno, rzekła do siebie, o wpół do czwartej! Trzeba mieć nielada zdrowie, aby wytrzymać takie zabawy. Jaki on silny, mój kochaneczek drogi!... Cóż oni znów zmalowali tej nocy?...

— A, to ty, Floruś, rzekł Max budząc się na sposób żołnierzy, przyzwyczajonych, w potrzebach wojennych, odnajdować całą przytomność umysłu i zimną krew natychmiast, choćby po najgwałtowniejszym przebudzeniu.

— Śpisz jeszcze, pójdę sobie...

— Nie, zostań, mamy ważne sprawy...

— Znowuście splatali w nocy jakie głupstwo?

— Ech, do kroć... Właśnie! Chodzi tu o nas i o to stare bydlę! Ładne historie! nigdyś mi nie wspominała o jego rodzinie... Otóż, zjawia się tutaj ta miła rodzinica, z pewnością po to, aby nas wyparować...

— Hoho! idę z tem zrobić porządek, rzekła Flora.

— Panno Brazier, rzekł z naciskiem Max, chodzi tu o rzeczy zbyt poważne, aby czynić cokolwiek tak, na oślep. Przyślij mi kawę, wypiję ją w łóżku i pomyślę nad postępowaniem jakie należy nam obrać... Przyjdź o dziewiątej, pogadamy. Do tego czasu, zachowuj się tak, jakbyś o niczem nic wiedziała.

Poruszona tą nowiną, Flora zostawiła Maxa i poszła przyrzadzić kawę; ale, w kwadrans później, Baruch wszedł śpiesznie i rzucił wielkiemu mistrzowi:

— Fario szuka swego wózka!...

W pięć minut, Max był ubrany, i, niby od niechcienia, znalazł się u stóp wieży, gdzie zebrała się spora gromadka ludzi.

— Co się dzieje? rzekł Max, przeciskając się przez tłum i podchodząc do Hiszpana.

Fario, mały, suchy człowieczek, mógł, co do brzydoty, rywalizować z autentycznym grandem hiszpańskim. Płomienne oczy, niby

wywiercone świdrem i osadzone bardzo blisko nosa, ściągnęłyby nań w Neapolu podejrzenie o *złe oko*. Człeczyna wydawał się łagodny, ponieważ był poważny, spokojny i powolny w ruchach: toteż, mówiono o nim „pocziwy Fario“; ale człowiekowi umięjącemu obserwować, piernikowa jego cera i pozorna łagodność zdradzały półmauretański charakter chłopa z okolic Grenady, którego nic jeszcze nie wyprowadziło z jego flegmy i lenistwa.

— Czy pewien jesteś, rzekł Max wysłuchawszy lamentów Faria, że wziąłeś z sobą wóz? toć, Bogu dzięki, niema złodziejów w Issoudun.

— Był tutaj...

— Jeżeli zostawiłeś konia w zaprzęgu, może on gdzie zaciągnął wózek?

— Ot, koń, rzekł Fario pokazując konia, stojącego spokojnie o kilkadziesiąt kroków.

Max podszedł poważnym krokiem w stronę gdzie był koń, aby, podnosząc oczy, objąć wzrokiem podstawę wieży, zbiegowisko bowiem skupiło się u jej stóp. Cały tłum pociągnął za Maxem, o to właśnie hultajowi chodziło.

— Może ktoś, przez roztargnienie, schował wózek do kieszeni? wołał Franciszek.

— Przeszukać, przeszukać! rzekł Baruch.

Ze wszystkich stron rozległy się wybuchy śmiechu. Fario zaklął. U Hiszpana, klątwy oznaczają ostateczny stopień gniewu.

— Czy wózek był lekki? spytał Max.

— Lekki!... odparł Fario. Gdyby tym, którzy śmieją się ze mnie, przejechał po nogach, jużby im odciski wnet przestały dopiekać.

— Z tem wszystkim, musiał być djabło lekki, bo oto widzisz że frunął tam na górę, odparł Max wskazując na wieżę.

Na te słowa, wszystkie oczy się podniosły: przez chwilę, na całym targu zapanowało poruszenie. Każdy pokazywał drugiemu zaczarowany wózek. Wszystkie języki były w ruchu.

— Djabel ma w opiece oberżystów, swoich nadwornych dostawców, rzekł młody Goddet do zdumionego Faria: chciał ci dać naukę, abyś nie włóczył wozu po ulicach, zamiast go pięknie umieścić pod dachem w oberży.

Na tę aluzję, pomruk rozległ się w tłumie, Fario bowiem uchodził za skąpca.

— No, no, dobry człowieku, rzekł Max, nie trzeba tracić otuchy. Wydrapiemy się na wieżę, aby zobaczyć, w jaki sposób wózek tam zawędrował. Do kroćset bomb, poratujemy cię w kłopotcie. — Idziesz, Baruch? — A ty, rzekł Franciszkowi do ucha, utrzymuj porządek na dole, i niech się nikt nie płacze pod wieżą, skoro ujrzysz nas na górze.

Fario, Max, Baruch i jeszcze trzech Rycerzy weszło na górę. Podczas tego dość niebezpiecznego wspinania, Max stwierdził wraz z Fariem, że nie było znać żadnych uszkodzeń ani śladów, któreby wskazywały na windowanie wozu. Toteż, Fario wierzył w jakieś czary, w głowie mu się mąciło. Skoro dostali się na szczyt i rozpatrzyli w położeniu, fakt zdawał się w istocie niemożliwy.

— W jaki sposób ściągniemy go na dół? rzekł Hiszpan. Czarne jego oczka wyrażały pierwszy raz przestרח, żółta zaś i zapadła twarz, która, zdawało się, nigdy nie mogłaby zmienić barwy, pobladła.

— Jak? rzekł Max. Ależ nie łatwiejszego...

I, korzystając ze zdumienia kupca, chwycił krzepkimi ramionami wózek za oba drążki aby mu nadać rozmach, następnie, w chwili gdy miał puścić, krzyknął grzmiącym głosem:

— Bacność tam na dole!...

Ale nie było obawy: tłum, uprzedzony przez Barucha i zdjęty ciekawością, skupił się na placu w odległości pozwalającej śledzić co się dzieje na górze. Wóz roztrzaskał się, w sposób nader malowniczy, w nieskończoną ilość kawałków.

— Ot, już jest na dole, rzekł Baruch.

— Ha! łotry! ha! kanalje! wykrzyknął Fario, może wyście go tutaj wyciągnęli...

Max, Baruch i trzej inni zaczęli się śmiać z przekleństw Hiszpana.

— Chcieliśmy ci oddać przysługę, rzekł zimno Max; o mało, bawiąc się z twoim przeklętym wozem, sam nie ześlizgnąłem się na dół, i ty tak dziękujesz?... Z jakiego kraju ty jesteś?

— Z kraju, w którym się nie przebacza, odparł Fario, trzęsąc się z wściekłości. Przejedziesz się na moim wózku do wszystkich djabłów!... chyba, dodał, łagodny w jednej chwili jak baranek, że zechce mi pan kupić nowy?

— Pomówimy o tem, rzekł Max, schodząc.

Skoro znaleźli się u stóp wieży i zbliżyli się do rozbawionych gapiów, Max wziął Faria za guzik i rzekł:

— Owszem, zacny ojczu Fario, zrobię ci prezent ze wspaniałego wózka, jeżeli mi zechcesz ofiarować w zamian dwieście pięćdziesiąt franków; ale nie ręczę ci, czy i ten nie będzie miał skrzydeł.

Ten ostatni żart przyjął Fario tak zimno, jakgdyby chodziło o dobiecie targu.

— Ba, odparł, choćbyś pan nawet zapłacił za mój biedny wózek, nigdy nie zdarzyłoby ci się lepiej użyć pieniędzy ojca Rouget!

Max zbladł, podniósł straszliwą pięść na Faria; ale Baruch, świadom że taki cios byłby groźny nie tylko dla Hiszpana, uniósł Faria jak piórko i rzekł cicho do Maxa:

— Nie róbże głupstw!

Major, przywołany do przytomności, zaczął się śmiać i rzucił w stronę Faria:

— Jeżeli ja, przez nieuwagę, uszkodziłem ci wózek, ty wzajem próbowałeś mnie spotwarzyć: skwitowaliśmy się.

— *Pas core!* mruknął Fario. Ale rad jestem, że wiem ile wart był mój wózek.

— Ej, Max, ten ci nie zapomni! rzekł jakiś świadek sceny, nie należący do Bezrobocia.

— Bądź pan zdrow, panie Gilet; nie dziękuję jeszcze za pomoc, rzekł handlarz zboża, siadając oklep na konia i znikając pośród ogólnego „hurra“!

— Schowa się wam żelazo z obręczy, krzyknął jakiś stelmach, który podszedł aby się rozpatrzeć w szczątkach wozu.

Jeden dyszel wrył się w ziemię prosto jak drzewo. Max stał błądy i zamyślony, ugodzony w serce słowami Hiszpana. Przez pięć dni mówiono w Issoudun o wózku ojca Fario. Był on przeznaczony do latania, powiadał młody Goddet, obiegił bowiem całe Berri, gdzie powtarzano sobie koncepty Maxa i Barucha. Toteż, rzecz najdotkliwsza dla Hiszpana, był on, jeszcze w tydzień po wypadku, plotką trzech departamentów i strawą wszystkich języków. Max i *Mąciwoda*, napiętnowani krwawym przytykiem mściwego Hiszpana, byli również przedmiotem tysiąca komentarzy, które szeptano sobie do ucha w Issoudun, ale powtarzano głośno w Bourges, Vatan, Vierzon i Châteauroux. Max Gilet dostatecznie znał okolicę, aby się domyślać, jak bardzo komentarze te musiały być jadowite.

— Ano cóż, gadają, niema na to rady, myślał. Ech! źle się wybrałem z tym konceptem.

— I cóż, Max, rzekł Franciszek, biorąc go pod ramię, przybawają dziś wieczór...

— Kto?

— Ci paryzcy Bridau! Babka dostała wczoraj list od chrześniaczki.

— Słuchaj, chłopcze, szepnął Max, zastanowiłem się nad tą sprawą. Ani Flora ani ja nie powinniśmy, na oko, czynić żadnych wstrętów tym Bridau. Jeżeli spadkobiercy mają opuścić Issoudun, to wy, Hochonowie, musicie ich wyprawić. Przyjrzyj się dobrze tym paryżanom, ja przyjrzę się im również; jutro, u mamy Cognette, zastanowimy się co moglibyśmy im wypłatać i jak ich poróżnić z twoim dziadkiem...

— Hiszpan wymacał słaby punkt w pancerzu Maxa, rzekł Ba-

ruch do Franciszka, wracając do dziadków i spoglądając za przyjacielem, który skierował się ku domowi.

Podczas gdy Max dokonywał swego bohaterskiego czynu, Flora, mimo zaleceń kochanka, nie mogła powściągnąć gniewu i, nie dbając czy tem wspomaga czy niweczy jego plany, pastwiła się nad biednym starym kawalerem. Kiedy Jan-Jakób popadł w niełaskę u gospodyni, obcinano mu, za jednym zamachem, wszystkie codzienne względy i karesy, które były całym jego szczęściem. Słowem, Flora brała swego pana na pokutę. I tak, żadnych pieścizotliwych słówek, któremi, na rozmaite tony, okraszała rozmowę, zaprawiając je mniej lub więcej czułymi spojrzzeniami: „Mój kocie — staruchu, — grubasie, moja świnko“, etc. Suche i zimne *pan*, pełne ironicznego uszanowania, wbijało się w serce nieszczęśliwego jak ostrze noża. To „pan“ oznaczało wypowiedzenie wojny. Następnie, zamiast być obecną przy wstawaniu nieboraka, podawać mu rzeczy, odgadywać pragnienia, spoglądać nań z owym zachwytem który umieją wyrażać wszystkie kobiety i który, im grubszy, tem bardziej czaruje, zamiast rzucać mu pieścizotliwe: „Świeży dziś jesteś jak różyczka! — Nigdy nie wyglądałeś tak dobrze! — Niczego z ciebie kawaler, Jasieczku“, — słowem, zamiast go raczyć przy wstawaniu swoim szczebiotem i ulubionemi psotami, Flora skazywała go na samotne ubieranie się. Skoro ją wołał, odpowiadała z dołu, przez schody:

— Ech! nie mogę robić wszystkiego naraz, pilnować śniadania i obsługiwać pana w jego pokoju. Czy nie jest pan dość duży, aby się sam ubrać?

— Mój Boże! co ja jej zrobiłem? rzekł do siebie starzec, spotkawszy się z odprawą gdy prosił o wodę do golenia.

— Agnieszko, zanieś panu ciepłej wody, krzyknęła Flora.

— Agnieszko?... szepnął nieborak, osłupiały burzą która nad nim wisiała. — Agnieszko, co pani jest dziś rano?

Flora Brazier kazała się tytułować *panią* zarówno swemu panu, jak Agnieszce, Kuskiemu i Maxowi.

— Musiała, tak mi się zdaje, dowiedzieć się o panu czegoś brzydkiego, rzekła Agnieszka tonem głębokiego strapienia. Żle się pan odwdzięcza, niema co gadać. Ot, jestem tylko biedna sługa i może mi pan rzec że nie mam co nosa wtykać do pańskich spraw; ale, żebyś pan szukał między wszystkimi kobitami na ziemi, jak ten król z Pisma świętego, nie znalazłbyś podobnej do naszej pani... Powinienby pan całować ślady jej stóp, kiedy przechodzi... Ba, kiedy pan jej robi przykrość, to tak jakby pan serce przesywał samemu sobie! Sama widziałam, jak pani łyzy miała w oczach... o, takie!

Agnieszka odeszła, zostawiając nieboraka w okropnym stanie. Osunął się na fotel, patrzył w przestrzeń jak człowiek cierpiący na melancholję, zapomniał się ogolić. Te przeskoki od czułości do chłodu powodowały w tej słabej istocie, żyjącej jedynie fibrami miłości, te same złowrogie skutki, jakie sprawia na ciele nagłe przejście od tropikalnego upału do lodowatego zimna. Te wstrząśnienia moralne zużywały go nakszałt fizycznych chorób. Jedna w świecie Flora mogła działać nań w ten sposób: jedynie dla niej bowiem dobroć jego równa była jego głupocie.

— I cóż, jeszcze pan nieogolony? rzekła pokazując się w drzwiach. Zjawienie się jej podziałało na ojca Rouget piorunująco. Z bladego i zmienionego stał się w jednej chwili czerwony, nie śmiejąc się skarżyć o tę napaść.

— Śniadanie czeka! Ale może pan doskonale zejść w szlafroku i pantoflach, sam pan siądzie do śniadania.

I, nie czekając odpowiedzi, znikła. Zostawić go samego przy śniadaniu, stanowiło najdotkliwszy stopień pokuty: nieborak lubił rozmawiać przy jedzeniu. Schodząc, Rouget dostał napadu kaszlu, wzruszenie podrażniło mu flegmę.

— Kaszlaj! kaszlaj! mruknęła Flora w kuchni, nie troszcząc się czy ją pan słyszy czy nie. — Dalibóg, ten stary hycel dosyć jest krzepki i bez tego aby się o niego troszczyć. Jeśli wykrztusi kiedy duszę, to nie wprzód, aż wszystkich nas pochowa...

Oto uprzejme słówka, jakimi *Mąciwoda* raczyła ojca Rouget

w chwilach gniewu. Biedaczysko usiadł, w głębokim smutku, na końcu stołu, spoglądając na swoje stare meble i obrazy z twarzą pełną rozpacz.

— Mógł też pan włożyć krawat, rzekła Flora wchodząc. Czy pan myśli, że to przyjemny widok, taka szyja jak pańska, czerwiejsza i bardziej pomarszczona niż u indyka!

— Ale co ja ci zrobiłem? spytał podnosząc wypukłe jasnozielonkawe oczy pełne łez ku Florze, i wpatrując się w jej lodowate oblicze.

— Co pan zrobiłeś?... rzekła. Nie wie pan? A to mi obłudnik!... Pańska siostra Agata, która jest tak pańską siostrą jak ja siostrą wieży Issouduńskiej, wedle tego co mówił pański ojciec, i która nie jest niczem dla pana, przybywa tu z Paryża ze swoim synalem, jakimś tam bazgraczem obrazów na odpusty; wybrali się pana odwiedzić...

— Siostra i siostrzeńcy przybywają do Issoudun?... rzekł zdziwiony.

— Tak, udawaj pan zdziwionego, próbuj wmówić, że to nie pan kazałeś im przyjechać! Mądrala! strasznieś niby przebiegły! Bądź pan spokojny, nie chcemy zawadzać tym pańskim paryżanom. Zanim ich noga tu postanie, po nas nie będzie ani pyłu. Oboje z Maxem zabieramy się stąd i nie ujrysz nas już nigdy. Co do pańskiego testamentu, podrę go na czworo i cisnę panu w nos, rozumiesz?... Zostawisz pan majątek rodzinie, skoro my nie jesteśmy pańską rodziną. Później przekonasz się, czy będą pana kochać dla pańskich pięknych oczu, ci ludzie, którzy nie widzieli pana od trzydziestu lat, którzy wogóle nawet pana nie widzieli! Może pańska siostra zastąpi mnie przy panu? Stara dewocicha czternastej próby.

— Czy tylko o to chodzi, Floro, Floruniu? rzekł starzec. Nie przyjmę ani siostry ani siostrzeńców... Przysięgam ci, że pierwsze słyszę o ich przyjeździe: to sztuka ukartowana przez panią Hochon, starą dewotkę...

Max, który niewątpliwie słyszał odpowiedź ojca Rouget, uka-
zał się nagle w drzwiach, mówiąc tonem władcy:

— O co chodzi?...

— Mój dobry Maxie, rzekł starzec, szczęśliwy iż kupił sobie po-
parcie żołnierza, który, wskutek układu obmyślonego z Florą, brał
zawsze stronę Rougeta, przysięgam na wszystko co mam najświęt-
szego, że przed chwilą dowiedziałem się o tej nowinie. Nie pisałem
nigdy do siostry; ojciec kazał mi przyrzec, że nie zostawię jej ani
szeląga, choćbym miał zapisać na kościół... Słowem, nie chcę na oczy
widzieć Agaty, ani jej synów.

— Ojciec źle sobie postąpił, drogi Jakóbie, pani zaś postępuje
gorzej jeszcze, odparł Max. Ojciec miał zapewne swoje racje; ale
umarł, i nienawiść jego powinna umrzeć wraz z nim. Winien to je-
steś sam sobie, aby ich dobrze przyjąć, a i nam także. Coby powie-
dziano w Issoudun?... Do kroćset bomb! mam tego już po uszy!
brakowałyby jeszcze gadań, że cię trzymamy na uwięzi, że nie je-
steś wolny, że cię podburzyliśmy przeciw spadkobiercom, że czyha-
my na sukcesję... Niech mnie czarci porwą, jeśli nie spakuję manat-
ków, skoro raz jeszcze usłyszę coś podobnego! No, dość już! Śnia-
dajmy.

Flora, która się stała łagodna jak jagniątko, pomogła Agnieszce
nakrywać. Ojciec Rouget, pełen podziwu dla Maxa, ujął go za rękę,
pociągnął ku oknu i rzekł półgłosem:

— Ach, Max, gdybym miał syna, nie kochałbym go tak jak cie-
bie. Flora ma rację: wy dwoje, wy jesteście moja rodzina... Ty je-
steś człowiek z honorem, Max: wszystko co mówisz, bardzo mi tra-
fia do serca.

— Powinieneś pan podjąć serdecznie siostrę i siostrzeńca, ale
nie zmieniać w swoich postanowieniach. W ten sposób uczynisz
zadość i ojcu i światu...

— No, moje aniołki, wykrzyknęła Flora wesoło, potrawka sty-
gnie. — Bierz, mój stary kocie, masz tu skrzydełko, rzekła uśmie-
chając się do Jana-Jakóba.

Na to słówko, końska fizjognomja nieboraka straciła swoje trupie zabarwienie, na obwisłych wargach zaigrał poddańczy uśmiech; ale kaszel porwał go znowu, jako że powrót do łaski przyprawił go o wzruszenie równie silne jak wprzód pokuta. Flora wstała, zerwała z siebie kaszmirowy szalik, i obwinęła go jak krawat koło szyi starca, mówiąc:

— Cóż za głupstwo, żeby się tak przejmować lada drobnostką. Masz, stara niedojdo! to ci dobrze zrobi, nosiłam go na sercu...

— Cóż za dobra istota! rzekł Rouget do Maxa, gdy Flora poszła szukać czarnej aksamitnej mycki, aby nią przykryć łysą niemal czaszkę starego kawalera.

— Równie dobra jak piękna, odparł Max; ale jest żywa, jak wszyscy ludzie, którzy mają serce na dłoni.

Może ktoś zgani ostrość tego obrazu i będzie uważał, iż objawy charakteru *Mąciwody* trącą ową prawdą, którą malarz winien zostawić w cieniu. Otóż, ta scena, powtarzająca się na nowo po sto razy z przerażającym bogactwem odmian, jest, w grubej formie i w swej okropnej prawdziwości, typem scen, jakie odgrywają wszystkie kobiety, na jakimkolwiek szczeblu drabiny społecznej los je pomieścił, skoro interes wypaczy je z linii posłuszeństwa i skoro pochwycą w ręce władzę. Jak u wielkich polityków, cel uprawnia w ich oczach wszystkie środki. Między Florą Brazier a księżną, między księżną a najbogatszą mieszczką, między mieszczką a najzbytckowniejszą „utrzymanką“ zachodzą różnice tylko te, jakie stwarza wychowanie i środowisko. Dąsy wielkiej damy zajmują miejsce wybuchów *Mąciwody*. Na każdym piętrze społecznym, gorzkie żarciki, dowcipne drwiny, chłodna pogarda, obłudne żale, sztucznie wywołane sprzeczki uzyskują ten sam sukces, co gminne przekąsy tej Kleopatry z Issoudun.

Max zaczął tak pociesznie opowiadać przygodę Faria, że rozśmieszył biednego Rouget. Agnieszka i Kuski, z uchem przyciśniętem do drzwi aby słyszeć tę historję, omal nie pękli ze śmiechu w korytarzu. Flora nie posiadała się z uciechy. Po śniadaniu, gdy Jan-

Jakób czytał dzienniki (zaabonowano *Constitutionnel* i *Pandorę*), Max ściągnął Florę do siebie.

— Czy jesteś pewna, że, od czasu jak cię zrobił spadkobierczynią, nie pisał innego testamentu?

— Niema w domu piór ani atramentu, odparła.

— Mógł podyktować u rejenta, rzekł Max. Jeśli nie zrobił tego dotąd, trzeba brać w rachubę tę możliwość. Zatem, przyjmijmy cudownie państwa Bridau, ale starajmy się zrealizować, i to szybko, sumy hipoteczne. Panowie rejenci są na to jak na lato aby przenosić lokaty: stąd czerpią swój chlebuś i masełko. Renta podnosi się z każdym dniem; zdobędziemy Hiszpanję i uwolnimy Ferdynanda VII-go od Kortezów: od dziś za rok, renta podniesie się może wyżej *pari*. Jestto zatem doskonały interes umieścić siedemset pięćdziesiąt tysięcy tego pocziwca w rencie po dziewięćdziesiąt!... Tylko staraj się, żeby to było na twoje imię. Cobądź wypadnie, to będzie pewne!

— Bajeczna myśl, rzekła Flora. Bez ciebie, mój śliczny Maksiu, coby się z nami stało?

— Och, jutro wieczór, u mamy Cognette, skoro się już przypatrzę tym paryżanom, znajdę sposoby, aby ich stąd wyprawić przez samych Hochonów.

— Jakiś ty mądry, moje złoto! Wiesz, cacy-chłopiec z ciebie!

Plac św. Jana znajduje się w połowie ulicy, schodzącej stromym spadkiem od placu do bramy Vilatte. Dom starego Hochon był tuż naprzeciw domu w którym mieszkał Jan-Jakób Rouget. Przez jedno z okien sali, gdzie przebywała pani Hochon, często można było widzieć co się działo u ojca Rouget i *vice versa*, kiedy firanki były ściągnięte lub drzwi otwarte. Dom pana Hochon tak jest podobny do domu Rougeta, że te dwie budowle zawdzięczają z pewnością istnienie ręce jednego architekta. Hochon, rodem z Issoudun, ale osiadły w Selles, wrócił do rodzinnego miasta, aby zaślubić siostrę wice-delegata, romansowego Lousteau, zamieniając

posadę w Selles na urząd poborcy w Issoudun. Już wycofany z interesów w r. 1786, uniknął burz Rewolucji, z którą zresztą sympatyzował w całej pełni, jak wszyscy rozsądni ludzie, przywykli wycę ze zwycięzcami. Pan Hochon miał reputację skąpca i zapracował na nią. Ale chcąc go odmalować, czyżby nie trzeba grzęznąć w potwarzaniu znanych rysów? Jeden jedyny, który go uczynił sławnym, wystarczy aby pokazać czytelnikom całego Hochona.

Kiedy wydawał za mąż córkę, zmarłą później młodo, za pana Borniche, trzeba było wyprawić obiad dla rodziny oblubieńca. (Młody małżonek, przyszły dziedzic wielkiej fortuny, umarł ze zgryzoty w jaką wepchnęły go niepowodzenia finansowe, a zwłaszcza nieużytość rodziców którzy nie chcieli mu pomóc. Starzy Borniche żyli jeszcze w tej chwili, uszczęśliwieni iż Hochon podjął się opieki; sknera zaś miał na oku posag córki, który spodziewał się ocalić). Otóż, w dzień podpisania kontraktu, obie rodziny zgromadziły się w sali, Hochonowie z jednej strony, Bornische z drugiej, wszyscy odświętnie wystrojeni. W pełni kontraktu, który odczytywał poważnie młody rejent Héron, wchodzi kucharka i prosi pana Hochon o sznurek, aby związać indyka, główną ozdobę uczy. Expoborca wyjmuje z kieszeni sznurek, który z pewnością służył już na jakiś pakunek, i daje; ale, nim służąca zniknęła za drzwiami, woła za nią: „Gryto, pamiętaj mi go oddać“.

Z roku na rok, stary Hochon stawał się bardziej drobiazgowy, większy kutwa, a miał w tej chwili osiemdziesiąt pięć lat! Należał do tego rodzaju ludzi, którzy, na ulicy, wśród ożywionej rozmowy, schylają się aby podnieść zgubioną przez kogoś szpilkę i wpinają ją sobie w klapę, mrużąc: „Głupi gubi, mądry znajduje“. Potrafił utyskiwać na lichy wyrób dzisiejszego sukna, skarżąc się, że ostatni surdut wytrwał mu ledwie dziewięć lat. Wysoki, suchy, chudy, o złotej cerze, mówiący mało, czytający mało, unikający zmęczenia, przestrzegający form jak Turek, prowadził dom niezmiernie oszczędnie, odmierzając jedzenie i picie rodziny, zresztą dość licznej, złożonej z żony (z domu Lousteau), wnuka Barucha i siostry jego Adolfiny

spadkobierców starych Borniche, wreszcie drugiego wnuka, Franciszka Hochon.

Starszy syn Hochonów, zagarnięty w 1813 przez pobór synów lepszych rodzin, którzy dotąd uniknęli konskrypcji a którym dano piękny tytuł *gwardji honorowej*, zginął pod Hanau. Ten niedoszły spadkobierca rodziny Hochon zaślubił bardzo młodo bogatą pannę aby uniknąć konskrypcji; ale, jakby przewidując swój koniec, strwonił cały majątek. Żona, która zdaleka towarzyszyła armji francuskiej, umarła w Strassburgu w 1814, zostawiając tam długi. Stary Hochon nie zapłacił ani szeląga, przeciwstawiając wierzytelom zasadę dawnej jurysprudencji: *Kobiety są małoletnie*.

Dom, mimo iż obszerny, zawierał mało sprzętów. Niemniej, można było bardzo przyzwoicie pomieścić Józefa i panią Bridau w dwóch pokojach na drugim piętrze. Stary Hochon pożałował wówczas, iż zachował tam dwa łóżka, wraz z przynależnym do każdego gobelinowym fotelem, oraz orzechowym stolikiem, na którym stał dzbanek na wodę w miednicy z niebieskim szlakiem. Starzec składał w tych pokojach zbiory jabłek i gruszek zimowych, jak również pigw i nieszpulek. Owoce leżały na słomie, w której harcowały szczury i myszy: toteż panował tam zapach myszy i owocu. Pani Hochon kazała wszystko gruntownie odczyścić; obicia, odpadające miejscami, przeklejono opłatkami; dała do okien firaneczki ze starych muślinowych spódnic. Te przygotowania i wysiłki zdwoiły surową powagę pana Hochon, który nie wierzył jeszcze w przybycie dwojga Bridau.

Tegoż samego ranka, uświetnionego psotą spletaną ojcu Fario, pani Hochon rzekła po śniadaniu do męża:

— Mam nadzieję, mężu, że przyjmiesz jak należy moją chrześniaczkę.

Następnie, upewniwszy się że wnuków niema w pobliżu, dała:

— Jestem panią mego majątku, nie zmuszaj mnie, abym ze-

chciała w testamencie wynagrodzić Agacie złe przyjęcie jakiegoby doznała.

— Czy sądzisz, odparł Hochon łagodnie, iż, w moim wieku, nie znam obowiązków gościnności?

— Wiesz dobrze, o czym myślę, stary sknero. Bądź serdeczny dla gości i pamiętaj jak kocham Agatę.

— Kochałaś także Maxa Gilet, który połknie sukcesję twojej drogiej Agaty!... Haha! wygrałaś węza na łonie; ale, ostatecznie, było przeznaczone aby pieniądze Rougetów spłynęły na jakąś odrośl domu Lousteau.

Po tej aluzji do mniemanego pochodzenia Agaty i Maxa, Hochon chciał wyjść; ale stara pani Hochon, kobieta jeszcze prosta i szczupła, z głową strojną w rurkowy czepek, upudrowana, ubrana w spódnicę z gołąbkowej tafty, położyła tabakierkę i rzekła:

— Doprawdy, w jaki sposób człowiek rozumny jak ty, mężu, może powtarzać niedorzeczności, które, na nieszczęście, opłaciła spokojem moja biedna przyjaciółka, chrześniaczka zaś utratą ojcowizny! Max Gilet nie jest wcale synem mego brata, któremu też raziłam w swoim czasie, aby oszczędził swoje talary. Wreszcie, wiesz równie dobrze jak ja, że pani Rouget była wcieleniem cnoty.

— Córnica zaś jest godna matki, bo wydaje się solennie głupia. Straciwszy cały majątek, wychowała synów tak, że oto jeden ma stawać przed izbą Parów pod grozą kryminalnego procesu. Co do drugiego, ten jest w jeszcze gorszej skórze, jest malarzem!... Jeżeli twoi protegowani zamierzają zostać tuaj, póki nie wyrwą tego idjoty Rougeta z pazurów *Maciwody* i Maxa, zjemy z nimi niejedną beczkę soli.

— Dosyć już, mężu; powinieneś im życzyć aby bodaj z czemś stąd wyjechali.

Pan Hochon ujął kapelusz, laskę o słoniowej gałce i wyszedł ogłuszony tą groźną aluzją, nie przypuszczał bowiem tyle stanowczości u żony. Pani Hochon wzięła książkę do nabożeństwa, aby odczytać zwyczajne modlitwy. Podeszły wiek nie pozwalał jej uda-

wać się codziennie do kościoła: ledwie mogła dopełniać tego obowiązku w niedziele i święta. Od czasu jak otrzymała odpowiedź Agaty, dodawała, do zwykłych modłów, modlitwę dla ubłagania Boga, aby otworzył oczy Janowi-Jakóbowi, pobłogosławił Agacie i uwieńczył jej przedsięwzięcie. Kryjąc się przed wnukami, którym nie mogła darować ich protestantyzmu, uprosiła proboszcza, aby odmówił za pomyślność sprawy nowennej, której miała wysłuchać wnuczka jej, Adolfina Borniche, dopełniająca, przez prokurację, modlitw w kościele.

Adolfina, wówczas licząca osiemnaście lat i od siedmiu lat przebywająca przy boku babki w tym zimnym domu o metodycznych i monotonnych obyczajach, odprawiała nowennę tem skwapliwiej, ile że pragnęła obudzić jakieś uczucie w Józefie Bridau, owym artyście niezrozumianym przez pana Hochon, a budzącym w niej żywe zainteresowanie z przyczyny potworności, jakie dziadek jej przypisywał młodemu paryżaninowi.

Starcy, ludzie roztropni, głowy miasta, ojcowie rodzin, przychwalali zresztą postępowaniu pana Hochon; życzenia ich na rzecz Agaty i jej dzieci zgodne były z tajoną wzdargą, jaką oddawna budziło w mieście postępowanie Maxa Gilet. Toteż nowina o przybyciu najbliższej rodziny ojca Rouget wytworzyła w Issoudun dwa stronnictwa: stronnictwo poważnego i starego mieszczaństwa, które zadawało się życzeniami i przyglądaniem się biegowi wypadków; drugie stronnictwo rycerzy Bezrobocia i przyjaciół Maxa, którzy, na nieszczęście, byli zdolni posunąć się do wrogich kroków w stosunku do przybyszów.

Zatem, tegoż samego dnia, Agata i Józef stanęli, o godzinie trzeciej, w dziedzińcu pocztowym. Mimo znużenia, pani Bridau czuła się odmłodzona widokiem stron rodzinnych, gdzie, na każdym kroku, odnajdywała dawne wspomnienia i wrażenia. Wieść o przybyciu paryżan obiegła w dziesięć minut całe miasto. Pani Hochon wyszła na próg, aby powitać chrześniaczkę i uściskała ją serdecznie jak rodzoną córkę. Przebywszy, w ciągu siedemdziesię-

ciu dwu lat, zarówno pustą jak monotonną drogę życia, w której, obróciwszy oczy wstecz, liczyła jedynie trumny trojga dzieci, stworzyła sobie jakby sztuczne macierzyństwo dla córki ukochanej przyjaciółki. W głuszy prowincjonalnego życia, hodowała tę starą przyjaciółkę, niezatartą mimo długiej nieobecności Agaty; toteż, sprawy rodziny Bridau leżały jej na sercu jak własne. Wprowadzono Agatę z tryumfem do sali, gdzie godny pan Hochon przyjął ją sztywnie i chłodno.

— Oto mój mąż, jakże go znajdujesz? rzekła staruszka do chrześniaczki.

— Ależ zupełnie takim samym, jak go zostawiłam, rzekła paryżanka.

— Hehe! widać że pani przybywasz z Paryża; komplementarcka z pani, rzekł starzec.

Nastąpiły prezentacje: *małego* Barucha Borniche, dwudziestolletniego dryblasa; *małego* Franciszka Hochon, liczącego lat dwadzieścia cztery, i małej Adolfiny, która czerwieniła się, nie wiedziała co począć z rękami a zwłaszcza z oczami, nie chciała bowiem aby się zdawało że się przygląda Józefowi Bridau, śledzonemu również z ciekawością przez dwóch młodych ludzi i przez starego Hochona, ale z rozmaitych punktów widzenia. Skąpiec powiadał sobie:

— Wygląda jak wypuszczony ze szpitala, musi mieć apetyt jak po chorobie!

Młodzi ludzie myśleli:

— Cóż za zbój! co za facjata! tęgą będziemy mieli z nim robotę!

— Oto mój syn, malarz, mój dobry Józef! rzekła wreszcie Agata, wskazując artystę.

W tem słowie *dobry* czuć było wysiłek, odsłaniający całe serce Agaty, która myślała o więźniu z Luxemburgu.

— Wygląda jakoś chorowito, wykrzyknęła pani Hochon, nie podobny do ciebie...

— Nie, pani, odparł Józef z brutalną prostotą artysty, podobny jestem do ojca, i to w brzydszem wydaniu!

Pani Hochon uścisnęła rękę Agaty, którą trzymała w dłoniach, i wymieniła z nią spojrzenie. Ten ruch, to spojrzenie mówiły: „Ach, rozumiem dobrze, dziecko, że wolisz od niego tego ladaco Filipa“.

— Nie widziałam nigdy twego ojca, drogie dziecko, odparła głośno pani Hochon; ale wystarczy że jesteś synem Agaty abym cię kochała. Zresztą, masz talent, wedle tego, co mi pisała nieboszczka Descouings, jedyna która udzielała mi nowin o was w ostatnim czasie.

— Talent! rzekł artysta, jeszcze nie, ale, zczasem i przy cierpliwości, może zdobędę sławę i majątek.

— Malowaniem? rzekł pan Hochon z głęboką ironją.

— Adolfo, rzekła pani Hochon, idź dopilnować obiadu.

— Mamo, rzekł Józef, pójdę odebrać walizy, które właśnie przynieśli.

— Franciszku, pokaż panu Bridau pokoje, rzekła staruszka do wnuka.

Ponieważ obiad podawano o czwartej, a było dopiero wpół, Baruch wyszedł na miasto udzielić nowin o rodzinie Bridau, odmalować toaletę Agaty, a zwłaszcza Józefa, którego poorana, chorowita i tak charakterystyczna twarz odpowiadała idealnemu portretowi jaki ludzie tworzą sobie ze złoczyńcy. Tego dnia, osoba jego dostarczała we wszystkich domach przedmiotu konwersacji.

— Zdaje się, że siostra ojca Rouget zapatrzyła się w ciąży na jakąś małpę, mówiono: syn podobny zupełnie do szympansa. — Twarz bandyty, a oczy bazyliuszka. — Powiadają, że warto go zobaczyć, ma być przerażający. — Wszyscy artyści z Paryża są tacy. — Są źli jak dzikie osły, a złośliwi jak małpy. — To już wynika z rzemiosła. — Spotkałem właśnie pana Beaussier, który mówi, że nie chciałby go spotkać w nocy w gęstym lesie; widział go w dyliżansie. — Policzki ma zapadłe jak koń, a macha rękami jak warjat. — Ten chłopak wydaje się zdolny do wszystkiego; to on może jest przyczyną, że jego brat, słuszny, przystojny mężczyzna, wszedł na

złą drogę. — Biedna pani Bridau nie wydaje się z nim szczęśliwa. — Gdybyśmy skorzystali z tego że jest tutaj i dali sobie *sporządzić* portrety?

Opinie te obiegające niby wiatr po mieście rozbudziły ogromną ciekawość. Wszyscy, którzy bywali u Hochonów, postanowili zejść do nich jeszcze tego wieczora, aby zobaczyć paryżan. Zjawienie się dwojga nowych osób było dla ospałego miasta tem, co gałąź spadająca w bajoro między żaby.

Rozłożywszy rzeczy matki i swoje w dwóch pokojach na poddaszu i rozgościwszy się, Józef rozpatrzył się w tym milczącym domu, gdzie mury, schody, ściany, pozbawione były wszelkiej ozdoby i sączyły zimno; gdzie znajdowało się tylko to co najściślej potrzebne. Uderzyło go to nagle przejście od poetycznego Paryża do niemiejskiej i suchej prowincji. A już kiedy, schodząc na dół, ujrzał pana Hochon jak sam krajał dla każdego kromki chleba, zrozumiał, po raz pierwszy w życiu, molierowskiego Harpagona.

— Lepiej uczynilibyśmy zajeżdżając do gospody, rzekł w duchu.

Wygląd obiadu potwierdził te obawy. Po rosole, którego przejrzystość świadczyła iż bardziej zwracano uwagę na ilość niż na jakość, podano *sztukę mięsa* tryumfalnie okoloną pietruszką. Jarzyny, ułożone osobno na półmisku, liczone były w dyspozycji obiadu jako *danie*. Sztuka mięsa tronowała na środku stołu, dokoła niej trzy inne półmiski: jaja na twardo w szczawiu naprzeciw jarzyn, dalej sałata zaprawna oliwą z orzechów, ustawiona naprzeciw małych garnuszków ze śmietanką, przyczem palony owies zastępował wanilję, podobny do wanilji tak, jak cykorja do mokki. Masło i rzodkiewki na dwóch rogach stołu, czarna rzodkiew i korniszony uzupełniały tę zastawę, która zyskała uznanie pani Hochon. Zaczna staruszka uczyniła znak głową, szczęśliwa iż mąż, pierwszego dnia przynajmniej, wystąpił jak należało. Starzec odpowiedział spojrzeniem i ruchem łatwym do wytłumaczenia: „Oto do jakich szaleństw mnie zmuszacie!...”

Po sztuce mięsa pokrajanej przez pana Hochon na płatki przy-

pominające grubością podeszwy pantofelków, wniesiono na półmisku trzy gołąbki. Wino nosiło datę roku 1811. Za radą babki, Adolfiną ozdobiła stół dwoma bukietami.

— Na wojnie jak na wojnie! pomyślał artysta, obejmując okiem zastawę.

I zabrał się do jedzenia, jak człowiek który nie miał nic w ustach od lichej szklanki kawy w Vierzon, o szóstej rano. Skoro Józef pochłonął swoją kromkę chleba i zażądał jeszcze, pan Hochon podniósł się od stołu, wydobyl zwalna klucz z głębi surduta, otworzył szafę, wyjął dwunastofuntowy bochen, odkroił nową kromkę, przeciął ją na dwoje, położył na talerzu i podał talerz przez stół młodemu malarzowi w milczeniu i z zimną krwią starego żołnierza, który powiada sobie na początku bitwy: „Ha, trudno, dziś może przyjdzie mi polec“. Józef wziął pół kromki i zrozumiał, że nie należy już żądać chleba. Żaden z członków rodziny nie wydawał się zdumiony tą sceną, tak potworną dla Józefa. Rozmowa szła swoim trybem. Agata, dowiedziawszy się, że dom w którym się urodziła — dom jej ojca, nim odziedziczył inny po teściach — przeszedł w posiadanie Borniszów, objawiła chęć zobaczenia go.

— Bez wątpienia, rzekła chrzestna matka, Borniszowie przyjdą tu dziś wieczór; całe miasto będzie chciało was obejrzyć, dodała zwracając się do Józefa, i zaprosi was też do siebie.

Służąca wniosła na deser słynny ser śmietankowy, specjalność Turenji, który odbija tak wiernie żyłki winnego liścia, na którym się go podaje, że sztuka rytownicza powinna była urodzić się w Turenji. Po obu stronach małych serków, Gryta ułożyła z pewną uroczystością orzechy i nietykalne biszkopty.

— Gryto, przenieśże owoce! rzekła pani Hochon.

— Kiedy, proszę pani, niema już nadpsutych, odparła Gryta.

Józef parsknął śmiechem tak jakby był w pracowni, w towarzystwie kolegów, zrozumiał bowiem w lot, iż przezorność zaczynania od owoców już cokolwiek niepewnych wyrodziła się w zwyczaj.

— Ba! zjemy je i tak, odparł z wesołością człowieka, który postanowił brać wszystko z dobrej strony.

— Ależ ruszże się, mężu! wykrzyknęła staruszka.

Pan Hochon, bardzo zgorzony odezwaniem się artysty, przyniósł nieco brzoskwiń, gruszek i śliwek.

— Adolfino, idź narwać winogron, rzekła pani Hochon do wnuczki.

Józef spojrział po dwóch młodych ludziach z wyrazem który mówił: „Czy temu trybowi domu zawdzięczacie swoje kwitnące miny?“ Baruch zrozumiał ten przenikliwy błysk oka i uśmiechnął się, dotąd bowiem obaj z Franciszkiem trzymali się w dyskretnym półcieniu. Kuchnia domowa była dosyć obojętna młodym ludziom, którzy, trzy razy na tydzień, wieczierzali u mamy Cognette. Zresztą, podczas obiadu, Baruch otrzymał wiadomość, iż wielki mistrz zwołuje Zakon w komplecie o północy na wspaniałą ucztę, aby omówić środki jakich wymaga chwila. Ta powitalna uczta, którą stary Hochon wyprawił dla gości, tłumaczy, jak bardzo nocne biesiady u mamy Cognette potrzebne były dla odżywienia dryblasów, obu opatrzonych doskonałym uzębieniem.

— Przejdziemy na likier do salonu, rzekła pani Hochon, wstając i opierając się na ramieniu Józefa.

Wychodząc pierwsza, zdążyła szepnąć malarzowi:

— I cóż, biedny chłopcze, ten obiad nie przyprawi cię o niestrawność z przejedzenia; a i tak ciężko przyszło mi go wywalczyć. Czeka cię post tutaj, ot, tyle ile trzeba aby wyżyć, to i wszystko. To też, bądź wyrozumiały...

Dobrodusznosc zacnej staruszki, która sama odslaniała w ten sposób słabą stronę domu, ujęła artystę.

— Niedługo będzie pięćdziesiąt lat jak żyję z tym człowiekiem; przez ten czas nie doliczyłam się razem ani dwudziestu talarów w mej sakiewce! Och! gdyby nie chodziło o to aby wam ocalić majątek, nigdybym was nie ściągała do mego więzienia!

— Ale jakim cudem pani żyje jeszcze? rzekł naiwnie malarz, z tym humorem który nie opuszcza nigdy francuskiego artysty.

— Jak? rzekła; modłę się.

Józef uczuł lekki dreszcz słysząc te słowa; staruszka tak urosła w jego oczach, że cofnął się o trzy kroki, aby się przyjrzeć jej twarzy; wydała mu się promienna, rozjaśniona taką pogodą i słodyczą, iż rzekł:

— Zrobię pani portret!

— Nie, nie, odparła; nadto się wynudziłam na ziemi, aby chcieć na niej zostać w malowidle.

Mówiąc wesoło te smutne słowa, wydobyła z szafy karafeczkę z porzeczkowym likierem własnego wyrobu; receptę nań posiadała od słynnych zakonnicy, którym zawdzięcza się tort Issoudeński. Jestto jedna z najwyższych kreacyj francuskiego cukiernictwa, której żaden kucharz, pasztetnik ani cukiernik nie zdołał podrobić. Pan de Rivière, ambasador w Konstantynopolu, zamawiał corocznie olbrzymie ilości tego tortu dla seraju Mahmuda. Adolfiną trzymała tackę z laki, na której stały w rzędach stare rżnięte kieliszeczki o złożonym brzegu; następnie, w miarę jak babka rozlewała napój, podawała go zebrany.

— Hochon idzie zaraz do kasyna na gazety, będziemy miały chwilę swobody, szepnęła Agacie stara dama.

W istocie, w dziesięć minut później, trzy kobiety i Józef znalazły się same w tym salonie, którego posadzki nigdy się nie zapuszcza lecz tylko zamiata. Obicia oprawne w dębowe ramy, proste i niemal popyłne umeblowanie, ukazały się oczom pani Bridau w tym stanie w jakim je zostawiła. Monarchja, Rewolucja, Cesarstwo, Restauracja, które uszanowały tak niewiele rzeczy, uszanowały tę salę, gdzie ich przepychy i kłęski nie zostawiły żadnego śladu.

— Ach, chrestna matko, moje życie było strasznie burzliwe w porównaniu z twojem, wykrzyknęła pani Bridau, zdumiona iż nawet kanarka, którego znała żywym, znalazła wypchanego na komin-

ku, między starym zegarem, mosiężnym kandelabrem i srebrnymi świecznikami.

— Moje dziecko, rzekła staruszka, burze są w sercu. Im potrzebniejszą, im większą była rezygnacja, tem więcej trzeba mi było walczyć z samą sobą. Nie mówmy o mnie, mówmy o twoich sprawach. Znajdujesz się właśnie wprost naprzeciw wroga, dodała wskazując dom Rougetów.

— Siadają do stołu, rzekła Adolfina.

Młoda dziewczyna, żyjąca niemal w klauzurze, wyglądała ciągle przez okna, mając nadzieję pochwycić jakieś światełko co do potworności obiegających na rachunek Maxa Gilet, *Mąciwoda* i Jana Jakóba: potworności, których pojedyncze słowa dolatywały uszu panny, kiedy ją wyprawiano z pokoju aby mówić o tem. Stara dama rzekła wnuczce aby ją zostawiła samą z państwem Bridau, póki nie zaczną się schodzić goście.

— Znam dobrze moje miasteczko, rzekła spoglądając na paryżan, będziemy mieli dziś wieczór przynajmniej ze dwa tuziny ciekawych.

Zaledwie pani Hochon zdążyła opowiedzieć gościom wydarzenia i szczegóły tyżące zdumiewającej władzy, jaką nad Janem-Jakóbem Rouget zdobyli *Mąciwoda* i Maksencjusz (przyczem nie trzymała się metody artystycznej wedle której myśmy je tu przedstawili, lecz dołączyła tysiã komentarzy, opisów i przypuszczeń, jakimi ozdobiły je złe i dobre miejscowe języki), Adolfina przyszła oznajmić klany Borniche, Beaussier, Lousteau-Prangin, Fichet, Goddet Héreau, łącznie czternaście osób, które zarysowały się w oddali.

— Widzisz więc, moja droga, zakończyła stara dama, że to nie jest mała sprawa wydobyć ten majątek z paszczy wilka.

— Hm, z hultajem takim jak go nam pani odmalowała i kumosią jak ta szelmeczka, wydaje mi się to tak trudne, że wręcz niemożliwe, odparł Józef. Trzebaby siedzieć w Issoudun przynajmniej rok, aby zwalczyć ich wpływ i obalić władzę jaką zyskali nad wujem... Majątek nie jest wart tylu utrapień, nie licząc iż trzeba się

paskudzić, zniżyć do tysiąca podłostek. Matka ma tylko dwa tygodnie urlopu, miejsce jej to pewny kawał chleba, nie powinna go narażać. Ja mam wykonać w październiku ważną pracę, którą Schinner wyrobił mi u jednego z parów Francji... Otóż, droga pani, fortuna moja jest w moim pendzlu!

Słowa te przyjęto z głębokiem zdumieniem. Pani Hochon, mimo iż stosunkowo wyrastająca nad poziom miasteczka w którym żyła, nie wierzyła w malarstwo. Popatrzyła na chrześniaczkę i znów ścisnęła jej rękę.

— Ten Maksencjusz to drugie wydanie Filipa, rzekł Józef do ucha matki; ale większy polityk, bardziej liczący się z pozorami. — Tak, tak, droga pani, niedługo będziemy się naprzykrzali panu Hochon.

— Ech, młody jesteś, nie znasz jeszcze życia, rzekła stara dama. W dwa tygodnie, przy odrobinie zręczności, można osiągnąć sporo; słuchajcie tylko rad i róbcie co wam powiem.

— Och, bardzo chętnie, odparł Józef, czuję w sobie skarby nieświadomości w sprawach polityki domowej; nie wiem naprzykład, co sam Desroches kazałby nam uczynić, jeżeli wuj nie zechce nas przyjąć.

Panie Borniche, Goddet-Héreau, Beaussier, Lousteau-Prangin i Fichet, wkroczyły w asystencji mężów. Po zwykłych grzecznościach, skoro czternaście nowoprzybyłych osób rozsiadło się w sali, pani Hochon nie mogła ominąć ceremonji przedstawienia chrześniaczki i Józefa. Józef zaszył się w kącie, zaprzątnięty pokryjomu studjowaniem sześćdziesięciu twarzy, które, od wpół do szóstej do dziewiątej, przyszły, jak się wyraził do matki, pozować mu *gratis*. Zachowanie się Józefa nie zmieniło zapatrywań miasteczka na jego osobę, każdy czuł się dotknięty jego drwiącem spojrzeniem, zaniepokojony uśmieszkami lub przerażony tą twarzą, złowrogą dla ludzi którzy nie umieli w niej rozpoznać piętna geniuszu.

O dziesiątej, skoro wszyscy udali się na spoczynek, pani Hochon zatrzymała chrześniaczkę aż do północy. Pewne iż są same, kobiety

zwierzyły sobie wzajem niedole swego życia. Poznając bezmiar pustyni w której zatracił się hart zapoznanej pięknej duszy, słuchając ostatnich podzwźwięków umysłu który tak bardzo minął się z losem, dowiadując się o cierpieniach tak szlachetnego i czułego serca, którego szlachetność i czułość nigdy nie mogły się rozwinąć, Agata przestała się uważać za bardziej nieszczęśliwą, widząc ile rozrywek i drobnych przyjemności daje paryzka egzystencja.

— Ty, chrestna matko, ty, taka pobożna, wytłumacz mi moje winy i powiedz za co mnie Bóg karze.

— Przysposabia nas, moje dziecko, rzekła staruszka w chwili gdy wybiła północ.

O północy, rycerze Bezrobocia schodzili się po jednym jak cieniu w umówionej alei i przechadzali się rozmawiając półgłosem.

— O co idzie? było pierwszym słowem każdego z nowoprzybyłych.

— Sądzę, rzekł Franciszek, że zamiarem Maxa jest ugościć nas poprostu.

— Nie, sytuacja jest zbyt poważna dla niego i dla *Mąciwody*. Ani chybi, musiał obmyślić jakiegoś psikusa dla tych paryżan...

— Taby było wcale ładnie, gdyby ich tak można wyprawić...

— Dziadek, rzekł Baruch, już mocno przerażony że mu przybyły dwa żołądki więcej, pochwyciłby z radością pozór...

— I cóż, rycerze! wykrzyknął z cicha Max nadchodząc, poco wpatrywać się w gwiazdy? Nie spłynie nam z nich ani kieliszeczek kirszu. Dalej! do mamy Cognette!

— Do mamy Cognette!

Okrzyk ten, wydany wspólnie, stworzył olbrzymi wrzask, który przebiegł nad miastem niby *hurra* wojsk idących do szturm; następnie zapanowało głębokie milczenie. Nazajutrz, niejeden mieszczuch zwierzył się z pewnością sąsiadom:

— Czy słyszeliście dziś w nocy, koło pierwszej, straszliwe krzyki?

Wieczera godna mamy Cognette ożywiła spojrzenia dwudziestu

dwu biesiadników, Zakon bowiem był w wielkim komplecie. Około drugiej, w chwili trawienia, mile wspomaganego likierem, Max zabrał głos:

— Moi drodzy chłopcy, dziś rano, z okazji pamiętnej sztuki jaką wypłataliśmy staremu Fario, wasz Mistrz został tak głęboko dotknięty na honorze przez tego podłego liczykrupę i co więcej Hiszpana... (och! pontony!...), iż postanowiłem zemścić się na tym drabie, wciąż w granicach naszych zwykłych zabaw. Przemyślawszy cały dzień, wypracowałem cudownego figla, figla od którego może oszaleć. W świątym zamiarze pomszczenia zakonu obrażonego w mej osobie, poświęcimy się hodowli zwierząt czczonych przez Egipcjan, bydłatek, które, ostatecznie, też są stworzenia Boże i które ludzie niesłusznie prześladują. Dobrze jest synem złego, źle synem dobrego; oto najwyższe prawo! Nakazuję tedy wszystkim, pod grozą nieclaski Mistrza, aby każdy postarał się, w największej tajemnicy, o dwadzieścia szczurów, lub też dwadzieścia szczurzyc, brzemiennych, jeżeli Bóg pozwoli. Macie zgromadzić ten zapas w ciągu trzech dni. Jeżeli uda się wam zdobyć więcej, nadwyżka będzie mile przyjęta. Przechowajcie te sympatyczne gryzonie nie dając im nic do jedzenia, jest bowiem rzeczą pierwszorzędną wagi, aby zwierzątka były wyposażone do ostatnich granic. Zauważcie, iż jako „szczury“ gotów jestem policzyć myszy domowe i leśne. Jeżeli pomnożymy dwadzieścia dwa przez dwadzieścia, będziemy mieli czterystu z górą wspólników, którzy, wpuszczeni do starego kościoła Kapucynów gdzie Fario złożył całe świeżo zakupione ziarno, spożyją go pewną ilość. Ale, przedewszystkiem, bądźmy chybcy! Fario ma dostarczyć partję zboża od dziś za tydzień; otóż, pragnę, aby mój Hiszpan, który podróżuje w interesach po okolicy, zastał za powrotem potężny ubytek. Panowie, nie mnie przypada zasługa tego wynalazku, dodał, widząc objawy powszechnego podziwu. Oddajmy Cezarowi co jest Cezara, a Bogu co jest Boga. Jestto naśladownictwo lisów Samsona, w Biblii, ale Samson był podpalaczem i tem samem szkodnikiem; gdy my, podobni do bramanów, jesteśmy ochroną ras prześladowanych.

Panna Flora Brazier zastawiła już wszystkie pułapki, a Kuski, moja prawa ręka, poluje na myszy leśne. Rzekłem.

— Podejmuję się, rzekł młody Goddet, dostarczyć zwierzęcia, które, samo jedno, warte jest czterdziestu szczurów.

— Cóż to takiego?

— Wiewiórka.

— Ja ofiaruję małpkę, która będzie zajadać się zbożem aż do opilstwa, rzekł jakiś młody adept.

— Na nic! rzekł Max. Każdyby odgadł, skąd pochodzą te zwierzątka.

— Można by wprowadzić w nocy, rzekł młody Beaussier, po jednym gołębiu z każdego gołębnika w sąsiedztwie, wpuszczając go przez dziurę zrobioną w dachu, a niebawem znajdzie się tam kilka tysięcy gołębi.

— Zatem, na przeciąg tygodnia, spichlerz Faria jest na porządku nocnym, wykrzyknął Gilet, uśmiechając się do młodego Beaus sier. Wiecie, iż w Saint-Paterne zrywają się wczesnie. Niech nikt się tam nie zapuszcza, nie nałożywszy wprzód naopak cichostępów. Kawaler Beaussier, wynalazca gołębi, obejmuje nad niemi komendę. Co do mnie, postaram się podpisać moje nazwisko w kupach zboża. Wy, chłopcy, będziecie kwatremistrzami panów szczurów. Jeżeli chłopak zostawiony przez Faria na straży sypia u Kapucynów, trzeba go będzie upić przez kolegów, i to zręcznie, aby go odciągnąć od teatru tej orgji gryzoniów.

— Nic nie mówisz o paryżanach? spytał młody Goddet.

— Och, rzekł Max, trzeba ich wystudjować. Niemniej, ofiaruję moją piękną dubeltówkę którą mam od cesarza, arcydzieło wersalskiej fabryki (warta dwa tysiące franków) temu, kto znajdzie sposób splątania figla paryżanom. Trzebaby ich zdyskredytować w oczach państwa Hochon, tak aby para staruszków wyprawiła ich, lub aby się wynieśli sami. Oczywiście, byle stąd nie wynikła zbyt duża szkoda dla protoplastów moich przyjaciół, Barucha i Franciszka.

— Stoi; pomyślę o tem, rzekł młody Goddet, który namiętnie lubił polowanie.

— Jeżeli autor figla nie zechce fuzji, otrzyma mego konia, do-rzucił Max.

Od tej wieczerzy, dwadzieścia mózgow pracowało nad tem, aby uknuć jakąś sztukę przeciw Agacie i jej synowi, zgodnie z nakreślonym programem. Ale sam tylko djabeł albo los mógł tu coś wskórać, tak bardzo, w danych okolicznościach, rzecz była trudna do wyko-nania.

Nazajutrz rano, Agata i Józef zeszli na chwilę przed drugim śniadaniem, do którego siadano o dziewiątej. Miano pierwszego śnia-dania nosiła szklanka mleka z kromką omaszczonego chleba, które spożywało się w łóżku lub po wstaniu. Czekając na panią Hochon, która, mimo wieku, dopełniała drobiazgowo wszystkich ceremonij, jakich księżne za Ludwika XV przestrzegały przy tualecie, Józef ujrział w bramie przeciwległego domu Jana-Jakóba Rouget, stojące-go nieruchomo. Pokazał go oczywiście matce, która nie mogła po-znać brata, tak mało był podobny do obrazu jaki miała we wspo-mnieniu.

— To brat pani, rzekła Adolfina, która weszła, prowadząc pod rękę babkę.

— Cóż za kretyń! wykrzyknął Józef.

Agata złożyła ręce i podniosła oczy do nieba:

— Do jakiegoż stanu go doprowadzono! Mój Boże, czyż to jest człowiek pięćdziesięcioletni!

Chciała się przyjrzeć uważniej i spostrzegła za starcem Floreę Brazier, z gołą głową, ukazującą, z pod gazowej obszytej koronkami chusteczki, śnieżne plecy i olśniewającą pierś. Flora była wypieszczona jak bogata kurtyzana. Miała suknię z modnej wówczas materji zwanej grenadyną, z krótkimi rękawkami i z wspaniałemi branzole-tami na rękach. Złoty łańcuch spływał na biust *Mąciwody*, która przyniosła właśnie Janowi-Jakóbowi Rouget czarną jedwabną krym-kę aby się nie zakatarzył: scena widocznie obliczona na efekt.

— Bagatela, rzekł Józef, cóż za śliczna kobieta! a to rzadkie! Tylko, jak to mówią, malować! Co za karnacja! Co za tony! co za linje, okrągłości, a te ramiona!... Wspaniała karjatyda! To byłby bajeczny model do Wenery w typie Tycjana.

Adolfina i pani Hochon słuchały niby chińskiego języka, ale Agata, stojąca za synem, dała im znak, że jest przyzwyczajona do tej gwary.

— Zachwycasz się dziewczyną, która wydziera wam majątek? rzekła pani Hochon.

— To nie przeszkadza jej być wspaniałym modelem! W miarę pulchna, bez uszczerbku dla linji bioder i piersi...

— Mój drogi, nie jesteś w pracowni, rzekła Agata, jest tutaj Adolfina...

— To prawda, przepraszam; ale bo też, od wyjazdu z Paryża, przez całą drogę oglądałem same szympanse...

— Ale, droga chrzestna matko, rzekła Agata, w jaki sposób będą mogła zobaczyć się z bratem... toż on jest z tą... tą...

— Ba! rzekł Józef, ja pójdę! Nie wydaje mi się już takim kretynem, z chwilą gdy zdobył się na ten dowcip, aby weselić swoje oczy modelem tycjanowskiej Wenery.

— Gdyby nie był idjotą, rzekł pan Hochon, który właśnie nadzedeł, byłby się spokojnie ożenił, miałby dzieci, i przypadłyby dla was wszelkie widoki. Niema złego, co by na dobre nie wyszło.

— Józef ma dobrą myśl, niech pierwszy on odwiedzi wuja, rzekła pani Hochon; da mu do zrozumienia, że, jeżeli chce widzieć siostrę, musi być w domu sam.

— Chcecie dotknąć pannę Brazier? rzekł Hochon. Nie, nie, pani, trzeba przelknąć tę przykość... Jeżeli nie zdobędziecie sukcesji, starajcie się uszczknąć bodaj jaki legacik.

Hochonowie nie dorośli do tego, aby się mierzyć z Maksencjuszem Gilet. W czasie śniadania, Polak przyniósł, z polecenia swego pana, pana Rouget, list zaadresowany do siostry, pani Bridau. Oto ów list, który pani Hochon dała do czytania mężowi:

„Droga siostró!

„Dowiaduję się przez obcych o twojem przybyciu do Issoudun. Domyślam się przyczyny, która kazała ci przelożyć dom państwa Hochon nad mój; ale, jeżeli zechcesz mnie odwiedzić, będziesz przyjęta z należnemi względami. Nie omieszkałbym pierwszy złożyć ci uszanowania, gdyby zdrowie nie więziło mnie w tej chwili w domu. Przyjm wyrazy mego serdecznego żalu z tej przyczyny. Bardzo będę rad oglądać siostrzeńca, którego zapraszam dziś na obiad: młodzi ludzie mniej są drażliwi od kobiet na punkcie towarzystwa. Toteż, sprawi mi przyjemność, jeśli przybędzie wraz z pp. Baruchem Borniche oraz Franciszkiem Hochon.

Przywiązany brat,
J. J. Rouget“.

— Powiedz, że jesteśmy przy śniadaniu, że pani Bridau odpisze niebawem i że zaproszenie przyjęto, rzekł pan Hochon do służącej.

I starzec położył palec na ustach, aby nakazać wszystkim milczenie. Skoro drzwi się zawarły, pan Hochon, niezdolny domyślać się przyjaźni jaka łączyła obu wnuków z Maksencjuszem, obrzucił żonę i Agatę bystrem spojrzeniem:

— On tak to pisał, jak ja darowałbym komu dwadzieścia pięć ludwików... Korespondencja będzie się odbywała z panem żołnierzem.

— Cóż to ma znaczyć? spytała pani Hochon. Mniejsza z tem, odpiszmy. Co do Józefa, rzekła spoglądając na malarza, niech idzie na ten obiad; ale jeżeli...

Stara dama urwała pod wzrokiem męża. Znając jej przyjaźń dla Agaty, stary Hochon lękał się, aby żona nie uczyniła jakiegoś zapisu na rzecz chrześniaczki, w razie gdyby ta postradała całą sukcesję. Mimo iż starszy o lat piętnaście od żony, kutwa spodziewał się dziedziczyć po niej i skupić, któregoś dnia, cały majątek w swoim ręku. Ta nadzieja oblegała go nieustannie. Toteż, pani Hochon dobrze odgadła sposób uzyskania od męża niejakich koncesyj, pod groźbą

sporządzenia testamentu. Pan Hochon zainteresował się tedy sprawą swoich gości. Chodziło tu zresztą o olbrzymi spadek; otóż, już przez samo poczucie sprawiedliwości społecznej, pan Hochon raczej wolał aby przypadł on naturalnym spadkobiercom, niż aby się stał łupem obieżyswiatów. Wreszcie, im wcześniej się rozstrzygnie ta kwestja, tem prędzej można mieć nadzieję pozbycia się gości z domu. Od chwili gdy walka między łowcami sukcesji a prawymi dziedzicami, dotąd uplanowana jedynie w głowie jego żony, zaczynała się ucieleśniać, energja pana Hochon, uśpiona życiem prowincji, obudziła się. Pani Hochon była dość mile zdumiona, gdy, tego rana, z paru życzliwych słów męża o jej chrześniacze, spostrzegła, iż ten tak bystry i wytrawny sojusznik stanął zdecydowanie po stronie rodziny Bridau.

Około południa, zebrane razem inteligencje obojga Hochonów oraz Agaty i Józefa, dosyć zdumionych tem iż staruszkowie ważą tak skrupulatnie każde słowo, urodziły następującą odpowiedź, wymierzoną jedynie pod adresem Flory i Maksencjusza.

„Drogi bracie!

„Jeżeli przebyłam trzydzieści lat nie zaglądając tutaj, nie utrzymując stosunków z nikim w mieście, nawet z tobą, wina leży nietylko w krzywdzących a fałszywych uprzedzeniach ojca do mnie, ale także w nieszczęściach a nawet i w szczęściu mego życia w Paryżu; o ile bowiem Bóg uczynił mnie szczęśliwą żoną, o tyle dotknął mnie okrutnie jako matkę. Wiesz zapewne, że syn mój, a twój siostrzeniec, Filip, znajduje się pod grozą ciężkiego oskarżenia, dla swego oddania cesarzowi. Nie powinienes się tedy dziwić, iż wdowa, zmuszona zarabiać na życie skromną biurową posadą, przybyła tutaj szukać pociechy i pomocy u tych, którzy patrzyli na jej urodzenie. Zawód obrany przez syna w którego towarzystwie przybyłam, należy do tych, które wymagają najwięcej talentu, ofiar, pracy, nim wydadzą rezultat. Sławę zdobywa się wcześniej niż majątek. Znaczy to, iż, wówczas nawet kiedy Józef będzie już chlubą rodziny, będzie jeszcze

biedny. Siostra twoja, drogi Janie-Jakóbie, byłaby zniosła w milczeniu skutki ojcowskiej niesprawiedliwości; ale daruj matce, jeśli ci przypomni, że masz dwóch siostrzeńców, jednego który nosił rozkazy cesarza w bitwie pod Montereau, który służył w gwardji pod Waterloo, obecnie zaś jest w więzieniu; drugi, który od trzynastego roku uczuł powołanie do zawodu trudnego lecz chlubnego. Toteż, dziękuję ci ze szczerego serca, drogi bracie, za twój list, w imieniu swoim i Józefa, który stawia się niechybnie. Choroba wszystko usprawiedliwia, drogi Janie-Jakóbie, odwiedzę cię tedy i sama. Siostra jest zawsze na miejscu w domu brata, bez względu na życie jakiego brat prowadzi. Ściskam cię czule.

Agata Rouget“.

— Oto sprawa nawiązana. Skoro pani tam pójdziesz, rzekł pan Hochon do paryżanki, będziesz mogła wręcz zagaić o siostrzeńcach.

List doręczono przez Grytę, która, wróciwszy za dziesięć minut, przyszła, zwyczajem prowincji, zdać sprawę ze wszystkiego czego się dowiedziała lub co mogła zauważyć.

— Proszę pani, rzekła, od wczoraj wieczór wyporządzono cały dom, który pani...

— Co za pani? spytał stary Hochon.

— Ano tak nazywają w domu tę... *Mąciwodę*, odparła Gryta. Zostawiła salon i wszystko co należało do pana Rouget w takim stanie, że litość była patrzeć; ale, od wczoraj, dom wygląda znowu jak dawniej, przed przybyciem pana Maksencjusza. Możliwy się przejrzyć we wszystkim. Agnieszka opowiadała, że Kuski wsiadł na konia dziś o piątej rano; wrócił o dziewiątej z zakupami. Gotują wspaniały obiad, takusienki jak dla arcybiskupa z Bourges. „Chcę uraczyć mego siostrzeńca“ powiedział stary pan Rouget: sam troszczy się o wszystko. Zdaje się, że *Rougetowie* bardzo byli kontenci z listu. Pani wyszła mi powiedzieć... Wystroiła się... ale jak się wystroiła!... W życiu nie widziałam czegoś piękniejszego! Ma djamenty w uszach, dwa djamenty po tysiąc talarów każdy, mówiła mi Agnieszka, a ko-

ronki! a pierścionki na palcach, a branzolety, jak istna monstrancja, a suknia materjalna piękna jak kapa księdza proboszcza!... Więc mówię, że wyszła do mnie i dopieroż powiada: „Pan jest bardzo kontent, że siostra taka ustępliwa. Mamy nadzieję, że pozwoli nam ugościć się, jak na to zasługuje. Podejmiemy syna jej tak, że powinna być zadowolona. Panu bardzo pilno oglądać siostrzeńca“. Pani miała na nogach trzewiczki z czarnej satyny i pończochy... nie, to istne cuda! Niby kwiatuszki robione w jedwabiu i dziurki takie że myślałby człowiek, koronka: widać różowe ciałko na wylot. A fartuszek ma na sobie taki, że Agnieszka powiadała mi, iż taki fartuszek to wart jest dwa lata naszych zasług.

— Bagatela, trzeba i mnie się wystroić, rzekł z uśmiechem artysta.

— No i cóż, o czym myślisz, mężu?... rzekła stara dama, skoro Gryta znikła za drzwiami.

Pani Hochon wskazała chrześniacze męża, z głową w dłoniach, z łokciem wspartym o fotel, zatopionego w myślach.

— Macie do czynienia z tęgim chwatem! rzekł starzec. Przy twoich zapatrywaniach na świat, młodzieńcze, rzekł spoglądając na Józefa, nie tobie stawać do walki z hultajem szczywanym jak Maksencjusz. Cokolwiekby ci gadał, zawsze narobisz głupstw; ale opowiedz mi przynajmniej sumiennie wieczór wszystko coś widział, słyszał i zrobił. No idź!... Na wolę boską! staraj się znaleźć sam na sam z wujem. Jeżeli, mimo całego sprytu, nie zdołasz tego osiągnąć, zawsze to rzuci pewne światło na ich plany, ale, jeżeli na chwilę znajdziesz się z nim bez świadków, ha! wówczas trzeba jasno wypalić wszystko, starać się otworzyć mu oczy i przemówić za matką...

O czwartej, Józef przekroczył przesmyk dzielący Hochonów od Rougetów, inaczej mówiąc aleję obsadzoną chorowitemi topólkami, długą na dwieście stóp a szeroką na dwadzieścia kilka. Kiedy siostrzeniec się zjawił, Kuski, w wyczernionych butach, w czarnych sukiennych pantalonach, w białej kamizelce i czarnym fraku, posunął przed nim aby go oznajmić. Stół był już nakryty. Józef, który z ła-

twością rozpoznał wuja, podszedł, uściskał go, skłonił się Florze i Maksencjuszowi.

— Nie widzieliśmy się od czasu jak jestem na świecie, drogi wuju, rzekł wesoło malarz; ale lepiej późno niż nigdy.

— Witaj w tym domu, chłopcze, rzekł starzec, spoglądając na siostrzeńca tępym wzrokiem.

— Pani, rzekł Józef do Flory z zapalem artysty, zazdrościłem dziś rano wujowi, iż posiada przyjemność podziwiania pani codzień.

— Nieprawdaż że piękna? rzekł starzec, którego wyblakłe oczy stały się niemal błyszczące.

— Piękna tak, że mogłaby skusić pendzel malarza.

— Mój siostrzeńcze, rzekł ojciec Rouget którego Flora pociągnęła za łokieć, oto pan Maksencjusz Gilet, człowiek który służył cesarzowi, jak twój brat, w Gwardji cesarskiej.

Józef podniósł się i skłonił.

— Szanowny brat pański służył w dragonach, o ile mi się zdaje, ja zaś byłem poprostu piechociarzem, rzekł Maksencjusz.

— Na koniu czy piechotę, rzekła Flora, każdy jednako nadstawił karku.

Józef przyglądał się Maxowi, jak wzajem Max jemu. Max był ubrany tak, jak ubierali się wówczas młodzi eleganci, ubrania bowiem dawał sobie szyć w Paryżu. Niebieskie sukienne pantaloony o obfitych fałdach uwydatniały zgrabny rysunek nogi, odsłaniając jedynie koniec bucików z ostrogami. Talję opinała kamizelka ze złotymi guzikami, zesnurowana z tyłu jak gorset. Kamizelka ta, zapięta pod szyję, dobrze rzeźbiła szeroką pierś, czarny zaś aksamitowy kołnierz zmuszał do trzymania głowy prosto, po wojskowemu. Dopępniał stroju zgrabny, doskonale skrojony fraczek. Misterny złoty łańcuszek zwisał z kieszeni od kamizelki, w której zaledwie się rysował płaski zegareczek.

— Chłopiec jak malowanie, pomyślał Józef, podziwiając jako artysta pełną życia twarz, krzepką budowę i szare bystre oczy, które Max odziedziczył po ojcu szlachcicu. Wujaszek musi być bardzo nie-

zabawny, ta śliczna dziewczyna poszukała sobie kompensaty, no i tworzą małżeństwo we troje. To jasne!

W tej chwili, weszli Baruch i Franciszek.

— Nie oglądał pan jeszcze wieży? spytała Flora. Jeżeli pan zechce przejść się trochę w oczekiwaniu obiadu, który dadzą dopiero za godzinę, pokazałibyśmy panu największą osobliwość miasta!...

— Chętnie, rzekł artysta, niezdolny dostrzec w tej propozycji czegoś podejrzanego.

Podczas gdy Flora poszła włożyć kapelusz, rękawiczki i kaszmirowy szal, Józef zerwał się nagle na widok obrazów, jakgdyby czarodziej jakiś dotknął go swą różdżką.

— Ależ ty masz obrazy, wuju! rzekł podchodząc z oczami błyszczącymi podziwem.

— Tak, odparł starowina; to po Descoingsach: za Rewolucji skupili różne rupiecie z klasztorów i kościołów w okolicy.

Józef nie słuchał już, podziwiał kolejno każdy obraz.

— Wspaniałe! wykrzykiwał. Och! cóż za...! Tak, to był majster, niema co! Coraz cięższe!...

— Jest jeszcze siedm albo ośm na strychu, bardzo dużych, które zachowano ze względu na ramy, rzekł Gilet.

— Chodźmy zobaczyć! zawołał artysta, którego Maksencjusz zaprowadził na strych.

Józef wrócił rozentuzjasmowany. Max szepnął słówko *Mąciwo-dzie*, która odciągnęła Rougeta na bok; Józef usłyszał zdanie wyrzeczone półgłosem, ale tak że doszło jego uszu:

— On jest malarz, tobie nic po tych obrazach, okaż się uprzemym, daruj mu je.

— Zdaje się, rzekł starowina, który, wsparty na ramieniu Flory, przysunął się do Józefa stojącego w podziwieniu przed jakimś *Albano*, zdaje się że ty jesteś malarz...

— Dopiero *knociarz*, rzekł Józef.

— Co takiego? spytała Flora.

— Początkujący, odparł Józef.

— Więc dobrze, rzekł Jan-Jakób, jeżeli te obrazy mogą ci się na co przydać w rzemiośle, daję ci je... ale bez ram. O, ramy są złocene, a przytem ładne są; wstawię w nie...

— Dalibóg! wuju, wykrzyknął Józef zachwycony, wstawisz w nie kopje które ci przyślę, wiernie tych samych rozmiarów.

— Ale to panu zabierze czas, trzeba będzie płótna, farb, rzekła Flora. Będzie pan miał wydatki... Słyszysz, papo Rouget, ofiaruj siostrzeńcowi sto franków od obrazu, będzie ich dwadzieścia siedm... jest, zdaje się, jedenaście na strychu, bardzo dużych, za które należałoby się podwójnie... powiedzmy za wszystko cztery tysiące franków... Tak, wuj może panu doskonale zapłacić za kopje cztery tysiące franków, skoro zatrzymuje ramy! Ostatecznie, będzie panu trzeba ram, a powiadają że ramy więcej warte niż obrazy; złocene są!

— Słyszysz pan, podjęła Flora potrząsając za rękę nieboraka. He?... to nie drogo, siostrzeniec policzy sobie cztery tysiące franków za obrazy zupełnie nowe w miejsce tych gratów... To, rzuciła starcowi do ucha, będzie przyzwoity sposób aby mu darować cztery tysiące franków, nie wydaje mi się zbyt kuty...

— Więc dobrze, siostrzeńcze, zapłacę ci cztery tysiące franków za kopje...

— Nie, nie, rzekł uczciwy Józef, cztery tysiące franków i obrazy to za dużo; widzi wuj, te obrazy są warte...

— Ależ przyjmijże, niedojdo, rzekła Flora skoro to od rodzinnego wuja.

— Więc dobrze, przyjmuję, rzekł Józef oszołomiony interesem jaki zrobił, poznał bowiem pendzel Perugina.

Artysta miał tedy wesołą minę wychodząc i podając rękę *Maciwodzie*, co znakomicie sprzyjało zamiarom Maxa. Ani Flora, ani Rouget, ani Max, ani nikt w Issoudun nie mógł znać wartości obrazów; toteż, chytry Max myślał, iż w zamian za bagatelę kupił tryumf Flory, która, na oczach zdumionego miasta, przechadzała się bardzo godnie pod ramię z siostrzeńcem swego pana, w najlepszej z nim

komitywie. Wszystko wyległo przed drzwi, aby oglądać tryumf *Mąciwody*. Ten nieoczekiwany fakt wywarł głębokie wrażenie, na które Max rachował. Toteż, kiedy wuj z Józefem wrócili do domu koło piątej, we wszystkich domach rozmawiano jedynie o doskonałej harmonji Maxa i Flory z siostrzeńcem ojca Rouget. Wreszcie, historia darowanych obrazów wraz z czterema tysiącami franków już krążyła po mieście. Obiad, w którym uczestniczył Lousteau, jeden z sędziów trybunału oraz burmistrz Issoudun, był wspaniały. Był to jeden z owych prowincjonalnych obiadów, trwających pięć godzin. Najwyborniejsze wina ożywiły rozmowę. Przy deserze, o dziewiątej, malarz, siedzący między Florą a Maxem naprzeciw wuja, był już na stopie niby koleżeńskiej z ex-oficerem, który wydał mu się najserdeczniejszym chłopakiem w świecie. Józef wrócił koło jedenastej, z dobrze zapróżoną głową. Co się tyczy Rougeta, Kuski odniósł nieboraka do łóżka pijanego na umór; przy obiedzie jadł jak wędrowny aktor, a pił jak piasek pustyni.

— I cóż, rzekł Max, zostawszy koło północy sam z Florą, czy to nie lepiej, niż stroić miny? Państwo Bridau znajdują najlepsze przyjęcie, otrzymają drobne podarki, i obsypani łaskami, będą mogli tylko śpiewać nasze pochwały; odjadą sobie spokojni, zostawiając i nas w spokoju. Jutro rano, we dwójkę z Kuskim, pozdejmujemy te wszystkie płótna, pošlemy malarzowi aby je miał już przy obudzeniu, złożymy ramy na strychu, i odnowimy obicia, wyklejając je tapetą ze scenami z *Telemaka*, tak jak u pana Mouilleron.

— Och, to będzie dużo ładniej, wykrzyknęła Flora.

Nazajutrz, Józef obudził się ledwie koło południa. Nie ruszając się z łóżka, ujrzał płótna ułożone jedno na drugim, wniesione do pokoju tak iż nic nie słyszał. Podczas gdy badał na nowo obrazy i rozpoznawał w nich arcydzieła śledząc dotknięcie mistrzów i szukając ich podpisu, Agata poszła dziękować bratu i odwiedzić go, popchnięta do tego kroku przez starego Hochon, który, słysząc o wszystkich głupstwach popełnionych poprzedniego dnia przez malarza, zwątpił o sprawie rodziny Bridau.

— Macie za przeciwników szczwane liszki. W życiu nie widziałem podobnego tupetu jak u tego żołnierza: widocznie wojna wyrabia młodych ludzi, Józef dał się wziąć na lep! Przechadzał się paradując pod ramię z *Mąciwodą*! Dał sobie zatkać gębę winem, paroma lichemi obrazkami i czterema tysiącami franków. Wasz artysta nie drogo kosztował Maksencjusza.

Bystry starzec nakreślił linję postępowania chrześniaczce żony, zalecając aby weszła w plany Maksencjusza i okazała przychylność Florze; w ten sposób zdoła może nawiązać z nimi zażyłość i uzyskać, od czasu do czasu, chwilę rozmowy z Janem-Jakóblem. Pani Bridau spotkała się z wybornem przyjęciem u brata, którego Flora wyuczyła lekcji. Starzec był w łóżku, chory po wczorajszych ekscesach. Ponieważ, w pierwszych chwilach, Agata nie mogła poruszyć poważnych kwestyj, Max uważał, iż właściwe i taktowne będzie zostawić brata i siostrę samych. Kombinacja była trafna. Biedna Agata zastała brata tak podupadłym na zdrowiu, że nie chciała go pozbawiać opieki panny Brazier.

— Pragnę zresztą, rzekła do starego kawalera, poznać osobę, której jestem zobowiązana za szczęście brata.

Słowa te sprawiły widoczną przyjemność poczciwcowi; zadzwonił aby poprosić pannę Brazier. Flora, jak można się domyślać, nie była daleko. Dwie żeńskie antagonistki skłoniły się sobie wzajem. *Mąciwoda* rozwinęła starania najbardziej służalczej i oddanej czułości; znalazła że pan ma głowę za nisko, poprawiła poduszki, słowem, była jak młoda oblubienica zaślubiona wczoraj. Toteż, stary kawaler wodził za nią oczami z rozczuleniem.

— Jesteśmy pani winni, panno Brazier, rzekła Agata, wiele wdzięczności za dowody przywiązania jakie pani daje bratu od tak dawna i za sposób w jaki czuwasz nad jego szczęściem.

— To prawda, droga Agato, rzekł nieborak, ona dała mi poznać szczęście, przytem jestto kobieta niepospolitych zalet.

— Toteż, bracie, nie mógłbyś okazać pani nadto wdzięczności, powinienbyś ją zaślubić. Jestem zbyt nabożna, abym nie pragnęła

widzieć cię w zgodzie z przepisami religji. Uczujecie oboje spokój, nie będąc już w wojnie z prawem i moralnością. Przybyłam tu, bracie, prosić cię o pomoc w wielkiem nieszczęściu; ale nie sądz, iż mamy zamiar czynić ci jakiegokolwiek uwagi co do sposobu w jaki rozrządzisz swem mieniem.

— Pani, rzekła Flora, wiemy dobrze, iż ojciec okazał się niesprawiedliwym wobec pani. Brat może pani powiedzieć, rzekła patrząc bystro na swą ofiarę, że jedyne sprzeczki jakie były między nami, to z pani powodu. Dowodziłam panu, iż powinien starać się naprawić krzywdę, jaką pani wyrządził mój biedny dobroczyńca, ojciec pani bowiem był moim dobroczyńcą (tu przybrała ton płaczliwy), o tem zawsze będę pamiętała... Ale brat pani wreszcie przyznał mi słuszność...

— Tak, rzekł stary Rouget, kiedy będę sporządził testament, nie zapomnę o was...

— Nie mówmy o tem wszystkim, bracie, nie znasz mnie widać jeszcze.

Z tego początku, można sobie łatwo wyobrazić, jak odbyła się pierwsza wizyta. Rouget zaprosił siostrę na pojutrze na obiad.

Przez te trzy dni, rycerze Bezrobocia złowili ogromną ilość szczurów i myszy, które, pewnej pięknej nocy, wygłodzone do ostateczności, wpuszczono w kupę ziarna, w liczbie czterystu trzydziestu sześciu, wśród tego wiele matek ciężarnych. Niezadowoleni tem jeszcze, Rycerze przedziurawili pokrycie kościoła i wpuścili pod nie tuzin gołębi. Zwierzęta te tem swobodniej zaczęły hulać po śpichrzu, ile że stróż magazynów, odciągnięty od obowiązku przez jakiegoś hultaja, zalewał się od rana do wieczora, nie troszcząc się o zboże chlebobdawcy.

Pani Bridau, sprzecznie z poglądem starego Hochon, sądziła, że brat nie zrobił jeszcze testamentu; otóż, miała zamiar zapytać go jakie są jego zamiary względem panny Brazier, korzystając z pierwszej chwili w której będzie się mogła przejść z nim trochę

sam na sam; Flora i Max bowiem łudzili ją ciągle tą nadzieją, która zawsze miała być zawiedziona.

Mimo iż Rycerze szukali wszyscy sposobu wyprawienia paryżan, projekty obracały się wciąż w sferze niewykonalnych szaleństw.

Po upływie tygodnia — połowy czasu jaki paryżanie mieli spędzić w Issoudun — sprawa znajdowała się w tym punkcie co pierwszego dnia.

— Wasz adwokat nie zna prowincji, rzekł stary Hochon do pani Bridau. Tego co wy chcecie osiągnąć, nie da się zrobić ani w dwa tygodnie ani w rok; trzeba by siedzieć nad bratem i starać się w nim obudzić skrupuły religijne. Fortyfikacje Flory i Maxa dałyby się podminować jedynie przy pomocy księżej motyki. Oto moje zdanie, i czas byłby wziąć się do rzeczy.

— Doprawdy, mężu, rzekła pani Hochon, ty masz osobliwe pojęcie o duchowieństwie.

— Hoho! wykrzyknął starzec, znam waszą piosenkę, dewotki!

— Bóg nie pobłogosławiłby przedsięwzięciu, które wspierałoby się na świętokradztwie, rzekła pani Bridau. Używać religii do podobnych... Och! toż byłibyśmy gorszymi zbrodniarzami niż Flora.

Rozmowa ta odbywała się w czasie śniadania; Franciszek, równie jak Baruch, nie stracili z niej ani słowa.

— Świętokradztwo! wykrzyknął stary Hochon. Ależ, gdyby jakiś zacny księżyk, sprytny jak trafia się czasem, wiedział w jakim jesteście kłopotcie, nie widziałby w tem świętokradztwa aby sprowadzić ku Bogu zbłąkaną duszę paninego brata, wzniecić w nim szczery żal za grzechy, kazać odprawić kobietę która jest przyczyną zgorzienia, zapewniając jej równocześnie los. Wykazałby mu, jak na dłoni, że zyska spokój sumienia, dając kilka tysięcy franków renty na seminarjum biskupie, majątek zaś zostawiając naturalnym spadkobiercom...

Posłuszeństwo, jakie starzec wdrożył w swoim domu dzieciom i przeniósł na wnuków (dla których, tyranizując ich, gromadził ładny mająteczek, krzątając się, jak mówił, dla nich tak, jak dla sa-

mego siebie), nie pozwoliły Baruchowi i Franciszkowi na najmniejszą oznakę zdziwienia lub protestu. Wymienili tylko spojrzenie, wyrażając niem, jak bardzo pomysł ten zdawał się im wrogi i niebezpieczny dla Maxa.

— To pewna, rzekł Baruch, że, jeżeli chce ocalić spadek, oto jedyny sposób. Trzeba się osiedlić w Issoudun na dłużej, i rozwinąć wszelkie starania...

— Matko, rzekł Józef, najlepiej będzie napisać w tej sprawie do Desrosches'a. Co do mnie, nie mam do wuja pretensji o nic, poza tem co zechciał mi dać...

Poznawszy wielką wartość trzydziestu dziewięciu obrazów, Józef powymował je ostrożnie z ram, pokrył papierem przylepiając go zwyczajnym klejem, włożył jedno na drugie, złożył całą masę do olbrzymiej skrzyni, i wysłał dyliżansem do Desrosches'a, którego zamierzał uwiadomić o tem listownie. Cenna przesyłka odeszła poprzedniego dnia.

— Można cię zadowolić tanim kosztem, rzekł pan Hochon.

— Ba! rzekł Józef, podejmuję się bez trudu wycisnąć sto pięćdziesiąt tysięcy z tych obrazów.

— Malarskie gadanie! rzekł pan Hochon, spoglądając nań znacząco.

— Słuchaj, mamó, rzekł Józef, zwracając się do matki, napiszę do Desrosches'a przedstawiając mu cały stan rzeczy. Jeśli Desrosches poradzi abyś została, zostaniesz. Co do twojej posady, zawsze znajdziemy coś na jej miejsce...

— Mój drogi, rzekła pani Hochon do Józefa wstając od stołu, nie wiem co to są za obrazy któreś dostał od wuja, ale, sądząc z ich pochodzenia, powinny być dobre. Jeśli są warte choćby czterdzieści tysięcy franków, tysiąc za obraz, nie wspominaj o tem nikomu. Mimo że moje wnuki są dyskretne i dobrze wychowane, mogliby, bez złej myśli, natrącić co o tem rzekomem odkryciu, rozeszłoby się po całym Issoudun, nie trzeba zaś aby wrogowie nasi domyślali się tego. Zachowujesz się jak dziecko!...

W istocie, o południu, wiele osób w Issoudun, a przedewszystkiem Max Gilet, wiedziało już o tej ocenie, pod wpływem której wszystko rzuciło się do szukania starych obrazów zapomnianych po kątach, i wydobyło na światło ohydne bazgroty. Max żałował, że namówił starca na ten dar, wściekłość zaś jego wzmogła się jeszcze, kiedy się dowiedział o planie starego Hochon. Wpływ religii na tę słabą istotę był jedyną rzeczą której można się było obawiać. Toteż, ostrzeżenie młodych przyjaciół utwierdziło Maksencjusza Gilet w planie skapitalizowania hipotek Rougeta i zaciągnięcia pożyczki na ziemię, aby corychlej osiągnąć lokatę znacznej kwoty w rencie; ale jeszcze pilniejszą rzeczą było wyprawić paryżan. Otóż, geniusz wszystkich Maskaryłów i Skapenów razem nie łatwoby poddał temu zamiarowi. Flora, za radą Maxa, zaczęła natrącać, iż pana coraz bardziej męczą piesze przechadzki i że, w tym wieku, winienby używać powozu. Za tym pretekstem krył się zamiar udania się, bez wiedzy ciekawskich do Bourges, Vierzon, Chateauroux, Vatan, do wszystkich miejscowości, w których zrealizowanie hipotek nieboraka wymagało obecności Rougeta, Maxa i Flory. Z końcem tygodnia tedy, całe Issoudun dowiedziało się ze zdumieniem, że ojciec Rouget udał się do Bourges dla nabycia powozu; które to postanowienie rycerze Bezrobocia starali się oświetlić w duchu przychylnym dla *Mąciwody*. Flora i Rouget kupili potworną *berlinkę* o poszczerbionych szybach, splekanych skórzanych firankach, liczącą dwadzieścia dwa lat i dziewięć kampanij. *Berlinkę* tę, pomalowaną na jaskrawy zielony kolor, przerobiono w ten sposób, iż można było ją zaprząć w jednego konia. Sukno tej ruiny wyżarte było przez robaki, żelaztwo dzwoniło haniebnie, ale kosztowała tylko czterysta pięćdziesiąt franków. Max zakupił w pułku stojącym wówczas w Bourges pocziwą i rosłą klacz. Kazał odmalować wehikuł na brązowo, znalazł okazyjnie niezłą uprząż, i całe Issoudun, poruszone od góry do dołu, oczekiwało pojazdu ojca Rouget. Za pierwszym razem kiedy nieborak użył swej kolasy, hałas jej wywabił wszystkich mieszkańców; nie było okna z którego nie wy-

stawiała zaciekawiona głowa. Za drugim razem, stary kawaler puścił się aż do Bourges, gdzie, aby sobie oszczędzić kłopotów operacji, doradzonej, lub, jeśli chcecie, nakazanej przez Florę, podpisał u rejenta pełnomocnictwo dla Maksencjusza Gilet, celem przeniesienia wszystkich kontraktów wyszczególnionych w prokuracji. Flora podjęła się zlikwidować wraz z panem lokaty poczynione w Issoudun i w najbliższym sąsiedztwie. Rouget odwiedził po cichu rejenta w Bourges i poprosił o wyszukanie pożyczki stu czterdziestu tysięcy franków na hipotekę majątków. Kroki te poczyniono tak dyskretnie i zręcznie, iż nikt w Issoudun nie domyślał się niczego. Maksencjusz, wyborny jeździec, mógł, od świtu do południa, odbyć drogę do Bourges i z powrotem, Flora zaś nie opuszczała starego ani na chwilę. Ojciec Rouget zgodził się bez trudności na podsuniętą mu operację; ale żądał, aby pięćdziesiąt tysięcy renty zapisano na imię panny Brazier jako dożywocie, tytuł zaś własności aby pozostał przy nim. Upór starca w tej okoliczności zaniepokoił Maxa, który już był skłonny dopatrywać się w tem zwrotu, zrodzonego widokiem naturalnych spadkobierców.

Pośród tych doniosłych spraw, które pragnął ukryć oczom miasta, Max zapomniał o kupcu zboża. Fario, ukończywszy podróżę mając na celu wyśrubowanie ceny produktów rolnych, przystąpił do samej dostawy. Owóż, nazajutrz po przybyciu, ujrzał dach kościoła Kapucynów czarny od gołębi, mieszkał bowiem naprzeciwno. Klnąc swoje niedbalstwo i wyrzucając sobie iż zapomniał opatrzyć dach przed wyjazdem, pospieszył do magazynu, gdzie zastał połowę zboża zjedzoną. Tysięczne ślady myszy i szczurów odsłoniły mu drugą przyczynę zniszczenia. Kościół zmienił się w istną arkę Noego. Ale Hiszpan pobladł z wściekłości jak chusta, skoro, rozpatrując się w rozmiarach szkody i straty, przekonał się, iż wszystko ziarno z pod spodu wyrosło, wskutek mnogości wody, którą Max, zapomocą cynowej rury, zdołał wpompować w samo wnętrze. Gołębie, szczury, można było sobie wytłumaczyć instynktem zwierzęcym, ale to ostatecznie szelmostwo zdradzało rękę ludzką. Fario usiadł na stopniach

ołtarza, w kaplicy, z głową utopioną w rękach. Po pół godzinie iście hiszpańskiej zadumy, spostrzegł wiewiórkę (prezent młodego Goddet), która siedząc na poprzecznym bału, bawiła się ogonem. Hiszpan podniósł się zimno, z twarzą spokojną niby oblicze Araba. Fario nie żalił się przed nikim; wrócił do domu, najął kilku robotników aby wydzielić dobre ziarno, rozłożyć na słońcu mokre i ocalić co było możebne; następnie zajął się dostawami, oceniwszy stratę na trzy piąte zapasów. Ale, ponieważ matactwa jego spowodowały sztuczną zwyczaję, stracił jeszcze raz, odkupując brakujące trzy piąte; tak więc, suma strat wyniosła więcej niż połowę. Hiszpan, który nie miał wrogów, przypisał niemylnie tę sztukę Giletowi. Jasnym było, iż Maksencjusz i kilku współników, jedyni sprawcy nocnych psikusów, wyciągnęli wózek na wieżę oraz zrobili sobie zabawkę z tego aby go zrujnować. Strata wynosiła przeszło tysiąc talarów, prawie cały kapitał jaki Fario mozolnie uciulał od czasu pokoju. Natchniony żądzą zemsty, człowiek ten rozwinął wytrwałość i chytryść szpiega znęconego sowitą nagrodą. Myszkując w nocy po Issoudun, zyskał w końcu dowody wybryków rycerzy Bezrobocia: wypatrzył ich, policzył, wyszpiegował schadzki i uczyty u mamy Cognette; następnie zaczął się aby być świadkiem jednej ze sprawek i obznał się z trybem ich nocnego życia.

Mimo swoich podróży i zajęć, Maksencjusz nie chciał zaniedbywać sprawek nocnych, raz aby nie pozwolić przeniknąć tajemnicy wielkiej operacji jakiej dokonywano na mieniu Rougeta, powtóre aby wciąż trzymać w pogotowiu młodych przyjaciół. Otóż, rycerze zmówili się, aby wypłatać sztukę, której pamięć zachowała się później całe lata. Postanowili, w ciągu jednej nocy, rzucić zatrute gałki wszystkim psom podwórzowym całego miasta i przedmieścia; Fario dosłyszał, jak, wychodząc od mamy Cognette, cieszyli się zawczasu sukcesem psoty i powszechną żałobą jaką sprowadzi ta nowa rzeź Niewiniątek. A potem, ileż strachu nie napędzi ten zamach, zwiastując tajemnicze a złowrogie zamiary na domy pozbawione stróżów!

— Ten figiel zakasuje wózek ojca Fario! rzekł młody Goddet.

Hiszpanowi nie trzeba było ani tego odezwania, które potwierdzało w pełni jego podejrzenia: zresztą, już był zdecydowany.

Po trzech tygodniach pobytu, Agata, równie jak pani Hochon, uznała prawdę uwag starego sknery: trzebaby kilku lat, aby zniwieczyć wpływ *Mąciwody* i Maxa. Agata nie uczyniła żadnych postępów w zaufaniu Jana Jakóba, z którym nigdy nie zdołała się znaleźć sama. Przeciwnie, panna Brazier tryumfowała, wożąc Agatę na spacer w starej kolasie, siedząc rozparta obok niej, gdy Rouget i jego siostrzeniec zajmowali przednie siedzenia. Oboje Bridau niecierpliwie czekali odpowiedzi na poufny list do Desroches'a. Otóż, w wilję owego zamachu na psy Issoudeńskie, Józef, który nudził się w miasteczku śmiertelnie, otrzymał dwa listy, jeden od wielkiego malarza Schinnera, młodego jeszcze człowieka, z którym, wskutek tego, bliżej żył niż z Grossem, ich wspólnym mistrzem, drugi zaś od Desroches'a.

Oto pierwszy, datowany z Beaumont sur-Oise:

„Mój drogi Józefie, skończyłem główne roboty malarskie w zamku de Presles, na zamówienie hrabiego de Sérizy. Zostają jeszcze odrzwia i ornamenty; otóż poleciłem cię tak skutecznie, zarówno hrabiemu jak architektowi Grindot, iż wystarczy ci jeno wziąć pendzle i przybywać. Jadę z żoną do Włoch, możesz tedy wziąć do pomocy Mistigrisa. Ten mały ladaco ma talent, oddaję go do twej dyspozycji. Skacze już pod sufit z radości, na myśl o rozkoszach jakich spodziewa się w zamku. Bądź zdrow, drogi Józefie, jeżeli nie wrócę na czas i nie zdążę nic dać na najbliższą wystawę, ty mnie zastąpisz! Tak, drogi Józku, twój obraz, pewien tego jestem, jest arcydziełem; ale równie pewne jest, że podniosą się wrzaski na „romantyzm“; słowem, będzie ci ciepło jak djabłu w kropielnicy. Ano cóż, trzeba wojować, w tem jest życie. Co ty robisz w tem Issoudun? Ściskam cię.

Twój oddany

Schinner“.

Oto list Desroches'a:

„Drogi Józefie, ten pan Hochon wydaje mi się starcem pełnym rozsądku. Dałeś mi najlepsze pojęcie o trafności jego sądu: ma słuszność. Toteż, moje zdanie, skoro go żądasz odemnie, jest, aby matka została w Issoudun u pani Hochon, płacąc skromną pensję, ot, jakie czterysta franków rocznie, aby wrócić gospodarzom koszta utrzymania. Zresztą pani Bridau powinna, mojem zdaniem, zdać się na rady pana Hochon. Ale twoja najzaciejsza matka będzie zawsze miała aż nazbyt wiele skrupułów wobec ludzi, którzy nie mają ich wcale i których postępowanie jest arcydziełem chytrkości. Ten Maksencjusz, to niebezpieczna sztuka, masz zupełną słuszność: wydaje mi się chwatem jeszcze innego kalibru niż nasz Filipek. Ten hultaj umie fruktyfikować swoje złe skłonności i nie zabawia się *gratis*, jak twój brat, którego szaleństwa pozbawione były wszelkiego pożytku. Wszystko co mi powiadasz przeraża mnie, widzę bowiem, że nawet udawszy się do Issoudun, niewiele zdołałbym zdziałać. Pan Hochon, ukryty za twoją matką, będzie wam o wiele użyteczniejszy odemnie. Co do ciebie, możesz wracać, nie zdałbyś się na nic w przedsięwzięciu, które wymaga ustawicznej uwagi, drobiazgowej obserwacji, poniżającej usłużności, umiarkowania w słowach i maskowania się w ruchach, które artystom są zazwyczaj nie do zniesienia. Jeżeli wam powiedziano, że testament nie istnieje jeszcze, możesz być pewien iż mają go oddawna w ręku. Ale każdy testament jest do cofnięcia; toteż, póki twój niezdara wujaszek będzie żył, jest oczywiście nadzieja, iż można doń trafić drogą wyrzutów sumienia i religji. Los wasz zależeć będzie od wyniku walki między Kościołem a *Mąciwodą*. Przyjdzie niewątpliwie chwila, w której ta kobieta straci wszelką władzę nad nieborakiem, a religja stanie się wszechmocną. Póki wuj nie uczynił darowizny *cieplą ręką*, ani też nie dokonał zmian w lokacie majątku, wszystko da się osiągnąć gdy religja weźmie górę. Toteż, powinieneś prosić pana Hochon, aby dozorował, o ile tylko zdoła, spraw wujaszka. Chodzi o to, aby wiedzieć czy dobra są obciążone hipotecznie; jak

i na czyje imię poczynione są lokaty. Tak łatwo jest wzbudzić w starcu obawę o bezpieczeństwo życia, w razie gdyby się wyzuł z majątku na rzecz obcych, iż bodaj trochę sprytny spadkobierca mógłby powstrzymać grabież w samych początkach. Ale, czyż twoja matka, ze swą nieznamonością świata, ze swą bezinteresownością, ze swymi pojęciami religijnymi, potrafi poprowadzić tego rodzaju sprawę? Ostatecznie, ja mogę was tylko oświecić. Wszystko coście zrobili dotąd, musiało wzniecić alarm, może przeciwnicy poczynili już kroki ochronne!...”

— Oto co się nazywa wzorowa porada prawna, wykrzyknął pan Hochon, dumny z uznania, wychodzącego z ust paryzkiego adwokata.

— O, Desroches to główka, odparł Józef.

— Nie byłoby bez pożytku przeczytać ten list naszym paniom, dodał stary kutwa.

— Proszę, rzekł artysta, oddając list. Co do mnie, zabieram się stąd jutro i idę natychmiast pożegnać się z wujaszkiem.

— Ale, ale, rzekł pan Hochon, Desroches prosi w przypisku, abyś spalił list.

— Spali go pan, skoro go pan pokaże matce, rzekł malarz.

Józef Bridau ubrał się, przebył placyk i wszedł do wuja, który właśnie kończył śniadanie. Max i Flora byli przy stole.

— Nie przeszkadzaj sobie, drogi wuju, przychodzę się pożegnać.

— Jedzie pan? rzekł Max, wymieniając spojrzenie z Florą.

— Tak, mam roboty w zamku hrabiego de Sérizy ¹⁾; spieszo mi dostać się tam, zwłaszcza że hrabia ma dość silne wpływy aby dopomóc memu biednemu bratu w Izbie Parów.

— Tak, tak, pracuj, chłopcze, rzekł z głupkowatą miną stary Rouget, który wydał się Józefowi niezmiernie zmieniony. Trzeba pracować... Przykro mi że jedziesz...

— Och, matka zostanie jeszcze jakiś czas, dodał Józef.

Max uczynił wargami ruch, zrozumiały dla gospodyni, który

¹⁾ Pierwsze kroki.

znaczył: „Postanowili chwycić się planu, o którym wspomniał Baruch“.

— Szczęśliwy jestem, że tu przybyłem, rzekł Józef, ponieważ miałem przyjemność poznać wuja i, przy tej sposobności, wzbogacić moją pracownię...

— Tak, rzekła *Mąciwoda*, zamiast oświecić wuja o wartości obrazów, które szacują wyżej stu tysięcy franków, wolał pan corychlej wyprawić je do Paryża. Biedny nasz drogi pan, toć to istne dziecko!... Powiedzieli nam w Bourges, że był tu mały Poulet... nie, nie, Poussin, który wisiał przed Rewolucją na chórze w katedrze i który sam jeden wart jest trzydzieści tysięcy...

— To nie dobrze, mój chłopcze, rzekł starzec, któremu *Ma-k-sencjusz* dał niepostrzeżenie znak.

— Tam do licha, rzekł żołnierz śmiejąc się, mówiąc między nami, na honor, ile pan myśli, że warte są te obrazy? Do kroćset, naciągnąłeś wuja co się zowie, byłeś w świętem prawie: poto są wujowie, aby ich łupiono! Natura odmówiła mi wujów, ale, do stu kaduków! gdybym ich miał, pewniebym ich nie oszczędzał.

— Czy pan wiedział, proszę pana, rzekła *Flora do Rougeta*, ile były warte pańskie obrazy?... Na ile pan je rachował, panie Józefie?

— Ależ, rzekł malarz, czerwieniąc się jak burak, juścić że są coś warte.

— Powiadają, że oceniłeś je pan przy panu *Hochon* na sto pięćdziesiąt tysięcy, rzekła *Flora*. Czy to prawda?

— Tak, rzekł malarz, który był szczery jak dziecko.

— Czy pan miał zamiar, rzekła *Flora* do starowiny, darować siostrzeńcowi sto pięćdziesiąt tysięcy franków?

— Nigdy! nigdy! odparł starzec, w którego *Flora* wpatrywała się bystro.

— Jest sposób załatwienia wszystkiego, rzekł malarz, poprostu oddam ci je wuju!

— Nie, nie, zatrzymaj, rzekł starzec.

— Odeślę ci je, wuju, odparł Józef, dotknięty obrażającym mil-

zeniem Maksencjusza i Flory. Mam w swoim pendzlu środki zrobienia majątku, bez zawdzięczenia czegokolwiek komuś, nawet wujowi... Uszanowanie pani. Żegnam pana...

I Józef, wzburzony, przeszedł placyk w stanie łatwo zrozumiałym dla każdego artysty. Cała rodzina Hochonów zgromadzona była w salonie. Na widok Józefa, który gestykulował i mówił sam do siebie, spytano co mu jest. Malarz, ze swą nieuleczalną szczerością, opowiedział, w obecności Barucha i Franciszka, całą scenę. Przed upływem dwóch godzin, scena ta stała się przedmiotem rozmów całego miasta, przyczem każdy stroił ją w mniej lub więcej sensacyjne okoliczności. Jedni utrzymywali, że Max zwymyślał malarza; inni, że Józef zachował się niegrzecznie wobec panny Brazier, i że Max wyrzucił go za drzwi.

— Cóż za dzieciak, ten pani syn!... rzekł Hochon do pani Bridau. Ten niezdara dał się złapać na scenę, którą zachowano mu na chwilę pożegnania. Od dwóch tygodni Max i *Mąciwoda* znali wartość obrazów, od czasu jak Józef popełnił to głupstwo, iż wygadał się w obecności wnuków, którzy znowu nie mieli nic pilniejszego niż rozpałać całemu światu. Panin artysta lepiej byłby uczynił zabierając się stąd po cichu.

— Józef dobrze czyni że zwraca obrazy, skoro w istocie tyle są warte, rzekła Agata.

— Jeśli są warte, wedle niego, dwieście tysięcy franków, rzekł stary Hochon, głupstwo zrobił wywołując konieczność oddania ich. Tyle przynajmniej mielibyście z tej sukcesji, gdy tak jak rzeczy idą, nie będziemy mieli nic!... A najgorzej, że teraz brat pani ma niemal że pretekst aby już pani nie przyjmować...

Między dwunastą a pierwszą w nocy, rycerze Bezrobocia zaczęli swoje bezpłatne rozdawnictwo środków spożywczych psom całego miasta. Ta pamiętna wyprawa zakończyła się o trzeciej rano, w której to porze hultaje udali się na wieczерę do mamy Cognette. O wpół do piątej, z pierwszym brzaskiem, wrócili do domów. W chwili gdy Max skręcał z ulicy Avenier na *Wielką Droę*, Fario,

który zaczął się za węglem, pchnął go nożem prosto w serce, wyciągnął nóż i uciekł *staremi rowami*, ocierając ostrze w chustkę. Hiszpan udał się do rzeki wyprać chustkę, i wrócił spokojnie do domu. Wszedł przez okno, które, wychodząc, zostawił umyślnie uchylone; rankiem, chłopiec, który go przyszedł budzić, zastał go śpiącego smacznym snem.

Padając, Max wydał straszliwy krzyk, co do którego nikt nie mógł się omylić. Lousteau-Prangin, syn sędziego, daleki krewny dawnego wice-delegata i młody Goddet, który mieszkał opodal, zawrócili pędem, wołając:

— Mordują Maxa!... na pomoc!

Ale żaden pies nie zaszczekał i nikt z mieszkańców, przyzwyczajonych do tych nocnych sztuczek, nie pokazał się. Kiedy dwaj rycerze przybyli, Max leżał zemdłony. Trzeba było obudzić pana Goddet. Max doskonale poznał Faria; ale kiedy, o piątej rano, odzyskał przytomność, kiedy ujrzał dokoła siebie kilka osób i uczył że rana nie jest śmiertelna, wpadło mu do głowy aby wyciągnąć korzyść z tego zamachu; jakoż boleściwym głosem, wykrzyknął:

— Zdawało mi się, że poznaję oczy i twarz tego przekłętego malarza.

Na te słowa, Lousteau-Prangin pobiegł do ojca, sędziego śledczego. Ojciec Cognet, młody Goddet, wraz z dwoma jakimiś osobami które obudzono, przenieśli Maxa do domu. Mama Cognette i stary Goddet szli przy boku rannego, ułożonego na noszach z drągów i materacy. Chirurg nie chciał nic robić, póki Max nie znajdzie się w łóżku. Pod bramą, w oczekiwaniu aż Kuski otworzy, oczy obecnych skierowały się naturalnym zwrotem ku bramie Hochonów, gdzie służąca właśnie zamiatała sień. Zwyczajem wielu domów na prowincji, u starego kutwy otwierano bramę bardzo wcześnie. Słowo rzucone przez Maxa obudziło podejrzenia, toteż, stary Goddet zawołał:

— Gryto, czy pan Józef Bridau jeszcze śpi?

— Hoho! rzekła, wyszedł już o wpół do piątej, chodził całą noc po pokoju, niewiem co do niego przystąpiło.

Ta prosta odpowiedź wywołała szmery grozy i wykrzykniki, które ściągnęły służącą, ciekawą co niosą tak rano do ojca Rouget.

— A to miły ptaszek, ten wasz malarz, rzucił jej ktoś z gromadki.

I orszak wszedł do domu, zostawiając służącą w osłupieniu: ujrzała Maxa na materacach, z zakrwawioną koszulą, bez ducha.

Co było przyczyną wzburzenia Józefa tej nocy, każdy artysta odgadnie z łatwością: Czuł się pastwą języków całego miasteczka, brano go za wyzyskiwacza, za coś wręcz przeciwnego temu czem pragnął być, to jest uczciwym chłopcem i szczerym artystą! Ha! byłby chętnie oddał własny obraz, aby móc pomknąć jak jaskółka do Paryża i rzucić w twarz Maxowi obrazy wuja. Być obłupionym, a uchodzić za łupieżcę!... coż za ironja! Toteż, od świtu, pognął w aleję lipową wiodącą do Tivoli, aby dać folgę wzburzeniu. Podczas gdy naiwny młodzieniec obiecywał sobie, jako pociechę, nigdy już nie oglądać tego przekłętego kąta, Max przygotowywał sztuczkę, straszliwą w skutkach dla uczciwej duszy. Skoro pan Goddet zbadał sondą ranę i stwierdził iż nóż, ześlignawszy się po pugilaresie, zбочzył szczęśliwie, zadając mimo to ciężką ranę, uczynił to, co czynią wszyscy lekarze, zwłaszcza chirurgowie na prowincji: dodał sobie wagi, *nie ręcząc jeszcze* za Maxa; następnie wyszedł, opatrzywszy szczwanego żołdaka. Wyrok ten, wygłoszony z całą powagą nauki, usłyszeli z ust Goddeta *Mąciwoda*, stary Rouget, Kuski i La Védie. *Mąciwoda*, cała we łzach, wróciła do łóża drogiego Maxa, gdy Kuski i kucharka opowiadali ludziom zebranych pod bramą, iż pan major jest tak jak stracony.

Skutkiem tej nowiny było, iż blisko dwieście osób zebrało się na sąsiednim placu.

— Cała historia nie zabawi mnie w łóżku ani dwóch miesięcy, rzekł Max do *Mąciwody*, i wiem kto mnie tak urządził. Ale skorzystamy z tego wypadku aby się pozbyć paryżan. Wspomniałem już,

iż zdawało mi się żem poznał malarza; toteż, rozpuszczaj wieści że jestem umierający, i staraj się aby Józefa Bridau aresztowano. Wygodzimy mu jakimi dwiema dobami więzienia. O ile poznałem matkę, pogna w dyrdy do Paryża ze swoim malarzem. Tak więc, nie będziemy już potrzebowali obawiać się klechów, których mieli wypuścić na starego niedorajdę.

Skoro Flora zeszła na dół, zastała tłum bardzo skłonny do przyjęcia wrażeń, które mu zamierzała podsunąć. Ukazała się ze łzami w oczach i szlochając podniosła okoliczność, iż malarz, który *zresztą wygląda na to*, przemówił się mocno poprzedniego dnia z Maxem, z przyczyny obrazów, które *wyłudził* ojcu Rouget.

— Ten opryszek (wystarczy spojrzeć nań, aby być tego pewnym) wyobraża sobie, że, gdyby Maxa nie stało, wuj zapisałby mu cały majątek, jakgdyby, rzekła, brat nie był bliższym krewnym niż siostrzeniec! Max jest synem doktora Rouget. *Stary wyznał mi to przed śmiercią.*

— Hehe! chciał załatwić rachunek na wsiadanem: dobrze to wykombinował, dziś właśnie miał odjechać, rzekł jeden z rycerzy Bezrobocia.

— Max nie ma w całym Issoudun wroga, rzekł drugi.

— Zresztą, Max poznał malarza, dorzuciła *Męciwoda*.

— Gdzież on jest, ten przeklęty paryżanin?... Szukajmyż go!...

— Ba! szukać?... ale gdzie? odparł ktoś. Wyszedł przed świtem.

Jeden z rycerzy Bezrobocia pobiegł natychmiast do pana Muilleron. Tłum wzrastał ciągle, głosy stawały się groźne. Ożywione grupy zajmowały cały plac. Inni gromadzili się przed kościołem św. Jana. Miejscami trudno się było precyzyjnie, rzekłbyś ogon procesji. Tak więc, pp. Lousteau-Prangin i Mouilleron, komisarz policji, porucznik żandarmerji i wachmistrz w towarzystwie dwóch żandarmów, ledwie zdołali się przedostać na plac św. Jana przez szpa-ler tłoczących się ludzi, których krzyki i pogrożki musiały ich uprzecznić przeciw paryżaninowi, oskarżonemu niesłusznie, ale z wszelkimi pozorami prawdopodobieństwa.

Po konferencji między Maxem a urzędnikami, pan Mouilleron wyprawił komisarza policji i wachmistrza wraz z żandarmem, aby zbadali to, co, w języku organów bezpieczeństwa, nazywa się *teatrem zbrodni*. Następnie, pp. Mouilleron i Lousteau-Prangin, w towarzystwie porucznika żandarmerji, udali się od ojca Rouget do Hochonów. Dwóch żandarmów strzegło domu od ogrodu, dwóch innych wartowało u drzwi. Tłum wzrastał ciągle. Całe miasto, poruszone, tłoczyło się na Wielkiej Drodze.

Gryta, przerażona, pognąła do pana, wołając:

— Panie, chcę pana rabować! Całe miasto w ruchu! Zamordowano pana Maksencjusza, lada chwila skończy, i powiadają że to pan Józef zrobił!

Pan Hochon ubrał się spiesźnie i zeszedł; ale, wobec wścieklej postawy tłumu, cofnął się szybko zaryglowując drzwi. Wziąwszy na spytki Grytę, dowiedział się że jego gość wyszedł przed świtem, że całą noc przechadzał się w wielkiem wzburzeniu i że dotąd nie wrócił. Przestraszony, udał się do pani Hochon, którą hałas właśnie obudził, i udzielił jej okropnej nowiny, która, prawdziwa czy nie, zegnała całe Issoudun na plac św. Jana.

— Oczywiście, że jest niewinny, rzekła pani Hochon.

— Ale zanim niewinność jego się ujawni, mogą wedrzeć się tu, zrabować nas, rzekł pan Hochon, blednąc (miał złoto w piwnicy).

— A Agata?

— Śpi jak suseł.

— Och, tem lepiej, rzekła pani Hochon, chciałabym aby przespała, póki się sprawa nie wyjaśni. Takie wstrząśnienie zabiłoby to drogie maleństwo!

Ale Agata obudziła się i zeszała wpół ubrana, półsłówka bowiem Gryty, od której próbowała się czegoś dowiedzieć, zdjęły ją przerażeniem. Zastała panią Hochon bladą, z oczyma pełnemi łez, stojącą wraz z mężem w oknie.

— Odwagi, maleńka! Bóg zsyła nam zmartwienie, rzekła starszuszka. Oskarżają Józefa...

— O co?

— O zły uczynek, którego nie mógł popełnić, odparła pani Hochon.

Słyszając te słowa i widząc wchodzącego porucznika żandarmerji, panów Mouilleron i Lousteau-Prangin, Agata zemdlała.

— Prędszej, rzekł pan Hochon do żony i Gryty, zabierzcie panią Bridau, kobiety zawadzają tylko w takich sprawach... Usuńcie się do swoich pokojów. Proszę, chciejcie panowie usiąść, rzekł starzec. Omyłka, której zawdzięczamy odwiedziny panów, niebawem, mam nadzieję, się wyjaśni.

— Gdyby w istocie była to omyłka, rzekł pan Mouilleron, tłum jest do tego stopnia rozjątrzony i głowy tak rozgrzane, iż lękam się o obwinionego... Chciałbym go już mieć pod kluczem, i dać jakiś upust wzburzeniu miasta.

— Któżby przypuszczał, iż pan Maksencjusz Gilet cieszy się taką sympatją?... rzekł Lousteau-Prangin.

— Podobno w tej chwili wali tu z półtora tysiąca ludzi z *Dzielnicy rzymskiej*, tak mi raportuje jeden z sierżantów, oznajmił porucznik żandarmerji. Ciągną tu, krzycząc iż sami uczynią sprawiedliwość.

— Gdzież pański gość? rzekł pan Mouilleron do starego Hochona.

— Wyszedł się przejść za miasto, jak sądzę...

— Przywołaj pan Grytę, rzekł poważnie sędzia śledczy; miałem nadzieję że pan Bridau nie opuszczał domu. Wiadomo panu zapewne, iż popełniono zbrodnię o kilka kroków stąd, o świcie.

Gdy pan Hochon poszedł po Grytę, trzech funkcjonariusze wymienili znaczące spojrzenia.

— Fizjognomja tego malarza zawsze mi się nie podobała, rzekł porucznik do pana Mouilleron.

— Moje dziecko, spytał sędzia wchodzącej Gryty, podobno widziałś pana Józefa Bridau jak wychodził dziś rano?

— Tak, proszę pana, odparła drząc jak liść.

— O której?

— Jak tylko wstałam; przechadzał się całą noc po pokoju, i był ubrany kiedy zeszałam na dół.

— Było już jasno?

— Dniało.

— Czy wydawał się wzburzony?

— Jeszcze jak, aż mi dziwno było...

— Poślij pan którego z ludzi po mego pisarza, rzekł Lousteau Prangin, i niech weźmie ze sobą pełnomocnictwo aresz...

— Mój Boże! Nie spieszcie się panowie, rzekł stary Hochon. Wzburzenie tego młodego człowieka da się wytłumaczyć inaczej niż zamierzoną zbrodnią: jedzie dziś do Paryża, z przyczyny sprawy, w której Gilet i panna Flora Brazier rzucili cień na jego uczciwość...

— Tak, te obrazy, rzekł pan Mouilleron. Sprawa ta dała wczoraj powód do dość żywej sprzeczki; panowie artyści są, jak to mówią, ludzie bardzo zapalni.

— Któż w całym Issoudun miałby interes w tem, aby zabić Maxa? rzekł Lousteau. Nikt; ani zazdrosny mąż, ani nikt inny, ten chłopiec nigdy nie wyrządził krzywdy nikomu.

— Ale co mógł robić pan Gilet o wpół do piątej na ulicach Issoudun? spytał pan Hochon.

— Zaczekaj pan, panie Hochon, pozwól nam pełnić nasze obowiązki, odparł Mouilleron; nie wiesz pan wszystkiego. Max *poznał* malarza...

W tej chwili, dał się słyszeć odległy zgiełk, który rósł wzdłuż biegu Wielkiej Narety, niby odgłos grzmotu.

— Jest! jest! przytrzymano go!

Te słowa wybijały się jasno z basowego akompanjamentu straszliwego zgiełku tłumu. W istocie, wszystkie grupy równocześnie spostrzegły biednego Józefa Bridau, który wracał spokojnie od młyna w Landrôle i przechodził przez plac aby zdążyć na śniadanie. Szczęściem dłoń, dwaj żandarmi nadjechali w galopie aby wyrwać

malarza z rąk mieszkańców *dzielnicy rzymskiej*, którzy go chwycili brutalnie za ręce wydając dzikie okrzyki.

— Miejsca! miejsca! krzyknęli żandarmi, przywoławszy jeszcze dwóch towarzyszy aby ustawić jednego przed, a drugiego za Józefem.

— Niema co, proszę pana, rzekł do malarza jeden z przytrzymujących go żandarmów, chodzi w tej chwili tak samo o naszą jak o pańską skórę. Czyś pan winien czy nie, musimy pana chronić przed wzburzeniem, jakie spowodowało zamordowanie majora Gilet. Tłum jednogłośnie oskarża pana; uważają pana za mordercę, niema sposobu wybić im tego z głowy. Ci ludzie ubóstwiają pana Gilet, i ot, widzisz pan, byłiby bardzo nie od tego, aby wymierzyć sobie dorazną sprawiedliwość. Hehe! widziało się tych chwatów przy robocie w r. 1830, ciepło było wtedy panom od podatków!

Józef Bridau zbladł jak trup, i zebrał wszystkie siły aby móc iść.

— Ba, rzekł, jestem niewinny, idźmy!...

Przeszedł swoją Golgotę, biedny artysta! W czasie straszliwej przeprawy na plac św. Jana, nacieriał się obelg, wyzwisk, pogrożek. Żandarmi byli zmuszeni dobyć szabel przeciw wściekłemu tłumowi, który zaczął miotać kamienie. Omal nie zraniono żandarmów, a kilka pocisków dosięgło nóg, ramion i kapelusza Józefa.

— Jesteśmy! rzekł żandarm wchodząc do sali w domu Hochonów, a nie łatwo nam to przyszło, panie poruczniku!

— Teraz chodzi o to aby rozpedzić to zbiegowisko; otóż, widzę tylko jeden sposób, moi panowie, rzekł oficer. Trzeba zaprowadzić pana Bridau do sądu, biorąc go między siebie; ja i wszyscy moi żandarmi otoczmy was. Nie można za nic ręczyć, skoro się jest wobec sześciu tysięcy furjatów...

— Ma pan słusność, rzekł Hochon, który ciągle drżał o swoje złoto.

— Jeżeli to jest najlepszy sposób ochraniańa niewinności w Issoudun, rzekł Józef, w takim razie winszuję panom. Omal mnie już nie ukamienowano...

— Chcesz pan narazić na wzięcie szturmem i spustoszenie domu swego gospodarza? rzekł porucznik. Czyż my z naszemi szabelkami zdołamy stawić czoło fali ludzkiej popychanej z tyłu przez tłum rozdrażniony i nie znający form sprawiedliwości?...

— Och, chodźmy, panowie, odłóżmy wyjaśnienia na później, rzekł Józef który odzyskał już całą zimną krew.

— Miejsca, przyjaciele! rzekł porucznik; uwięziony jest, prowadzimy go do sądu.

— Szacunek dla sprawiedliwości, przyjaciele! rzekł pan Moulleron.

— Czy nie wolicie widzieć jak go będą gilotynowali? rzekł jeden z żandarmów do grupy o groźnej postawie.

— Tak, tak, krzyknął któryś z rozwścieczonych, pójdzie na gilotynę.

— Na gilotynę, powtórzyły kobiety.

Przy końcu Wielkiej Narety, powtarzano sobie:

— Prowadzą go na gilotynę, znaleźli przy nim nóż! — Och! opryszek! — Oto paryżanie! — Temu wyraźnie patrzyła zbrodnia z oczu!

Jakkolwiek Józefowi krew biła do głowy, przebył przestrzeń dzielącą plac św. Jana od gmachu sądowego, zachowując uderzający spokój i pewność siebie. Mimo to, odetchnął, znalazłszy się w gabinecie pana Lousteau-Prangin.

— Nie potrzebuję, jak sądzę, oświadczać panom że jestem niewinny, rzekł zwracając się do pp. Moulleron, Lousteau-Prangin i do pisarza; mogę jedynie prosić, abyście mi pomogli dowieść mej niewinności. Nie mam pojęcia, o co chodzi w tej sprawie.

Kiedy sędzia przedstawił Józefowi wszystkie podejrzenia które ciążyły na nim, kończąc je zeznaniem Maxa, Józef był jak rażony piorunem.

— Moi panowie, rzekł, wyszedłem z domu po piątą; udałem się *Wielką Drogą* o godzinie wpół do szóstej, przyglądałem się fasadzie parafialnego kościoła Saint-Cyr. Rozmawiałem z dzwonnikiem,

który właśnie oddzwonił Anioł Pański, pytając o objaśnienia co do budowli, która wydała mi się dziwaczna i niedokończona. Następnie, przeszedłem przez targ owocowy, gdzie już siedziały kobiety. Stamtąd, skierowałem się *Oślim Mostem* do młyna w Landrôle, gdzie przyglądałem się spokojnie kaczkom przez kilka minut: młynarczyki musieli mnie z pewnością zauważyć. Spotkałem kobiety idące prać do rzeki, muszą tam być jeszcze; zaczęły się śmiać ze mnie, nazywając mnie brzydalem; odpowiadałem przekomarzając się z nimi. Stamtąd, puściłem się spacerem aż do Tivoli, gdzie rozmawiałem z ogrodnikiem... Sprawdźcie panowie te wszystkie fakty, nim wdrożycie przeciw mnie jakiegokolwiek kroki; daję wam słowo honoru, iż pozostanę w tym gabinecie, póki się nie upewnicie o mej niewinności.

Ten rozsądny wywód, wygłoszony bez żadnego wahania, ze swobodą człowieka pewnego swej sprawy, uczynił wrażenie na urzędnikach.

— Ano, trzeba będzie wezwać tych wszystkich ludzi, znaleź ich, rzekł pan Mouilleron, ale to nie jest rzecz jednego dnia. Zgódź się pan tedy, we własnym interesie, zostać pod kluczem w trybunale.

— Bylem mógł napisać do matki i uspokoić ją... biedna kobieta!... Och, pozwolę panom przeczytać list.

Żądanie było zbyt słuszne, aby go nie miano uwzględnić. Józef nakreślił ten bilecik:

„Nie miej żadnej obawy, droga matko: omyłka, której jestem ofiarą, wyjaśni się z łatwością; już dostarczyłem potemu środków. Jutro, może jeszcze dziś wieczór, będę wolny. Ściskam cię, powiedz państwu Hochon, jak mi jest przykry ich kłopot, któremu nie jestem winien, jest bowiem wyłącznym dziełem dotychczas dla mnie niezrozumiałego przypadku“.

Kiedy list przybył, pani Bridau leżała wpół martwa w ataku nerwowym; mikstury, które pan Goddet starał się jej wlewać kroplami, były bezskuteczne. Dopiero list Józefa podziałał niby kojący

balsam. Po chwili wstrząśnienia, Agata popadła w odurzenie, zwyczajne po tego rodzaju napadach. Kiedy Goddet wrócił aby odwiedzić chorą, rozwodziła się w żalach iż opuściła Paryż.

— Bóg mnie ukarał, mówiła ze łzami w oczach. Czyż nie powinnam była zawierzyć jemu, droga chrestna matko, i oczekiwać od jego dobroci spadku po bracie?...

— Pani, jeżeli Józef jest niewinny, Maksencjusz jest chytrym zbrodniarzem, szepnął jej do ucha pan Hochon. Nie damy mu rady w tej sprawie; dlatego radzę wam, wracajcie do Paryża.

— I cóż, rzekła pani Hochon do chirurga, jak się ma pan Gilet?

— Hm, rana ciężka, ale nie śmiertelna. Miesiąc poleży w łóżku, i tyle. Kiedym go zostawił, pisał właśnie do pana Moulleron, prosząc o wypuszczenie na wolność syna pani, rzekł do chorej. Och! Max to zacny chłopak. Powiedziałem mu, w jakim stanie się pani znajduje; wówczas, przypomniał sobie szczegół tyczący stroju mordercy, co go upewniło że to nie mógł być syn pani: zbrodniarz miał na nogach łapcie, stwierdzone zaś jest iż syn pani wyszedł w butach.

— Ach! niech Bóg mu przebaczy krzywdę, jaką mi uczynił!...

W nocy, człowiek jakiś przyniósł do Maksencjusza list pisany niewprawnem pismem i tak brzmiący:

„Kapitanowi Gilet nie godzi się zostawiać niewinnego w rękach Sprawiedliwości. Ten, który spełnił zamach, przyrzeka nie powtórzyć go, jeśli pan Gilet oswobodzi pana Józefa Bridau, nie wskazując winnego“.

Przeczytawszy i spaliwszy pismo, Max napisał do pana Moulleron list, zawierający spostrzeżenie o którym wspomnieli pan Goddet i prośbę o wypuszczenie Józefa; zarazem prosił, aby sędzia śledczy zechciał go odwiedzić celem omówienia sprawy. W chwili gdy ten list doszedł do rąk pana Moulleron, zeznania dzwonnika, handlarki jarzyn, praczek, parobków z młyna w Landrôle i ogrodnika z Frapesle potwierdziły najwierniej wyjaśnienie Józefa. List

Maxa do reszty stwierdzał niewinność oskarżonego, którego pan Mouilleron sam odprowadził do Hochonów. Matka przyjęła Józefa z wylewem tak żywej czułości, iż to biedne niedocenione dziecko wdzięczne było przypadkowi, jak ów mąż w bajce La Fontaine'a złodziejom, za nieszczęście które sprowadziło nań ten objaw uczucia.

— Och, rzekł pan Mouilleron z miną znawcy ludzi, ja widziałem odrazu, po sposobie w jaki pan patrzyłeś na rozjuszony motłoch, że jesteś niewinny; ale, pojmuję pan, mimo mego przekonania, kiedy się zna Issoudun, najlepszym sposobem było aresztować pana. Hehe! chwackość się pan zachował!

— Myślałem o czem innym, odparł poprostu artysta. Pewien znajomy oficer opowiadał mi, iż raz, w Dalmacji, w podobnych niemal okolicznościach, gdy wracał z rannej przechadzki, ogarnęła go rozwścieczona ludność... To zestawienie zajęło mnie, patrzyłem na wszystkie głowy z myślą wymalowania rozruchów z r. 1793... A także mówiłem sobie: „Nicponiu! masz na coś zasłużył, zaś przyjechał tu szukać sukcesji, zamiast siedzieć spokojnie w pracowni przy sztalugach“...

— Jeżeli pan pozwoli sobie udzielić rady, rzekł prokurator, weźmiesz dziś o jedenastej wieczór pojazd, którego pożyczysz panu poczmistrz, i wrócisz do Paryża dyliżansem z Bourges.

— To i moja rada, rzekł pan Hochon, który nie mógł się doczekać odjazdu gościa.

— I mojem najżywszem pragnieniem jest opuścić Issoudun, gdzie zostawiam wszelako jedyną przyjaciółkę, rzekła pani Agata ujmując i całując rękę pani Hochon. Kiedyż się ujrzymy?...

— Och, moja maleńka, nie ujrzymy się aż tam w górze!... Dostyć, rzekła jej do ucha, wycierpiałymy tutaj, aby Bóg ulitował się nad nami.

W chwilę później, po bytności pana Mouilleron, który odwiedził Maxa, Gryta przyprawiła o zdumienie oboje państwa Hochon, Agatę, Józefa i Adolfinę, oznajmiając wizytę pana Rouget. Jan

Jakób przybył pożegnać siostrę i ofiarować jej swą berlinkę aż do Bourges.

— Och, twoje obrazy przyniosły nam wiele złego! rzekła Agata.

— Zatrzymaj je siostrzo, odparł stary kawaler, który nie wierzył jeszcze w wartość obrazów.

— Mój sąsiedzie, rzekł pan Hochon, naszymi najlepszymi przyjaciółmi, najpewniejszymi obrońcami są rodzeni krewni, zwłaszcza kiedy są podobni do siostry twojej Agaty i siostrzeńca Józefa!

— Możebne, odparł starzec bezmyślnie.

— Trzeba myśleć o tem, aby po chrześcijańsku dokończyć życia, rzekła pani Hochon.

— Och, bracie, rzekła Agata, cóż za dzień!

— Czy zechcesz przyjąć powóz? spytał Rouget.

— Nie, bracie, odparła pani Bridau, dziękuję ci i życzę dobrego zdrowia.

Rouget pozwolił się uściskać siostrze i siostrzeńcowi, poczem wyszedł, rzuciwszy zdawkowe słowo pożegnania. Na skinienie dziadka, Baruch pobiegł na pocztę. O jedenastej wieczór, paryżanie, w trzcinowym kabrioletcie zaprzężonym w jednego konia, opuścili Issoudun. Adolfina i pani Hochon miały łzy w oczach. One jedne żałowały Agaty i Józefa.

— Pojechali, rzekł Franciszek Hochon, wchodząc z *Mąciwodą* do pokoju Maxa.

— Zatem, sztuka się udała, odparł Max zmożony gorączką.

— Ale cóżeś ty powiedział ojcu Mouilleron? spytał Franciszek.

— Powiedziałem, iż dałem niemal prawo mordercy aby czekał na mnie na rogu; iż jestto człowiek tego rodzaju, że, jeśliby sprawę prowadzono dalej, gotów byłby zabić mnie jak psa, nimby go zdołano uwięzić. Ostatecznie, prosiłem pp. Mouilleron i Prangin, aby rozwinęli napozór najczynniejsze poszukiwania, ale aby zostawili mordercę w spokoju, chyba że chcą mnie przyprawić o śmierć.

— Mam nadzieję, Maxie, że, przez jakiś czas, dacie pokój nocnym figlom, rzekła Flora.

— Koniec końców, jesteśmy wolni od paryżan! wykrzyknął Max. Ten, który zadał mi cios, nie spodziewał się, iż odda mi taką przysługę.

Nazajutrz, z wyjątkiem nawskroś spokojnych i wstrzemięzliwych osobistości które podzielały zapatrywanie państwa Hochon, całe miasto obchodziło wyjazd Paryżan — mimo iż był on następstwem smutnej omyłki — jako zwycięstwo prowincji nad Paryżem. Przyjaciele Maxa wyrażali się dość cierpko o państwie Bridau.

— I cóż! ci paryżanie wyobrażali sobie, że my jesteśmy skończeni głupcy i że wystarczy wyciągnąć kapelusze, aby się weń sypały sukcesje!...

— Przyjechali po złote runo, ale wracają wygoleni; siostrzeniec wcale ponoś nie przypadł wujowi do smaku.

— A trzeba państwu wiedzieć, że za doradcę mieli paryskiego adwokata.

— A, to oni mieli cały plan?

— Ależ tak, plan opanowania ojca Rouget; ale okazało się że paryżanie za słabe mają zęby na ten kasek, i pan adwokat nie będzie sobie dworował z biednych prowincjuszy...

— Wiecie państwo, że to ohydne?

— Oto paryskie kwiatki!

— *Mąciwoda* zwąchała napad i umiała się obronić.

— Gracko się spisała...

Dla całego miasta, oboje Bridau to byli *Paryżanie*, cudzoziemcy: przekładano nad nich Maxa i Florę.

Można sobie wyobrazić zadowolenie, z jakim Józef i Agata powitali po tej wyprawie mieszkankę przy ulicy Mazarine. W podróży, artysta odzyskał wesołość, zmaconą sceną uwięzienia i pozbawieniem wolności przez dobę: ale nie mógł rozprószyć przygnębienia matki. Agacie trudniej było przyjść do siebie po wzruszeniach, tembardziej że Izba Parów właśnie miała rozpocząć proces o sprzysiężenie wojskowe. Postępowanie Filipa, mimo zręczności jego obrońcy, któremu udzielał wskazówek Desroches, budziło po-

dejrzenia mało zaszczytne dla jego charakteru. Toteż, obznajmiwszy Desroches'a ze wszystkim co zaszło w Issoudun, Józef, wzięwszy z sobą Mistigrisa, pomknął corychlej do zamku hrabiego do Sérizy, aby nie słyszeć o procesie który trwał trzy tygodnie.

Bezużytecznem byłoby zatrzymywać się przy faktach, które przeszły do historii. Czyto że Filip odegrał jakąś umówioną rolę, czy że był jednym z delatorów, wyrok, jaki nań zapadł, ograniczył się do pięciu lat policyjnego nadzoru. Z dniem wypuszczenia na wolność, kazano mu wyjechać do Autun, miasta, które generalny naczelnik policji wskazał mu na owe pięć lat jako miejsce pobytu. Kara ta była równoznaczna z traktowaniem jeńców trzymanyh na słowo, którym daje się jakieś miasto na więzienie. Dowiedziawszy się, iż hrabia de Sérizy, jeden z parów wyznaczonych przez Izbę dla tego procesu, zatrudnia właśnie Józefa w zamku w Presles, Desroches postarał się o audjencję u tego męża stanu. Hrabia de Sérizy okazał się jak najlepiej usposobiony dla Józefa, którego przypadkowo miał sposobność poznać. Desroches przedstawił położenie braci, przypominając usługi oddane przez ich ojca, usługi które Restauracja pominęła tak dotkliwie.

— Takie niesprawiedliwości, Excelencjo, stają się niewygasłem źródłem opozycji i niezadowolenia! Excelencja znałeś ich ojca, pomóż choć synom wypłynąć!

I odmalował zwięzłe położenie, prosząc wszechpotężnego wiceprezydenta Rady Stanu o słówko do generalnego dyrektora policji, z prośbą aby przeniósł Filipa z Autun do Issoudun. Wspomniał wreszcie o straszliwej nędzy Filipa, upraszając dłań o zasiłek sześćdziesięciu franków miesięcznie, które ministerjum wojny powinniaby, bodaj przez wstyd, przyznać dawnemu podpułkownikowi.

— Uzyskam wszystko o co pan prosi, rzecz wydaje mi się sprawiedliwa, rzekł minister.

W trzy dni potem, Desroches, opatrzony w potrzebne pełnomocnictwa, udał się aby zabrać Filipa z więzienia Izby Parów i zaprowadził go do siebie. Tam, młody adwokat zaaplikował zbydlę-

conemu żołdakowi związły rachunek sumienia, z tych które nie znoszą odpowiedzi. Każda rzecz była osądzona wedle wartości i nazwana po imieniu; uczucia i postęпки zanalizowane i sprowadzone w najdrastyczniejszej formie do najprostszego wyrazu. Desroches zmiażdżył dawnego ordynansowego oficera cesarza, stawiając mu przed oczy jego głupie marnotrawstwo, nieszczęścia matki i śmierć starej Descoings; następnie objaśnił mu stan rzeczy w Issoudun, oświetlając fakty na swój sposób i wnikając do głębi w plan i charakter Maksencjusza Gilet i *Mąciwody*. Obdarzony pojęciem nader lotnem w tym kierunku, polityczny skazaniec o wiele uważniej słuchał tej części kazania.

— Masz tedy sposobność, rzekł adwokat, naprawić do pewnego stopnia krzywdy któreś wyrządził swej zacnej rodzinie, to jest o ile są do naprawienia. Nie wrócisz życia biednej kobiecie, której zadałeś śmiertelny cios; ale ty jeden możesz...

— Ale jak? spytał Filip.

— Uzyskam, aby, zamiast Autun, dano ci Issoudun za miejsce pobytu.

Twarz Filipa, wychudzona, niemal upiorna, poorana chorobami, cierpieniem i nędzą, rozjaśniła się błyskawicą radości.

— Ty jeden możesz, powiadam, odzyskać spadek, do połowy już może pogrążony w paszczy tego wilczka nazwiskiem Gilet, ciągnął Desroches. Znasz szczegóły, twoją rzeczą zastosować do nich działanie. Nie kreślę ci planu, nie mam żadnych poglądów w tej mierze; wszystko zmienia się wedle terenu. Masz do czynienia z tegim przeciwnikiem: hultaj kuty jest na cztery nogi. Sposób, w jaki próbował odzyskać obrazy wuja, śmiałość z jaką przylepił cudzą zbrodnię poczciwemu Józefowi, znamionują przeciwnika zdolnego do wszystkiego. Tak więc, bądź ostrożny, i staraj się być roztropnym bodaj z wyrachowania, jeżeli nie możesz nim być z natury. Nic nie mówiąc Józefowi, który czułby się obrażony w dumie artysty, odesłałem obrazy do pana Hochon, pisząc aby je oddał tylko tobie. Ten Maksencjusz Gilet, to ma być śmiały chłopak...

— Tem lepiej, rzekł Filip, liczę właśnie na odwagę hultaja, iż będzie mi pomocną do celu, tchórz bowiem wyniosłby się z Issoudun.

— Więc dobrze, myśl o matce która kocha cię anielską wprost miłością, o bracie z którego zrobiłeś sobie dojną krowę...

— A, mówił ci o tych dzieciństwach?... wykrzyknął Filip.

— Ba, czyż nie jestem przyjacielem rodziny i czyż nie więcej wiem o tobie niż oni sami?

— Cóż wiesz?

— Zdradziłeś swoich towarzyszków...

— Ja! wykrzyknął Filip, ja! oficer ordynansowy cesarza? Także gadanie!... Wzięliśmy na kawał Izbę Parów, trybunał, rząd i cały ten kram djabelski. Te hycle królewskie dały się sumiennie wystrychnąć na dudków!...

— Bardzo pięknie, jeżeli tak, odparł adwokat; ale widzisz, Burbonów niesposób obalić, mają za sobą Europę: winienbyś pomyśleć o tem jak się pojednać z ministerjum wojny... Och pogodź się, skoro będziesz bogaty. Aby tedy zdobyć fortunę dla siebie i brata, staraj się opanować wujaszka. Jeżeli chcesz doprowadzić do celu sprawę wymagającą tyle zręczności, rozważ, cierpliwości, masz czem zapełnić swoje pięć lat...

— Nie, nie, rzekł Filip, trzeba żywo brać się do rzeczy; Gilet mógłby uprzętnąć majątek, przepisać go na imię lafiryndy i wszystko byłoby stracone.

— Wreszcie, pan Hochon jest człowiek zdrowej rady i trafnego sądu, pogadaj z nim. Masz tu marszrutę, miejsce w orleańskim dyliżansie na wpół do ósmej, kuferek gotów, pewnie już się spakowałeś, chodźmy tedy na obiad!

— Mam tylko to co na sobie, rzekł Filip, rozchylając ohydny niebieski tużurek; ale brakuje mi trzech rzeczy: poproś Giroudeau, siostrzeńca Finota, niech mi je przysze: moją szablę, szpadę i pistolety!...

— Brakuje ci wielu innych rzeczy, rzekł adwokat który za-

drzał przyglądając się swemu klientowi. Otrzymaś jednorazowo trzechmiesięczną płacę, abyś się mógł ubrać przyzwoicie.

— Jakto, ty tutaj, Godeschal! wykrzyknął Filip, poznając brata Marjety w pierwszym dependencie Desroches'a.

— Tak, jestem u pana Desroches od dwóch miesięcy.

— I będzie tu, mam nadzieję, rzekł Desroches, póki nie stanie na własnych nogach.

— A Marjeta? rzekł Filip wzruszony wspomnieniami.

— Oczekuje otwarcia nowej sali.

— Bardzoby ją niewiele trudu kosztowało, rzekł Filip, uzyskać dla mnie zniesienie nadzoru. Zresztą, jak sama zechce.

Po chudym obiedzie, ofiarowanym Filipowi przez Desroches'a, który stołował swego dependenta, dwaj prawnicy wsadzili politycznego skazańca do pojazdu, życząc mu powodzenia.

Drugiego listopada, w dzień Zaduszny, Filip Bridau przedstawił się u komisarza policji w Issoudun, celem potwierdzenia na dokumentach dnia przybycia; następnie poszedł szukać kwatery, i znalazł ją, za radą tego urzędnika, przy ulicy de l'Avenier. Wiadomość o deportacji jednego z oficerów skompromitowanych w ostatnim sprzysiężeniu obiegła w lot Issoudun i sprawiła tem większe poruszenie, skoro się dowiedziano, iż oficer ten jest bratem tak niesłusznie obwinionego malarza. Maksencjusz Gilet, wówczas już zupełnie uleczony z rany, ukończył trudną operację realizowania lokat ojca Rouget i umieszczenia ich na Wielkiej Księdze. Pożyczka stu czterdziestu tysięcy franków zaciągnięta przez starca na swoje dobra, sprawiła wielkie wrażenie, na prowincji bowiem nic nie da się ukryć. Przez życzliwość dla rodziny Bridau, pan Hochon, poruszony tą katastrofą, poszedł pogadać ze starym Héron, rejentem ojca Rouget.

— Spadkobiercy ojca Rouget, jeżeli ojciec Rouget zmieni swoje postanowienie, powinni mi ładnie podziękować! wykrzyknął pan Héron. Gdyby nie ja, nieborak pozwoliłby umieścić pięćdziesiąt tysięcy renty na imię Maksencjusza... Powiedziałem panie Brazier,

że powinna się zadowolić literą testamentu, inaczej może się narażać na proces o grabież, zważywszy liczne dowody ich machinacyj, jakie możnaby znaleźć we wszystkich tych nagłych transakcjach. Aby zyskać na czasie, poradziłem Maksencjuszowi i jego damie, iż powinni dać światu zapomnieć to tak zupełne przeobrażenie w zwyczajach starego niedołęgi.

— Bądź pan adwokatem i protektorem rodziny Bridau, są bowiem zupełnie bezbronni, rzekł do starego rejenta pan Hochon, który nie mógł Giletowi darować wzruszeń, jakie przebył obawiając się złupienia domu.

Maksencjusz i Flora, wolni od wszelkiego niebezpieczeństwa, żartowali tedy dowiadując się o przybyciu drugiego siostrzeńca. Za pierwszą przyczyną niepokoju którąby im dał Filip, wiedzieli, iż, każąc podpisać ojcu Rouget pełnomocnictwo, mogą przelać rentę bądź na imię Maxa bądź Flory. Gdyby nawet testament miał ulec odwołaniu, pięćdziesiąt tysięcy franków renty stanowiło dość ładny kąsek zwłaszcza kiedy się obciążało majątek sumą stu czterdziestu tysięcy.

Nazajutrz po przybyciu, Filip zjawił się o dziesiątej aby złożyć uszanowanie wujowi; zależało mu na tem aby się pokazać w swoim pługawym stroju. To też, kiedy ozdrowieniec szpitala *du Midi* i więzień z Luxemburgu wszedł do sali, Flora Brazier doświadczyła jakgdyby skurczu serca na ten odpychający widok. Również Gilet uczuł ten wewnętrzny wstrząs organów pojmowania i uczucia, którem natura ostrzega nas o bliskości wroga lub o niebezpieczeństwie. Po ostatnich przejściach, Filip zachował w fizjognomji coś złowrogiego; strój jego przyczyniał się jeszcze do tego wrażenia. Ohydny niebieski tużurek zapięty był po wojskowemu pod szyję dla smutnych przyczyn, ale zarazem odsłaniał aż nadto to co miał ukrywać. Spodnie, obszarpane u dołu niby łachman inwalidy, świadczyły o głębokiej nędzy. Buty zostawiały mokre ślady, sącząc błotnistą wodę z naderwanych podeszew. Rondo szarego kapelusza, który pułkownik trzymał w ręku, wyświecone było od tłustości. Trzciniowa

laska o dawno startym lakierze, musiała widocznie odbywać stacje we wszystkich kątach paryskich kawiarni, a zakrzywiony jej koniec nurzał się w niejednym bagnie. Nad wytartym do cna aksamitnym kołnierzem sterczała głowa niemal podobna do tej, w jaką stroi się Fryderyk Lemaître w ostatnim akcie *Życia szulera*; wyczerpanie jeszcze krzepkiego człowieka znaczyło się miedzianą, tu i owdzie zielonkawą cerą. Barwy te widuje się na twarzy hulaków, którzy strawili wiele nocy przy grze: oczy podkrążone, niby podkreślone węglem, powieki raczej zaczerwienione niż czerwone; wreszcie czoło groźne, brzemienne wszystkimi kłęskami jakich nosiło piętno. Filip, który zaledwie przyszedł do siebie po kuracji, policzki miał zapadłe i poorane. Na zupełnie огоłoconej czaszce, parę kosmyków zwisało na uszy. Czysty błękit oczu, niegdyś tak lśniący, nabrał zimnego połysku stali.

— Dzień dobry, wuju, rzekł zachrypłym głosem; jestem twój siostrzeniec, Filip Bridau. Oto jak Burboni obchodzą się z podpułkownikiem, wiarusem starej gwardji, człowiekiem który nosił rozkazy cesarza pod Montereau. Doprawdy, ze względu na obecność damy, wstydy mi było, gdyby mój surdut rozchylił się przypadkiem. Ano cóż, prawo silniejszego. Chcieliśmy podjąć no nowo partję i przegraliśmy! Osiedliłem się w tem mieście na rozkaz policji, z wysoką płacą sześćdziesięciu franków na miesiąc. Toteż, obywatele nie mają przyczyny się obawiać, abym spowodował zwyżkę artykułów spożywczych. Widzę, wuju, że jesteś tu w miłym i pięknem towarzystwie.

— He, ty jesteś mój siostrzeniec? rzekł Jan-Jakób.

— Niech-że pan zaprosi pana pułkownika na śniadanie, rzekła Flora.

— Nie, pani, dziękuję, odparł Filip, już śniadałem. Zresztą, prędzejbym uciął sobie rękę, niżbym miał prosić wuja o kawałek chleba lub o jeden szeląg po tem co zaszło w tem mieście z bratem i matką... Ot, poprostu, nie wydało mi się właściwe, abym miał bawić w Issoudun, nie pokłoniwszy mu się od czasu do czasu. Mo-

żecie zresztą, rzekł wyciągając dłoń i wstrząsając ręką Rougeta, robić co wam się podoba: nie będę się mieszał do niczego, byle honor nazwiska Bridau pozostał nietknięty...

Gilet mógł się przyjrzeć dowoli pułkownikowi, Filip bowiem, z widoczną ostentacją, nie patrzył nań. Mimo iż krew burzyła się Maxowi w żyłach, zbyt ważne interesy były tutaj w grze; toteż, w postępowaniu swoim zachował ową rozwagę wielkich polityków, która niekiedy podobna jest do tchórzostwa. Przez cały czas bytności Filipa, pozostał spokojny i zimny.

— Nie miałyby sensu, proszę pana, rzekła Flora, żyć z sześćdziesięciu franków na miesiąc pod nosem wuja, który ma czterdzieści tysięcy franków renty i który już tak pięknie sobie postąpił z tu obecnym majorem Gilet, jego naturalnym krewniakiem...

— Tak, Filipie, rzekł nieborak, pomyślimy o tem...

Słyszając z ust Flory tę pośrednią prezentację, Filip wymienił lękliwy niemal ukłon z Giletem.

— Mam dla wuja obrazy do zwrotu; są u pana Hochon; będzie wuj natyle uprzejmy przyjść którego dnia je sprawdzić.

Wyrzekłszy sucho te ostatnie słowa, podpułkownik Filip Bridau wyszedł. Wizyta ta zostawiła w duszy Flory i Gileta wzruszenie jeszcze głębsze, niż to jakiego doznali zrazu na widok straszliwego żołdaka. Z chwilą gdy Filip zatrzasnął drzwi z furją ograbionego spadkobiercy, Flora i Gilet ukryli się za firanką i patrzyli za nim, jak udaje się do Hochonów.

— Cóż za szuja! rzekła Flora, zwracając ku Maxowi pytające spojrzenie.

— Tak, na nieszczęście, bywali i tacy w armji cesarza; sprzątnąłem siedmiu takich na pontonach, odparł Gilet.

— Mam nadzieję, Max, że z tym nie będziesz szukał sprzeczeki, rzekła panna Brazier.

— Och, odparł Max, to parszywy pies, który chce aby mu rzuć kość, dodał zwracając się w stronę ojca Rouget. Jeżeli wuj

zechce mi zawierzyć, pozbędzie się go jaką darowizną: inaczej nie zostawi cię w spokoju, papo Rouget.

— Czuć go było straszliwie tytoniem, rzekł starzec.

— Co mu nie przeszkodziło zwęszyć twoje talary, rzekła Flora decydującym tonem. Jabym radziła ubezpieczyć się od jego odwiedzin.

— Niczego więcej nie pragnę, odparł Rouget.

— Proszę pana, rzekła Gryta, wchodząc do pokoju gdzie cała rodzina Hochon znalazła się po śniadaniu, przyszedł właśnie pan Bridau, o którym pan wspominał.

Filip wszedł nader grzecznie, wśród głębokiego milczenia spowodowanego powszechną ciekawością. Pani Hochon zadrżała widząc sprawcę nieszczęść Agaty i zabójcę zacnej Descoings. Adolfinę również przeszedł lekki dreszcz. Baruch i Franciszek wymienili zdziwione spojrzenia. Stary Hochon zachował zimną krew i ofiarował krzesło synowi pani Bridau.

— Przybywam, proszę pana, polecić się pańskiej łaskawości; trzeba mi bowiem rozpatrzeć się w mieście, tak aby móc wyżyć tutaj przez pięć lat, o sześćdziesięciu frankach miesięcznie które mi daje ojczyzna.

— Hm, można, można, odparł starzec.

Filip poprowadził rozmowę o rzeczach obojętnych, zachowując się najzupełniej poprawnie. Zachwalił mimochodem talenty dziennikarza Lousteau, siostrzeńca starej pani Hochon, której łaski pozyskał w zupełności, skoro jej oznajmił, iż nazwisko Lousteau staje się sławne w świecie. Następnie, nie wahał się wyznać błędów swego życia. Na przyjacielską wymówkę, jaką mu pani Hochon uczyniła półgłosem, odparł, iż w więzieniu wiele zastanawiał się nad sobą, i przyrzekł jej być na przyszłość zupełnie innym człowiekiem.

Na słówko rzucone przez Filipa, pan Hochon wyszedł wraz z nim. Kiedy skąpiec i żołdak znaleźli się na bulwarze, w miejscu gdzie nikt nie mógł ich słyszeć, pułkownik rzekł:

— Panie szanowny, jeżeli pan zgodzi się w tem ze mną, nie będziemy nigdy mówili o sprawach ani o osobach inaczej niż przechadzając się za miastem, lub też w miejscu gdzie będziemy mogli rozmawiać bez obawy niedyskrecji. Adwokat Desroches wytłumaczył mi bardzo przekonująco znaczenie plotek w małych miasteczkach. Nie chcę zatem, aby pana podejrzewano iż wspierasz mnie radami, mimo iż Desroches zalecił mi polegać na nich we wszelakim względzie, i ja też proszę abyś mi ich nie szczędził. Mamy przed sobą potężnego przeciwnika, nie trzeba zaniedbać żadnej ostrożności. Przedewszystkiem, daruj mi pan, jeżeli go nie będę odwiedzał. Nieco pozorów chłodu między nami zwolni pana od posądzeń o jakikolwiek wpływ na moje postęпки. Kiedy będę potrzebował się poradzić, przejdę przez plac o wpół do dziesiątej, w chwili gdy pan wstaje od śniadania. Jeśli pan ujrzy iż trzymam laskę niby broń na ramieniu, to będzie znaczyło, iż trzeba nam się spotkać, przypadkowo, w jakimś sposobnem do przechadzki miejscu, które mi pan wskaże.

— Wszystko co mówisz, świadczy o człowieku przezornym, który chce dojść do celu, rzekł starzec.

— I dojdę, drogi panie. A teraz, zechciej mi pan wskazać osiadłych tutaj wojskowych dawnej armji, którzy nie należą do stronnictwa Maksencjusza i z którymi mógłbym się zbliżyć.

— Jest, przedewszystkiem, pewien kapitan artylerji Gwardji, pan Mignonet, wychowanek politechniki, człowiek czterdziestoletni, prowadzący skromne życie; osobistość nawskroś szanowna. Swego czasu oświadczył się przeciw Maxowi, którego postępowanie wydaje mu się niegodnem prawdziwego żołnierza.

— Doskonale! rzekł podpułkownik.

— Niewielu znajdziesz wojskowych tego pokroju. Znam z tego typu tylko jednego, rotmistrza kawalerji.

— Moja broń, rzekł Filip. Czy służył w gwardji?

— Tak, odparł pan Hochon. Carpentier był w 1810 kwatermi-

strzem pułku dragonów; opuścił go, aby wejść jako podporucznik do linii i tu dosłużył się stopnia rotmistrza.

— Giroudeau będzie go może znał, pomyślał Filip.

— Ten pan Carpentier zajął w urzędzie gminnym miejsce porzucone przez Maksencjusza i jest przyjacielem majora Mignonet.

— W jaki sposób mógłbym tu zarabiać na życie?

— Mają tu ponoś utworzyć wicedyrekcję towarzystwa ubezpieczeń: mógłbyś pan tam znaleźć miejsce; ale to będzie najwyżej jakich pięćdziesiąt franków miesięcznie...

— To mi wystarczy.

Po upływie tygodnia, Filip miał nowy surdut, pantaloney i kamizelkę z mocnego porządnego sukna, kupione na kredyt i spłacane w miesięcznych ratach; toż samo buty, rękawiczki i kapelusz. Z Paryża, za pośrednictwem Giroudeau, otrzymał bieliznę, broń i list do Carpentiera, który — okazało się — służył niegdyś pod rozkazami dawnego kapitana dragonów. List ten zyskał Filipowi oddanego przyjaciela w kapitanie Carpentier, który przedstawił go majorowi Mignonet jako człowieka niepospolitych zasług i charakteru. Filip zdobył sobie podziw obu znacznych oficerów zapomocą paru zwierzeń tyczących świeżego spisku, który był, jak wiadomo, ostatniem usiłowaniem dawnej armji przeciwko Burbonom, proces bowiem sierżantów z La Rochelle należy już do innej kategorii.

Począwszy od 1822, otrzeźwieni losem spisku z 19 Sierpnia 1820, sprawą Berthona i Carona, żołnierze zadowolili się oczekiwaniem wypadków. Ta ostatnia konspiracja, młodsza siostrzyca owej z 19 sierpnia, była jakby powtórzeniem tamtej, podjętem przy pomocy lepszych elementów. Jak tamta, pozostała ona zupełnie nieznaną rządowi. Jeszcze raz odkryci, konspiratorzy mieli ten spryt, iż umieli uszczuplić swoje rozległe przedsięwzięcie do mizernych rozmiarów koszarowego spisku. Sprzysiężenie to, do którego należało wiele pułków kawalerji, piechoty i artylerji, miało siedzibę w północnej Francji. Był plan, aby, za jednym zamachem, opanować graniczne forty. W razie powodzenia, miało się złamać traktaty z r. 1815

przez doraźny układ z Belgją, oderwaną w ten sposób od *Świętego Przymierza*, a to dzięki paktowi wojskowemu, zawartemu między żołnierzami. Dwa trony miały się zwalić w jednej chwili w tej nagłej zawierusze. Z tego potężnego planu poczętego w tęgich głowach, planu w którym maczały palce wysokie figury, wydano Izbie Parów jedynie szczegóły. Filip Bridau zgodził się pokryć przywódców, którzy znikali w chwili gdy spisek — czy to przez zdradę czy też wskutek przypadku — wyszedł na jaw, i którzy, zasiadając w Izbach, mieli za zadanie jedynie dopełnić przewrotu w samym sercu rządu. Podawać tu plan, jaki po 1830, zwierzenia liberałów odsłoniły w całej jego głębi i w olbrzymich rozgałęzieniach ukrytych podrzędnym czynnikiem, znaczyłoby wkraczać w dziedzinę historii i zapuszczać się w zbyt długą dygresję. Ten rzut wystarczy, aby dać pojęcie o dwoistej roli jakiej podjął się Filip. Dawny oficer ordynansowy cesarza miał kierować ruchem zamierzonym w Paryżu, wyłącznie dla zamaskowania prawdziwego sprzysiężenia: chodziło o to, aby zatrudnić rząd w jego siedzibie, wówczas gdy spisek miał wybuchnąć na Północy. Filipowi zlecono tedy, aby zatarł ślady związku między dwoma sprzysiężeniami, wydając jedynie podrzędne tajemnice.

Trzeba przyznać, iż obraz straszliwej nędzy, o jakiej świadczył jego strój i stan zdrowia, przyczynił się znakomicie do tego, aby obniżyć i pomniejszyć całe przedsięwzięcie w oczach władzy. Ta rola odpowiadała dwuznacznemu położeniu gracza bez czci i wiary. Czując się na krawędzi między dwiema partjami, chytry Filip pozornie szedł na rękę rządowi królewskiemu, zachowując równocześnie szacunek grubych ryb swojej partji; w duchu zaś przyrzekał sobie wejść później na tę drogę na której znajdzie więcej korzyści. Te rewelacje o olbrzymiej doniosłości prawdziwego spisku, o udziale w nim niektórych z sędziów, uczyniły z Filipa, w oczach Carpentiera i Mignoneta, niezwykle człowieka. Poświęcenie jego i rola jaką odegrał znamionowały dla nich polityka godnego dni Konwentu. Toteż, chytry bonapartysta stał się w kilka dni

przyjacielem obu oficerów, a szacunek którego zażywali w mieście spłynął tem samem na niego. Dzięki poleceniu Mignoneta i Carpentiera, otrzymał natychmiast miejsce wskazane przez starego Hochon. Mając za zadanie prowadzenie rejestrów, wypełnianie nazwisk i liczb w listach już drukowanych oraz ekspedjowanie ich, Filip miał zajęcia nie więcej niż trzy godziny dziennie. Mignonet i Carpentier wprowadzili Issouduńskiego gościa do klubu, gdzie jego obejście i formy, w harmonji zresztą z wysoką opinią Mignoneta i Carpentiera o tym wodzu konspiracji, zdobyły mu szacunek, jakże często oparty na równie zwodniczych pozorach. Filip, którego postępowanie było owocem głębokiego wyrachowania, zastanowił się w więzieniu nad ujemnymi stronami cyganerji. Nie potrzebował kazania Desroches'a, aby pojąć konieczność zjednania sobie szacunku uczciwym, skromnym i regularnym życiem. Rad już z tego iż napiętnuje postępowanie Maxa żyjąc sam trybem dwóch godnych oficerów, chciał zarazem uśpić Maksencjusza, dając mu fałszywe pojęcie o swym charakterze. Starał się przedstawić za głupca, okazując się szlachetnym i bezinteresownym, omotując równocześnie przeciwnika i wciąż mając na oku wujowską sukcesję; gdy matka jego i brat, tak prawdziwie bezinteresowni, szlachetni i wielcy, ściągnęli na siebie zarzut rachuby, działając z naiwną prostotą. Chciwość Filipa rozbudziła się w stosunku do majątku wuja, który Hochon przedstawił mu szczegółowo. W pierwszej rozmowie jaką miał potajemnie ze starym wygą, zgodzili się obaj, iż najważniejszą rzeczą jest uśpić czujność Maxa: wszystko byłoby stracone, gdyby Max i Flora uprowadzili swą ofiarę, choćby tylko do Bourges. Raz na tydzień, pułkownik był na obiedzie u kapitana Mignonet, drugi raz u Carpentiera, we czwartek u pana Hochon. Zaproszony niebawem do kilku jeszcze domów, po trzech tygodniach pobytu potrzebował opłacać już tylko śniadanie. Nigdzie nie wspomniał o wuju, o *Męciwodzie* ani o Maksencjuszu, chyba że chodziło o dowiedzenie się czegoś co do pobytu matki i brata. Wreszcie, trzej oficerowie, jedyni którzy mieli krzyże i wśród których Filip posiadał wyższość oficer-

skiej rozety, co mu dawało w oczach prowincji wyraźną przewagę, przechadzali się wspólnie o tej samej godzinie, przed obiadem, trzymając się zawsze razem i nieco na uboczu. Ten tryb życia, to oddalenie, ten spokój, wywarły w Issoudun doskonałe wrażenie. Natomiast stronnicy Maxa widzieli w Filipie *rębajłę*: wyrażenie, zapomocą którego żołnierze zwykli charakteryzować najpospolitszy rodzaj odwagi przy braku zdolności wymaganych do naczelných stanowisk.

— To bardzo godny człowiek, mówił stary Goddet do Maxa.

— Ba! odparł major Gilet, zachowanie się jego przed Izabą Parów wskazuje dudka lub szpiega; otóż, jak słusznie pan powiada, dość jest głupi, aby się stać igraszką w rękę wielkich graczy.

Uzyskawszy posadę, Filip, znając właściwości miejscowych *języków*, chciał, o ile możebne, ukryć oczom miasta pewne rzeczy; ulokował się tedy na końcu przedmieścia Saint-Paterne, w domu do którego przylegał wielki ogród. Mógł tutaj, w największej tajemnicy, uprawiać szermierkę z Carpentierem, który był mistrzem fechtunku w linji, nim przeszedł do gwardji. Odzyskawszy w ten sposób potajemnie swą biegłość, Filip nauczył się od Carpentiera sekretów, które mu pozwalały nie lękać się przeciwnika choćby pierwszorzędnej siły. Wówczas, zaczął, z Mignonetem i Carpentierem, ćwiczyć się w strzelaniu z pistoletu, rzekomo dla rozrywki, ale w ten sposób, aby obudzić w Maksencjuszu przekonanie, iż, w razie pojedynku, liczy na tę broń. Kiedy Filip spotykał Gileta, czekał ukłonu, i odpowiadał nań uchylając lekko kapelusza, jak pułkownik na ukłon żołnierza. Maksencjusz Gilet nie zdradzał irytacji ani niezadowolenia; nigdy nie wymknęło mu się w tej mierze najłżejsze słówko u mamy Cognette, gdzie wciąż odbywały się jeszcze biesiady; od czasu bowiem pamiętnego pchnięcia nożem, nocne psoty chwilowo zawieszono. Po upływie jakiegoś czasu, lekceważenie podpułkownika Bridau dla majora Gilet było faktem, o którym rozmawiali z sobą niektórzy z rycerzy Bezrobocia, mniej ściśle związani z Maxem niż Baruch, Franciszek i kilku innych. Dzi-

wiono się powszechnie, że gwałtowny, porywczy Max poczyna sobie z takim umiarkowaniem. Nikt w całym Issoudun, nawet Potel ani Renard, nie śmiał poruszać z Giletem tego drażliwego punktu. Potel, dość zmartwiony tem publicznem nieporozumieniem między dwoma suchymi gwardji, dawał do zrozumienia, iż, o ile zna Maxa, nosi on prawdopodobnie w sercu jakiś plan, który może smutno wypaść dla podpułkownika. Wedle Potela, można było spodziewać się czegoś niezwykłego, sądząc po tem, co Max uczynił aby przepędzić paryżan; sprawa Faria nie była już bowiem dla nikogo tajemnicą. Pan Hochon nie omieszkiał wyłożyć matadorom miasteczka okrutnego podstępę Gileta. Zresztą, pan Mouilleron wygadał w zaufaniu nazwisko sprawcy, choćby tylko w celu wyjaśnienia powodów nieprzyjaźni Faria do Maksencjusza i aby trzymać oczy Sprawiedliwości zwrócone na bieg wypadków. Rozprawiając tedy o stanowisku podpułkownika i Maxa, oraz starając się zgadnąć co wyniknie z tego antagonizmu, miasto narzucało im z góry rolę przeciwników. Filip, który poszukiwał pilnie szczegółów aresztowania brata, oraz przeszłości Gileta i *Mąciwody*, wszedł zczasem w dość ściśle stosunki z Fariem, swoim sąsiadem. Wystudjowawszy dobrze charakter Hiszpana, Filip osądził iż może zawierzyć człowiekowi tego pokroju. Obaj byli tak zgodni w swej nienawiści, że Fario oddał się na usługi Filipa, opowiadając mu wszystko co wiedział o rycerzach Bezrobocia. Filip przyrzekł Fariowi, iż, w razie gdyby mu się udało zyskać nad wujem władzę jaką dotąd miał Gilet, wynagrodzi mu straty; w ten sposób uczynił zeń sobie wiernego zauszniaka. Max miał tedy przed sobą groźnego wroga; *trafiła*, wedle przysłowia, *kosa na kamień*. Ożywione własnymi bajeczkami, Issoudun przeczuwało walkę między temi dwiema osobistościami, które, trzeba to mieć na uwadze, żywiły dla siebie wzajemną pogardę.

Pod koniec listopada, jednego ranka, Filip, spotkawszy pana Hochon około południa w alei Frapesle, rzekł:

— Odkryłem, iż pańscy dwaj wnukowie, Baruch i Franciszek są najbliższymi przyjaciółmi Maksencjusza. Hultaje biorą udział

we wszystkich nocnych psotach jakie praktykują się w mieście. To też, za ich pośrednictwem, Max wiedział o wszystkim co się mówiło w pańskim domu w czasie pobytu matki i brata.

— Jakie masz dowody na tę ohydę?...

— Słyszałem, jak rozmawiali w nocy wychodząc z oberży. Pańscy wnukowie winni są Maxowi każdy po tysiąc talarów. Nędznik polecił chłopcom, aby się starali odkryć nasze zamiary. Przypominając iż pan wpadłeś na pomysł osaczenia wujaszka zapomocą księży, twierdzi iż pańska ręka kryje się niechybnie poza całym mem postępowaniem; na szczęście bowiem, bierze mnie za prostego rehbaję.

— Jakto, moje wnuki?

— Śledź ich pan, odparł Filip, a ujrzysz jak wracają przez plac św. Jana, około drugiej lub trzeciej nad ranem, pijani jak bele, w towarzystwie Maksencjusza...

— Dlatego-to hultaje są w domu tak wstrzemięźliwi! rzekł pan Hochon.

— Fario udzielił mi szczegółów ich nocnej egzystencji, dodał Filip; gdyby nie on, nie byłbym nigdy wpadł na to. Wnosząc z kilku słów rozmowy słyszanej przez Hiszpana, wuj mój żyje w straszliwej niewoli. Podejrzewam Maxa i Mąciwodę, iż uknuli plan aby zwarować pięćdziesiąt tysięcy franków renty na Wielkiej Księdze i drapnąć gdzie pieprz rośnie, wyciągnąwszy to piórko z ogona swemu gołąbkowi. Wielki czas byłby dowiedzieć się co się dzieje w domu wujaszka; ale nie wiem jak się wziąć do tego.

— Pomyślę nad tem.

Widząc zbliżających się przechodniów, Filip i pan Hochon rozstali się.

Nigdy, w żadnym okresie życia, Jan Jakób Rouget nie cierpiał tyle, co od czasu pierwszej wizyty Filipa. Flora, przestraszona, miała jakby jasnovidzenie grożącego Maksencjuszowi niebezpieczeństwa. Zmęczona swoim panem, lękała się aby nie zechciał żyć zbyt długo;

a widząc iż opiera się jej zbrodniczym praktykom, wymyśliła plan bardzo prosty: opuścić te strony i pobrać się spokojnie z Maxem w Paryżu, wyłudziwszy wprzód darowiznę pięćdziesięciu tysięcy renty. Stary kawaler, wiedziony nie względami na spadkobierców ani osobistą chciwością, ale namiętnością do *Mąciwody*, wzdragał się przelać tytuł własności na Florę, tłumacząc jej że jest jego jedyną dziedziczką. Nieszczęśliwy wiedział, do jakiego stopnia Flora kocha Maxa, i przewidywał, iż nie zdoła jej utrzymać przy sobie ani godziny, skoro tylko ujrzy się dość bogatą aby zaślubić swego żołnierza. Skoro Flora, rozwinąwszy arsenał najczulszych pieśszcot, spotkała się z odmową, uciekła się do represji: przestała mówić do pana, kazała go obsługiwać kucharce, która, jednego ranka, zastała starca z oczyma czerwonemi po przepłakanej nocy. Od tygodnia, ojciec Rouget śniadał sam, i to jak! Toteż, nazajutrz po rozmowie z panem Hochon, Filip, zaszedłszy powtórnie do wuja, znalazł go bardzo zmienionym. Przez czas wizyty, Flora siedziała przy starcu, rzuciła mu tkliwe spojrzenia, przemawiała czule, słowem grała komedję tak dobrze, iż Filip, z tyłu zabiegów rozwijanych w jego obecności, odgadł do jakiego stopnia sytuacja jest niebezpieczna. Gilet, którego polityka polegała na tem aby unikać wszelkiej kolizji z Filipem, nie pokazał się. Przyjrząwszy się bystrem okiem ojcu Rouget i Florze, pułkownik uznał za właściwe posunąć się do stanowczego kroku.

— Do widzenia, drogi wuju, rzekł wstając jak do odejścia.

— Och, nie chodź jeszcze, rzekł starzec, któremu fałszywa czułość Flory rozlewała balsam po sercu. Zostań z nami na obiedzie, Filipku.

— Dobrze, wuju, jeżeli zechcesz przejść się ze mną godzinę.

— Pan Rouget czuje się bardzo nieszczególnie, rzekła panna Brazier. W tej chwili próżno namawiałam go na przejażdżkę powozem, dodała zwracając się ku nieborakowi i wlepiając weń nieruchome spojrzenie jakim poskramia się szaleńców.

Filip wziął Florę za ramię, zmusił ją do spojrzenia mu w twarz

i wpił w nią wzrok równie uporczywy, jak ten którym ona obezwładniła wprzód swoją ofiarę.

— Niech panna będzie łaskawa mi powiedzieć, rzekł; czy może przypadkiem wujowi nie wolno przejść się samemu ze mną?

— Ależ owszem, rzekła Flora, nie mogąc rzec inaczej.

— Zatem, chodźmy, wuju. Proszę, niech panna poda mu łaskę i kapelusz.

— Ale... zazwyczaj pan nie wychodzi bezemnie. — Nieprawdaż, proszę pana?

— Tak, Filipie, tak, muszę zawsze mieć ją przy sobie...

— Lepiej byłoby przejechać się powozem, rzekła Flora.

— Tak, jedźmy powozem, wykrzyknął starzec, w pragnieniu pogodzenia dwojga swych tyranów.

— Wuju, pójdziesz piechotą i ze mną, albo nie zobaczysz mnie tutaj; wówczas bowiem całe Issoudun miałyby rację: znaczyłyby to, że jesteś pod panowaniem panny Flory Brazier. — Że wuj panią kocha, bardzo dobrze! ciągnął wlepiając we Florę spojrzenie ciężkie jak ołów. Że panna go nie kochasz, i to w porządku; ale, żebyś się miała znęcać nad nieborakiem... hola! Kiedy się chce sukcesji, trzeba na nią zapracować. — Idziesz, wuju?...

Filip ujrzał okrutne wahanie malujące się na twarzy biednego idjoty, którego oczy przechodziły z Flory na siostrzeńca.

— A, to tak! podjął podpułkownik. Zatem, do widzenia, wuju. — Co do pani, moja panno, całuję pani rączki.

Doszedłszy do drzwi, odwrócił się gwałtownie i podchwycił gest groźby, skierowany przez Florę na Rougeta.

— Wuju, rzekł, jeżeli zechcesz pójść ze mną, zaczekaj na mnie u bramy, idę tylko na dziesięć minut do pana Hochon... Jeżeli dziś nie pójdziemy z sobą na spacer, zobowiązuję się wyprawić na spacer wiele osób.

I Filip minął plac św. Jana, udając się do Hochonów.

Każdy może się domyślić sceny, jaką rewelacja Filipa zgotowała w tej rodzinie. O dziewiątej rano, stary pan Héron zjawił się w do-

mu, uzbrojony w tekę z papierami i zastał w sali ogień, który starzec, wbrew zwyczajowi, kazał rozpalić. Pani Hochon, mimo wczesnej godziny, zupełnie ubrana, siedziała na fotelu koło kominka. Wnukowie, uprzedzeni przez Adolfinę o burzy zbierającej się od wczoraj nad ich głowami, otrzymali rozkaz pozostania w swych pokojach. Wezwani przez Grytę, zeszli do sali, gdzie uderzył ich ceremoniał rozwinięty przez oboje dziadków, których chłód i gniew wisiał nad nimi od dwudziestu czterech godzin.

— Nie wstawaj pan dla nich, rzekł starzec do pana Héron; masz przed sobą dwóch nędzników niegodnych przebaczenia.

— Och! dziadku! rzekł Franciszek.

— Milcz, odparł uroczyście starzec; znam wasze nocne życie i wasze stosunki z panem Maksencjuszem Gilet; ale nie będziecie się już z nim spotykać u mamy Cognette. Opuście natychmiast ten dom, aby się udać każdy na miejsce przeznaczenia. A, więc to wy zrujnowaliście Faria? wyście się otarli nie jeden i nie dwa razy o kryminal?... Milcz, dodał, widząc iż Baruch otwiera usta. Jesteście obaj winni panu Maksencjuszowi pieniądze, któremi, od sześciu lat, zasila waszą rozpustę. Wysłuchacie obaj rachunku z opieki a potem pogadamy. Zobaczycie z tych aktów, czy możecie sobie drwić ze mnie, drwić z rodziny i jej praw zdradzając tajemnice domowe, donosząc panu Maksencjuszowi Gilet o tem co się robi i mówi tutaj... Za tysiąc talarów zostaliście szpiegami; za dziesięć tysięcy zamordowaliście pewnie?... Ale czy już nie zabiliście niemal pani Bridau? Pan Gilet przecie doskonale wiedział, że to Fario pchnął go nożem, wówczas kiedy zrzucił to zabójstwo na mego gościa, Józefa Bridau. Jeżeli szubienicznik dopuścił się tej zbrodni, to dlatego iż dowiedział się przez was o zamiarze pani Agaty pozostania tutaj. Wy, moje wnuki, szpiegami takiego człowieka! Wy, opryszkami!... Czy nie wiecie, że wasz godny herszt, na początku karjery, zamordował już, w r. 1806, biedną młodą istotę? Nie chcę mieć morderców ani złodziejów w rodzinie; spakujecie manatki i pójdziecie pracować na stryczek gdzieindziej!

Młodzi ludzie stali bladzi i nieruchomi jak posągi.

— Proszę, panie Héron, rzekł skąpiec do rejenta.

Starzec odczytał rachunki z opieki, z którego wynikało, iż czysty i płynny majątek dwojga Borniche wynosi siedmdziesiąt tysięcy franków, która to suma przedstawia posag ich matki; ale pan Hochon zaciągnął na rzecz córki dość znaczne pożyczki, i, pod nazwiskami wierzycieli, stał się panem części majątku wnuków. Połowa przypadająca na Barucha, wynosiła dwadzieścia tysięcy.

— Jesteś więc bogaczem, rzekł starzec, bierz swój majątek i radź sobie sam! Co do mnie, pozostaję w prawie zapisania majątku mego i pani Hochon, która podziela w tej chwili moje zapatrywania, komu mi się spodoba. Zostawimy go naszej drogiej Adolfinie: tak, jeżeli zechcemy, wydamy ją za męża za syna para Francji, dziedziczy bowiem wszystkie kapitały.

— Bardzo poważny majątek! rzekł pan Héron.

— Pan Maksencjusz Gilet wam to wynagrodzi, rzekła pani Hochon.

— Warto ciuć grosz do grosza dla takich łajdaków!... wykrzyknął pan Hochon.

— Przepraszam! wybelkotał Baruch.

— *Przepraszam i już nie będę!* powtórzył drwiąco starzec, udając głos dziecka. Jeżeli wam przebaczę, pójdziecie przestrzec pana Maksencjusza o tem co się zdarzyło, aby się miał na baczności... Nie, nie, panicze. Mam sposoby przekonania się, jak będziecie się prowadzić. Jak wy postąpicie, tak i ja postąpię. Osądzę was nie wedle zachowania przez dzień ani przez miesiąc, ale przez kilka lat!... Zdrowie mam, chwalić Boga, dobre, i spodziewam się pożyć jeszcze dość długo, aby się przekonać jak się pokierujecie. Przedewszystkiem tedy, ty, mości kapitalisto, udasz się do Paryża na praktykę bankową do pana Mongenod. Strzeż się, gdybyś próbował zboczyć z drogi, będzie się miało oko na ciebie. Kapitał twój jest u pp. Mongenod i syna; oto masz czek na ten dom na powyższą kwotę. Zatem, bądź łaskaw podpisem swoim zwolnić mnie z rachunków opieki,

rzekł biorąc papier z rąk pana Héron i podając go Baruchowi. — Co do ciebie, Franciszku, nietylko ci się nic nie należy, ale ty mi jesteś winien, rzekł starzec spoglądając na drugiego wnuka. — Panie Héron, odczytaj mu pan rachunek, jest jasny... bardzo jasny.

Czytanie odbyło się wśród głębokiego milczenia.

— Ty udasz się, z pensją sześciuset franków rocznie, do Poitiers, studjować prawo, rzekł dziadek, skoro rejent skończył. Gotowałem ci piękną przyszłość; teraz trzeba zostać kauzyperdą aby zarobić na życie. — Haha! moi hultaje, robiliście ze mnie dudka przez sześć lat! otóż, widzicie, że wystarczyło mi godziny, aby wam odplącić: mam siedmiomilowe buty!

W chwili gdy stary Héron wychodził unosząc podpisane akta, Gryta oznajmiła pułkownika Bridau. Pani Hochon wyszła zabierając do swego pokoju wnuków aby ich wypowiadać, wedle wyrażenia starego Hochon i wysondować jakie wrażenie zrobiła na nich ta scena.

Filip i stary cofnęli się pod okno i rozmawiali półgłosem.

— Zastanawiałem się gruntownie nad stanem waszych interesów, rzekł pan Hochon pokazując dom Rougeta. Rozmawiałem właśnie z panem Héron. Sprzedaży renty może dokonać jedynie posiadacz lub ktoś uppełnomocniony; otóż, od czasu twego pobytu, wuj nie podpisał pełnomocnictwa u żadnego rejenta; że zaś nie opuszczał Issoudun, nie mógł go podpisać gdzieindziej. Jeżeli da pełnomocnictwo tutaj, będziemy o tem wiedzieli natychmiast; jeżeli da je poza obrębem miasta, będziemy wiedzieli również, musi być bowiem zarejestrowane, a zacny pan Héron ma sposoby dowiedzenia się o tem. Gdyby zatem biedaczysko wydalil się z Issoudun, staraj się go śledzić, dowiedz się gdzie się udał a potrafiemy dowiedzieć się co tam robił.

— Pełnomocnictwa dotąd nie dał, rzekł Filip; pracują wprawdzie nad tem, ale mam nadzieję iż potrafię sprawić aby go nie udzielił i nie u-dzie-li go z pe-wno-ścią! wykrzyknął żołdak spostrzegając wuja w progu i pokazując go panu Hochon, któremu zarazem

wyłożył zwięźle wydarzenia, małe i wielkie zarazem, zaszłe podczas dzisiejszych odwiedzin. — Maksencjusz boi się mnie, ale nie zdoła mnie uniknąć. Mignonet powiedział mi, że wszyscy oficerowie obchodzą co roku w Issoudun rocznicę koronacji cesarza; zatem, od dziś za dwa dni, spotkamy się z jegomością.

— Jeżeli będzie miał w ręku prokurację 1-go grudnia rano, siądzie na pocztę, aby się udać do Paryża, i puści kantem rocznicę...

— Ba! chodzi o to aby upilnować wujaszka; ale ja mam w spojrzeniu coś takiego, co przykuwa do ziemi ciemiegów, rzekł Filip przyprawiając pana Hochon o drżenie strasznym wyrazem oczu.

— Jeżeli pozwolili mu iść z tobą na spacer, Maksencjum musi mieć w ręku pewność wygranej, zauważył stary.

— Hoho! Fario czuwa, i nie on jeden. Ten Hiszpan odkrył mi w okolicach Vatan jednego z mych dawnych żołnierzy, któremu oddałem niegdyś przysługę. Bez niczyjej wiedzy, Benjamin Bourdet jest pod komendą Hiszpana, który oddał własnego konia do jego dyspozycji.

— Jeśli zabijesz potwora który znieprawił mi wnuków, przynajmniej iż spełnisz dobry uczynek.

— Dzisiaj, dzięki mnie, całemu Issoudun wiadomo jest, co pan Maksencjusz robił po nocach od sześciu lat, odparł Filip. I języki, jak wy tu mówicie, wzięły go ostro na pytel. Moralnie, już jest zgubiony!...

Gdy Filip wyszedł, Flora pośpieszyła do pokoju Maxa aby mu opowiedzieć najdrobniejsze szczegóły wizyty.

— Co czynić? rzekła.

— Zanim dojdziemy do ostatniego sposobu, którym będzie pojedynek z tym truposzem, odparł Max, trzeba zagrać w cetno i lichu próbując heroicznego środka. Pozwól staremu idjocie iść na spacer z siostrzeńcem.

— Ale ten drab nie rozumie się na delikatności, wykrzyknęła Flora, osmaruje nas ile się zmieści.

— Słuchaj-że, rzekł Maksencjusz ostrym głosem. Czy myślisz,

że ja nie słucałem pod drzwiami, że nie zastanowiłem się nad naszą pozycją? Poślij po konia i po wózek do ojca Cognet: będzie nam ich trzeba w tej chwili! wszystko musi być gotowe w pięć minut. Spakuj rzeczy, zabierz kucharkę i jedź do Vatan, roztasuj się tam niby na stałe, zabierz dwadzieścia tysięcy franków które ma w kantorku. Jeśli ci przywlokę starego do Vatan, nie zgodzisz się wrócić tutaj aż po podpisaniu pełnomocnictwa. Ja pomknę do Paryża, gdy ty udasz się z nim do Issoudun. Kiedy, wróciwszy z przechadzki, Rouget nie zastanie cię w domu, straci głowę, zechce gonić za tobą... Wówczas, ja podejmuję się z nim pomówić...

Podczas tego spisku, Filip ujął wujka pod ramię i skierował się wolno w stronę bulwaru.

— Oto dwaj gracze zmierzają się oko w oko, rzekł do siebie stary Hochon wiodąc oczami za pułkownikiem. Ciekaw jestem końca tej partji, której stawka wynosi dziewięćdziesiąt tysięcy franków renty.

— Drogi wuju, rzekł do wujka Filip z zacięciem trącając jego paryską przeszłością, kochasz tę dziewczynę i masz djabelnie słuszną: ładna jest że paluszki lizać! Zamiast być przed tobą na czterech łapkach, komenderuje tobą jak parobkiem, w tem niema również nic dziwnego; czeka tylko chwili w której wyciągniesz kopytka, tak jej pilno wyjść za Maksencjusza którego ubóstwia...

— Tak, wiem o tem, Filipku, ale i tak ją kocham.

— A zatem, na żywot mojej matki która jest twoją rodzoniu-
teńką siostrą, odparł Filip, poprzysiągłem iż uczynię *Mąciwodę*
miękką jak rękawiczka, taką jaką pewnie była, nim ten ladaco, nie-
godny służyć w gwardji cesarskiej, wcisnął się do twego domu.

— Och, gdybyś mógł to uczynić! rzekł starzec.

— To bardzo proste, odparł Filip przerywając, zabiję Maksen-
cjusza jak psa... Ale... pod pewnym warunkiem... dodał żołdak.

— Jakim? spytał stary Rouget, patrząc na Filipa ogłupiałym
wzrokiem.

— Nie podpisuj, wuju, pełnomocnictwa, którego żądają od cie-
bie, przed 3-cim grudnia, ociągaj się, zwlekaj do tego czasu. Ta para

oprysków czyha na prawo sprzedania twoich pięćdziesięciu tysięcy renty, aby w te pędy pobrać się w Paryżu i hulać tam za twój milionik...

— Boję się tego, odparł Rouget.

— Więc dobrze, co bądźby ci ktoś perswadował, odłóż prokurację do następnego tygodnia.

— Tak; ale kiedy Flora mówi do mnie, dzieje się we mnie coś takiego iż rozum wprost tracę. Wiesz, kiedy popatrzy na mnie tak jak ona umie, jej niebieskie oczy wydają mi się rajem, nie panuję już nad sobą, zwłaszcza jeżeli mnie trzyma na pokucie od kilku dni.

— Więc dobrze, jeżeli będzie robić słodkie minki, przyrzeknij tylko prokurację i uprzedź mnie w wilję podpisu. To mi wystarczy: Maksencjusz nie będzie twoim mandatarjuszem, chyba mnie wprzód zabije. Jeśli ja zabiję jego, weźmiesz mnie do domu w jego miejsce, i przyrzekam ci wytresować tę ślicznotkę tak, że będzie jadła z ręki. Tak, Flora będzie cię kochała, do kroćset bomb! lub, jeśli nie będziesz z niej zadowolony, oćwiczę ją jak sukę.

— Och, nie, nie to. Każdy raz wymierzony Florze, przeszyłby mi serce.

— Ba, to jedyny sposób prowadzenia kobiet i koni. W ten tylko sposób budzi mężczyzna lęk, miłość i szacunek. Oto co chciałem ci, wuju, włożyć w mózgownicę. — Dzień dobry, panowie, rzekł do Mignoneta i Carpentiera, prowadzę wuja na spacer, jak panowie widzicie i staram się go wychować. Trudno, żyjemy w wieku, w którym dzieci zmuszone są wychowywać rodziców.

Wymieniono ukłony.

— Widzicie panowie w tym starcu skutki opłakanej namiętności, ciągnął pułkownik. Chcę go ograbić i puścić z kwitkiem; wiecie, kogo mam na myśli. Pocziwina zdaje sobie sprawę ze spisku, ale nie ma siły aby się obejść kilka dni bez *niani*.

Filip wyłożył jasno położenie, w jakim znajdował się stary Rouget.

— Panowie, dodał wreszcie, widzicie że jest tylko jeden sposób

oswobodzenia wujaszka; albo pułkownik Bridau zabije majora Gilet, albo major Gilet pułkownika Bridau. Obchodzimy pojutrze koronację cesarza; liczę na panów, iż ułożycie miejsca na bankiecie w ten sposób, abym znalazł się naprzeciw majora. Uczynicie mi, mam nadzieję, ten zaszczyt, aby być mymi świadkami.

— Zamianujemy cię, pułkowniku, prezydentem i zajmiemy miejsca przy tobie. Max, jako wice-przewodniczący, będzie siedział naprzeciwko, rzekł Mignonet.

— Och, ten ladaco będzie miał za sobą majora Potel i kapitana Renard, rzekł Carpentier. Mimo wszystko co mówią w mieście o nocnych wyprawach Maxa, ci dwaj godni ludzie byli już raz jego świadkami, pozostaną mu wierni...

— Widzisz, wuju, że wszystko się układa; toteż, nie podpisuj nic przed 3-cim grudnia; nazajutrz będziesz wolny, szczęśliwy, kochany przez Florę, bez korpusu pomocniczego.

— Ty go nie znasz, Filipie, rzekł starzec przestraszony. Max zabił już dziewięciu ludzi w pojedynku.

— Tak, ale wtedy nie chodziło o kradzież stu tysięcy franków renty, odparł Filip.

— Gdy sumienie nieczyste, i ręka niepewna, rzekł sentencjonalnie Mignonet.

— Za kilka dni, odparł Filip, będziecie sobie żyli z *Mąciwodą* niby dwa gołąbki, skoro raz minie jej żałoba. Będzie się więc jak robak, będzie skomleć, wylewać łzy, ale... pozwól wodzie płynąć.

Dwaj wojskowi poparli argumentację Filipa i silili się dodać serca Rougetowi, przechadzając się z nim blisko dwie godziny. Wreszcie, Filip odprowadził wuja, i jako ostatnie słowo, rzucił:

— Nie postanawiaj, wuju, nic bezemnie. Znam kobiety; miałem jedną, która kosztowała mnie drożej niż kiedykolwiek Flora będzie cię kosztowała!... Toteż, na resztę dni, nauczyła mnie postępować z pięcią piękną tak jak na to zasługuje. Kobiety to są złe dzieci, to zwierzęta niższe od człowieka; trzeba by się nas bały, niema bo-

wiem dla nas straszniejszej klęski, niż dostać się pod władzę tych bydląt!

Była blisko druga, kiedy nieborak wrócił do domu. Kuski otworzył drzwi płacząc, lub też, w myśl rozkazów Maxa, udając że płacze.

— Co się stało? spytał Jan Jakób.

— Ach, proszę pana, nasza pani wyjechała z kucharką.

— Wy...je...chała? rzekł starzec zduszonym głosem.

Cios był tak gwałtowny, że Rouget przysiadł na stopniach. W chwilę potem, podniósł się, zajrzał do sali, do kuchni, zaszedł do siebie, obszedł wszystkie pokoje, wrócił do sali, padł na fotel i zalał się łzami.

— Gdzie jest? wołał szlochając. Gdzie Flora? Gdzie Max?

— Nie wiem, odparł Kuski. Pan major wyszedł nic mi nie mówiąc.

Gilet, prowadzący całą grę w sposób nader zręczny, uznał za właściwe przytaić się na mieście. Zostawiając starca samego w pierwszej rozpacz, dał mu uczuć jego opuszczenie i uczynił go tem samem podatnym dla swych podszeptów. Zarazem, chcąc zapobiec by Filip nie zajął się wujem w ciągu tego przesilenia, Max zalecił Kuskiemu aby nie otwierał bezwarunkowo nikomu. Z nieobecnością Flory, starzec tracił wszelkie wędzidło i hamulec: sytuacja stawała się krytyczna. Podczas przechadzki, Gilet zauważył, iż unika go wiele osób, które wczoraj jeszcze skwapliwie byłyby mu ścisnęły rękę. Dawała się uczuć powszechna reakcja na jego niekorzyść.

Sprawki Rycerzy Bezrobocia zajmowały wszystkie języki. Aresztowanie Józefa Bridau, obecnie wyjaśnione, rzucało cień na Maxa, którego życie i czyny osądzono, w ciągu jednego dnia, wedle ich wartości. Gilet spotkał majora Potel, który go szukał, wzburzony do ostatecznych granic.

— Co tobie, Potel?

— Mój drogi, gwardję cesarską wzięły sobie za strawę języki całego miasta!... *Cywile* dobierają się do ciebie, a mnie wywracają się bebecchy od tego.

— O cóż im chodzi? spytał Max.

— O to co robiłeś po nocach.

— Jakgdyby nie było wolno zabawić się trochę!...

— I, głupstwo!...

Potel należał do tego typu oficerów, którzy odpowiadali burmistrzowi: „No, więc cóż, zapłaci się wam wasze miasto, jeśli się je spali“. Toteż, wybryki rycerzy Bezrobocia wzruszały go bardzo umiarkowanie.

— Co jeszcze? rzekł Gilet.

— Gwardja przeciw gwardji! serce mi się rozdziera. To Bridau rozpętał przeciw tobie wszystkich łyków. Gwardja przeciw gwardji!... nie, to nie jest w porządku. Nie możesz się cofnąć Max, trzeba się zmierzyć z tym Bridau. Ot, doprawdy, miałbym ochotę poszukać sprzeczki z tem ścierwem i rozciągnąć go: przynajmniej wtedy mieszcuchy nie patrzyłyby na to, że gwardja staje przeciw gwardji. Na wojnie, nie mówię: dwóch zuchów z gwardji posprzecza się, to się i biją; niema tam *cywilów*, żeby sobie nimi pyski wycierali. Nie, ten ladaco nigdy nie służył w gwardji. Gwardzista nie postępuje sobie w ten sposób z drugim gwardzistą, wobec cywilów! Nie, źle się dzieje z gwardją, i to jeszcze w Issoudun! gdzie ją na rękach noszono!...

— Słuchaj, Potel, nie bój się o nic, odparł Maksencjusz. Gdybyś mnie nawet nie ujrzał na bankiecie w rocznicę...

— Miałbyś się nie stawić pojutrze?... wykrzyknął Potel. Ależ, czy ty chcesz uchodzić za tchórza? chcesz dać pozór do przypuszczeń że uciekasz przed tym Bridau? Nie, nie! Piesi grenadjerowie gwardji nie powinni cofać się przed dragonami gwardji. Urządź się inaczej, ale bądź koniecznie!...

— Jeszcze jeden kandydat na nieboszczyka! rzekł Max. Ostatecznie, sądzę że mogę być, a załatwić swoje sprawy inaczej! — Hm, rzekł sobie w duchu, w gruncie rzeczy, lepiej aby pełnomocnictwo nie było na moje imię. Jak powiedział stary Héron, toby nadto trąciło czemś podobnem do kradzieży.

Lew, zaplątany w sieci Filipa, zgrzytnął zębami; unikał spojrzeń i wrócił przez bulwar mówiąc sam do siebie:

— Nim stanę do pojedynku, będę miał w garści rentę, mruzczał. Jeśli zginę, Filip bodaj nie zobaczy z niej ani szeląga. Każę przepisać wszystko na imię Flory. Wedle moich instrukcyj, dziewczyna pomknie prosto do Paryża, gdzie, jeżeli zechce, będzie mogła zasłużyć jakiegoś syna po marszałku Cesarstwa, który znajdzie się w bryndzy. Każę wystawić prokurację na imię Barucha, który przeniesie ją tylko na moje zlecenie.

Max, trzeba mu oddać sprawiedliwość, nigdy nie był spokojniejszy na zewnątrz, niż kiedy krew jego i myśli kipiały. Toteż, nigdy może nie zeszyły się u żołnierza w tak wysokim stopniu właściwości które tworzą wielkiego generała. Gdyby niewola nie przerwała jego kariery, z pewnością cesarz byłby znalazł w tym chłopcu jednego z ludzi tak potrzebnych dla swych szerokich planów. Wchodząc do sali, gdzie wciąż płakała ofiara tych scen tragicznych i komicznych zarazem, Max spytał o przyczynę rozpacz; udął zdziwienie, nie wiedział o niczem! Z dobrze odegranem zdumieniem usłyszał o wyjeździe Flory, zaczął wypytywać Kuskiego o cel niezrozumiałej podróży.

— Pani zleciła mi, rzekł Kuski, powiedzieć panu, że wzięła z kantorka dwadzieścia tysięcy w złocie, które tam znalazła. Myślała niby, że pan nie odmówiłby jej tej sumy, którą policzyła sobie jako zasługi, niby od dwudziestu dwóch lat.

— Zasługi? zapytał Rouget.

— Tak, odparł Kuski. „Och! już nie wróć! mówiła do Agnieszki, niby kiedy odjeżdżała (poczciwa Agnieszka która bardzo jest oddana panu, chciała panią ułagodzić). Nie, nie! niby mówiła, on nie ma dla mnie najmniejszego przywiązania, pozwolił siostrzeńcowi aby się obszedł ze mną jak z ostatnią“... I płakała pani... że litość była patrzeć.

— Ech, drwię sobie z Filipa, wykrzyknął Rouget, któremu:

Maksencjusz przyglądał się z pod oka. Gdzie Flora? Jak się dowiedzieć gdzie ona jest?

— Filip, którego radami się kierujesz, pomoże panu, odparł chłodno Maksencjusz.

— Filip! rzekł starzec, i cóż Filip tu poradzi?... Jedyne ty, mój dobry Maxie, potrafisz znaleźć Florę, pójdzie za tobą, przyprowadzisz ją z powrotem...

— Nie chcę wejść w zatarg z panem Bridau, rzekł Max.

— Ech, wykrzyknął Rouget, jeżeli o to ci tylko chodzi, toć on przyrzekł mi że cię zabije.

— Ba! wykrzyknął Gilet śmiejąc się, zobaczymy.

— Mój najdroższy, rzekł starzec, znajdź Florę i powiedz jej, że zrobię wszystko co zechce...

— Musiano ją gdzieś widzieć w mieście jak przejeżdżała, rzekł Maksencjusz do Kuskiego; podaj obiad, postaw wszystko na stole i biegnij wpytać się ulica po ulicy, iżbyś nam mógł powiedzieć przy deserze, w którą stronę udała się panna Brazier.

Ten rozkaz uspokoił na chwilę nieboraka, który jęczał jak dziecko gdy zgubi piastunkę. W tej chwili, Maksencjusz, którego Rouget nienawidził jako przyczynę swych nieszczęść, wydawał mu się aniołem. Namiętność taka jak Rougeta dla Flory zadziwiająco przypomina dzieciństwo. O szóstej, Polak, który poprostu przechadzał się po mieście, wrócił i oznajmił, że *Mąciwoda* udała się do Vatan.

— Pani wraca do swoich stron, to jasne, rzekł Kuski.

— Chce pan jechać dziś wieczór do Vatan? rzekł Max do starca. Droga nietęga, ale Kuski umie powozić, a będzie ci może milej pojednać się z Florą dziś wieczór niż jutro rano.

— Jedźmy! wykrzyknął Rouget.

— Zaprzęgnij po cichu, i staraj się aby miasto nie wiedziało o tych głupstwach, przez szacunek dla pana Rouget. Osiodłaj najpierw, pojedę przodem, rzekł do ucha Kuskiego.

Pan Hochon uwiadomił już o wyjeździe Flory Filipa Bridau, który zerwał się od stołu u pana Mignonet aby pobiec na plac św. Ja-

na; zgadywał bowiem doskonale cel tego zręcznego manewru. Kiedy Filip zjawił się pod domem wuja, Kuski oznajmił przez okno, że pan Rouget nie może przyjąć nikogo.

— Fario, rzekł Filip do Hiszpana, który przechadzał się nad rzeką, śpiesz powiedzieć Benjaminowi aby wsiadł na konia; konieczne muszę wiedzieć, co się stanie z wujem i z Maksencjuszem.

— Zaprzęgają do berlinki, rzekł Fario, który śledził dom.

— Jeśli jadą do Vatan, znajdź mi drugiego konia i wracaj z Benjaminem do pana Mignonet.

— Co zamierzasz czynić? rzekł pan Hochon, który wyszedł z domu, widząc Filipa i Faria na placu.

— Talent generała, drogi panie Hochon, polega nietylko na tem, aby obserwować ruchy nieprzyjaciela, ale także aby odgadywać jego intencje i ciągle zmieniać plan w miarę jak nieprzyjaciel skrzyżuje go niespodzianym zwrotem. Ot, jeżeli wuj i Maksencjusz wsiadą razem do berlinki, śpieszą do Vatan; Maksencjusz przyrzekł pojednać go z Florą, która *fugit ad salices!* ten manewr bowiem jest pomysłu generała Wirgiljusza. Jeżeli sprawa obróci się w ten sposób, nie wiem co uczynię, ale będę miał noc przed sobą, wuj bowiem nie podpisze pełnomocnictwa o dziesiątej wieczór: o tej porze rejenci już chrapią. Jeżeli, jak o tem świadczyłoby prychanie drugiego konia, Max ma zamiar udzielić Florze instrukcji wyprzedzając wuja, co wydawałoby się równie wskazane jak prawdopodobne, ladaco przepadł z kretesem! zobaczysz pan, jak bierzemy rewanż w partji o sukcesję, my starzy żołnierze... Że zaś na to ostatnie pociągnięcie trzeba mi świadka, wracam do Mignoneta, aby się tam porozumieć z moim przyjacielem Carpentier.

Uściskawszy rękę panu Hochon, Filip podążył wzdłuż rzeki, udając się do pana majora. W dziesięć minut później, pan Hochon ujrzał Maksencjusza odjeżdżającego w galopie. Ciekawość starca wzmogła się do tego stopnia, iż stał nieruchomo w oknie, czekając na turkot starej landary, który też niebawem dał się słyszeć. Niecierpliwosć Jana Jakóba kazała mu śpieszyć za Maksencjuszem w niespełna

dwadzieścia minut. Kuski, zapewne z rozkazu swego prawdziwego pana, jechał stępa, przynajmniej w mieście.

— Jeśli pojedą do Paryża, wszystko stracone, pomyślał pan Hochon.

W tej chwili, mały urwis z rzymskiej dzielnicy przybył do domu pana Hochon, przynosząc list do Barucha. Obaj wnuki starego kutwy, markotni od rana, z własnego popędu nałożyli sobie areszt domowy. Zastanawiając się nad przyszłością, ocenili, jak oględnie powinni sobie poczynać z obojgiem dziadków. Baruch nie mógł być nieświadom wpływu, jaki dziadek posiadał na starych Borniche; niewątpliwie pan Hochon umiałby się postarać o to, aby wszystkie kapitały Borniche'ów przeszły na Adolfinę, w razie gdyby postępowanie chłopca skłoniło ich do przeniesienia ambicij rodziny na świetne małżeństwo wnuczki, jakim zagrożono mu dziś rano. Bogatszy od Franciszka, Baruch miał więcej do stracenia, był tedy za bezwzględny poddaniem się, za jedyny warunek kładąc spłacenie Maxa. Co do Franciszka, przyszłość jego była w rękach dziadka, spodziwał się majątku jedynie z jego łaski, skoro, wedle rachunków opieki, był jego dłużnikiem. Obaj młodzi ludzie, których skruczę podsycalo niebezpieczeństwo, złożyli tedy uroczyste zapewnienia, pani zaś Hochon uspokoiła ich co do zobowiązań względem Maksencjusza.

— Narobiliście głupstw, rzekła; naprawcie je wzorowem prowadzeniem się, a dziadek ułagodzi się z czasem.

Toteż, skoro Franciszek przeczytał przez ramię Barucha list, rzekł półgłosem:

— Poradz się dziadka.

— Proszę dziadzi, rzekł Baruch przynosząc list starcowi.

— Przeczytaj, nie mam tutaj okularów.

„Drogi przyjacielu!

„Mam nadzieję, iż, w ważnym momencie który przechodzę, nie zawahasz się oddać mi przysługi, przyjmując rolę pełnomocnika

pana Rouget. Bądź zatem w Vatan jutro o dziewiątej. Zapewne wysłę cię do Paryża, ale bądź spokojny, dam ci pieniądze na drogę i pośpieszę szybko za tobą, jestem bowiem prawie pewien, iż trzeba mi będzie opuścić Issoudun trzeciego grudnia. Do widzenia, liczę na twoją przyjaźń, jak ty możesz liczyć na moją.

Maksencjusz“.

— Bogu chwała! rzekł pan Hochon, sukcesja biednego głuptasa ocalona z tych pazurów!

— Wierzę, iż sprawdzą się twoje słowa, mężu, rzekła pani Hochon, i dzięki składam Bogu, który bezwątpienia wysłuchał mych modłów. Tryumf złych jest zawsze nietrwały.

— Pojedziesz do Vatan, przyjmiesz prokurację pana Rouget, rzekł starzec do Barucha. Chodzi im o to, aby umieścić pięćdziesiąt tysięcy franków renty na imię panny Brazier. Pojedziesz w stronę Paryża, ale zatrzymasz się w Orleanie, gdzie zaczekasz na moje zlecenia. Nie zdradzaj nikomu miejsca gdzie zajedziesz, stań w ostatniej gospodzie w dzielnicy Bannier, choćby to była najlichsza oberża...

— Hoho! rzekł Franciszek, którego turkot powozu sprowadził do okna, znów nowy obrót rzeczy: ojciec Rouget i pan Filip Bridau wracają razem w berlince, Benjamin i pan Carpentier za nimi konno!...

— Idę tam, wykrzyknęła pani Hochon, u którego ciekawość wzięła górę nad wszelkiem innym uczuciem.

Pan Hochon zastał starego Rouget, piszącego w swoim pokoju list, który siostrzeniec mu dyktował:

„Do panny Flory Brazier.

„Jeżeli, natychmiast po przeczytaniu tego listu, nie wsiądziesz na bryczkę aby wrócić do domu, postępowanie twoje będzie świadczyło o takiej niewdzięczności, iż odwołam testament uczyniony na twoją korzyść i oddam cały majątek siostrzeńcowi memu Filipowi.

Zrozumiesz także, że pan Gilet, skoro znalazł się z tobą w Vatan, nie może być nadal moim domownikiem. Proszę kapitana Carpentier o oddanie niniejszego listu i liczę na to, iż usłuchasz jego rad, wszystko bowiem co ci powie, będzie wyrazem życzeń twego przywiązanego

J. J. Rouget“.

— Kapitan Carpentier i ja *spotkali*śmy wuja, który popełniał właśnie to głupstwo, iż jechał do Vatan szukać panny Brazier i majora Gilet, rzekł z głęboką ironją Filip do pana Hochon. Wy tłumaczyłem wujowi, iż pędzi poprostu na oślep w zastawioną pułapkę: czyż ta dziewczyna nie rzuci go natychmiast, z chwilą gdy podpisze prokurację, którą chce z niego wydusić? Natomiast, wysyłając ten list, ma wszelkie widoki ujrzeć jeszcze dziś wieczór pod swym dachem piękną uciekinierkę... Przyrzekam uczynić pannę Brazier gietką jak trzcina na resztę życia, jeżeli wuj pozwoli mi zająć miejsce pana Gilet, który wydaje mi się tu grubo nie na miejscu. Czy mam słusność?... I wuj jeszcze rozpacza!

— Mój sąsiedzie, rzekł pan Hochon, obrałeś najlepszy sposób aby zyskać spokój w domu. Jeżeli zechcesz mnie posłuchać, zniszczysz testament, a ujrzysz Florę znowu tem, czem była w początkach.

— Nie, ona mi nigdy nie przebaczy przykrości jaką jej sprawię, rzekł starzec płacząc, nie będzie mnie już kochać.

— Będzie kochać, i siarczyście, biorę to na siebie, rzekł Filip.

— Ależ otwórzże oczy! rzekł pan Hochon do Rougeta. Chcą cię ograbić i porzucić...

— Och, gdybym był tego pewny!... wykrzyknął niedołęga.

— Patrząc pan, oto list Maksencjusza do wnuka mego Barucha, rzekł stary Hochon. Czytaj!

— Cóż za zgroza! wykrzyknął Carpentier, wysłuchawszy listu, który Rouget odczytał płacząc.

— Czy to dość jasne, wuju? spytał Filip. Ot, trzymaj tę dziew-

czynę, pokazując jej z daleka nadzieję testamentu, a będzie cię ubóstwiać... to jest o tyle o ile, oczywiście.

— Zanadto kocha Maksencjusza, opuści mnie, rzekł starzec widocznie przestraszony.

— Drogi wuju, jeden z nas, Maksencjusz lub ja, pojutrze przestanie chodzić po ulicach Issoudun...

— Więc dobrze, panie Carpentier, rzekł nieborak, jeżeli mi pan przyrzekasz że ona wróci, jedź pan! Jesteś uczciwym człowiekiem, powiedz jej w moim imieniu co będziesz uważał za właściwe...

— Kapitan Carpentier niech szepnie jej do ucha, że zamysłam sprowadzić z Paryża kobietę, przy której może się schować co do młodości i urody, rzekł Filip Bridau, a szelmeczka przypędzi tu galopem!

Kapitan pojechał, powożąc sam starą landarę; towarzyszył mu konno Benjamin, Kuskiego bowiem niesposób było odnaleźć. Mimo iż dwaj oficerowie zagrozili mu sądem i utratą miejsca, Polak umknął na wynajętym koniu do Vatan, aby oznajmić Maksencjuszowi i Florze o zamachu dokonany przez przeciwnika. Spełniwszy swą misję, Carpentier, który nie chciał wracać z *Mąciwodą*, miał wziąć konia Benjamina.

Dowiedziawszy się o ucieczce Kuskiego, Filip rzekł do wiarusa:

— Od dziś wieczór zajmiesz miejsce Polaka. Staraj się zatem ucześcić za karocą bez wiedzy Flory, tak aby się znaleźć tutaj równocześnie z nią. — Wszystko się klaruje, papo Hochon! rzekł podpułkownik. Pojutrze, będziemy mieli wesoły bankietek.

— Sprowadzisz się tutaj? spytał stary skąpiec.

— Właściem polecił Fariowi, aby mi przysłał rzeczy. Będę spał w pokoju, którego drzwi wychodzą wprost kwatery majora Gilet, wuj gadza się na to.

— Co będzie z tego wszystkiego? rzekł niedołęga przestraszony.

— To, iż panna Brazier zjawi się tu w ciągu czterech godzin, łagodna jak baranek, odparł pan Hochon.

— Dałby Bóg! rzekł nieborak ocierając łzy.

— Jest siódma, rzekł Filip, królowa naszego serca będzie tu około wpół do dwunastej. Nie zobaczy już wujaszek Gileta: czyś nie powinien skakać pod sufit z uciechy?

— Jeżeli pan chce mi dopomóc, dodał Filip do ucha pana Hochon, zostań z nami aż do przybycia tej małpy, pomożesz mi utrzymać idjotę w jego postanowieniu; później, we dwóch zdołamy objaśnić *Mąciwodzie* jej prawdziwą rolę.

Pan Hochon dotrzymał Filipowi towarzystwa, uznając słusność jego prośby; ale mieli obaj niełatwe zadanie: Rouget lamentował jak dziecko. Uspakajał go na chwilę jedynie argument wciąż powtarzany przez Filipa:

— Mój wuju, jeżeli Flora wróci i jeżeli będzie dla ciebie słodka jak cukier, uznasz że miałem słusność. Będziesz opływał jak pączek w maśle, zachowasz swą rentę, będziesz się trzymał na przyszłość moich rad i wszystko pójdzie jak w raju.

Kiedy, o w pół do dwunastej, dał się słyszeć turkot, zachodziło pytanie czy powóz wraca z kimś, czy próżny. Twarz Rougeta jawiła wyraz straszliwego lęku, który ustąpił wzruszeniu radości, kiedy, w chwili gdy powóz skręcał, ujrzął w nim obie kobiety.

— Kuski, rzekł Filip podając Florze rękę i pomagając jej wsiąść, nie jesteś już w służbie pana Rouget, nie będziesz tu spał dziś wieczór, spakuj manatki; Benjamin zajmie twoje miejsce.

— Pan tedy rozkazuje tutaj? rzekła Flora z ironją.

— Za pozwoleniem panny, odparł Filip ściskając rękę Flory niby w żelaznych kleszczach. Proszę ze mną! musimy zrobić małeńki rachunek sumienia.

Filip pociągnął zdumioną kobietę o kilka kroków od domu na plac św. Jana.

— Moja ślicznotko, pojutrze Gilet znajdzie się na trzy stopy pod ziemią, wtrącony przez to ramię, rzekł żołdak wyciągając prawą

rękę, lub też on załatwi się w podobny sposób ze mną. Jeżeli zginę, będziesz panią w domu tego biednego idjoty: *bene sit!* Jeżeli zostanie na nogach, wówczas rychnuj się, prezentuj broń i pilnuj się aby starowina był obsłużony jak należy. Inaczej, znam w Paryżu tuziunami inne *Mąciwody*, które, nie ubliżając panie, ładniejsze są od ciebie, bo mają dopiero po siedmnaście lat; dadzą wujaszкови szczęścia po dziurki w nosie, a będą pilnowały moich interesów. Bierz się do służby od dziś wieczora; jeżeli jutro biedaczysko nie będzie wesół jak szczygiełek, powiem ci jedno słowo, posłuchaj dobrze! Jest tylko jeden sposób zabicia mężczyzny tak aby świetny sąd nie miał nic do gadania, mianowicie bić się z nim w pojedynku; ale znam aż trzy sposoby aby sprzątnąć kobietę. Tyle chciałem ci powiedzieć, moja panno!

Podczas tego przemówienia, Flora drżała jak w napadzie febry.

— Zabić Maxa?... rzekła patrząc na Filipa w świetle księżycy.

— Cicho sza, nadchodzi wujaszek...

W istocie, ojciec Rouget, mimo wszystkich perswazyj Hocho-na, wyszedł na ulicę. Ujął Florę za rękę, niby skąpiec odbierający swój skarb; wrócił do domu, wprowadził ją do swego pokoju i tam się zamknął.

— Nie graj Wojtek, nie przegrasz kapelusza, rzekł Benjamin do Polaka.

— Mój pan nauczy was wszystkich gwizdać po kościele, odparł Kuski, spiesząc do Maxa, który stanął w hotelu *Pocztowym*.

Nazajutrz, między dziewiątą a jedenastą, Issoudeńskie kumoszki wymieniały przed bramami swoje uwagi. W całym mieście mówiono tylko o nieoczekiwanej rewolucji zaszłej poprzedniego dnia w gospodarstwie ojca Rouget. Konkluzja brzmiała wszędzie jednak:

— Co zajdzie jutro, na bankiecie koronacyjnym między Maxem a pułkownikiem Bridau?

Filip rzucił Agnieszce dwa słowa: „Sześćset franków dożywocia,

lub fora ze dwora!“ które, wśród dwu potęg tak groźnych jak Filip i *Mąciwoda*, skłoniły ją, na tę chwilę, do neutralności.

Wiedząc iż życie Maxa jest w niebezpieczeństwie, Flora stała się wobec starego Rouget słodsza niż w pierwszych dniach ich sta-
dła. Niestety! w miłości, interesowne oszukaństwo wyższe jest od
prawdy, dlatego tylu mężczyzn opłaca tak drogo zrzęczne mamiciel-
ki. *Mąciwoda* zeszła dopiero na śniadanie, wraz z Rougetem, któ-
rego prowadziła pod rękę. Łzy stanęły jej w oczach, skoro w miej-
sce Maxa, ujrzała straszliwego żołdaka z ołowianemi oczyma, z zim-
ną i złowrogą twarzą.

— Cóż to pannie? spytał, przywitawszy się z wujem.

— Nie może znieść myśli, abyś ty miał się bić z majorem Gilet.

— Nie mam najmniejszej ochoty zabijać pana Gilet, odparł
Filip; niech się poprostu wynosi z Issoudun, niech się puści do Ame-
ryki z ładunkiem towarów, a pierwszy doradzę wujowi, aby mu uła-
twił zakupy i życzył dobrej podróży! Zrobi tam majątek, i to mu
przyniesie więcej zaszczytu niż płać psikusy po nocy w Issoudun
i rządzić się w cudzym domu.

— No i cóż, ładny projekt? rzekł Rouget patrząc na Florę.

— Do A... me... ry... ki! odparła szlochając.

— Lepiej spacerować na nogach po Nowym Yorku, niż gnić
we Francji w sosnowej trumience... Zresztą, powiedz sobie panna,
że i on jest tęgi rębacz: może on mnie zabić, zauważył pułkownik.

— Czy pozwoli mi pan z nim pomówić, rzekła Flora z pokorną
i nieśmiałą prośbą.

— Oczywiście, może tu przyjść po swoje manatki; ale ja będę
przy wuju cały ten czas, nie zostawię już nieboraka samego, odparł
Filip.

— Védie, krzyknęła Flora, leć, dziecko, do *Pocztowego* i po-
wiedz majorowi, że go proszę aby...

— Aby przyszedł zabrać manatki, rzekł Filip, przerywając.

— Tak, tak, Védie. To będzie najprzyzwoitszy sposób aby
zajść do mnie, chcę z nim pomówić.

Strach dławiał u tej dziewczyny nienawiść! Wstrząśnienie, którego Flora, dotychczas otoczona pochlebstwem i czołobitnością, doznała spotykając silną i bezlitosną naturę, było tak mocne, iż przyzwyczała się uginać przed Filipem, jak biedny Rouget nawykł uginać się przed nią. Czekwała z niepokojem powrotu kucharki; ale ta wróciła z formalną odmową Maxa, który prosił pannę Brazier, aby odesłała rzeczy do *Pocztowego*.

— Czy pozwoli pan, abym mu je zanosła? rzekła do Jana Jakóba.

— Tak, ale wrócisz? rzekł starzec.

— Jeżeli panna nie wróci do południa, o pierwszej da mi wuj pełnomocnictwo na sprzedaż renty, rzekł Filip patrząc na Florę. — Niech panna weźmie z sobą służącą dla zachowania pozorów. Trzeba będzie odtąd pilnie dbać o honor mego wuja.

Flora nie zdołała nie uzyskać u Maksencjusza. Major, w rozpaczy iż dał się wysadzić z pozycji zohydzonej w oczach całego miasta, zbyt był dumny aby uciekać przed Filipem. *Mąciwoda* zwalczała to postanowienie, oświadczając kochankowi gotowość towarzyszenia mu do Ameryki. Gilet, który nie łaknął bynajmniej Flory bez majątku starego Rouget, ale nie chciał się zdradzić przed dziewczyną, upierał się w zamiarze zabicia Filipa.

— Popelniliśmy ciężkie głupstwo, rzekł. Trzeba nam było jechać wszystkim trojgu do Paryża na całą zimę; ale jak można było zgadnąć, za pierwszym zjawieniem się tego truposza, że sprawy obrócić się w ten sposób? Czasem wypadki biegną z szybkością która wprost oszałamia. Wziąłem pułkownika za rębajłę bez mózgu: to mój błąd. Skoro nie postarałem się odrazu naszpikować go jak zająca, byłbym teraz tchórzem, gdybym się cofnął bodaj o piędz. Zgubił mnie w reputacji miasta, jedynie śmiercią jego mogę się oczyścić.

— Jedź do Ameryki z czterdziestoma tysiącami franków, ja potrafię się uwolnić od tego opryszka i pojedę za tobą, to będzie o wiele rozsądniej...

— Coby pomyślano o mnie? rzekł party przesądem *języków*.

Nie. Zresztą, pogrzebałem już dziesięciu. Ten drab nie wydaje mi się groźny; wstąpił do armji prosto ze szkoły, był wciąż w polu do 1815, podróżował później po Ameryce; wszystko przemawia za tem, że ten frant niewiele miał okazji się ćwiczyć, gdy ja na szable nie mam równego! Szabla to jego broń, okażę się wspaniałomyślnym ofiarując mu ją, postaram się bowiem abym ja był stroną obrażoną, i pogrążę go. Stanowczo, tak będzie lepiej. Uspokój się; pojutrze będziemy panami.

Tak więc, głupi punkt honoru okazał się u Maxa mocniejszy od zdrowego rozsądku. Wróciwszy o pierwszej, Flora zamknęła się w pokoju aby się wyplakać dowoli. Cały ten dzień, *języki* pracowały w Issoudun co wlezie: uważano pojedynek między Maksencjuszem a Filipem za nieunikniony.

— Ach, panie Hochon, rzekł Mignonet, który spotkał starca przechadzającego się z Carpentierem po bulwarze, jesteście bardzo niespokojni; ten Gilet jest ponoć bardzo mocny we wszelkiej broni.

— To nic, odparł prowincjonalny dyplomata, Filip dobrze poprowadził sprawę... Nigdybym nie przypuszczał, że dryblas tak szybko dojdzie do celu. Te chwaty starły się z sobą niby dwie burze...

— Och! rzekł Carpentier, Filip to człowiek całą gębą; zachowanie się jego przed trybunałem Parów jest arcydziełem dyplomacji.

— I cóż, kapitanie Renard, zagadnął jeden z obywateli, powiadają że wilki nie zjadają się między sobą, tymczasem zdaje się, iż Max będzie miał sprawę z pułkownikiem Bridau. Między dwoma wiarusami starej gwardji, to nie będą przelewki.

— A wy śmiejecie się z tego! Dlatego, że biedny chłopiec bawił się trochę po nocy, zaraz wieszacie na nim ostatnie psy, rzekł major Potel. Toż człowiek tej miary co Max nie mógł siedzieć w takiej dziurze bez jakiegoś zajęcia.

— Ostatecznie, panowie, rzekł czwarty, Max i pułkownik musieli rozegrać partję. Czyż pułkownikowi nie godziło się pomścić

brata? Przypomnijcie sobie sztukę, jaką Max wypłatał biednemu chłopcu.

— Et! artysta! rzekł Renard.

— Ale tu chodzi o spadek po ojcu Rouget. Powiadają że pan Gilet gotował się zagarnąć pięćdziesiąt tysięcy franków renty, w chwili gdy pułkownik zakwaterował się u wuja.

— Gilet miałby wyciągnąć rękę po cudze?... Et, nie powiadaj pan tego, panie Ganivet, gdzieindziej niż tutaj, wykrzyknął Potel, albo też damy ci połknąć własny język, i bez sosu!

We wszystkich poważniejszych domach słano życzenia za godnym pułkownikiem Bridau.

Nazajutrz, około czwartej, oficerowie dawnej armji bawiący w Issoudun lub w okolicy przechadzali się na placu Targowym, przed drzwiami restauratora nazwiskiem Lacroix, oczekując Filipa Bridau. Bankiet, który miał się odbyć dla uczczenia koronacji, oznaczony był na piątą, godzinę żołnierską. We wszystkich grupach rozmawiano o sprawie Maksencjusza i o *wykurzeniu* go z domu Rougeta; prości żołnierze bowiem zmówili się również na zebranie u winiarza na tymże placu. Wśród oficerów, jedynie Potel i Renard usiłowali bronić przyjaciela.

— Czy do nas należy mięszać się do tego co się dzieje między dwojgiem spadkobierców?

— Max jest słaby z kobietami, zauważył cyniczny Potel.

— Tuj, tuj, a błysną szabelki, rzekł dawny podporucznik, obecnie sadzący kapustę. Jeżeli pan Maksencjusz Gilet popełnił to głupstwo, iż zamieszkał u ojca Rouget, byłby nikczemnikiem, gdyby pozwolił wygnąć się jak lokaj, nie żądając rachunku.

— Zapewne, odparł sucho Mignonet. Głupstwo, które się nie uda, staje się zbrodnią.

Max, który właśnie zbliżył się do starych Napoleończyków, spotkał się na przywitanie z dosyć wymownem milczeniem. Potel i Renard wzięli przyjaciela pod rękę i pociągnęli go o kilka kroków

aby z nim pomówić. W tej chwili, ujrzano z daleka Filipa, zbliżającego się w uroczystym stroju; pociągał za sobą laskę z niezmaconym spokojem, stanowiącym kontrast z głęboką uwagą z jaką Max pozornie przysłuchiwał się wywodom swoich dwóch ostatnich przyjaciół. Filip wymienił uścisk dłoni z Carpentierem, Mignonetem i paroma innymi. Przyjęcie to, tak różne od tego z jakim spotkał się Maksencjusz, rozprószyło do reszty w umyśle młodego majora cień tchórzostwa, rozsądku, jeśli kto woli, które zrodziły się w nim pod wpływem nalegań a zwłaszcza pieśzcot Flory.

— Będziemy się bili, rzekł do kapitana Renard, i to do ostatniego tchu! Nie mówcie mi już tedy o niczem, pozwólcie mi odegrać moją rolę.

Po tem ostatniem słowie, wyrzeczonem w gorączkowem podnieceniu, trzej bonapartyści podeszli aby się wmieścić w grupę oficerów. Max skłonił się pierwszy Filipowi, który oddał ukłon z lodowatym spojrzeniem.

— Dalej, panowie, do stołu! rzekł major Potel.

— Wypijmy na niespożytą chwałę małego kaprała, który obecnie znajduje się w Raju walecznych! wykrzyknął Renard.

Czując, iż sytuacja stanie się mniej kłopotliwą przy stole, każdy zrozumiał intencję kapitana wołyżerów. Wszyscy udali się do długiej niskiej sali restauracyjnej, której okna wychodziły na plac Targowy. Każdy biesiadnik usadowił się corychlej przy stole, gdzie, jak żądał Filip, dwaj przeciwnicy znaleźli się naprzeciw siebie. Wielu młodych ludzi z miasta, zwłaszcza *ex-rycerzy* Bezrobocia, dość niespokojnych o to co może zająć na bankiecie — przechadzało się na placu, rozmawiając o krytycznej sytuacji, w jaką Filip umiał zapędzić Maksencjusza. Ubolewano nad zajściem, uważając wszelako pojedynek za nieodzowny. Wszystko szło gładko aż do deseru, mimo że dwaj zapaśnicy, przy pozornej swobodzie, zachowali pewne skupienie dość podobne do niepokoju. Oczekując momentu zwady, który i jeden i drugi musieli obmyślać, Filip okazywał imponującą zimną krew, Max zaś iskrzącą się wesołość;

ale, dla kogoś patrzącego głębiej, każdy z nich grał tylko przybraną rolę.

Skoro podano deser, Filip rzekł:

— Napełnijcie szklanki, przyjaciele. Proszę o pozwolenie wzniesienia pierwszego toastu.

— Powiedział przyjaciele, nie napełniaj swojej, rzekł Renard Maxowi do ucha.

Max nalał sobie wina.

— Niech żyje Wielka Armja! wykrzyknął Filip ze szczerym zapalem.

— Niech żyje! powtórzono jednogłośnie okrzyk, aż sala odebrzmiała.

W tej chwili ujrzano w progu sali jedenastu prostych żołnierzy, wśród których znajdowali się Benjamin i Kuski. Wszyscy powtórzyli: „Niech żyje Wielka Armja!“

— Wejdźcie, dzieci, będziemy pili *jego* zdrowie, rzekł major Potel.

Starzy żołnierze weszli i zajęli miejsce stojąc za oficerami.

— Widzisz tedy, że *on* nie umarł! rzekł Kuski do dawnego sierżanta, który zapewne opłakiwał agonję cesarza, wreszcie zakończoną.

— Proszę o drugi toast, rzekł major Mignonet.

Puszczono w obieg półmiski z deserem dla nabrania kontenansu. Mignonet podniósł się.

— Zdrowie tych, którzy próbowali wrócić tron *jego* synowi! rzekł.

Wszyscy, z wyjątkiem Maksencjusza, skłonili się w stronę Filipa Bridau, wyciągając kieliszki.

— Proszę o głos, rzekł Max, wstając.

— Max, Max mówi! wołano zewnątrz sali.

Głębokie milczenie zapanowało w sali i na placu; charakter Gileta pozwalał się spodziewać prowokacji.

— Obyśmy mogli *wszyscy* spotkać się w podobnym dniu, na rok przyszyły.

I skłonił się ironicznie w stronę Filipa.

— Gotuje się, rzekł Kuski do sąsiada.

— W Paryżu, policja nie pozwoliłaby panu przewodniczyć na takim bankiecie, rzekł Potel do Filipa.

— Po kiego djabła mówisz o policji pułkownikowi Bridau? rzekł zaczepnie Maksencjusz.

— Major Potel nie miał złej intencji, jego jestem pewien, rzekł Filip uśmiechając się z goryczą.

Milczenie stało się tak głębokie, że możnaby słyszeć przelatującą muchę.

— Policja dosyć się mnie obawia, ciągnął Filip, skoro miała tę troskliwość aby mnie wyprawić do Issoudun. Rad zresztą jestem z tego; miałem przyjemność spotkać starą wiarę; ale, przyznajmy otwarcie, niema tu zbyt sposobności do rozrywek. Jak na człowieka który lubił sobie pobaraszkować, dosyć się tu czuję na pokucie. Ano cóż, oszczędzę nieco grosza dla pańienek, nie jestem bowiem z liczby tych, którym ciepła pierzyna przynosi w dodatku i rentę. Marjeta z Opery kosztowała mnie bajońskie sumy.

— Czy do mnie pijesz, pułkowniku? spytał Max uderzając Filipa spojrzeniem, które podziałało jak prąd elektryczny.

— Bierz jak ci się podoba, majorze Gilet, odparł Filip.

— Pułkowniku, dwaj moi przyjaciele, tu obecni panowie Renard i Potel, przyjdą porozumieć się jutro...

— Z panami Mignonnet i Carpentier, odparł Filip, przerywając Giletowi i wskazując sąsiadów.

— A teraz, rzekł Max, toastujmy dalej.

Żaden z dwóch przeciwników nie wyszedł ze zwykłego tonu konwersacji; uroczystem było jedynie milczenie, w jakim słuchano tej wymiany słów.

— Hej, tam, wiarusy, rzekł Filip, spoglądając na prostych żołnierzy, pamiętajcie, że od naszych spraw cywilom wara... Ani słowa o tem co zaszło. To powinno zostać między starą gwardją.

— Będą pilnowali rozkazu, pułkownika, rzekł Renard, ręczę za nich.

— Niech żyje jego mały! Oby mógł panować nad Francją! wykrzyknął Potel.

— Śmierć Anglikom! zawołał Carpentier.

Ten toast spotkał się z nadzwyczajnym powodzeniem.

— Hańba Hudsonowi Lowe! rzekł kapitan Renard.

Deser minął bardzo pięknie, wśród obfitych libacji. Dwaj antagoniści i czterej świadkowie kładli punkt honoru w tem, aby ten pojedynek, gdzie chodziło o olbrzymią fortunę i który dotyczył dwóch ludzi tak wybitnych swą odwagą, nie miał nic wspólnego ze zwykłymi burdami. Dwaj *gentlemani* nie mogli się zachować lepiej niż Max i Filip. Toteż oczekiwanie młodych ludzi i mieszczan skupionych na placu spotkało się z zawodem. Wszyscy biesiadnicy, jak prawdziwi wojskowi, zachowali najgłębszą tajemnicę co do epizodu przy deserze. O dziesiątej, każdy z przeciwników wiedział, że umówioną bronią jest szabla. Miejscem spotkania była łączka koło chóru Kapucynów, o ósmej rano. Goddeta, który, w charakterze *ex-starszego* chirurga, brał udział w bankiecie, poproszono aby był obecny. Cobądzby się miało zdarzyć, świadkowie ustanowili, iż walka nie będzie trwała dłużej niż dziesięć minut. O jedenastej wieczór, ku zdumieniu pułkownika, w chwili gdy się miał udać na spotkanie, pan Hochon zjawił się u niego z żoną.

— Wiemy co się dzieje, rzekła stara dama z oczyma pełnemi łez; otóż, przychodzę cię błagać, dziecko, abyś nie wychodził jutro z domu nie pomodliwszy się wprzód... Wznieś duszę do Boga.

— Dobrze, pani, odparł Filip, któremu stary Hochon stojący za żoną uczynił znak.

— To nie wszystko, rzekła chrzestna Agaty; pragnę ci dziś zastąpić twoją biedną matkę, wyzbyłam się dla ciebie tego co miałam najdroższego; masz!...

Podawała Filipowi ząb, umocowany na czarnym haftowanym zło-

tem aksamicie, do którego przyszyła dwie zielone wstążki. Pokazawszy mu tę świętość, włożyła ją z powrotem do szkaplerza.

— To relikwja św. Solange, patronki Berri, ocaliłam ją w czasie Rewolucji; zachowaj ją na piersiach jutro rano.

— Czy to może zabezpieczyć od cięcia? spytał Filip.

— Tak, odparła stara dama.

— W takim razie nie wypada mi w to się ubierać, tak samo jak nie wolno by mi włożyć pancerza! wykrzyknął Filip.

— Co on mówi? spytała pani Hochon męża.

— Że to nie jest w regułach gry, odparł stary Hochon.

— Zatem, nie mówmy o tem więcej, rzekła stara dama. Będę się modliła za ciebie.

— Tak, tak, pani, trochę pacierzy i tęgi sztych szabłą, to nie może zaszkodzić, rzekł pułkownik, czyniąc ruch jakby przeszywał panu Hochon serce.

Stara dama ucałowała Filipa w czoło. Następnie, wychodząc, dała dziesięć talarów — wszystko co posiadała! — Benjaminowi, aby uzyskać obietnicę iż zaszyje relikwję w pantalon swego pana. Benjamin spełnił zlecenie, nie aby wierzył w skuteczność zęba (powiadał, iż jego pan ma o wiele lepsze sposoby na Maksencjusza), ale czuł się w obowiązku dopełnić tak drogo opłaconego zlecenia. Pani Hochon udała się na spoczynek, pełna ufności w świętą Solange.

Nazajutrz, 3-go grudnia, o ósmej rano, w mglisty poranek, Max, w towarzystwie dwóch świadków i Polaka, przybył na łączkę pod chórem starożytnego kościoła. Zastali już Filipa ze świadkami i Benjaminem. Potel i Mignonnet odmierzyli dwadzieścia cztery stóp. Na każdym krańcu żołnierze wykreślili łopatą dwie linje. Pod hańbą tchórzostwa nie wolno było przeciwnikom cofnąć się poza tę granicę; każdy z nich miał trzymać się na linji i posuwać wedle ochoty, skoro świadkowie powiedzą: „Naprzód!”

— Czy rozdzielamy się? rzekł chłodno Filip do Gileta.

— Chętnie, pułkownika, odparł Maksencjusz ze spokojem zawodowego rębacza.

Przeciwnicy zachowali jedynie pludry; skóra błysła różowo pod płótnem koszuli. Każdy z nich, uzbrojony w wojskową szablę jednakowego ciężaru, około trzech funtów, i tej samej długości — trzy stopy — stanął w pozycji, oparłszy ostrze o ziemię i czekając sygnału. Zachowali taki spokój, iż, mimo zimna, ani jeden muskuł nie drgnął, jakgdyby obaj byli z brązu. Goddet, czterej świadkowie i dwaj żołnierze uczyli mimowolny skurcz w gardle.

— Tęgie chwaty!

Wykrzyknik ten wyrwał się z ust majora Potel.

Z chwilą gdy padł sygnał „Naprzód!“ Maksencjusz spostrzegł złowrogą głowę Faria, który patrzył na nich przez dziurę, jaką Rycerze zrobili w dachu kościelnym aby wprowadzić gołębie. Ta para oczu, z których tryskały strumienie ognia, nienawiści i zemsty, olśniła Maxa. Pułkownik sunął prosto na przeciwnika, trzymając się w pozycji w ten sposób, aby wyzyskać każdą przewagę. Eksperci w sztuce zabijania wiedzą, iż, z dwóch przeciwników, zręczniejszy może zyskać *tempo*. Przewaga ta, która pozwala poniekąd przewidywać ciosy, tak dalece znamionujące wytrawnego fechtmistrza, iż uczucie własnej niższości ogarnęło duszę Maxa i spowodowało w niej ową niewiarę w siebie, która demoralizuje gracza, gdy, wobec cudzego mistrzostwa lub weny, mięsza się i gra gorzej niż zwykle.

— A łotr, pomyślał Max, to zawodowy fechtmistrz, zgubiony jestem!

Max spróbował młynka, puszczać szablę w ruch z błyskawiczną szybkością; chciał oszłomić Filipa i schwycić jego klingę aby go rozbroić; ale spostrzegł, przy pierwszym zderzeniu, że pułkownik ma garść żelazną i giętką jak stalowa sprężyna. Maksencjusz musiał obmyśleć co innego, próbował zastanowić się, nieszczęśliwy! gdy Filip, którego oczy rzucały błyskawice żywsze niż błysk szabel,

parował ataki z zimną krwią mistrza fechtującego się w plastronie na sali.

Pomiędzy ludźmi równie tęgimi jak ci dwaj zapaśnicy, zwycięstwo zależy od jednego fałszywego ruchu, od błędu w szybkim jak piorun i instynktownie dokonywanym rachunku.

Przez jakiś czas — równie krótki dla widzów jak długi dla walczących — walka polega na obserwacji, zużywającej siły ciała i duszy, obserwacji pokrytej fintami, których powolność i pozorna nieśmiałość rodzi pozór iż żaden z przeciwników nie chce się bić. Ta chwila, po której następuje szybkie i rozstrzygające starcie, straszliwa jest dla znawców. Korzystając z błędnej parady Maxa, pułkownik wytrącił mu szablę.

— Podnieś pan! rzekł przerywając walkę, nie zwykłem zabijać bezbronnych.

Okrucieństwo tej sceny graniczyło z wzniosłością. Wielkoduszność ta wyrażała poczucie takiej wyższości, iż widzowie wzięli ją za najrzeczniejsze wyrachowanie. W istocie, kiedy Max wrócił do pozycji, stracił zimną krew, i znowuż znalazł się o tempo niższy. Pokusił się naprawić swą haniebną porażkę śmiałością; nie myśląc już o tem aby się chronić, chwycił szablę oburącz i runął wściekły na pułkownika, aby go zranić śmiertelnie choćby za cenę życia. Filip otrzymał cios, który mu przeciął czoło i twarz, ale sam rozwalił z ukosa głowę przeciwnika straszliwym młyńcem, którym zastawił się aby osłabić siłę cięcia. Te dwa wielkie ciosy zakończyły walkę w dziewiątej minucie. Fario zeszedł aby się napaść widokiem wroga w śmiertelnych podrygach, u człowieka bowiem tej siły co Max agonji towarzyszyły straszliwe skurcze. Filipa przeniesiono do wuja.

Tak zginął jeden z ludzi przeznaczonych do wielkich rzeczy, gdyby był pozostał w odpowiedniej sferze, człowiek z którym natura obeszła się jak z pieszczonem dzieckiem, dając mu odwagę, zimną krew i skrytość Cezara Borgji. Ale wychowanie nie wlało mu owej górności myśli i postępków, bez której nic się nie działo w żadnej karjerze. Nie zostawił po sobie żalu, dzięki perfidji, z jaką

przeciwnik, mniej wart od niego, umiał go zniesławić. Śmierć jego położyła koniec czynom Zakonu Bezrobocia, ku wielkiemu zadowoleniu Issoudun. Dlatego też, Filip nie spotkał się z żadnymi przykrościami z racji pojedynku, który wydał się zresztą dziełem zemsty bożej, a którego szczegóły rozeszły się po okolicy wśród pochwał oddawanych obu przeciwnikom.

— Powinni byli pozabijać się wzajem, rzekł pan Mouilleron, spadłoby rządowi z głowy tegie utrapienie.

Położenie Flory Brazier byłoby bardzo kłopotliwe, gdyby nie silny wstrząs, o jaki przyprawiła ją śmierć Maxa: popadła w gorączkę mózgową, powikłaną niebezpiecznym zapaleniem, spowodowanym perypetyjami owych trzech dni. Gdyby nie ta choroba, byłaby może uciekła z domu, gdzie tuż nad nią, w mieszkaniu i w pościeli Maxa, leżał jego morderca. Trzy miesiące spędziła między życiem a śmiercią, pielęgnowana przez pana Goddet, który prowadził również kucnię Filipa.

Z chwilą gdy Filip mógł utrzymać pióro, rozpisał następujące listy:

Do pana Desroches, adwokata,

„Zglądziłem już jadowitsze z bydłat, przyczem nie obeszło się bez tego iż poszczerbiono mi łeb; ale, na szczęście, hultajowi dłoń nie dopisała. Zostaje druga żmija, z którą spróbuję się porozumieć, ile że wujaszкови byłoby równie ciężko rozstać się z nią co ze swoim wolem. Bałem się, aby ta *Mąciwoda*, która jest djabelnie ładna, nie dała nogi, wujaszek byłby pognał za nią, ale wstrząśnienie jakie przeszła w krytycznym momencie przykuło ją do łóżka. Gdyby Bóg zechciał mi przyjść z pomocą, powołałby do siebie tę duszę podczas gdy kaja się z błędów. Na razie, mam po swojej stronie, dzięki panu Hochon (ten stary jest z żelaza!), lekarza, niejakiego Goddet, poczciwca który pojmuje iż sukcesje po wujach bardziej są na miejscu w rękach siostrzeńców niż w rękach hultajek. Pan Hochon ma zresztą wpływ na niejakiego papę Fichet, ojca bogatej córki, której

znów Goddet pragnąłby dla syna; tak iż tysiącfrankowy banknot, którym błyśnięto mu przed oczyma duszy w razie odrestaurowania mojej facjaty, nie wiele się już przyczynia do pobudzenia jego gorliwości. Co więcej, ten Goddet, niegdyś starszy chirurg w trzecim pułku linji, otrzymał od moich przyjaciół, dwóch dzielnych oficerów, pp. Mignonnet i Carpentier, wskazówki, pod wpływem których pilnie katechizuje chorą.

„— Ostatecznie, widzisz, moje dziecko, niema co, jest Bóg na niebie! powiada badając puls. Stałaś się przyczyną wielkiego nieszczęścia, trzeba je naprawić. Palec boży jest w tem wszystkim (to nie do uwierzenia, czego ludzie nie składają na ten palec boży!). Religja jest religją; poddaj się, wzbudź w sobie skruchę, to cię zaraz uspokoi, to ci pomoże prawie tyle co moje mikstury. Przedewszystkiem, zostań tu, opiekuj się swoim panem. Wreszcie, zapomnij, przebacz, to obowiązek chrześcijański.

„Ów Goddet przyrzekł mi przetrzymać *Mąciwodę* trzy miesiące w łóżku. Nieznacznie, dziewczyna ta przyzwyczai się może do pożycia ze mną pod wspólnym dachem. Pozyskałem kucharkę: ta wiedźma perswaduje swej pani, że z Maxem miałaby bardzo twarde życie. Słyszała, powiada, z własnych ust nieboszczyka, iż gdyby, po śmierci papy Rouget, zmuszony był zaślubić Florę, nie miał wcale zamiaru wiązać sobie życia dla prostej dziewczki. Słowem, kucharka wmówiła niemal w swą panią, iż Max byłby ją sprzątnął. Tak więc, wszystko idzie dobrze. Wujaszek, z porady pana Hochon, podarł testament“.

Do pana Giroudeau (przez grzeczność panny Florentyny), przy ulicy Vendôme.

„Mój stary druhu!

„Dowiedz się, czy mała Cezarynka jest zajęta i postaraj się, aby była gotowa przybyć do Issoudun, jeśli jej zażądam. Wówczas, niech szelmeczka spieszy nie tracąc ani godziny. Chodzi też o to, aby wyglądać przyzwoicie, zostawić w Paryżu wszystko coby trąciło kuli-

sami; musi przedstawić się w miasteczku jako córka godnego oficera, poległego na polu chwały. Zatem: wygląd skromny, strój pensjonarki i cnota pierwszej klasy; oto hasło. Jeśli będę jej potrzebował i jeśli się sprawi dobrze, wówczas, po śmierci wuja, kapnie jej pięćdziesiąt tysięcy franków; o ile jest zajęta, przedstaw rzecz Florentynie, i znajdźcie mi we dwoje jakąś figurantkę, zdolną odegrać tę rolę. Pan amator sukcesji nadwreżył mi nieco czerep w pojedynku, ale sam zadarł giczały aż pod niebo. Opowiem ci tę sztukę. Ha, ha! mój stary, wróć jeszcze ładne dni i pohulamy jeszcze, albo Cesarz nie byłby Cesarzem. Bądź zdrow, stary obwiesiu, zapal cygaro moim listem. Aha, pamiętaj, że córka oficera ma przyjechać z Chateauroux i przedstawić się jako osoba w krytycznym położeniu. Mam wszakże nadzieję, iż nie będę potrzebował uciekać się do tego niebezpiecznego środka. Przypomnij mnie pamięci Marjety i wszystkich przyjaciół“.

Agata, uprzedzona listem pani Hochon, pospieszyła do Issoudun i znalazła przyjęcie w domu brata, który jej oddał dawny pokój Filipa. Biedna matka, która odnalazła dla wyrodnego syna skarby macierzyństwa, zaznała kilku szczęśliwych dni, słysząc jak obywatelstwo miejskie wychwala pułkownika.

— Ostatecznie, moja mała, rzekła pani Hochon po przywitaniu, młodość musi się wyszumieć. Psoty żołnierzy z epoki cesarza nie mogą być takie same jak papinków żyjących u maminego fartuszka. Ha! gdybyś wiedziała na co ten niegodziwy Max pozwalał tu sobie po nocach!... Issoudun, dzięki twemu synowi, oddycha i żyje w spokoju. Filip przyszedł do rozsądku nieco późno, ale przyszedł wreszcie; sam powiada, iż trzy miesiące więzienia uczą człowieka rozumu. Dość powiedzieć, że mąż zachwycony jest jego postępowaniem i że zażywa w całym mieście powszechnego szacunku. Jeśli Filip spędzi jakiś czas zdala od Paryża, będziesz miała jeszcze z niego pociechę.

Słyszając te krzepiące słowa, Agata miała oczy pełne łez szczęścia.

Filip przywdział wobec matki skórę baranka: była mu potrzebna. Szczwany gracz zamierzał uciec się do Cezaryny jedynie w takim razie, gdyby sam był dla panny Brazier przedmiotem niezwykłego wstrętu. Oceniając Florę jako cudowne narzędzie ukształtowane przez Maxa, wolał posłużyć się raczej nią niż paryżanką, zdolną przywieść starego niedołęgę do małżeństwa. Tak jak Fouché radził Ludwikowi XVIII aby się ułożył w łóżku Napoleona miast silić się na *Konstytucję*, Filip pragnął się ułożyć w łóżku Gileta; ale bał się w ten sposób narazić szacunek którym się cieszył w mieście, ile że odgrzewanie roli Maxa przy *Mąciwodzie* musiałyby się wydać czemś haniebnem tak ze strony tej dziewczyny jak i jego. Mógł, bez uszczerbku dla honoru, żyć u wuja i na jego koszt, na podstawie pokrewieństwa; ale nie mógł sobie pozwolić na stosunek z Florą, chyba po jej rehabilitacji. Wśród tylu trudności, pobudzany nadzieją sukcesji, Filip powziął cudowny plan zrobienia z *Mąciwody* swej ciotki. W tej intencji podsunął matce, aby odwiedziła tę dziewczynę i aby jej okazała nieco serdeczności, odnosząc się do niej jak do bratowej.

— Przyznaję, droga matko, rzekł przybierając minę świętoszka i spoglądając na Hochonów, którzy przyszli dotrzymywać towarzystwa Agacie, że sposób życia wuja jest niezbyt właściwy; otóż, wystarczyłoby go uregulować, aby zyskać pannie Brazier poważanie miasta. Czyż nie lepiej jej być panią Rouget, niż dwuznaczną gospodynią starego kawalera? Czyż nie prostsze jest nabyć, mocą kontraktu małżeńskiego, jasne prawa, niż straszyć rodzinę groźbą wydziedziczenia? Gdybyś ty, gdyby pani Hochon, gdyby jaki zacny ksiądz zechcieli poruszyć tę sprawę, położyłoby się koniec zgorszeniu, które kłuje w oczy uczciwych ludzi. Co do panny Brazier, mogłaby się tylko czuć szczęśliwą, widząc iż ty, matko, jesteś gotowa przyjmując ją za siostrę a ja za ciotkę.

Nazajutrz, u łoża panny Flory znalazły się Agata i pani Hochon, które oznajmiły chorej i Rougetowi wielkoduszne poglądy Filipa. W całym Issoudun mówiono o pułkowniku jako o człowieku

nawskroś zacnym, człowieku wielkiego charakteru, zwłaszcza z powodu Flory. Przez cały miesiąc Flora słyszała dokoła siebie starego Goddet, lekarza, osobę z natury mającą taki wpływ na chorego, czcigodną panią Hochon wiedzioną religijnym zapalem, słodką i nabożną Agatę, jak przedkładali jej korzyści małżeństwa z Rougetem. Kiedy Flora, skuszona myślą iż stanie się panią Rouget, uczciwą i godną obywatelką, nabrała ochoty odzyskania sił dla zawarcia małżeństwa, nie trudno było jej przedstawić, iż niepodobna jej wejść do starej rodziny Rougetów zamykając drzwi Filipowi.

— Zresztą, perswadował Goddet, czyż nie jemu zawdzięczasz ten los? Max nie byłby nigdy dopuścił do tego małżeństwa. Wreszcie, szepnął jej do ucha, jeżeli będziesz miała dzieci, czyż nie pomścisz w ten sposób Maxa? wówczas wszyscy Bridau odejdą z kwitkiem!

W dwa miesiące tedy po fatalnem wydarzeniu w lutym 1823, chora, nakłaniana przez całe otoczenie, błagana przez Rougeta, zgodziła się wreszcie przyjąć Filipa, którego blizna pobudziła ją do łoż, ale którego łagodne, niemal serdeczne obejście uspokoiło ją. Na życzenie Filipa, zostawiono go sam na sam z przyszłą ciotką.

— Moje drogie dziecko, rzekł żołnierz, to ja od samego początku doradzałam to małżeństwo i, jeśli ci odpowiada, odbędzie się ono najrychlej, skoro tylko przyjdiesz do zdrowia...

— Mówiono mi o tem, rzekła.

— Naturalne jest, iż, jeżeli okoliczności zmusiły mnie do pogrążenia cię w smutku, chciałbym, o ile tylko możebne, wynagrodzić ci to. Majątek, poważanie i rodzina warte są więcej niż to co straciłaś. W razie śmierci wuja, nie długo byłabyś żoną Maksencjusza; wiem od jego przyjaciół, że nie żywił dobrych zamiarów. Ot, moje dziecko, porozumiejmy się, i będziemy żyli wszyscy szczęśliwie. Będziesz moją ciotką, *i niczem tylko ciotką*. Będziesz dbała o to, aby wuj nie zapomniał o mnie w testamencie; z mojej strony, przekonasz się, jak potrafię dopilnować twoich interesów w kon-

trakcie ślubnym... Uspokój się, pomyśl nad tem, pomówimy jeszcze. Widzisz sama, najstateczniejsi ludzie, całe miasto radzi ci abyś położyła koniec nielegalnej pozycji, a nikt nie ma ci za złe, że pojednasz się ze mną. Każdy rozumie, że w życiu interesy idą przed uczuciami. W ślubnym welonie będzie ci bardzo do twarzy. Choroba twoja, powlekając te liczka bladością, przydała ci tylko dystynkcji. Gdyby wuj nie kochał cię tak szalenie, słowo honoru, rzekł wstając i całując ją w rękę, byłabyś żoną pułkownika Bridau.

Filip opuścił pokój, rzucając w duszę Flory to ostatnie słowo, aby niem obudzić mgliste poczucie zemsty, która uśmiechnęła się dziewczynie, niemal szczęśliwej iż widzi u swych stóp tego groźnego człowieka. Filip odegrał w minjaturze scenę, jaką zagrał Ryszard III ze świeżo owdowiałą królową. Stanowi ona dowód, iż rachuba ukryta pod uczuciem głęboko zapuszcza korzenie w sercu i rozprasza w niem najszczerszą żalobę. Oto jak, w życiu prywatnem, natura pozwala sobie na to, co, w dziełach genjuszu, stanowi szczyt sztuki; środkiem, którym się posługuje, jest *interes*, to jest genjusz pieniądza.

Z początkiem tedy kwietnia 1823, w domu Jana Jakóba Rouget odbyło się, bez zdziwienia z niczyjej strony, niezwykle widowisko. Był niem wspaniały obiad, wydany z okazji podpisania kontraktu między panną Florą Brazier a starym kawalerem. Gośćmi byli: pan Heron, i czterej świadkowie, pp. Mignonnet, Carpentier, Hochon i stary Goddet; burmistrz i proboszcz, następnie Agata Bridau, pani Hochon i przyjaciółka jej pani Borniche, to znaczy dwie matrony, zażywające w Issoudun największej powagi. Toteż, przyszła oblubienica była bardzo tkliwa na ustępstwo jakie Filip zdołał uzyskać u tych pań, które znów widziały w niem znak opieki, jaką należało otoczyć nawróconą grzesznicę. Flora była tego dnia olśniewająco piękna. Proboszcz, który od dwóch tygodni oświecał ciemną *Mąciwodę*, miał jej nazajutrz udzielić pierwszej komunji. Małżeństwo to stało się treścią artykułu w duchu religijnym zamieszczonego w dwóch głównych dziennikach departamentu:

Issoudun.

„Ruch religijny czyni postępy w Berri. Przyjaciele Kościoła i cnoty byli wczoraj świadkami ceremonji, dzięki której jeden z głównych właścicieli w okolicy położył koniec gorszącemu stosunkowi, sięgającemu epoki, kiedy religja była bezsilną w naszym kraju. Rezultat ten, owoc światłego trudu duchownych naszego miasta, zyska, mamy nadzieję, naśladowców, i położy koniec owym poniżającym związkom, nieuświęconym przez Kościół, a zawartym w najopłakańszych epokach rewolucyjnego chaosu.“

„W fakcie, o którym mówimy, zasługuje na uwagę to, iż przyczyniło się doń wstawiennictwo pewnego pułkownika dawnej armji, zesłanego do naszego miasta z wyroku Izby Parów, którego to małżeństwo uszczupła w prawach do spadku. Bezinteresowność ta jest za naszych czasów dość rzadką, aby zasługiwała na publiczny rozgłos“.

Kontraktem ślubnym, Rouget przyznał Florze sto tysięcy posagu oraz pensję wdowią w wysokości trzydziestu tysięcy. Po weselu, które odbyło się wspaniale, Agata wróciła jako najszczęśliwsza z matek do Paryża, gdzie pośpieszyła udzielić *dobrych nowin* Józefowi i adwokatowi Desroches.

— Syn pani jest zbyt wyrachowanym człowiekiem, aby nie miał położyć łapy na tej sukcesji, rzekł adwokat wysłuchawszy. Tak więc, pani i biedny Józef nie zobaczycie ani szeląga z majątku Rougetów.

— Zawsze pan będzie, zarówno jak i Józef, niesprawiedliwy dla biednego chłopca? rzekła matka. Postępowanie jego przed Izbą Parów było dziełem głębokiego politycznego rozumu, zdołał nim ocalić wiele głów!... Błędy Filipa płyną stąd, iż nie umiano dać pola jego zdolnościom; ale uznał sam, do jakiego stopnia nieporządne życie szkodzi człowiekowi, który chce dojść do czegoś. To chłopiec z ambicją, za to ręczę: nie ja jedna przewiduję dlań przyszłość. Pan Hochon wierzy niezłomnie, że przed Filipem otwarta jest piękna droga.

— Och, jeżeli zechce swą inteligencję i głębokie zepsucie skierować ku robieniu majątku, dojdzie do celu; jest zdolny do wszystkiego, a tacy idą szybko, rzekł Desroches.

— Czemu nie miały dojść uczciwą drogą? spytała pani Bridau.

— Zobacz pani! rzekł Desroches. W szczęściu czy w nieszczęściu, syn pani zostanie zawsze tym samym Filipem z ulicy Mazarine, mordercą pani Descoings, złodziejem domowym, ale, bądź pani spokojna, będzie bardzo uczciwy w oczach całego świata!

Nazajutrz po ślubie, po śniadaniu, skoro wuj podniósł się aby się ubrać (Flora zeszła do stołu w peniuarze, starzec w szlafroku), Filip wziął panią Rouget za ramię.

— Moja śliczna ciociu, rzekł odciągając ją na bok, należysz tedy do rodziny. Dzięki mnie, wszyscy przyłożyli swoje pieczętki: i rejent i ksiądz proboszcz. A teraz, bez blag. Mam nadzieję, że będziemy grali w uczciwe karty. Znam sztuczki, jakie mogłabyś mi wypłatać i będę cię strzegł lepiej niż ochmistrzyni dworska. Wiedz, że nie wyjdiesz inaczej, niż ze mną pod ramię, i nie opuścisz mnie ani na krok. Co do tego, co mogłoby się dzieć w samym domu, będę tu siedział, do kroćset! niby pajak w sieci. A oto masz dowód, iż, podczas gdy leżałaś w betach, niezdolna ruszyć ręką ani nogą, mogłem, gdybym chciał, wyrzucić cię na bruk bez grosza! Czytaj:

I podał zdumionej Florze następujący list:

„Mój drogi chłopcze, Florentyna, która właśnie debjutowała w Operze, w nowej sali, solowym numerem obok Marjety i Tulji, nie przestała myśleć o tobie, zarówno jak Floryna, która ostatecznie puściła w trąbę swego Lousteau ¹⁾ i żyje dziś z Natanem. Te dwie hultajki wynalazły ci najrozkoszniejszą istotę pod słońcem, siedemnastoletni pączek, piękną jak Angielka, z minką cnotliwą jak *lady* puszczająca się pocichu, szczwaną jak Desroches, wierną jak Godeschal; Marjeta udzieliła jej paru lekcyj, życząc ci powodzenia. Niema kobiety któraby się mogła ostać wobec tego aniołka,

¹⁾ *Stracone złudzenia, Córka Ewy* etc.

pod którym kryje się demon: potrafi zagrać wszystkie role, ugnieść wujaszka na wosk i rozkochać go do szaleństwa. Niebiańskiem wejrzaniem przypomina biedną Korallję, umie płakać, ma głos zdolny wyciągnąć tysiącfrankowy banknot z najtwardszego serca, a szelma chlapię szampańskie lepiej niż my wszyscy razem. Jednem słowem, szacowna osóbką: ma zobowiązania wobec Marjety i pragnie się jej wypłacić. Schrupawszy fortunę dwóch Anglików, jednego Rosjanina i jednego rzymskiego księcia, panna Estera ¹⁾ znajduje się chwilowo w najszerszych opałach; dasz jej dziesięć tysięcy franków i będzie zadowolona. Właśnie przed chwilą mówiła, śmiejąc się: „Ot, nigdy jeszcze nie naciągnęłam mieszczucha, to mi rozszerzy repertuar!“ Finot, Bixiou, des Lupeaux, słowem wszyscy nasi, znają ją doskonale. Ha! gdyby istniały jeszcze fortuny we Francji, byłaby to największa kurtyzana nowożytnych czasów. Styl mój trąci Natanem, Bixiou, Finotem, którzy stoją nade mną strojąc figle z pomienioną Esterą, w najwspanialszym apartamencie jakiego można sobie wyobrazić a który świeżo urządził Florynie lord Dudley, prawdziwy ojciec de Marsaya. Sprytna aktorka omotała go, dzięki kostjumowi nowej roli. Tulja trzyma się zawsze księcia de Rethoré, Marjeta wciąż z księciem de Maufrigneuse; toteż, we dwie, uzyskają ci, z okazji imienin królewskich, zwolnienie z nadzoru. Staraj się pogrzebać wujaszka pod różami na najbliższego św. Ludwika i wracaj z sukcesją, aby spożyć bodaj jej cząstkę z Esterą, oraz ze starymi przyjaciółmi, którzy podpisują się hurmem aby się przypomnieć twej pamięci.

„Natan, Floryna, Bixiou, Finot, Marjeta,

„Florentyna, Giroudeau, Tulja“.

Drżenie papieru w rękach pani Rouget, świadczyło o wstrząśnieniu duszy jej i ciała. Ciotka nie śmiała spojrzeć na siostrzeńca, który wpijał w nią oczy o straszliwym wyrazie.

¹⁾ *Blaski i nędze życia kurtyzany.*

— Okazuję ci zaufanie, rzekł, widzisz sama; ale żądam wzajemności. Zrobiłem z ciebie mą ciotkę, aby cię móc kiedyś zaślubić. Warta jesteś Estery, nietylko w oczach wuja. Za rok od dziś, powinniśmy być w Paryżu, jedynej krainie gdzie piękność może egzystować. Poznasz tam życie inne trochę niż tu: nieustający karnawał zabawy i szału. Ja wrócę do armji, zostanę generałem, wówczas będziesz wielką panią. Oto twoja przyszłość, pracuj dla niej... Ale chcę mieć zakład naszego przymierza. Wystarasz mi się do miesiąca o generalne pełnomocnictwo, pod pozorem uwolnienia was obojga od kłopotów majątkowych. W miesiąc później, chcę mieć w ręku osobne pełnomocnictwo na przelanie renty. Z chwilą gdy raz renta będzie na moje imię, będziemy mieli jednaki interes aby się pobrać kiedyś. Wszystko to, miła ciociu, jest proste i jasne; nic tu nie trzeba owijać w bawełnę. Mogę zaślubić moją ciotkę po roku wdowieństwa, nie mogłem zaś zaślubić osławionej dziewczyny.

Opuścił pokój, nie czekając odpowiedzi. Kiedy, w kwadrans później, la Védie weszła aby sprzątnąć ze stołu, zastała panią, mimo gorącego dnia, bladą jak opłatek. Flora miała uczucie człowieka, który się osunął na dno przepaści: widziała przed sobą jedynie ciemność, a w tej ciemności rysowały się, niby w głębokiej dali, potworne i mgliste obrazy. Czuła jakby wilgotny chłód podziemi. Doświadczała nieokreślonego lęku przed tym człowiekiem, a mimo to, wewnętrzny głos krzyczał jej, iż warta była mieć go za pana. Nie mogła walczyć przeciw swemu losowi. Flora Brazier miała, dla przyzwoitości, oddzielny apartament w domu pana Rouget; ale pani Rouget obowiązana była należeć do męża; uczuła się tedy wyzuta z owej szacownej wolności osobistej, jaką zachowuje t. zw. „gospodyni“. W okropnej sytuacji w jakiej się znalazła, powzięła nadzieję iż może jeszcze mieć dziecko; ale, w ostatnich pięciu latach, doprowadziła Jana Jakóba do ostatecznej zgrzybiałości. Małżeństwo to miało się odbić na starcu podobnie jak drugie małżeństwo na Ludwiku XII. Zresztą, nadzór takiego człowieka jak Filip, który nie

miał nic do roboty (bo rzucił posadę), czynił wszelką zemstę niemożliwą. Filip miał w Benjaminie bezinteresownego i oddanego szpiega. La Védie drżała przed pułkownikiem. Flora znalazła się sama i bez sprzymierzeńców. Przytem, lękała się śmierci; nie zdając sobie sprawy w jaki sposób Filip zdołałby ją sprzątnąć, czuła, iż podejrzenie ciąży byłoby dla niej wyrokiem śmierci: dźwięk głosu, zamglone spojrzenie ex-gracza, najmniejszy ruch tego żołdaka, który traktował ją z najdworniejszą brutalnością, przyprawiły ją o dreszcz. Co do prokuracji, celu żądań okrutnego pułkownika, który dla całego Issoudun był bohaterem, otrzymał ją z chwilą gdy mu była potrzebna: Flora podpadła pod panowanie tego człowieka tak, jak Francja pod panowanie Napoleona.

Podobny do motyla, który złapał się nóżkami w roztopiony wosk świecy, Rouget strwonił szybko ostatnie siły. W obliczu tej agonji, siostrzeniec pozostał niewzruszony i chłodny, jak dyplomaci, w 1814, podczas konwulsyj cesarskiej Francji. Filip, który nie wierzył w Napoleona II, napisał wówczas do ministra wojny następujący list, który Marjeta doręczyła przez księcia de Maufrigneuse:

„Excelencjo!

„Napoleona już niema; chciałem dochować wiary którą mu słu-bowałem; obecnie, wolno mi ofiarować służby Jego królewskiej Mo-ści. Jeżeli Wasza Excelencja zechce przedstawić królowi moje po-stępowanie, Najjaśniejszy Pan uzna zapewne, że było ono zgodne, jeżeli nie z prawami królestwa, to z prawidłami honoru. Król, któ-ry uznał za naturalne, iż jego adjutant, generał Rapp, opłakiwał dawnego pana, znajdzie z pewnością pobłażliwość i dla mnie: Na-poleon był moim dobroczyńcą.

„Błagam tedy Waszą Excelencję o wzięcie pod rozagę prośby, jaką mam zaszczyt przedłożyć o użycie mnie w służbie w dawnej randze, zapewniając W. E. o mej bezwzględnej powolności. Nie

potrzebuję dodawać, iż tem samem król znajdzie we mnie najwerniejszego z poddanych.

„Racz, Excelencjo, przyjąć wyrazy szacunku, z jakim mam zaszczyt pozostawać

Waszej Excelencji

Bardzo uległym i uniżonym sługą.

Filip Bridau,

Były major dragonów gwardji, oficer

Legji honorowej, obecnie pod dozorem

policii Stanu w Issoudun“.

Do tego podania dołączona była prośba o pozwolenie udania się do Paryża dla spraw rodzinnych. Pan Mouilleron przydał do niej listy mera, podprefekta i komisarza policji; wszyscy oddawali największe pochwały Filipowi, powołując się na artykuł z okazji małżeństwa wuja.

W dwa tygodnie później, w epoce wystawy, Filip otrzymał żądane pozwolenie, oraz list, w którym minister wojny oznajmiał, iż, w myśl rozkazów króla, wcielono go, na początek, do kadrów w charakterze podpułkownika.

Filip przybył do Paryża z ciotką i ze starym Rouget, którego, w trzy dni po przybyciu, zaprowadził do urzędu skarbowego, celem formalnego przelania renty, która stała się jego własnością. Siostrzeniec zanurzył tego pół-nieboszczyka, zarówno jak *Mąciwodę* w wirze groźnego towarzystwa niezmordowanych aktorek, dziennikarzy, artystów i dwuznacznych kobiet, wśród których Filip strwoził młodość i gdzie stary Rouget znalazł tyle sobowtórów *Mąciwody*, iż wyparł z siebie ostatni dech. Giroudeau podjął się dostarczyć ojcu Rouget przyjemnego zgonu, uświetnionego później, jak mówią, przez jednego z marszałków Francji. Lolota, jedna z najładniejszych dziewcząt Opery, stała się lubym mordercą starowiny. Rouget umarł po wspaniałej wieczerzy wydanej przez Florentynę; trudno było tedy dochodzić, w jakim stopniu wieczerza, a w jakim Lolota dorznęły starego mieszcza. Lolota spędziła tę śmierć na

pasztet z gęsich wątróbek; że zaś ten produkt strassburski nie miał sposobu się bronić, uchodzi za pewnik że nieborak umarł z niestrawności. Pani Rouget znalazła się w tym nadmiernie wygorsowanym świecie jak w swoim żywiole; ale Filip dał jej za opiekunkę Marjetę, która nie pozwoliła zanadto szaleć młodej wdowie. Mimo to, żałobę jej osłodziło kilka awanturek.

W październiku 1823, Filip wrócił do Issoudun opatrzony pełnomocnictwem pani Rouget, aby zlikwidować spadek po wuju, której to operacji dokonał szybko; w marcu 1824 znalazł się w Paryżu, przywożąc z sobą milion sześćkroć tysięcy franków, sumę uzyskaną z realizacji majątku nieboszczyka wuja, nie licząc cennych obrazów, które nigdy nie opuściły domu pana Hochon. Filip umieścił kapitały w domu bankowym *Mongenod i syn*, gdzie pracował młody Baruch Borniche; co do odpowiedzialności i uczciwości firmy stary Hochon udzielił mu wystarczających referencyj. Dom ten przyjął milion sześćkroć tysięcy franków na sześć od sta rocznie, z trzymiesięcznem wypowiedzeniem.

Pewnego pięknego dnia, Filip zaprosił matkę na swój ślub, na którym obowiązki świadków pełnili Giroudeau, Finot, Natan i Bixiou. Wedle kontraktu, wdowa Rouget, której aport stanowił milion franków, zapisywała majątek przyszłemu małżonkowi, w razie gdyby zesza ze świata bezdzietnie. Rzec odbyła się bez zawiadomień, bez uroczystości i rozgłosu. Filip miał swoje zamiary: umieścić żonę w mieszkanku które Lolota sprzedała wraz z umeblowaniem, a które młodej pani Bridau wydało się rozkoszne. Małżonek zaglądał tam nader rzadko. Bez niczyjej wiedzy, Filip kupił, za dwieście pięćdziesiąt tysięcy, przy ulicy *de Clichy*, w chwili gdy nikt nie przewidywał wartości jaką grunta tej dzielnicy mają kiedyś osiągnąć, wspaniałą pałac, wypłacając pięćdziesiąt tysięcy talarów gotówką a zobowiązując się uiścić resztę w ciągu dwóch lat. Włożył nadto olbrzymie sumy w urządzenia i w ruchomości, poświęcając na nie cały dwuletni dochód. Wspaniałe obrazy, odrestaurowane, ocenione na trzysta tysięcy, załśniły w całym blasku.

Wstąpienie na tron Karola X-go podniosło jeszcze fawor rodziny księcia de Chaulieu, którego najstarszy syn, książę de Rhetoré, spotykał często Filipa u Tulji. Pod Karolem X-ym, starsza gałąź Burbonów mniemała iż na dobre usadowiła się już na tronie, i poszła za radą, jaką dawał już wprzód marszałek Gouvion-Saint-Cyr, starając się przywiązać do siebie wojowników cesarstwa. Filipa, który niewątpliwie poczynił cenne rewelacje co do spisków w latach 1820 i 1822, mianowano podpułkownikiem w pułku księcia de Maufriqueuse. Ten uroczy wielki pan czuł się poniekąd w obowiązku popierać człowieka, któremu był swego czasu zdmuchnął Marjetę. Balet nie był zupełnie obcy tej nominacji. Zresztą, tajna przyboczna rada Karola X postanowiła poufnie, iż byłoby wskazane, aby następca tronu zdradzał lekkie tendencje liberalne. Imć Filip, stawszy się poniekąd pupilem księcia de Maufriqueuse, dostąpił zaszczytu, iż przedstawiono go nietylko następcy ale i następczyni tronu, która lubiła szorstkie charaktery żołnierskie i chwatów znanych z wierności. Filip przeniknął trafnie rolę Delfina i skorzystał z pierwszego fajerwerku tego udanego liberalizmu, aby uzyskać stopień adjutanta przy jednym z marszałków, dobrze notowanym u dworu. W styczniu 1827, Filip, który przeszedł w randze podpułkownika do gwardji, do pułku którym wówczas dowodził książę de Maufriqueuse, poprosił o szlachectwo. Za Restauracji uszlachcenie stało się niemal zwyczajowem prawem dla nie-szlachty służącej w gwardji. Pułkownik Bridau, który świeżo nabył majątność Brambourg, postarał się o przywilej majoratu z hrabiowskim tytułem. Uzyskał tę łaskę spożytkowując swoje stosunki w najwyższem towarzystwie, gdzie występował z przepychem pojazdów i liberji, słowem we wszystkich splendorach wielkiego pana. Z chwilą gdy Filip, podpułkownik najpiękniejszego pułku gwardji, ujrzał swoje nazwisko w almanachu Królewskim pod mianem hrabiego de Brambourg, zaczął pilnie uczęszczać do domu generał-porucznika artylerji, hrabiego de Soulanges, starając się o względy najmłodszej córki, panny Amelji de Soulanges. Nienasycony w ambicji

i popierany przez kochanki wszystkich wpływowych ludzi, Filip ubiegał się o stopień adjutanta J. K. W. następcy tronu. Miał czelność powiedzieć małżonce tego księcia, iż „stary oficer, ranny na wielu polach bitwy i obznajmiony z wojną, nie będzie w potrzebie zbyt użyteczny Jego Królewskiej Wysokości“. Filip, który umiał przybierać ton wszelakiego dworactwa, stał się w wielkim świecie tem, czem wymagało położenie, tak jak umiał się zrobić Mignonnetem w Issoudun. Prowadził zresztą huczne życie, wydawał fety i obiady, nie dopuszczając do swego pałacu żadnego z dawnych przyjaciół, których pozycja mogłaby narazić jego przyszłość. Toteż, był nieubłagany dla towarzyszków dawnych hulank. Kiedy Bixiou prosił go aby się wstawił za starym Giroudeau, który, porzucony przez Florentynę, chciał wrócić do służby, Filip wręcz odmówił.

— To człowiek lichych obyczajów, rzekł.

— Ha! i on śmiało powiedzieć to o mnie, o mnie który sprzątnąłem mu wuja! wykrzyknął Giroudeau.

— Dopadniemy go jeszcze, rzekł Bixiou.

Filip chciał zaślubić pannę Amelję de Soulanges, zostać generałem i dowódcą jednego z pułków Gwardji. Żądał tylu rzeczy, iż, aby mu zamknąć usta, mianowano go komandorem Legji i komandorem św. Ludwika. Jednego wieczora, Agata i Józef wracając pieszo w słońcu, ujrzeli Filipa w uniformie, strojnego w sznury orderów, rozpiętego się w pojeździe wybitym żółtym jedwabiem, o herbach, które wieńczyła hrabiowska korona: śpieszył na fetę w pałacu królewskim. Obryzgał błotem matkę i brata, pozdrawiając ich lekkiem protekcyjnym gestem.

— Ależ ten hultaj jedzie, ależ jedzie! rzekł Józef do matki. Mimo to, należałoby się nam od niego coś więcej niż to chluśnięcie błotem.

— Zajmuje pozycję tak piękną, tak wysoką, iż nie należy mu brać za złe że zapomina o nas, rzekła pani Bridau. Wspinając się na tak strome wzgórze, ma do dopełnienia tyle obowiązków, tyle

poświęceń, że trudno mu może znaleźć dla nas czas, mimo że myśli o nas.

— Mój drogi pułkowniku, rzekł książę de Maufrigneuse do świeżo upieczonego hrabiego de Brambourg, jestem pewien, że twoja prośba spotka się z dobrem przyjęciem; ale, aby zasłużyć Amelję de Soulanges, trzeba abyś był wolny. Coś pan uczynił z żoną?

— Żona?... rzekł Filip z gestem, spojrzeniem i akcentem, które później odgadł Fryderyk Lemaître w jednej ze swych najdemoniczniejszych kreacyj. Niestety! mam smutną pewność, że nie zdołam jej zachować przy życiu. Niema przed sobą ani tygodnia. Ach, drogi książę, książę nie wiesz, co to jest mezaljans! Kobieta ta była kucharką, zachowała upodobania kucharki i hańbi mnie poprostu! Och, tak, jestem bardzo nieszczęśliwy! Ale miałem zaszczyt wyjaśnić swoje położenie J. K. W. następczyni tronu. Chodziło, w swoim czasie, o to, aby ocalić miljon, który wuj testamentem zostawił tej kreaturze. Na szczęście, żona moja zasmakowała w gorących trunkach; po jej śmierci, stanę się panem miliona złożonego w banku Mongenod; mam, prócz tego, trzydzieści tysięcy pięcioprocentowej renty, a mój majorat wart jest czterdzieści tysięcy rocznego dochodu. Jeżeli, jak wszystko pozwala się spodziewać, pan de Soulanges otrzyma buławę marszałkowską, podejmuję się, przy moim tytule hrabiego de Brambourg, zostać generałem i parem Francji. Będzie to emerytura godna adjutanta następcy tronu.

Po Salonie 1823, nadworny malarz królewski, jeden z najzacieśniejszych ludzi owego czasu, uzyskał dla matki Józefa biuro loterii w okolicach Hal. Później, Agata miała sposobność zamienić się szczęśliwie, bez szeląga dopłaty, z dzierżawcą biura przy ulicy de Seine, w domu gdzie Józef wynajął pracownię. Z kolei, wdowa przyjęła kierownika i nie kosztowała już nic swego syna. Otóż, w 1828, mimo iż będąc dzierżawczynią doskonałego biura loteryjnego które zawdzięczała sławie Józefa, pani Bridau nie wierzyła jeszcze w tę sławę, podlegającą, jak wszystkie prawdziwe sławy, gwałtownym napaściom. Wielki malarz, ciągle zmagający się ze

swemi namiętnościami, miał ogromne potrzeby; nie zarabiał do-
syć aby nastarczyć zbytkowi do jakiego zmuszały go stosunki w świe-
cie, jak również wybitna pozycja w *młodej szkole*. Mimo iż potęż-
nie wspierany przez przyjaciół z *Biesiady*, oraz przez pannę des
Touches, Józef Bridau nie trafiał do smaku *mieszczucha*. Istota ta,
owo źródło z którego płynie dziś wszelki pieniądz, nie rozwiązuje
nigdy sakiewki dla talentów jeszcze zwalczanych, Józef zaś miał
przeciwno sobie klasyków, Instytut, oraz krytyków opierających
się na tych dwóch potęgach. Do tego, hrabia de Brambourg uda-
wał zdziwienie, kiedy mu wspomniano o Józefie. Toteż dzielny arty-
sta, mimo iż chwalony przez Grosa i Gérarda którzy zjednali mu
krzyż po Salonie 1827, zamówień miał niewiele. Ministerjum spraw
wewnętrznych i domu królewskiego niechętnie nabywało wielkie
płótna, kupcy zaś i bogaci cudzoziemcy byli jeszcze trudniejsi.
Zresztą, Józef poddaje się, jak wiadomo, zbyt łatwo swoim fanta-
zjom, stąd nierówność, wyzyskiwana przez wrogów pragnących mu
zaprzeczyć talentu.

— Wielkie malarstwo robi bokami, mówił przyjaciel jego, Piotr
Grassou, sporządzający *knoty* w guście *mieszczucha*, który broni
wstępu do swych apartamentów wielkim płótnem.

— Trzebaby ci mieć całą katedrę do zamalowania, powtarzał
Józefowi Schinner, zmusiłbyś wielkiem dziełem krytykę do mil-
czenia.

Uwagi te, przerażające dla dobrej Agaty, utwierdzały sąd jaki
powzięła niegdyś o Józefie i Filipie. Fakty przyznawały słuszność
tej kobiecie, która zawsze pozostała dzieckiem prowincji; czyż Filip,
jej ulubieniec, nie okazał się ostatecznie wielkim człowiekiem,
chlubą rodziny? W pierwszych wybrykach tego chłopca widziała
wysoki genjusz; Józef, którego twory przyjmowała chłodno, po-
nieważ zbyt długo widziała je w powijkach aby podziwiać ukoń-
czone, nie posunął się nic w jej oczach od r. 1819 do 1828. Biedny
Józef winien był na wszystkie strony, uginał się pod ciężarem dłu-
gów, obrał *niewdzięczny zawód, który nic nie daje*. Agata nie poj-

mowała, czemu dano order Józefowi. Filip, który został hrabią, Filip, dość silny aby nie dać się już porwać grze, zapraszany na bale Następczyni tronu, ów świetny pułkownik który na rewjach i pochodach defilował we wspaniałym mundurze strojnym czerwonymi sznurami, urzeczywistniał macierzyńskie marzenia Agaty. W jeden dzień uroczystości publicznej, Filip zatarł ohydne widowisko nędzy swojej na Wybrzeżu, przejeżdżając przed oczyma matki, w tem samem miejscu, tuż przed Delfinem, z kitką czaplich piór na czapce, w dolmanie lśniącym od futer i złota! Stawszy się dla artysty niby oddaną siostrą miłosierdzia, Agata czuła się matką jedynie dla śmiałego adjutanta Jego Królewskiej wysokości! Dumna z Filipa, była mu niemal wdzięczna za swój dobrobyt, zapominała, że kantor z którego żyje pochodzi od Józefa. Jednego dnia, Agata zastała biednego artystę tak udręczonego olbrzymią sumą rachunku za farby, że, wciąż przeklinając sztukę, zapragnęła uwolnić go od długów. Biedna kobieta, która utrzymywała dom ze swego kantoru, nie żądała nigdy od Józefa ani szeląga. Nie posiadała też pieniędzy, ale liczyła na dobre serce i na sakiewkę Filipa. Od trzech lat, z dnia na dzień, czekała odwiedzin syna; widziała go w myślach, jak przynosi ogromną sumę i cieszyła się z góry przyjemnością z jaką wręczy ją Józefowi, którego opinja o Filipie była zawsze równie niezmienną jak opinja Desroches'a.

Bez wiedzy Józefa, napisała tedy następujący list:

„Do pana hrabiego de Brambourg.

„Drogi Filipie, przez pięć lat nie poświęciłeś matce ani chwili pamięci! To nie dobrze. Powinieneś przypomnieć sobie nieco przeszłość, chociażby tylko przez wzgląd na twego nieoszacowanego brata. Dziś, Józef jest w potrzebie, gdy ty opływasz w dostatki; pracuje, gdy ty pomykasz z ucztę na ucztę. Sam jeden stałeś się dziedzicem majątku wuja; wedle tego co mówi młody Borniche, posiadasz dwieście tysięcy renty. Otóż, proszę cię, dziecko, zajdź odwiedzić Józefa! W czasie odwiedzin, włóż do trupiej główki z jakie dwadzie-

ścia tysięcy franków: winien je nam jesteś, Filipie; mimo to, brat będzie się uważał za twego dłużnika, nie licząc przyjemności, jaką sprawisz matce“.

W dwa dni później, służąca przyniosła do pracowni, gdzie biedna Agata śniadała właśnie z Józefem, następujący list:

„Droga matko, nie zaślubia się panny Amelji de Soulanges przynosząc jej w wianie łupki od orzechów, kiedy, pod mianem hrabiego de Brambourg, kryje się nazwisko

twego syna,

Filipa Bridau“.

Osuwając się niemal zemdlona na kanapkę, Agata upuściła list. Szelest padającego papieru, i głuchy ale straszliwy okrzyk Agaty, wstrząsnęły Józefem, który w tej chwili zapomniał był o matce, kreśląc zawzięcie jakiś szkic. Wysunął głowę aby zobaczyć co się dzieje. Na widok zemdlonej matki, malarz rzucił pendzle i palety i pośpieszył podnieść niemal trupa. Wziął Agatę, zaniósł ją do łóżka i posłał służącą po przyjaciela swego Bianchona. Skoro wreszcie Agata mogła odpowiedzieć na pytania Józefa, wyznała mu swój list do Filipa i jego odpowiedź. Artysta podniósł z ziemi tę odpowiedź, której zwięzła brutalność złamała delikatne serce biednej matki, obalając w niem wspaniałą gmach wzniesiony przez macierzyńskie złudzenia. Józef, wróciwszy do łoża matki, był na tyle względny iż zachował milczenie. Nie wspomniał o bracie przez trzy tygodnie, które trwała nie choroba, ale agonja biednej kobiety. Bianchon, który przychodził codzien i pielęgnował chorą z oddaniem prawdziwego przyjaciela, oświecił Józefa od pierwszego dnia.

— W tym wieku i okolicznościach, rzekł, trzeba jedynie myśleć o tem, aby uczynić śmierć najmniej bolesną.

Agata zresztą tak dalece czuła iż Bóg woła ją do siebie, że zaraz nazajutrz zażądała starego księdza Loraux, spowiednika swego od dwudziestu dwu lat. Znalazłszy się z nim sama, wylała w to ser-

ce wszystkie zgryzoty, powtarzając to, co mówiła chrzestnej matce i co powtarzała zawsze:

— W czym mogłam narazić się Bogu? Czyż nie kochałam go z całej duszy? Czyż nie kroczyłam drogą zbawienia? Jakie są moje winy? I, jeżeli jestem winna jakiegoś błędu o którym nie wiem, czy jeszcze czas go naprawić?

— Nie, odparł starzec łagodnie. Niestety! życie twoje zdaje się czyste, a dusza bez zmazy; ale oko Boga, biedna strapiona istoto, przenikliwsze jest niż oko jego sług! Widzę dziś jasno, cokolwiek za późno, bo wprowadziłaś w błąd nawet mnie!

Słyszac te słowa, wymówione przez usta, które dotąd miały dla niej same słowa pokoju i słodczy, Agata podniosła się na łóżku, otwierając oczy pełne lęku i grozy.

— Mów, mów, ojczy! wykrzyknęła.

— Pociesz się, córko, rzekł ksiądz. Sądząc z kary jaką poniosłaś za życia, można spodziewać się przebaczenia. Bóg surowy jest tu na ziemi jedynie dla swych wybranych. Biada tym, których występki spływają bezkarnie i w pomyślności! Życie twoje, moja córko, było długim błędem. Padasz w dół, który sobie sama wykopałaś; chylimy się bowiem jedynie tą stroną, którą sami osłabiliśmy w sobie. Oddałaś serce potworowi, w którym widziałaś swą chlubę, a niedoceniałaś dziecka, będącego twą prawdziwą chwałą! Byłaś tak niesprawiedliwa, iż nie zauważyłaś tego uderzającego kontrastu: zawdzięczasz egzystencję Józefowi, gdy tamten ograbiał cię nieustannie. Syn biedny, który kocha cię bez wzajemnej tkliwości, przynosi ci chleb; gdy bogacz, który nigdy nie myślał o tobie i który tobą gardzi, pragnie twojej śmierci.

— Och!.. rzekła.

— Tak, odparł ksiądz, twoje skromne stanowisko stoi na zawadzie uroszczeniom jego pychy... Matko, oto twoje zbrodnie! Kobieto, twoje cierpienia i udręki zwiastują ci, iż będziesz zażywać spokoju u Pana. Syn twój Józef jest tak wielki, że niesprawiedliwość matczyngo serca nigdy nie zmniejszyła jego czułości; kochaj go te-

dy bardzo! oddaj mu całe serce przez te ostatnie dni; módl się za niego, jak ja będę się modlił za ciebie.

Otwarte potężną dłonią, oczy matki ogarnęły wstecz cały bieg życia. Oświecona tym snopem światła, spostrzegła swoje mimowolne winy i zalała się łzami. Stary ksiądz uczuł się tak wzruszony skrucą tej istoty winnej jedynie przez nieświadomość, iż wyszedł aby ukryć rozrzewnienie. Józef wszedł do matki blisko w dwie godziny po odejściu spowiednika. Był u jednego z przyjaciół, pożyczyć pieniędzy na spłacenie najpilniejszych długów, i wrócił na końcach palców, myśląc że Agata śpi. Mógł tedy usiąść w fotelu niewidziany przez chorą.

Szlochanie przerywane słowami: „Czy on mi przebaczy?“ zbudziło Józefa z zadumy. Zimny pot oblał mu plecy; sądził że to mąjaczanie zwiastujące bliski koniec.

— Co tobie, matko? rzekł przerażony widokiem zaczerwienionych oczu i zgnębionej twarzy.

— Ach, Józefie! czy ty mi przebaczysz, moje dziecko? wykrzyknęła.

— Ależ co? rzekł artysta.

— Nie kochałam cię tak, jak na to zasługiwałaś...

— Także kawał! wykrzyknął. Ty mnie nie kochałaś?... Od siedmiu lat, czyż nie żyjemy razem? Od siedmiu lat, czyż nie jesteś moją gospodynią? Czy nie widuję cię codzień? Czy nie słyszę twego głosu? Czyż nie jesteś słodką i pobłażliwą towarzyszką mego nędznego życia? Nie rozumiesz się na malarstwie?... Et! ależ tego nie da się w siebie wmówić! A ja jeszcze wczoraj mówiłem do Grassou: „Co mnie pociesza wśród moich walk, to że mam dobrą matkę; jest tem, czem powinna być żona artysty, troszczy się o wszystko, dba o moje potrzeby, nie sprawiając mi najmniejszego kłopotu...“

— Nie, Józefie, nie; ty mnie kochałeś, ty! a ja nie odpłacałam ci czułością za czułość. Ach! jak ja chciałbym żyć!... Daj mi rękę...

Agata wzięła rękę syna, ucałowała ją, przytrzymała na sercu, patrzyła nań długo, lazur jej oczu błyszczał tkliwością, którą dotych-

czas chowała wyłącznie dla Filipa. Malarza, który znał się na wyrazach, uderzyła ta zmiana: ujrzał tak jasno iż serce matki otwiera się dla niego, że wziął ją w ramiona, trzymał jakiś czas w uścisku, powtarzając jak szalony:

— O, matko, matko!

— Och, czuję, że mi odpuszczono! rzekła. Bóg musi potwierdzić przebaczenie dziecka!

— Trzeba ci spokoju, nie dręcz się; już wszystko dobrze; czuję że kochasz mnie w tej chwili za całą przeszłość, wykrzyknął Józef kładąc matkę na poduszce.

Przez dwa tygodnie które trwała walka między życiem a śmiercią u tej świętej istoty, miała ona dla Józefa spojrzenia, drgnienia duszy i ruchy tak pełne miłości, iż zdawało się że życie całe wkłada w każdy gest... Matka myślała już tylko o synu, nie liczyła siebie za nic; podtrzymywana jego miłością, nie czuła swoich cierpień. Miała powiedzenia naiwne jak odezwania się dzieci. D'Arthez, Michał Chrestien, Fulgencjusz Ridal, Piotr Grassou, Bianchon przychodzili dotrzymywać towarzystwa Józefowi i rozmawiali często półgłosem w pokoju chorej.

— Och, jak jabym chciała wiedzieć co to *koloryt!* wykrzyknęła jednego wieczoru, słuchając dyskusji nad obrazem.

Ze swej strony, Józef był cudowny dla matki; nie opuszczał jej pokoju, tulił ją, odpłacał jej czułość równą czułością. Dla przyjaciół wielkiego malarza było to jedno z owych pięknych wrażeń, których nie zapomina się nigdy. Ci ludzie, którzy wszyscy łączyli prawdziwy talent z wielkim charakterem, byli dla Józefa i jego matki tem, czem powinni byli być: aniołami, którzy modlili się i płakali z nim, nie oczyma i ustami wprawdzie, ale jednocząc się z nim myślą i czynem. Jako artysta równie wielki uczuciem jak talentem, Józef, z paru spojrzeń matki, odgadł pragnienie skryte w tem sercu i rzekł jednego dnia do d'Artheza:

— Ona zbyt kochała tego zbrodniarza Filipa, aby nie miała pragnąć ujrzeć go przed śmiercią.

Józef uprosił Bixiou, bywalca w świecie cygańskim gdzie pojawia się niekiedy Filip, aby uzyskał od niecnego parwenjusza zagranie przez litość komedji czułości, któraby pomogła spowić serce biednej matki w całun haftowany iluzjami. W charakterze swoim obserwatora i mizantropa-szydery, Bixiou z chęcią podjął się misji.

Skoro przedstawił położenie Agaty hrabiemu de Brambourg, który go przyjął w sypialni wybitej żółtym adamaszkiem, pułkownik zaczął się śmiać.

— Och! cóż ty u diabła chcesz abym ja tam robił? wykrzyknął. Jedyna usługa, jaką może mi oddać pocziwa kobiecina, to aby klapła jak najprędzej; smutnoby wyglądała na moim ślubie z panną de Soulanges. Im mniej będę miał rodziny, tem dla mnie lepiej. Rozumiesz doskonale, że chciałbym pogrzebać nazwisko Bridau pod wszystkimi grobowcami cmentarza Père-Lachaise!... Brat zarzyna mnie, wywlekając moje prawdziwe miano na światło! Za sprytny jesteś, abyś sobie nie zdawał sprawy z położenia! Ot, pomyśl, gdybyś tak został posłem, głowę masz wyparzoną, baliby się ciebie jak diabła, mógłbyś zostać hrabią Bixiou, dyrektorem Akademji sztuk pięknych: doszedłszy do tego, czy byłbyś rad (gdyby babcia Descoings żyła jeszcze), mieć na karku tę dobrą kobiecinę z jej fularem na głowie? czy prowadziłbyś ją pod rękę do Tuileryj? przedstawiłbyś ją arystokratycznej rodzinie, w którą chciałbyś wejść? Pragnąłbyś, do stu czartów! widzieć ją na sześć stóp pod ziemią, opatuloną w koszulkę z ołowiu. Ot, zjedz ze mną śniadanie i mówmy o czem innym. Jestem dorobkiewiczem, mój drogi; wiem o tem. Nie chcę wywlekać na światło dzienne swoich pieluchów!... Mój syn, ten będzie szczęśliwszy odemnie, będzie wielkim panem. Hultaj będzie pragnął mojej śmierci, liczę na to, inaczej nie byłby moim synem.

Zadzwoił i rzucił służącemu:

— Mam gościa na śniadaniu, dawajcie co dobrego.

— Ostatecznie, twój wielki świat nie widziałby cię w pokoiku

matki, rzekł Bixiou. Coby cię kosztowało udać, na kilka godzin, że kochasz biedną kobietę?...

— Tarara! rzekł Filip, mrużąc oko, to oni cię tu nasłali. Ja jestem stary kiper i znam się na nalewkach. Mamunia chciałaby, z okazji ostatniego tchnienia, napompować mnie dla Józefa!... Dziękuję.

Kiedy Bixiou opowiedział tę scenę Józefowi, malarz uczuł dreszcz wnikający w samą głąb duszy.

— Czy Filip wie, że jestem chora? rzekła Agata boleściwym głosem, w dniu w którym Bixiou zdał sprawę ze swej misji.

Józef wyszedł dławiąc się od łez. Ksiądz Loraux, który znalazł się u wezglowia penitentki, wziął ją za rękę, uścisnął jej dłoń, poczem odparł:

— Niestety, moje dziecko, zawsze miałaś tylko jednego syna!...

Słyszając te słowa, których treść zrozumiała, Agata dostała ataku, od którego zaczęła się agonja. Umarła w ciągu doby.

W majaczeniu, które poprzedziło śmierć, wydarło się jej to słowo:

— W kogo wdał się Filip?...

Józef sam jeden odprowadził trumnę matki. Filip wyjechał w sprawach służbowych do Orleanu, wypędzony z Paryża następującym listem, który Józef napisał doń, podczas gdy matka wydawała ostatnie tchnienie.

„Potworze, biedna matka umarła ze wstrząśnienia o jakie twój list ją przyprawił; wdziej żałobę, ale udaj chorego: nie chcę, aby jej morderca szedł obok mnie za trumną.

Józef B.“

Malarz, który nie miał już siły malować, mimo iż głęboka jego boleść wymagała może ukojenia jakie daje praca, znalazł nieco ulgi w towarzystwie wiernych przyjaciół, którzy ani na chwilę nie zostawiali go samego. Jednego tedy dnia, w dwa tygodnie po pogrze-

bie, Bixiou, który kochał Józefa tyle ile niepoprawny szyderca zdolny jest kochać, znajdował się w gronie przyjaciół zebranych w pracowni. Naraz, weszła służąca i podała Józefowi list, przyniesiony, jak mówiła, przez jakąś starą kobietę, oczekującą u odzwiernego na odpowiedź.

„Panie!

„Nie śmiem dawać panu imienia brata, godzi mi się wszakże zwrócić do pana, chociażby tylko z racji nazwiska, które noszę“...

Józef obrócił kartkę i spojrzął na podpis. Słowa: *Hrabina Flora de Brambourg* przyprawiły go o dreszcz, przewidywał nową ohydę brata.

— Ten opryszek, rzekł do siebie, przelicytowałby samego diabła! I to uchodzi za człowieka honoru! I to wiesz sobie kupę świędź na szyi! I to puszy się jak paw na dworze, zamiast przebierać nogami na szubienicy! I ten bandyta nazywa się „panem hrabią!“

— I takich jest wielu! rzekł Bixiou.

— Phi! ostatecznie, ta *Mąciwoda* warta była aby i jej wodę zamącono, dodał Józef, toć ta skończona szelma byłaby mi pozwoliła urzezać szyję jak kurczęciu, nie pisnąwszy nawet: „On niewinny!“

W chwili gdy Józef rzucił list, Bixiou chwycił go w lot i czytał głośno:

„Czy to przystoi, aby hrabina Bridau de Brambourg, jakiegokolwiek byłyby jej błędy, umierała w szpitalu? Jeżeli taki jest mój los, jeżeli taka wola pana hrabiego i pańska, niech się spełni; ale wówczas, pan, który jesteś przyjacielem doktora Bianchon, zdobądź mi jego protekcję, abym się mogła dostać do szpitala. Osoba, która doręczy ten list, chodziła jedenaście razy z rzędu do pałacu Brambourg, nie mogąc uzyskać żadnej pomocy od mego męża. Stan, w jakim się znajduję, nie pozwala mi starać się o adwokata aby wywalczyć prawnie to co mi się należy i przynajmniej umrzeć w spokoju. Zresztą, nic mnie nie może ocalić, wiem o tem! Toteż, w razie gdy-

byś pan nie zechciał się zająć swą nieszczęśliwą bratową, prześlij mi bodaj tyle, abym miała za co umrzeć; brat pański, widzę to, pragnie mojej śmierci, zawsze jej pragnął. Mimo iż sam powiedział mi iż zna trzy pewne sposoby sprzątnięcia kobiety, nie byłam dość sprytna, aby przewidzieć ten którego użył.

„W razie gdybyś pan zechciał zaszczyścić mnie pomocą i użrzeć własnymi oczami nędzę w której się znajduję, mieszkam przy ulicy du Houssay, róg ulicy Chantereine, na piątym piętrze. Jeżeli do jutra nie wyrównam komornego, trzeba się wynosić! i dokąd?... Czy wolno mi kreślić się

pańską bratową,

Hrabinią Florą de Brambourg?“

— Cóż za kloaka pełna ohydy! rzekł Józef; co tam mieści się pod spodem?

— Sprowadźmyż najpierw tę panią; to musi być wspaniały komentarz do historii, rzekł Bixiou.

W chwilę później zjawiła się kobieta, którą Bixiou określił słowami: „chodzący łachman!“ Była to w istocie kupa bielizny i starych sukien nawdzianych jedne na drugie, zaszarganych błotem, wszystko osadzone na grubych nogach o dużych stopach, ledwie odzianych w cerowane pończochy i w trzewiki ziejące szczelinami. Nad tą kupą łachmanów wznosiła się głowa, jedna z tych głów jakie Charlet dawał swoim śmieciarkom, opatulona ohydny wartytym do nitki fularem.

— Nazwisko pani? rzekł Józef, gdy Bixiou szkicował tę kobietę wspartą na parasolu z roku II Rzeczypospolitej.

— Pani Gruget, do usług. Żył się niegdyś w dostatku, tak, mój młody panie, rzekła do Bixiou, którego ukrywany śmiech obraził ją. Gdyby mojej biednej córce nie zdarzyło się nieszczęście¹⁾, niby że serce miała nazbyt czułe, inaczejby się teraz wyglądała. Rzuciła

¹⁾ Ferragus.

się do wody, z przeproszeniem pańskim, biedna Idusia! Zrobiłam to głupstwo, że napałam się trzymać kwaterno; i dlatego, mój drogi panie, w siedemdziesiątym siódmym roku, pilnuję chorych za dzień su dziennie i życie...

— Cóż brakuje tej pani przy której pani czuwa?

— Wszystkiego, panie... co się tyczy monety, rozumie się! bo co do chorób, to ma ich więcej niż lekarze znają dla nich imion... Winna mi jest za dwa miesiące, dlatego trzymam ją u siebie. Mąż, pan hrabia (ta pani, to hrabina!), zapłaci z pewnością rachunek kiedy żona umrze; w tej nadziei dawałam com miała... ale nie mam już nic: wszystko poszło do lombardu!... Winna mi czterdzieści siedm franków i dwanaście su, prócz moich trzydziestu franków za pielęgnację. Chciała się zgładzić ze świata *wąglami*, powiedziała jej że to nieładnie... Kazałam stróżce uważać na nią póki nie wrócę, byłaby bowiem *zdułna* wyskoczyć przez okno.

— Ale co jej jest?

— Och! panie szanowny, był tam u niej doktor od Sióstr, ale niby co się tyczy choroby, rzekła pani Gruget przybierając wstydliwą minę, powiedział że trzeba ją przenieść do szpitala. Nie wyliże się.

— Przyjdziemy tam, rzekł Bixiou.

— Proszę, rzekł Józef, oto dziesięć franków.

Zanurzwszy rękę w wiecznej trupiej główce i zgarnawszy z niej wszystkie pieniądze, malarz pośpieszył na ulicę Mazarine, wsiadł do dorożki i udał się do Bianchona którego szczęśliwie zastał w domu. Bixiou znowuż pobiegł na ulicę de Buci, po wspólnego przyjaciela Desrochesa. Wszyscy czterej spotkali się, w godzinę później, na ulicy du Houssay.

— Ten konny Mefistofeles imieniem Filip Bridau, rzekł Bixiou do przyjaciół idąc po schodach, uciesznie wziął się do rzeczy, aby się pozbyć żony... Wiecie, że nasz zacny Lousteau, bardzo szczęśliwy z tysiącfrankówki którą dostawał co miesiąc od Filipa, wprowadził panią Bridau w towarzystwo Floryny, Marjety, Tullji, etc.

Skoro Filip spostrzegł, że jego *Mąciwoda* przywykła do strojów i do kosztownych zabaw, przestał jej dawać pieniądze, zostawiał jej staranie o zdobycie środków... domyślcie się jak? W półtora roku Filip ściągnął w ten sposób żonę, ze szczebla na szczebel, coraz niżej; wkońcu, zapomocą młodego wspaniałego podoficera, zaszczepił jej smak do gorących napojów. W miarę jak on się wznosił, żona osuwała się: dziś hrabina znajduje się w błocie. Ale ta dziewczyna, urodzona na wsi, ma twarde życie, i nie wiem jak Filip wziął się do tego, aby ją dokończyć. Bardzo byłbym ciekaw wystudjować zbliżka ów dramacik, mamy bowiem rachunki z kamratem. Och, moi przyjaciele, rzekł Bixiou tonem który utrzymywał towarzyszków w niepewności czy żartuje czy mówi serjo, wystarczy pchnąć człowieka w jakiś nałóg, aby się z nim uporać. *Nadto lubiła taniec, i to ją zgubiło!*... powiedział Hugo. Ot, co! Moja babcia lubiła loteryję i Filip zabił ją przez loteryję! Ojciec Rouget lubił ciepłe nożki i Lolota go zabiła! Pani Bridau, biedna kobieta, kochała Filipa i zginęła przez niego!... Nałóg! Nałóg! moi drodzy...

— Zatem ty umrzesz od konceptu, rzekł uśmiechając Desroches.

Poczawszy od czwartego piętra, młodzi ludzie musieli drapać się po stromych schodkach podobnych do drabinki, jakie wiodą na poddasze w domach paryskich. Mimo że Józef, który pamiętał Florę tak piękną, spodziewał się straszego kontrastu, nie mógł sobie wyroić ohydneho widoku, który ukazał się jego oczom. Pod pochyłą i nagą ścianą poddasza, na tapczanie ledwie że wypchanym trochę włosia, ujrzeni kobietę zieloną jak topielec dwa dni leżący w wodzie, i chudą jak suchotnik na parę godzin przed śmiercią. Zapadłe oczy obwiedzione były czerwoną obwódką; z ciała niegdyś tak powabnego został ohydny szkielet. Na widok wchodzących, Flora zasłoniła pierś strzępem muslinu, który musiał niegdyś służyć za firankę, bo miał na brzegu ślady rdzy od żelaznego pręta. Młodzi ludzie ujrzeni, za całe umeblowanie, dwa krzesła, lichą komódkę na której tkwiła łożówka w ziemiaku, kilka talerzy walających się na podłodze, i garnek gliniany w palenisku wygasłego kominka. Bixiou

zauważył resztkę poszytu kupionego w sklepiku dla napisania listu, który zapewne obie kobiety wysmażyły wspólnie. Wrażenie, jakie budziła ta nędza, było wrażeniem wstrętu posuniętego do ostatnich granic. Skoro umierająca spostrzegła Józefa, duże dwie łzy spłynęły jej po policzkach.

— Może jeszcze płakać! rzekł Bixiou. Osobliwy widok: łzy ciekące z kostek domina! To nam tłumaczy cud Mojżesza.

— Ależ wyschnięta! rzekł Józef.

— W ogniu skruchy, rzekła Flora. I nie mogę wyprosić księdza, nic, nawet krucyfixu, aby mieć przed oczyma obraz Boga!... Och, panie, wykrzyknęła podnosząc ręce, podobne do kawałków rzeźbionego drzewa, jestem bardzo winna, ale jeszcze nigdy Bóg nie ukarał nikogo tak, jak ja jestem ukarana!... Filip zabił Maxa, który doradzał mi potworne rzeczy, on też zabił i mnie. Bóg posługuje się *nim* jak swoim biczem... Strzeżcie się siebie samych, wszyscy mamy swego Filipa.

— Zostawcie mnie z nią, rzekł Bianchon, niech się przekonam, czy choroba jest do uleczenia.

— Gdyby się ją wyleczyło, Filip Bridau pękłby z wściekłości, rzekł Desroches; toteż muszę się postarać o stwierdzenie stanu w jakim znajduje się jego żona. Nie uzyskał przeciw niej wyroku o cudzołóstwo, Flora posiada pełne prawa żony; będzie skandaliczny proces. Na początek, przeniesiemy panią hrabinę do domu zdrowia doktora Dubois, przy ulicy *Faubourg-Saint-Denis*, znajdzie tam troskliwą i dostatnią opiekę. Następnie, kropnę przeciw panu hrabiemu skargę z żądaniem przyjęcia jej do ogniska domowego.

— Brawo, Desroches! wykrzyknął Bixiou. Co za przyjemność czynić dobro, które wyrządzi komuś tyle złego!

W dziesięć minut później, Bianchon zeszedł z poddasza i rzekł do przyjaciół:

— Biegnę do Despleina, może ocalić tę kobietę zapomocą operacji. Och, zajmie się nią troskliwie: pijaństwo rozwinęło u niej wspaniałą chorobę, którą uważano za zaginioną.

— Ech, ty opętany lekarzu! Alboż tam jest tylko jedna choro-
roba?

Ale Bianchon był już w dziedzińcu, tak pilno mu było oznajmić
Despleinowi wielką nowinę. W dwie godziny przeniesiono nieszczę-
śliwą do wzorowej lecznicy doktora Dubois, którą później odkupiła
gmina miasta Paryża.

W trzy tygodnie później, *Gazeta Szpitalna* zawierała opis jednej
z najśmielszych prób nowożytnej chirurgji, dokonanej na chorej
oznaczonej inicjałami F. B. Pacjentka zginęła, raczej z wyniszczenia
spowodowanego nędzą, niż wskutek operacji. Natychmiast potem,
pułkownik hr. de Brambourg udał się, w grubej żałobie, do hrabie-
go de Soulanges i uwiadomił go o *dotkliwej stracie*, która go spotka-
ła. Szeptano sobie na ucho w wielkim świecie, że hr. de Soulanges
wydaje córkę za parwenjusza o wielkiej przyszłości, który spodzie-
wa się nominacji na marszałka polnego i na pułkownika Gwardji.

De Marsay udzielił nowiny Rastignakowi, ten zaś wspomniął
o niej przy obiadku w *Rocher du Cancalle*, na którym był i Bixiou.

— To się nie stanie, rzekł w duchu złośliwy artysta.

O ile, między przyjaciółmi których Filip się wyparł, niektórzy,
jak Giroudeau, nie mogli się zemścić, popełnił on tę niezręczność, iż
drasnął Bixiou, którego, dzięki jego dowcipowi, przyjmowano wszę-
dzie, a który nie przebaczał. W wielkiej sali *Rocher du Cancalle*,
wobec poważnych ludzi obecnych tam na wieczerzy, Filip rzekł do
Bixiou, który zapowiadał się w odwiedziny do pałacu

— Będę cię przyjmował kiedy zostaniesz ministrem!

— Trzeba zatem przejść na kalwinizm, aby się dostać do cie-
bie ¹⁾? rzekł Bixiou obracając rzecz w żart.

Ale rzekł sobie w duchu:

— Jeżeli ty jesteś Goliat, ja mam swoją procę, a kamyków
nie zbraknie.

Nazajutrz, mistyfikator ucharakteryzował się u jednego ze zna-

¹⁾ *Ministre* jest także nazwą protestanckiego pastora.

jomych aktorów, i, dzięki wszechpotędze kostjumu, przeobraził się w księdza z zielonemi okularami; następnie wziął dorozkę i kazał się zawieźć do hrabiego de Soulanges. Bixiou, traktowany przez Filipa jako kawalarz, postanowił wypłatać mu kawał. Uzasadniwszy swoje odwiedziny bardzo ważną sprawą i uzyskawszy przyjęcie, pan Bixiou odegrał rolę czcigodnego kapłana obarczonego ważnemi tajemnicami. Opowiedział, zmieniając głos, chorobę zmarłej hrabiny, której straszną tajemnicę powierzył mu Bianchon, śmierć Agaty, śmierć biednego Rougeta, którą się chełpił hrabia de Brambourg, historję pożyczki zaciągniętej w kasie dziennika, oraz całe życie Filipa w czasie jego niepowodzeń.

— Panie hrabio, dodał, nie powierzaj temu człowiekowi córki, dopóki nie zasięgniesz gruntownych informacji; zapytaj jego dawnych towarzyszków, Bixiou, kapitana Giroudeau, etc.

W trzy miesiące potem, hr. de Brambourg podejmował u siebie du Tilleta, Nucingena, Rastignaka, Maxyma de Trailles i de Marsaya. Amfitrjon przyjmował nader lekko pocieszające aluzje, jakie zwracali doń goście z powodu zerwania małżeństwa.

— Znajdziesz coś lepszego, mówił Maxym.

— Ile trzebaby majątku aby mi dali pannę de Grandlieu? spytał Filip de Marsaya.

— Tobie!... Najbrzydszej z sześciu nie daliby taniej niż za dziesięć milionów, odparł bez ogródek de Marsay.

— Ba! rzekł Rastignac, z dwustoma tysiącami renty, mógłbyś dostać pannę de Langeais, córkę margrabiego; jest brzydka, ma trzydzieści lat i ani grosza: to coś dla ciebie.

— Będę miał dziesięć milionów od dziś za dwa lata, odparł Filip Bridau.

— Mamy dziś 16 stycznia 1829, wykrzyknął du Tillet z uśmiechem. Ja pracuję od dziesięciu lat a nie mam tyle!...

— Pogadamy przy okazji, a zobaczysz pan jak ja pojmuję finanse, odparł Bridau.

— Ile pan masz ogółem? spytał Nucingen.

— Spieniężając swoją rentę, z wyjątkiem majątku ziemskiego i pałacu których nie chcę i nie mogę ryzykować, jako objętych majorem, potrafiłbym zbić do kupy jakie trzy miliony...

Nucingen i du Tillet spojrzeli po sobie; następnie, po bystrej wymianie spojrzeń, du Tillet rzekł:

— Jeżeli sobie życzysz, możemy pracować razem, drogi hrabio.

De Marsay podchwycił spojrzenie, które du Tillet rzucił Nucingenowi, a które znaczyło: „Miljony są nasze!“ W istocie, te dwie potęgi finansów były usadowione w sercu spraw politycznych w ten sposób, iż mogły grać na giełdzie w danej chwili na pewne przeciw Filipowi, tak aby wszelkie szanse zdawały się za nim, gdy w istocie byłyby za nimi. I tak się stało. Do lipca 1830, du Tillet i Nucingen dali wygrać półtora miliona hrabiemu de Brambourg, który przestał się mieć na baczości, znajdując w nich zawsze lojalność i dobrą radę. Filip, który karierę zawdzięczał faworom Restauracji, zwiedziony zwłaszcza swą głęboką wzdargą dla *cywilów*, uwierzył w skuteczność zamierzonych represji i postanowił grać na zwyżkę; gdy Nucingen i du Tillet, którzy wierzyli w Rewolucję, grali przeciw niemu na zniżkę. Dwaj szczymani gracze wchodzili na pozór w myśl pułkownika i udawali że dzielą jego poglądy; podsycali w nim nadzieję podwojenia milionów i podejmowali się ułatwić mu tę operację. Kiedy wybuchła Rewolucja, Filip bił się przeciw niej jak człowiek dla którego zwycięstwo przedstawia cztery miliony. Oddanie jego zwróciło uwagę tak dalece, iż otrzymał rozkaz udania się z księciem de Maufigneuse do Saint-Cloud, gdzie odbywała się walna narada. Ten dowód łaski ocalił Filipa; zamierzał bowiem, 28 lipca, podjąć szarżę dla oczyszczenia bulwarów, i byłby z pewnością dostał jakąś kulkę z ręki ex-przyjaciela Giroudeau, który dowodził dywizją powstańców.

W miesiąc później, pułkownikowi Bridau został z olbrzymiej fortuny jedynie pałac, majątek ziemski, obrazy i meble. Co więcej, popełnił, jak powiadał, to głupstwo, iż wierzył w powrót starszej linii, której pozostał wierny aż do r. 1834. Kiedy ujrzał dawnego ka-

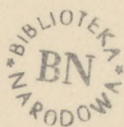
pitana Giroudeau pułkownikiem, dość zrozumiała zazdrość kazała Filipowi wrócić do służby. Nieszczęściem dla siebie, otrzymał, w 1835, pułk w Algierze, gdzie został trzy lata na najniebezpieczniejszym posterunku, spodziewając się uzyskać epolety generała; ale nieżyczliwe wpływy, kierowane ręką generała Giroudeau, udaremniały ciągle te nadzieje. Zgorzkniały, Filip stał się twardy i przesadnie surowy w służbie; toteż nienawidzono go, mimo jego brawury *à la Murat*. Z początkiem fatalnego roku 1839, czyniąc wypad na Arabów w czasie odwrotu przed przeważającymi siłami, rzucił się na nieprzyjaciół na czele jednej tylko kompanji, która dostała się w chmarę Arabów. Walka była krwawa, okropna, piersią o pierś; jeźdźcy francuzcy przedarli się jedynie w szczupłej liczbie. Widząc że pułkownika otoczono, ci którzy byli dalej, nie uważali za właściwe ginąć daremnie, aby go ocalić. Słyszeli słowa: *Wasz pułkownik! do mnie! pułkownik Cesarstwa!* po których nastąpiły dzikie wycia, ale pognali za pułkiem. Filip zginął w straszliwy sposób: ucięto mu głowę, kiedy padł niemal rozniesiony w sztuki na jataganach.

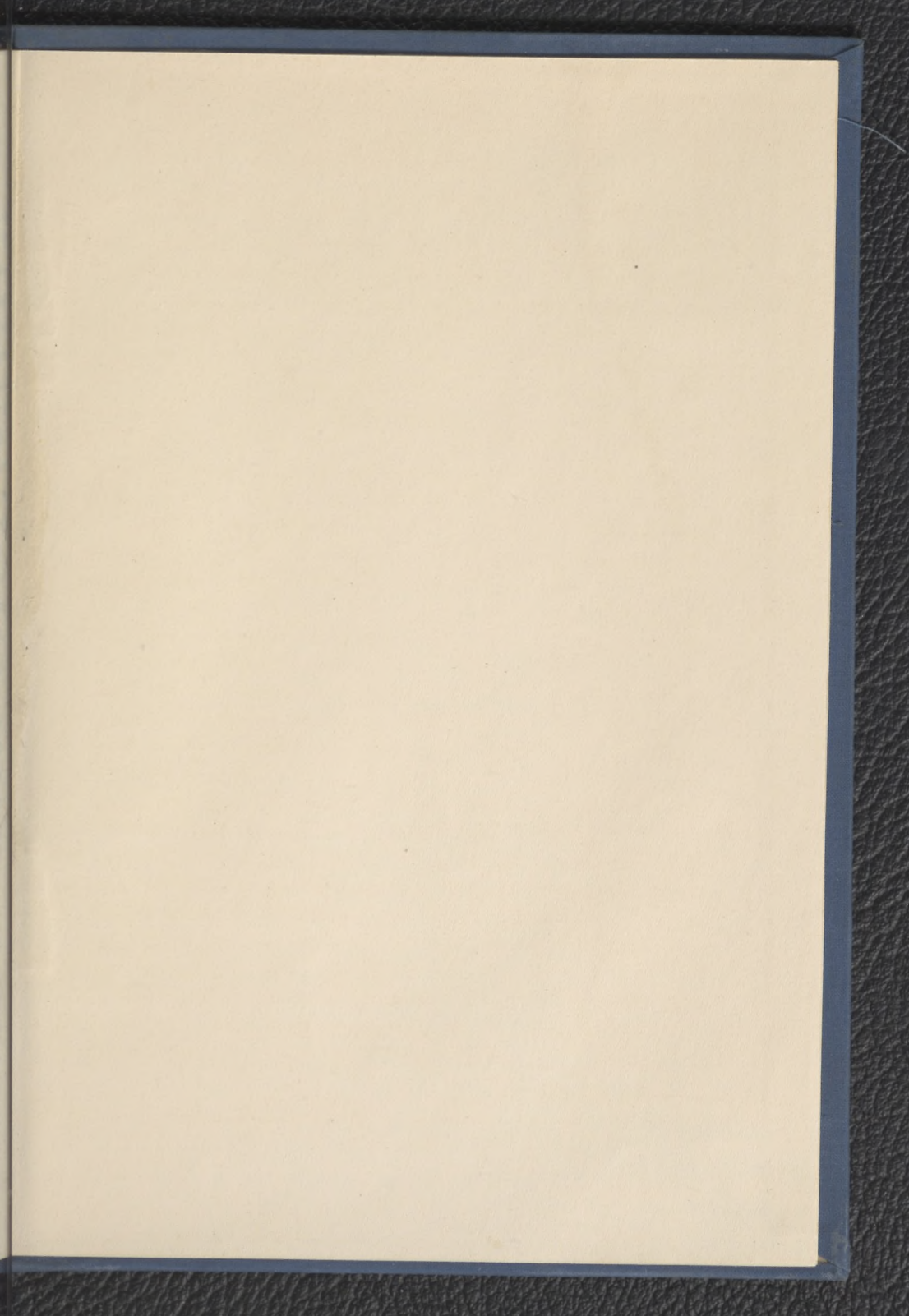
Józef, który, w tym samym czasie, ożenił się, dzięki poparciu hrabiego Sérizy, z córką dawnego dzierżawcy, a dziś milionera, odziedziczył pałac i dobra Brambourg, któremi brat nie mógł rządzić, mimo że pragnął wyzuć go z sukcesji. Największą przyjemność sprawiła malarzowi piękna kolekcja obrazów. Józef, dla którego jego teść, rodzaj wiejskiego Hochona, ciuła skrzętnie talary, posiada już sześćdziesiąt tysięcy renty. Mimo iż maluje wspaniałe płótna i oddaje wielkie usługi artystom, nie jest jeszcze członkiem Instytutu. Dzięki klauzuli w statutach majoratu, posiada tytuł hrabiego de Brambourg, co go przyprawia nieraz o konwulsje śmiechu, w pracowni, w gronie dobrych przyjaciół.

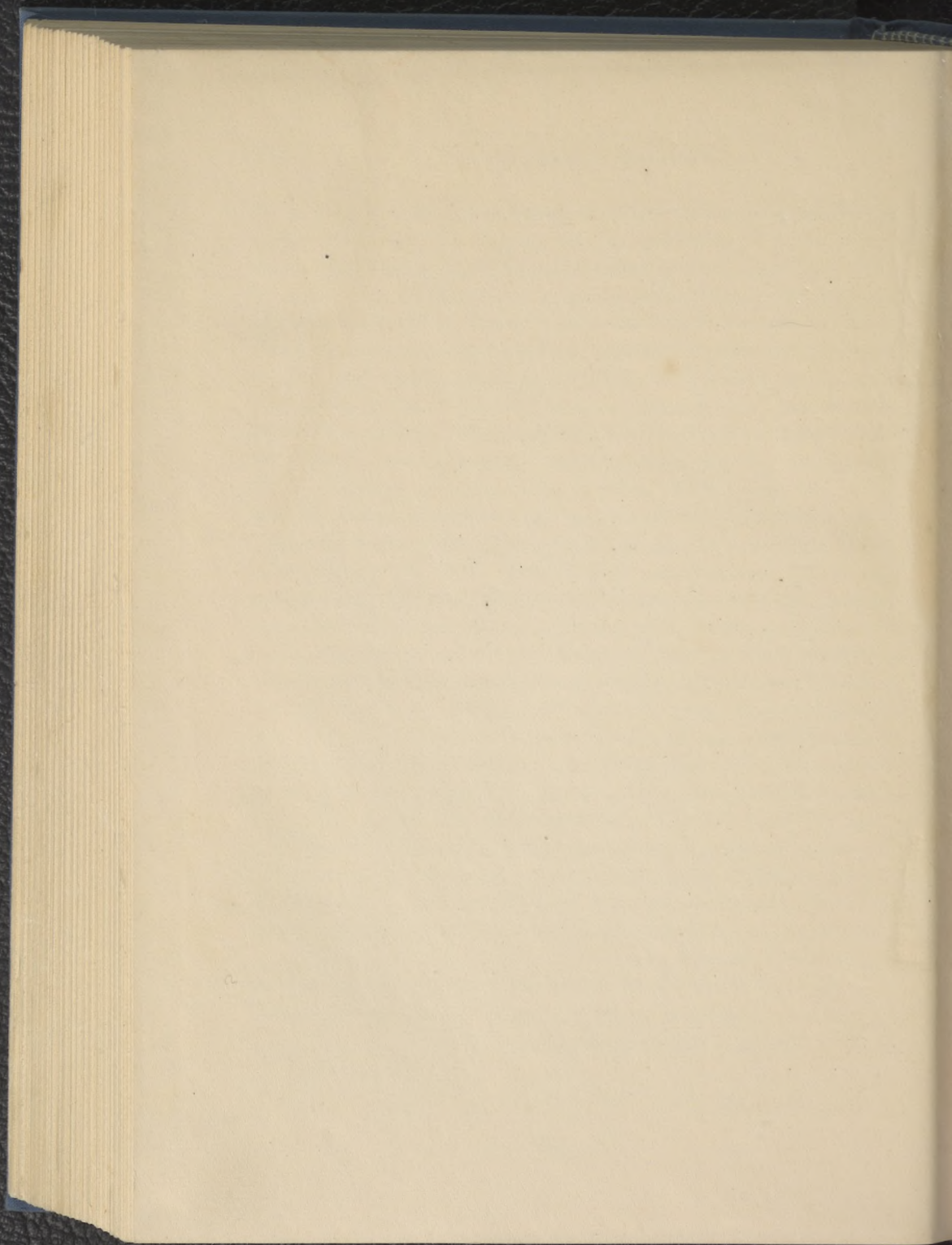
„*Hrabia co płótno obrabia*“, powiada wówczas przyjaciel jego Leon de Lora ¹⁾, który, mimo sławy jaką zdobył jako pejzażysta, nie wyrzekł się starego nałogu przekręcania przysłów.

Paryż, listopad 1842.

¹⁾ *Bezwidni aktorzy.*







Z. Szkoła
W-wa, 11.01.75
- 100 27



865502

zdy

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001011856830